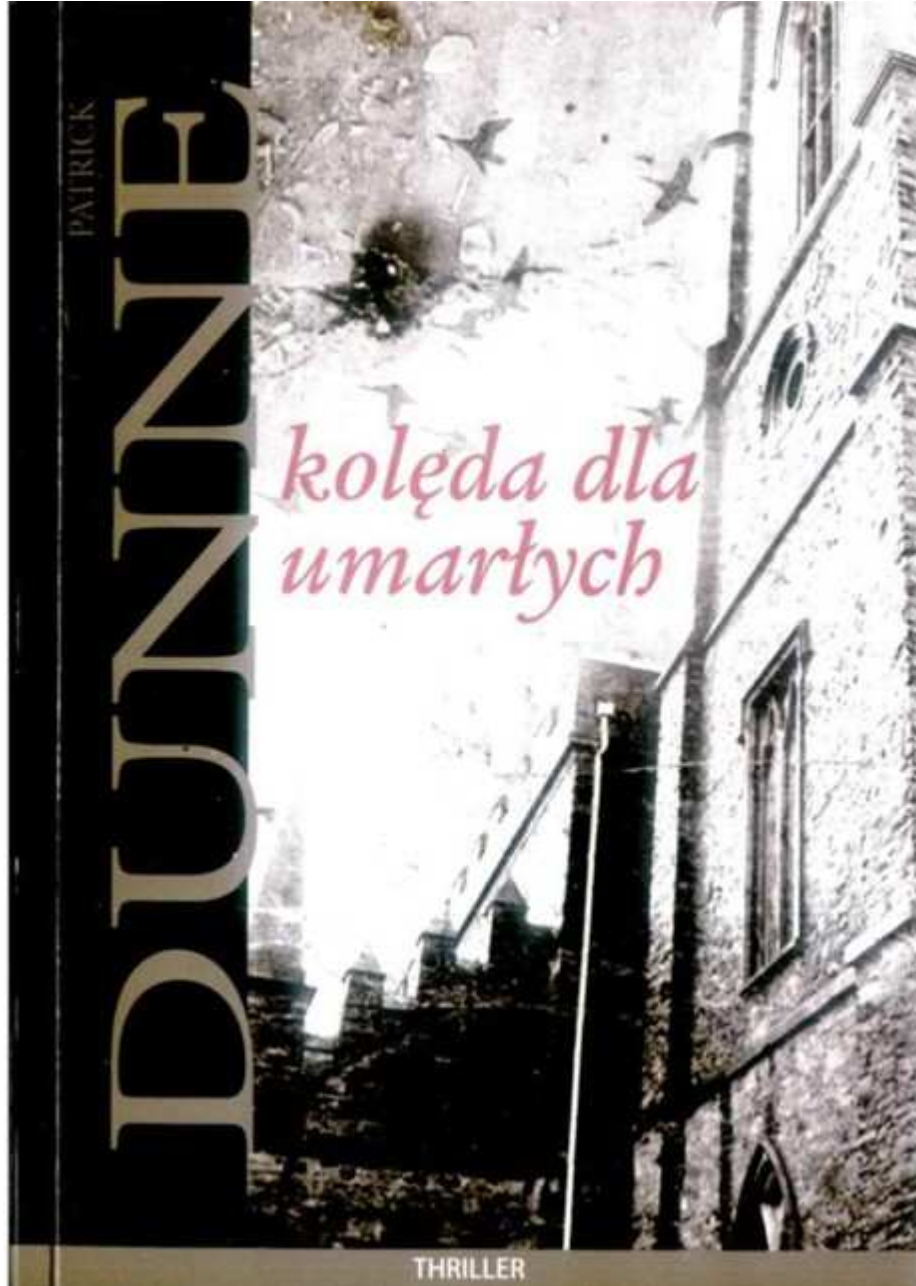


PATRICK

DUNNE

*kołęda dla
umarłych*

THRILLER





„Pasjonujący thriller”
Books Ireland

„Jednak gdy tylko zobaczyłam kobietę leżącą w oszklonym sarkofagu, mój zawodowy entuzjazm nieco osłabł, zabarwiony współczuciem dla niej i jej okrutnego losu. Nie tylko została pogrzebana lub utopiona w podmokłym gruncie, lecz z czasem przekształciła się w skórzastą skamielinę, która wkrótce zostanie publicznie obnażona przed zupełnie obcymi ludźmi. Właśnie dlatego należało się jej godne traktowanie. Pomyślałam, że dotknięcie, a nawet delikatne uściśnięcie jej dłoni może być dobrym początkiem”.

Grudniowy dzień rozpoczyna serię niezwykłych wydarzeń rozgrywających się w pobliżu Newgrange, we współczesnej Irlandii. Illaun Bowe – archeolog – zostaje wciągnięta w tajemnicze morderstwa sprzed stuleci, które powracają przy okazji odkrycia ciała kobiety, dawno temu brutalnie zamordowanej. To znalezisko pociąga za sobą śmierć kolejnych osób, a tajemnicze siły za wszelką cenę starają się nie dopuścić do wyjaśnienia zagadki. Illaun rozpoczyna więc prywatne śledztwo i odsłania sekrety przeszłości, skrywane nie tylko w irlandzkiej ziemi.

cena: 28,00 zł
www.vizja.osdw.pl

ISBN 83-60283-16-8



THRILLER

Patrick Dunne

KOLEĘDA DLA UMARŁYCH

Przełożyły
Barbara Dzierżanowska
Anna Smyk



Warszawa 2006

Tytuł oryginału
A Carol for the Dead

Copyright © Patrick Dunne 2005
AU rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by VIZJA PRESS&IT Ltd.,
Warszawa 2006

Redaktor serii
Wojciech Żyłko

Redakcja i korekta
Barbara Borszewska

Opracowanie graficzne okładki
Mariusz Stelągowski

Wydanie I

ISBN 83-60283-16-8

VIZJA PRESS&IT
ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa
tel./fax 0-22 536 54 68
e-mail: vizja@vizja.pl
www: vizja.net.pl

Skład i łamanie
Mariusz Maćkowski

*Pamięci mojej matki i ojca
oraz Mary i Liama; i dla
Rowana*

*Zimą najlepsza jest smutna opowieść,
Znam taką, w której są elfy i skrzaty.*

William Szekspir *

*William Szekspir, *Zimowa opowieść*, Akt 2, Scena 1, przekład Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991, s. 39^{tt}).

16 grudnia

Rozdział 1

Jej ciało wyglądało jak osmalony i poskręcany w ogniu metal. Lecz gdy sięgnęłam i dotknęłam jej dłoni, skóra była jak mokra rękawiczka, namokła od śniegu, którym bawiłam się w dzieciństwie. I właśnie w tym momencie zaczął padać drobny śnieg, przysypując czarną ziemię i kobietę wgniecioną w jej wnętrze.

Seamus Crean, operator koparki, który dokonał znaleziska, siedział nade mną w szoferce. Odchylił tyłkę, abym lepiej mogła obejrzeć ułożone w niej ciało. Godzinę wcześniej Crean zajmował się poszerzaniem rowu biegnącego wzdłuż bagnistego pola. Zgarnął koparką coś, co na początku wydało mu się wciśniętym w torf sękatym konarem dębu. Zszedł na dół, by, ku swojemu przerażeniu, odkryć ludzkie szczątki. Nie miał żadnych wątpliwości, że ciało było płci żeńskiej. Teraz mogłam przekonać się dlaczego. Mimo że od stóp do czaszki kobieta była jakby wgnieciona pomiędzy dwie warstwy wilgotnego torfu, jej prawa ręka i ramię wyłaniały się z błota nienaruszone i perfekcyjne w każdym detalu: od skrętów linii papilarnych na koniuszkach wyciągniętych palców do delikatnych włosków na skórze, od sznurów mięśni i ścięgien na przedramieniu do miękkiego wgłębienia pachy ponad jej sprasowaną piersią.

Pole, na którym dokonano odkrycia, znajdowało się po drugiej stronie rzeki Boyne, naprzeciwko Newgrange, jednego z kilku grobowców korytarzowych należących do nekropolii sprzed pięciu tysięcy lat, znanej jako Brú na Bóinne. Drobne fragmenty kości to jedyne, co kiedykolwiek udało się odnaleźć po ludziach, którzy zbudowali grobowce, więc byłam podekscytowana perspektywą odnalezienia kobiecego ciała, prawdopodobnie pochodzącego z epoki neolitu. Jeśli byłaby to prawda, mogłabym trochę przybliżyć nie tylko budowniczych grobowców, lecz także zwyczaje tamtych ludzi.

Jednak gdy tylko zobaczyłam kobietę leżącą w oślizłym sarkofagu, mój zawodowy entuzjazm nieco osłabł, zabarwiony współczuciem dla niej i jej okrutnego losu. Nie tylko została pogrzebana lub utopiona w podmokłym grobie, lecz z czasem przekształciła się w skórzastą skamielinę, która wkrótce zostanie publicznie obnażona przed zupełnie obcymi ludźmi. Właśnie dlatego należało się jej godne traktowanie. Pomyślałam, że dotknięcie, a nawet delikatne uściśnięcie jej dłoni może być dobrym początkiem. Inni archeolodzy raczej by tego nie pochwalali. Ściskanie rąk mumii źle świadczy o profesjonalizmie.

Mój niepokój wzbudzał również obiekt pogrzebany z kobietą. Według Creana, znajdował się pod odsłoniętą dłonią kobiety i był częściowo ukryty w sporym kawałku torfu oddzielonego od reszty zębami łyżki. Wyglądał jak drewniana rzeźba lub lalka, która przy próbie wydobycia spadła do rowu poniżej.

Dałam znak Creanowi, który wyłączył silnik koparki i z mozołem wyszedł z szoferki. Zanim zdążył wysiąść, jego rumiane policzki nabrały koloru ciężkiej kurtki w szkocką kratę, którą miał na sobie.

Koparka znajdowała się na drodze przy grobli, która przebiegała wzdłuż rowu i oddzielała bagna od pastwiska. W jego centrum, pod bezlistnym drzewem, stoczyło się stadko fryzyjskiego bydła, spowitego w mgiełkę własnych oddechów. Śnieg zaczął padać mocniej, a popołudniowe światło szybko przygasało. Należało zabezpieczyć znalezisko. Mogłam w tej kwestii polegać na zespole policyjnej medycyny sądowej, którego spodziewałam się lada moment.

Crean rozpoczął dzisiejszą pracę od porannego usuwania dzikiego żywopłotu, który uniemożliwiał mu dotarcie do dalszego brzegu rowu. Po wyrwanych z korzeniami krzakach pozostał nierówny nawis, znajdujący się metr od brzegu i metr od dna rowu. Gdy Crean podszedł, ześlizgnęłam się po błocie i stamtąd niżej do wody, sięgającej do połowy moich gumowców.

- Gdzie dokładnie to spadło, Seamusie? To, co mówisz, że trzymała? - Patrzyłam na przeciwny brzeg, z którego wydobył ciało, i zauważyłam, że wykopał mnóstwo ziemi. O wiele więcej, niż potrzeba do poszerzenia rowu, pomyślałam. Zaczęłam zastanawiać się nad zabezpieczeniem terenu.

- Nie wiem, proszpani, czy ona trzymała to czy nie - odpowiedział, gdy obróciłam się ponownie. - Wyglądało bardziej, jakby po to sięgała. - Crean stał na grobli nade mną i nerwowo zapalał papierosa, osłaniając go dłońmi. Zdałam sobie sprawę, że choć ja od początku mówiłam do niego po imieniu, to on nie miał pojęcia, kim jestem.

- Przepraszam, Seamusie, powinnam była się przedstawić. Nazywam się Illaun Bowe.

Spojrzał na mnie obojętnie.

- Jestem archeologiem. Po twoim telefonie do centrum informacji wezwano mnie, bym oceniła znalezisko.

- Miło mi panią poznać.

Panią? Ta forma sugerowała, że jestem od niego sporo starsza, mimo że byliśmy mniej więcej w tym samym wieku - po trzydziestce. Jego nadwaga i wolny sposób poruszania się sugerowały, że myślał równie wolno. Jednak byłam pod wrażeniem, że zaraz po odkryciu ciała przerwał pracę, zadzwonił z komórki do centrum i odesłał wywrotkę, którą załadowywał od poranka.

- Tak więc, gdzie to upadło?

- Tam - powiedział, kucając i wskazując papierosem.

Nie widziałam nic oprócz boku rowu i czarnego mułu, ukradkiem podkradającego się do krawędzi moich butów. *Cholera, dlaczego sam tu nie zejdziesz i nie pokaże ?*

Z czupryny tłustych włosów, przypominających morskie wodorosty, Crean odgarnął opadający mu na czoło kosmyk.

- To jest tuż obok pani... w połowie drogi w dół. - Nie wydawał się chętny, by podejść bliżej. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że się bał.

Nachyliłam się, by zbadać rozlupaną bryłę ziemi przylegającą do nawisu wyłobionego przez koparkę. Wewnątrz mogłam dojrzeć coś, co przypominało zaokrąglony skórzany woreczek. Pomyślałam o spuchniętym bukłaku na wino, ponieważ na jednym końcu miał wybrzuszenie, a drugi był ściągnięty. Tak jak ciało, wchłonął taninę z torfu, lecz wyglądał mniej smolście. *Jak Crean mógł pomylić to z*

Spojrzałam w górę, by poprosić go o podanie jednej z przyniesionych przeze mnie biało-czerwonych tyczek pomiarowych.

Chciałam oznaczyć miejsce i zrobić zdjęcie. Lecz mężczyzna zniknął. Bok tyżki sterczał ku górze. Zauważyłam wystającą dłoń kobiety, rysującą się na tle popielatego nieba. Wskazywała do dołu, jakby naprowadzając mnie na miejsce. Mrugnęłam, gdy płatek śniegu spadł mi na rzęsy i spojrzałam na przypominający torbę obiekt.

Nachyliłam się bliżej, gdy słaby zapach zgnilizny uświadomił mi, że patrzę na ciało zwierzęcia. Jednak nie do końca zwierzęcia, a przynajmniej nie w pełni uformowanego... chyba że... - Szybko cofnęłam się, lecz widok mówił sam za siebie: przed sobą miałam zwinięty kokon, a pofałdowania, które wzięłam za szwy, były licznymi kończynami poczwarki.

Myśl, że wielka larwa w skórzanym opakowaniu rozwijała się latami w bagnie, była śmieszna, lecz z trudem udało mi się przewyciężyć odrazę. *Ale czym się odżywiła?*

Nie miałam czasu, by pomyśleć, gdyż mój ruch uwolnił worek od przylegającej do niego ziemi i posłał go do rowu. Podniosłam instynktownie stopę, by uchronić obiekt przed wpadnięciem do wody.

Myślałam, że na skutek uderzenia poczwarka pęknie i otworzy się, lecz jedynie uderzyła mocno w wewnętrzną stronę butów, gdy próbowałam unieruchomić ją przy brzegu. Po niewidocznej dotąd stronie widniało głębokie pęknięcie. Na pewno powstało po zetknięciu się ze stalowymi zębami koparki, która odsłoniła substancję o kolorze i konsystencji wędzonego sera.

Wtem, ku mojemu przerażeniu, poczułam, że obiekt się wyslizguje. Bezradnie patrzyłam, jak zaokrąglony tył stworzenia zapada się, a moim oczom ukazuje się coś, co mogłoby być pomarszczoną ludzką twarzą, gdyby nie mięsisty róg wyrastający ze środka czoła. Pod galaretowatym tworem wpatrywało się we mnie dwoje oczu umieszczonych w jednym oczodole.

Spojrzałam, by sprawdzić, dokąd poszedł Crean, ale nie widziałam nic poza hydraulicznymi wysięgnikami żółtej koparki, za którymi, na tle ołowianej chmury, widniały pokryte śniegiem konary drzew przypominające oskrzela na zdjęciu rentgenowskim klatki piersiowej.

Z bocznej kieszeni parki wyjęłam tę samą lateksową rękawiczkę, którą zdjęłam, aby dotknąć ręki martwej kobiety.

- Seamusie! - krzyknęłam, nie bez trudu wciągając rękawiczkę na skostniałe z zimna palce. - Potrzebuję twojej pomocy.

Musiałam wyciągnąć to coś, zanim zsunie się z gumowca wprost do wody.

Usłyszałam kasznięcie i ponownie spojrzałam do góry. Nade mną stał Crean ze szpadlem w ręce.

- Wożę go przy rowerze - kucając, podał mi narzędzie - nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Wzięłam głęboki oddech, schyliłam się i położyłam stworzenie na szpadlu. W dotyku było twarde i ważyło około dwóch kilogramów.

Crean, chrząkając, przejął szpadel. Trzymał go możliwie daleko od siebie.

- Co mam z tym zrobić?
- Połóż obok ciała, przy tyczce, żebym mogła zrobić zdjęcie.
- Powoli wychodziłam z wykopu.
- Jak pani myśli, co to może być?
- Powiedziałaś, że wypadło spod tej kobiety?
- Tak, ale co to, u diabła, jest?

Illlaun, masz świetną wyobraźnię. Ale powstrzymaj ją. Słowa te, niczym mantra, towarzyszyły mi od przedszkola aż po doktorat.

- Nie wiem... Kot, może pies. - Nie chciałam wystraszyć go jeszcze bardziej. Powściągając wybujałą fantazję, postanowiłam założyć, że to rzeczywiście było jakieś zwierzę.

Crean sprawnie rzucił je na warstwę torfu, obok czerwono-białego palika - tyczki pomiarowej, którą umieściłam z grubsza równolegle do ciała kobiety. Wyjęłam cyfrowy aparat Fuji i pstryknęłam kilka zdjęć. Zaraz potem, zupełnie jakby mój błysk dał początek reakcji łańcuchowej, zasłonę padającego śniegu przeciął snop innego światła, zamieniając płatki śniegu w błękitne, wirujące iskry.

W bramie, tuż za moją lawendową hondą jazz, zatrzymał się policyjny samochód. Zaraz potem nadjechał czarny rangę rover, a tuż za nim biała furgonetka z napisem DZIAŁ TECHNICZNY. Na ścieżce pojawili się dwaj ubrani w żółte kurtki policjanci, którym towarzyszył wysoki mężczyzna w zielonej budrysówce i tweedowym, rybackim kapeluszu. To był Malcom Sherry, krajowy patolog. Mimo swych zaledwie czterdziestu kilku lat,

Sherry uwielbiał kreować się na wiejskiego lekarza z minionej epoki. Niestety, jak na ironię, jego chłopięcy wygląd - szelmowski uśmiezek, wyglądające spod kapelusza niebieskie, figlarne oczy oraz delikatne, wręcz dziecięce blond włosy - nie przystawał do oblicza doświadczonego patologa. Ucieszyłam się na jego widok - już wcześniej pracowaliśmy razem i wiedziałam, że potrafi należycie ocenić archeologiczną wartość znalezionej szkieletu.

Podeszłam, aby się przywitać. Z tyłu furgonetki dostrzegłam, jak dwóch mężczyzn i kobieta nakładali białe kombinezony.

- O, Illaun! To naprawdę ty? - Czyżbym słyszała nutę protekcyjnalizmu w jego głosie? To raczej niemożliwe. Wizerunkowi Sherry'ego nieodłącznie towarzyszył niewyszukany sposób mówienia. - Co, twoim zdaniem, tu mamy? Jednego z naszych czcigodnych

- Tak mi się wydaje. Niestety, ciało kobiety nie znajduje się w pierwotnym położeniu, ale sądzę, że leżało jakieś dwa metry pod powierzchnią bagna. To by wskazywało na spory upływ czasu. Ale tu jest jeszcze coś.

- Tak? Nie powiedziano mi, że mam oczekiwać drugiego ciała.

- Nie jestem pewna, co to jest. Wygląda na jakieś zwierzę.

Sherry uniósł brew.

- Kobieta ratuje psiaka i wpada do bagna?

- Sześciornóżnego psiaka? Nie wydaje mi się.

Sherry uniósł drugą brew.

Zbliżyliśmy się do koparki, a ja opisywałam, co zaszło.

Przedstawiłam Creana i powiedziałam, że to on odkrył ciało. Sherry poklepał go po ramieniu.

- Seamusie, zrobiłeś, co należało. Dobra robota. A teraz spójrzmy. Tutaj, prawda? - Badawczo zajrzał do łyżki, w której zębach tkwił stary, rozszczepiony pniak.

- Nie, to z przodu. - Crean poprowadził go do szerszego czerpaka.

Sherry zerknął na niebo.

- Robi się ciemno, Seamusie, a chłopakom z medycyny sądowej trochę zajmie ustawienie świateł. Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, mógłbyś włączyć tamte? - Wskazał na znajdujące się na dachu kabiny reflektory.

Crean, dysząc chrapliwie, wspiał się na siedzenie kierowcy. Zanim jednak zdążył włączyć światła, na drodze rozległ się pisk opon, zmuszając nas do spojrzenia w tamtym kierunku. Srebrny mercedes klasy S skręcił w bramę i kierował się wprost na nas.

Crean krzyknął, próbując ostrzec mnie i Sherry'ego.

- To pan Traynor, będzie lepiej, jeśli...

Dalsze słowa zagłuszył dźwięk samochodu hamującego z poślizgiem i wyrzucającego w górę drobiny żwiru. Ze środka wyskoczył łysiejący, ciemnowłosa mężczyzna w grubym niebieskim płaszczu, fioletowej koszuli i srebrnym krawacie. Pulchną twarz pokrywała siatka naczynek.

- Wtargnęliście na mój teren! - wrzasnął w moim kierunku. - Macie się stąd natychmiast wynosić! - Po ostatnim słowie zacisnął usta z wściekłości.

Jeden z policjantów, ten z naszywkami sierżanta, zrobił krok do przodu.

- Spokojnie, Frank. Badamy znalezione ciało.

- O ile mi wiadomo, to tylko jakieś pradawne szczątki. Możecie je zbadać gdzie indziej. Wyświadczy mi pan tę przysługę, sierzancie?

- Oczywiście, Frank. Musimy tylko zachować pozory i już nas tu nie ma. Prawda, doktorze Sherry?

Uważałam, że sierżant zachowywał się nazbyt pojednawczo. Sherry, który zaglądał do czerpaka, teraz dołączył do reszty.

- Mówił pan coś, sierzancie?

- Właśnie mówiłem Frankowi, że...

Traynor zbliżył się do Sherry'ego.

- Że wynosicie się z mojej własności, migiem!

Trzej mężczyźni otaczali mnie teraz ciasnym kręgiem. Nie po raz pierwszy w życiu znajdowałam się pomiędzy ludźmi wyższymi ode mnie, którzy zwracali się do siebie, zupełnie mnie ignorując.

- Chwileczkę! - powiedziałam na tyle głośno, by zwrócić ich uwagę. - Doktor Sherry i ja zostaliśmy upoważnieni do przeprowadzenia tu pewnych czynności, bez utrudnień. Tak stanowi prawo. - Nie byłam pewna, czy to prawda, ale pomyślałam, że to powinno na jakiś czas załatwić sprawę. Skinęłam na patologa, aby przejął pałeczkę. Cieszył się większym autorytetem.

- Doktor Bowe ma rację, panie...?

- Traynor. Frank Traynor. - Z wyraźną pogardą zmierzył Sherry'ego wzrokiem. - Sezon rybacki jeszcze się nie rozpoczął, prawda?

Na twarzy sierżanta dostrzegłam uśmiezek.

- Nazywam się Malcom Sherry. Jestem patologiem krajowym. Pan zaś jest właścicielem tego terenu, jak się domyślam?

- Słusznie się pan domyśla. - Traynor prawie go przedrzeźniał. Zauważyłam, że koszula Traynora, jego twarz i mój zaparkowany na drodze samochód miały podobny odcień.

- Proszę nas dobrze zrozumieć. Nic jeszcze nie wiemy o znalezionym tu ciele. Nie wiemy też, czy doszło do popełnienia przestępstwa. - Spojrzał poważnie na Traynora, sugerując, że sprzeciw mógłby rzucić na niego pewne podejrzenia. - Ten teren do odwołania stanowi strefę zamkniętą. Nawet dla pana. - Spojrzał w kierunku furgonetki z działu technicznego i głośniejszym głosem rzekł: - Trzeba tu ustawić jakieś barierki. Ten teren musi być zabezpieczony.

Traynor już miał zaprotestować, ale się zawahał. Podobnie jak ludzie jego pokroju, w chwili porażki postanowił posłużyć się pochlebstwem.

- Oczywiście, doktorze Sherry. Doskonale rozumiem, że musi pan wykonywać swoje obowiązki. Orientuje się pan już może, kiedy będziecie w stanie przenieść ciało?

Wymieniliśmy z Sherrym spojrzenia. Wiedział, że chciałabym, aby zabezpieczono teren, nawet jeśli nie dokonano na nim przestępstwa. Zastanawiał się. Tymczasem ubrana na białą ekipa, kompetentnie wspomagana przez Seamusa Creana, zносиła rurkowe barierki oraz niebiesko-białą taśmę.

- Bez względu na to, kiedy zabierzemy ciało, teren ten będzie uważany za miejsce zbrodni i zamknięty na... - Sherry znów spojrzał w moim kierunku.

Uniosłam palec wskazujący i bezgłośnie wymówiłam „T”.

- ...kilka dni, może tydzień. - Próbował dać mi trochę czasu i zaoszczędzić scysji z Traynorem.

Traynor zauważył tę wymianę sygnałów.

- To o panią chodzi, prawda? - Napadł na mnie. - Ma pani na czole wypisane „archeolog”. - Przebiegł wzrokiem wszystkie

elementy mojego stroju, jakby sprawdzając ich zgodność z wizerunkiem archeologa - zieloną, wodoodporną parkę z goreteksu, sweter narciarski, dzinsy, gumowce, kolorową wełnianą czapkę. Chyba rozczarował go brak w moim ręku rydla. - Zawsze stoicie na drodze postępu - warknął.

Zachowałam spokój. Zdawało się, że Traynor powiedział więcej, niż zamierzał.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „postęp”? - spytałam. - Co jest postępowego w poszerzaniu wykopu?

- Nie muszę się przed panią tłumaczyć, ale wcale nie poszerzam wykopu. Osuszam całe bagno.

Mógł to robić tylko z jednego powodu. Ale to było niemożliwe. Znajdowaliśmy się niecały kilometr od rzeki i stanowiska zaliczanego do światowego dziedzictwa, w tej części doliny, która nie była przewidziana pod zagospodarowanie.

Traynor, z satysfakcją na twarzy, wrócił do swego samochodu. Przeszło prószyć, a złowieszcza chmura rozwiła się, ukazując cienki sierp księżycy jak zbłąkany płatek śniegu. Nadciągał mrok, a czyste niebo zwiastowało minusową temperaturę. To mogło stanowić pewien problem.

Dwoje ludzi z ekspertyzy sądowej minęło mnie, brzęcząc sprzętem oświetleniowym i fotograficznym. Nieśli też nadmuchiwany namiot, który miał zapewnić ekipie schronienie i osłonić stanowisko przed działaniem warunków atmosferycznych.

Musiałam działać szybko i to na kilku frontach. Jak tylko Traynor zaczął cofać samochód po drodze na grobli, zsunęłam lateksowe rękawiczki i wyłowiłam z wewnętrznej kieszeni telefon komórkowy. Dwie rzeczy miały teraz dla mnie znaczenie: zdobycie sądowego zakazu prowadzenia na tym terenie robót ziemnych oraz zabezpieczenie tkanek mumii z bagien przed wyschnięciem, lub, co było bardziej prawdopodobne, przed uszkodzeniem wskutek działania niskich temperatur. Zadzwoiłam do Terence'a Iversa z IAWU* w Dublinie, jednostki naukowej odpowiedzialnej za badanie i rejestrowanie wszelkich znalezisk archeologicznych z irlandzkich bagien. To właśnie on poprosił

* IAWU - Irish Archeological Wetland Unit - Zespół ds. Archeologii Terenów Podmokłych w Irlandii. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

mnie o obejrzenie stanowiska w ich imieniu, po tym jak zostali powiadomieni przez Centrum Informacji Turystycznej w Newgrange. Włączyła się poczta głosowa, więc nagrałam mu wiadomość. Tymczasem zauważyłam, że Traynor zatrzymał się i powiedział coś przez okno do Seamusa Creana, pomagającego trzeciemu członkowi ekipy medycyny sądowej rozładowywać barierki.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy mijał mnie niosący jeden koniec barierki Crean.

- Terence, dzięki, że oddzwoniłeś... przepraszam cię na sekundę. - Zaczerwieniony Crean szedł ze spuszczoną głową. - Co powiedział ci Traynor, Seamusie?

- Zwolnił mnie, proszpani. Chciał mieć teren oczyszczony przed świętami, a przeze mnie straci tysiące euro.

Niesprawiedliwość sytuacji dotknęła mnie do żywego.

- Przykro mi - powiedziałam. Crean poszedł dalej. Perfidne zachowanie Traynora tylko umocniło mnie w postanowieniu: muszę wziąć nad nim górę. Wers powinien działać szybko.

- Terence, mam dobrą i złą wiadomość. Dobra jest taka, że znalezisko wygląda na stare, być może neolityczne. - Wiedziałam, że nadstawiam karku, sugerując, że szczątki pochodzą z epoki kamienia, ale to mogło nadać sprawie szybszy bieg. - Niestety, jeśli ma zostać zbadane, musimy szybko zdobyć zakaz sądowy.

- Cholera. Jak to wygląda?

Oczywiście wyobraźni widziałam Iversa przy biurku, jak słuchając, zdejmując okulary, ramieniem przytrzymuje słuchawkę i nerwowo poleruje szkła koniuszkiem krawata. Prawdopodobnie na skroniach już wystąpiły mu krople potu.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła czwarta. Ivers miał bardzo mało czasu, by dotrzeć na posiedzenie sądu i przedłożyć sprawę sędziemu. Wprowadziłam go pokrótce w sytuację, potem wspólnie podsumowaliśmy główne argumenty, które, naszym zdaniem, powinny pomóc w otrzymaniu zakazu: odkrycie prawdopodobnie wielkiej wagi historycznej, a zniszczenie stanowiska od razu pociągnęłoby za sobą stratę innych materiałów, pomocnych w badaniu archeologicznym. Przede wszystkim zaś jest wysoce nieprawdopodobne, aby udzielono pozwolenia na zagospodarowanie terenu zaliczanego do światowego dziedzictwa.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, to ja i Malcom Sherry możliwie szybko wspólnie ustalimy, co zrobić z ciałem.

- Dobra - zgodził się. Jedna lub dwie krople potu spłynęły już zapewne po jego zuchwie, a krawat wydał się nieodpowiedni do czyszczenia okularów, zatem Ivers wyciągał pewnie z kieszeni burą chustką do nosa.

- Zakładam też, że poinformowałaś Muriel Blunden z Muzeum Narodowego.

Ivers chrząknął twierdząco. Teoretycznie wszystkie znaleziska archeologiczne są własnością państwa. Z prawnego punktu widzenia wystarczy powiadomić policję, w praktyce jednak informuje się też muzeum. To tam zapadną końcowe decyzje, co do losu ciała. Jednakże na linii Muzeum Narodowe - IAWU występowały pewne spięcia. Były one związane z animozjami osobistymi między Terence'em Iverssem i Muriel Blunden oraz z rywalizacją między instytucją tak czcigodną, jak Muzeum Narodowe, a IAWU - stosunkowo nowym członkiem panteonu organizacji, których zadania się wzajemnie nakładały.

- Lepiej informujmy ją na bieżąco o naszych działaniach - powiedziałam.

- Może ty to zrobisz, Illaun. Muszę się zająć zakazem. - Wers odłożył słuchawkę.

Zacisnęłam zęby i wybrałam numer komórki Muriel. Rozładowana lub poza zasięgiem. Zadzwoiłam do muzeum i zostawiłam sekretarce krótką wiadomość dla pani dyrektora ds. wykopalisk. Co za ulga, że nie musiałam rozmawiać z Muriel.

Następnie przedstawiłam się sierżantowi policji, który rozmawiał przedtem z Traynorem.

- Informuję pana, sierżancie...

- Nazywam się O'Hagan. Brendan O'Hagan.

- Zatem powinien pan wiedzieć, sierżancie O'Hagan, że staramy się o uzyskanie sądowego zakazu prowadzenia dalszych robót ziemnych na tym stanowisku.

- Czekaj więc panią walka z Frankiem Traynorem.

- Widzę, że dobrze go pan zna?

- W tej części hrabstwa Meath jest dobrze znanym biznesmenem.

Potrafi być bezwzględny, jeśli chce. Nie mam na myśli oczywiście niczego nieuczciwego.

- Czym się zajmuje?
- Frank Traynor? - Najpierw mrugnął do towarzyszącego mu oficera policji, potem westchnął głęboko, jakby podkreślając towarzyszowi cierpliwość, którą trzeba się wykazać, kiedy ma się do czynienia z obcymi. - Frank jest deweloperem. Inwestuje głównie w hotele.

Wydałam stłumiony okrzyk. Wyobrażałam sobie dom, prywatne mieszkanie, co najwyżej sklep z artykułami rzemieślniczymi, gdzie sprzedawano by kawę i pamiątki dla turystów. Nawet to stałoby w sprzeczności z zakazem zagospodarowywania terenu. Ale hotel? Nie tutaj. Nie na tych przepastnych, nadrzecznych łąkach, których granice wyznaczały niezbadane trawiaste wzgórki, kryjące tajemnice tak stare jak czas.

Rozdział 2

*Anioły na wysokościach Słodko
śpiewały nad równinami A góry w
odpowiedzi Powtarzały ich radosne
tony Gło o—o—o—o—o—o—o—o—o—o—o—o—o—o—
—o—o—o—o—*

- Stop, stop... halo?!

Gillian Delahunty, nasza dyrygentka, przestała grać na organach. Teraz starała się zatrzymać rozśpiewany chór. Mimo to kilka współbrzmiących głosów kontynuowało fragment *Glorii*, dopóki Gillian nie klasnęła głośno, po czym z zakłopotaniem urwało.

- Powiedziałam *legato*, a nie... *staccato!* To powinno płynąć... właśnie tak... - Zrobiła dłonią gest falowania. - Wszystko na jednym oddechu...

Przepełniał nas entuzjazm wynikający z ćwiczenia kolęd w kościele, a nie w sali parafialnej, która była naszym stałym miejscem prób. W innych okolicznościach śpiewanie kolęd wprawiłoby również mnie w dobry nastrój, lecz nie dzisiaj.

Od momentu opuszczenia stanowiska coś przyłgnęło do mnie jak nieprzyjemny zapach. Nie woń rozkładu - wrażenie nie było fizyczne. Bardziej przypominało uczucie melancholii. Ale dlaczego? Spójrzmy prawdzie w oczy: nic tak nie cieszy archeologa, jak znalezienie zachowanych szczątków ludzkich - wyschniętych, zasuszonych w piaskach pustyni, zasolonych w kopalniach soli, głęboko zamrożonych na szczytach gór lub zakonserwowanych w bagnach. Przedmioty pogrzebane ze zmumifikowanymi zmarłymi - biżuteria, ceramika, ubrania - są bardzo ważne. Lecz to, co znajdujemy wewnątrz mumii - ich nietknięte szkielety i organy - rzeczywiście przenosi nas w dawne czasy. Pozwala

dowiedzieć się, co było ostatnim posiłkiem chłopca, ustalić, czy stawy mnicha zniszczone zostały przez artretyzm, lub prześledzić szlaki pasożytów konsumujących wątrobę faraona.

Po powrocie do domu wzięłam prysznic - raczej terapeutycznie niż dla higieny. Potem, ciągle próbując polepszyć sobie humor, zdecydowałam ubrać się trochę staranniej niż zwykle, by dopasować się do świątecznego nastroju nocy. Wybór padł na zieloną, aksamitną sukienkę bez rękawów, czerwony T-shirt i parę srebrnych martensów w stylu vintage, których nigdy nie miałam serca wyrzucić. Całości dopełniały srebrne kolczyki w kształcie dzwoneczków i czerwony beret powstrzymujący moje niesforne loki. Lecz pomimo tych wysiłków oraz przelotnego błysku rozbawienia, gdy jeden z naszych starszych chórzystów nazwał mnie „małą bożonarodzeniową ślicznotką”, nie mogłam pozbyć się dziwnego nastroju. Moje myśli uciekały gdzie indziej.

Patrzyłam w dół na zamrożone pole, które być może przez tysiące lat skrywało kobietę z bagna w swych chemicznych objęciach, powoli rozpuszczając jej kości i wyprawiając skórę. Lecz jak się tam dostała? Czy na pewno pochodziła z pradawnych czasów?

Przynajmniej była szansa na określenie okoliczności jej pogrzebu. Gdy wracałam do domu w Castelboyne, zadzwonił Terence Ivers, by powiedzieć, że udało nam się zdobyć od sędziego sądu rejonowego tymczasowy zakaz sądowy. Było bardzo możliwe, że Muzeum Narodowe udzieli nam zezwolenia na pełne wykopaliska, zanim będziemy mieli prawo na jakiegokolwiek prace przy stanowisku. Paradoksalnie, pomyślałam, to, co będziemy robić jako archeolodzy, nie różni się zbyt od tego, co na początku chciał zrobić Traynor. Jak podaje każdy podręcznik, prace archeologiczne i zniszczenie to

Traynor zostanie poinformowany o zakazie, więc wymogłam na Iversie, żeby uprzedził władze lokalnej policji o istnieniu pola. Dowiedziałam się, że nosiło ono nazwę Monashee. Seamus Crean powiedział mi to, zanim opuściłam stanowisko, a śnieg zaczął migotać lodowymi punkcikami w światłach koparki. Pomyślałam o gelickim słowie i jego znaczeniu.

- To oznacza „bagnu duchów”, prawda?

- Tak nazywaliśmy je jako dzieci - Bagno Duchów – ponuro powiedział Crean.

- Straszne, co? - zażartowałam.

Nie uśmiechnął się.

M o n a s h e e . Pamiętając, że ciała z dalekiej przeszłości po znalezieniu otrzymują czasami imiona, zaczęłam się zastanawiać... Monashee... Mona... W nazwie było gotowe imię kobiece.

- W takim razie, niech nazywa się Mona - powiedziałam do Creana. - To nada jej jakąś osobowość, nie uważasz?

Nie odpowiedział.

Odprowadzając mnie do samochodu, wspomniał, że okoliczni mieszkańcy wierzyli, że Monashee jest nawiedzone.

- W ciągu dnia nigdy nie dociera tam światło. Mówili też, żeby nigdy nie zapuszczać się tam w nocy. - Wierzy, że odkryte przez niego szczątki potwierdzają ponurą reputację miejsca.

Ale może odtąd Monashee przestanie być nawiedzone, gdyż straciło swego lokatora? Dzisiaj Mona przeniesiona została do starej kostnicy szpitala w Droghedzie.

Podzieliłam się z Malcolmem Sherrym obawami dotyczącymi najlepszego, w miarę naszych możliwości, zabezpieczenia ciała przed podjęciem decyzji o jego przyszłości. Po pobycie w beztlenowym środowisku bagna, w którym aktywność bakteryjna jest nieznaczna, wkrótce ciało zaczęłoby się rozkładać, jak każda materia organiczna wystawiona na działanie powietrza. Proces ten zostałby przyspieszony, jeśli dopuszczono by do zamrożenia, a potem odmrożenia. Dużo zależałoby od tego, jak bardzo przekształcone, a dosłownie, ogorzałe - było samo ciało, lecz to można stwierdzić dopiero po zbadaniu skóry w przekroju.

Po szybkim obejrzeniu szczątków kobiety, Sherry przyznał, że ciało przebywało pod ziemią przez długi czas. Dokładne określenie będzie wymagało szeregu testów potwierdzających. Uważał, że do tego czasu najlepiej będzie postępować zgodnie ze zwyczajową procedurą przy odkryciu prawdopodobnej ofiary zbrodni.

- Ale trudno będzie pracować nad nią tutaj, gdzie jest unieruchomiona w torfie. Pytanie, jak możemy zabrać ją do kostnicy.

- Byłoby najlepiej, gdyby można ją było przenieść razem z nienaruszonym kawałkiem torfu - powiedziałam. - Będę

chciała zbadać każdy skrawek materiału, który ją otacza. W związku z tym mam propozycję - szpital w Droghedzie jest niecałe dziesięć kilometrów stąd. Dlaczego nie zostawić wszystkiego tak, jak jest - w koparce - opakować delikatnie plastikową folią i poprosić policję o eskortę Seamusa Creana do szpitala? Dopilnuję, żeby mu zapłacono. Gdy już tam dojedzie, może opuścić ładunek na kolejną folię, żeby łatwo go było przetransportować do środka z dala od warunków

- Świetny pomysł. A ja zostawię ludzi z medycyny sądowej, by pokręcili się tutaj przez kilka godzin.

Dreńczyło mnie jednak coś jeszcze.

- Nie wierzę, że Traynor będzie się trzymał z dala od tego miejsca. Dlatego wołałabym, żeby twoi ludzie rozciągnęli taśmę ochronną i zostawili namiot przez noc pod strażą policji. To go zniechęci i zabezpieczy miejsce, dopóki nie zaczniemy kopać. - Tak jak Traynor myślałam o innych, którzy mogą nadejść. Niektórzy to po prostu gapie traktujący stanowisko. Inni - o wiele bardziej niebezpieczni - bywają uzbrojeni w wykrywacze metalu i łopaty.

Sherry powtórzył naszą decyzję policjantom i ludziom z medycyny sądowej, a ja spytałam Creana, czy zawiezie ciało do Droghedy.

- Chętnie, proszpani. Ale to nie mój pojazd. Pan Traynor wynajął go i mam go tu zostawić. Dlatego mam ze sobą rower, by wrócić do domu. Mógłbym go nieźle wkurzyć, gdyby się dowiedział.

- Myślę, że pan Traynor będzie zadowolony, gdy użyjemy koparki do pozbycia się ciała z jego ziemi.

- Szkoda. Wołałbym jednak, żeby był wściekły. Ale niech będzie.

Uśmiechnęłam się do niego, a Sherry'emu pokazałam wzniesiony do góry kciuk.

- Idę spojrzeć na inne próbki - zawołał Sherry. - Potem je zapakujemy.

Zadzwoiłam do mojej sekretarki, Peggy Montague, wyjaśniłam, co się dzieje, i poprosiłam o zawiadomienie dwojga stałych pracowników firmy - Keelana O'Rourke i Gayle Fowler. Znajdowali się oni na terenie planowanej budowy rozjazdów autostrady M1 przy Droghedzie, gdzie wykonywali testowe

wykopy. Przekazałam Peggy, że jutro rano w szpitalu mają dokładnie zbadać blok torfu, w którym znajdowało się ciało.

- Illaun... Illaun? - ktoś szeptał natarczywie.

Poczułam kuksaniec w żebra od kogoś stojącego za mną. Powróciłam do rzeczywistości.

- Czy zechciałabyś się do nas dołączyć, Illaun? – Oczy Gillian Delahunty świdrowały mnie na wskroś.

- Przepraszam, Gillian, zamyśliłam się - odburknęłam.

Gillian zmarszczyła brwi z dezaprobatą i zwróciła się do chóru.

- Zaczniście od pierwszego *King of Kings** - soprany, wykażcie się.

Jakimś sposobem przegapiłam *Angels We Have Heard on High* **. Śpiewaliśmy już słynne *Alleluja* z *Mesjasza*. Czy w ogóle coś śpiewałam? Nic nie pamiętałam. Lecz moje niepełne zaangażowanie było wyraźnie widoczne we wznoszącej się sekcji *King of Kings and Lord of Lords*, która jest prawdziwym wyzwaniem dla sopranów.

Podczas śpiewania obserwowałam stopy Gillian tańczące po pedałach organów. Zauważyłam, że miała zielone buty sięgające kostek. Ciekawe, czy Mona nosiła skórzane obuwie, a jeśli tak, to czy przetrwało. Lecz nie wiedziałam nawet, w jakim stanie zachowały się jej nogi, jeżeli w ogóle się zachowały. I nie będę wiedziała, dopóki Sherry z zespołem nie przeprowadzi sekcji. Byłam przekonana, że mogę na nim polegać i z pewnością dowiem się o wszystkim, co w jego mniemaniu może mnie interesować.

Przed opuszczeniem terenu wspięłam się do szoferki, by sfotografować miejsce znaleziska z góry. Do rowu zaglądał właśnie policjant, mogłam więc wykorzystać jego szerokie plecy, by zachować prawidłową perspektywę. Oglądałam obraz na wyświetlaczu aparatu, a pode mną zespół Sherry'ego rozpoczynał rozkładanie folii dookoła torfowiska, podczas gdy ich szef badał drugiego lokatora łyżki koparki. Sto metrów dalej Boyne płynęła jak czarny olej wzdłuż otulonych śniegiem brzegów, a wieńcząca wierzchołek wzniesienia niska fasada kopuły Newgrange jaśniała w zmierzchu blaskiem odcień ciemniejszym od otaczającego ją śniegu.

* *King of Kings and Lord of Lords* - *Król Królów i Pan Panów*. ** *Angels We Have Heard on High* - *Słyszeliśmy anioły na wysokościach*.

Znowu opuściłam się w dół, a Sherry nadszedł od strony koparki. Nachylił się do mojego ucha i powiedział cicho.

- Myślę, że to stworzenie może być dzieckiem twojej pani z bagien.

Po fragmencie z Haendla, ostatnim utworem wielkanocnym dzisiejszego wieczoru był hymn *In The Bleak Midwinter* *, przepojony tym samym nastrojem, który towarzyszył mi cały wieczór. Moje uczucia nareszcie znalazły ujście w słowach Christiny Rossetti:

*W psepnej zimy srodku
Jęczał mroźny wiatr,
Ziemia twardym żelazem,
Kamiennej wody smak;
Śnieg padał śniegiem na śnieg,
Śniegiem na śnieg,
W psepnej zimy srodku
Dawno temu...*

Z Frances McKeever przyjaźniłyśmy się od przedszkola. Byłyśmy kompletnie różne, choć obie miałyśmy bladą cerę, a Fran dodatkowo piegi. Była wysoka, rudowłosa i zielonooka, czego nie można powiedzieć o mnie.

Pracowała na pełen etat jako pielęgniarka w domu opieki i samotnie wychowywała dwoje nastolatków. Dzwoniła do mnie poprzedniego dnia, żeby umówić się na lunch albo obiad przed świętami, ja zaś obiecałam, że oddzwonię. Ale tyle się ostatnio wydarzyło, że, podobnie jak wiele innych rzeczy, umknęło to mej

- Zawsze w święta jest tak samo - powiedziała. – Widujemy się rzadziej niż w ciągu roku.

Schodziłyśmy po drewnianych schodach z próby chóru. Fran szła przede mną, więc nasze twarze były mniej więcej na tym samym poziomie.

* *In The Bleak Midwinter* - wiersz autorstwa angielskiej poetki Christiny Rossetti.

- Pracujesz w dzień czy w nocy? - Nie było łatwo umawiać się z Fran, gdyż miała nienormowany czas pracy.

- W ten weekend w nocy - od piątku do niedzieli. Potem wolne do końca tygodnia. Wracam do pracy na noc w Boże Narodzenie. Całkiem nieźle, prawda?

- To nie będzie cię w sobotę na próbie?

- No tak. Ale na pewno sobie poradzicie.

- Dobra, daj pomyśleć.

- A co powiesz na małego drinka teraz?

- Przykro mi, ale znaleziono ciało niedaleko Newgrange i...

- Słyszałam o tym w wiadomościach. Pracujesz przy tym?

- Tak. Również dziś wieczorem. Zacznę od wizyty u Finiana.

Skonsultuję się.

Fran prychnęła.

- Fe, Finian Shaw... powinien albo się wysikać, albo złązić z nocnika. - Miała o nim jak najgorsze zdanie. Przyjaźniłam się z Finianem od piętnastu lat, a ostatnio zaczynało chyba do niego docierać, że jesteśmy więcej niż tylko przyjaciółmi. Fran uważała również, że Finian nie tylko bawił się moimi uczuciami, ale też blokował moje szanse na znalezienie innego faceta.

- Czarująco powiedziane, jak zwykle.

- Okej. No to wybierzmy się razem na lunch w poniedziałek. „U Waltera”. Dwunasta trzydzieści. W porządku?

- Jak najbardziej.

Nonszalancja Fran była mile widzianą odmianą od nastroju przygnębienia, który zadomowił się cichaczem w moim sercu. Zupełnie jak śnieg z wiersza.

Rozdział 3

- To pole to jakaś anomalia - powiedział Finian. Nasze odkrycie sprawiło, że jego stalowoszare oczy płonęły entuzjazmem. - Samotny prostokąt bagna otoczony przez żyzne łąki. Z lotu ptaka to musi wyglądać jak plama na szachownicy.

Finian Shaw był moim przyjacielem i mentorem. Nauczycielem historii i zbieraczem folkloru, który porzucił nauczanie, by zająć się swoją największą pasją - ogrodnictwem. Ale nie było to hobby polegające na uprawianiu kilku rabat. Na Brookfield, rodzinnej farmie, gdzie się wychował, stworzył ogród, który przyciągał ludzi z całego świata.

Jego czarne włosy i krótko przyciętą brodę przetykała siwizna, dokładnie tak, jak wtedy gdy uczył mnie w liceum. Dziś miał na sobie czarny golf i szare dreluchy. Nie licząc ubrań roboczych, rzadko nosił coś w innych kolorach - był zupełnym przeciwieństwem zapierających dech w piersiach kompozycji kwiatowych, które rozkwitały na Brookfield. O tej porze roku w ogrodzie nic się nie działo i Finian nie wiedział, co ze sobą zrobić. Zadzwoiłam do niego po drodze do domu, pokrótce opisałam znalezisko i obiecałam zadzwonić na farmę po próbie chóru. Jego wiedza o hrabstwie i historii okolicy mogła się okazać przydatna.

Na niskim stoliku Finian rozłożył mapę wojskową doliny rzeki Boyne, jej końce przycisnął kilkoma książkami. Znajdowaliśmy się w pokoju położonym daleko od holu, służącym częściowo za gabinet, częściowo za salon. Dookoła cienkiego dywanu, na którym klęczał Finian, ustawiony był skórzany komplet - dwa fotele i dwie kanapy, na których leżały porzucane wspaniałe poduszki. Z tyłu, za wewnętrznym kręgiem mebli, przy ścianach, znajdowały się różne przedmioty i elementy wyposażenia - ustawiony na biurku komputer, sąsiadujący z osiemnastowiecznym, oszklonym sekretarzykiem, i marmurowy kominek otoczony umieszczonymi we wnękach półkami na książki. Naprzeciwno

znajdowały się dwa wysokie okna, udrapowane zielonymi adamaszkowymi zasłonami. Pomiędzy nimi stało pianino. Pozostałą przestrzeń zajmowały lampy - stojące na podłodze i na przykrytych obrusami okrągłych stolikach. Na ścianach, oświetlonych kinkietami w kształcie świec, wisiły niezliczone grafiki i oprawione zdjęcia. Finian mówił o tym pokoju, że jest „w stylu wiejskiego fusion”.

W fotelu najbliższej rozpalonego kominka, usadowiony wygodnie, chrapał Arthur, ojciec Finiana. Większość stojącej obok kanapy zajmowała zaś chrapiąca w nieco innej tonacji Bess

- wiekowa suka rasy golden retriever.

- Spójrz tutaj. - Finian palcem wskazującym jednej ręki pokazał na otaczające Newgrange zakole rzeki Boyne, a drugą ręką podniósł jedną z książek i zacytował: „Żyzny obszar zalewowy rzeki Boyne od miejscowości Slane aż po miejscowość Donore przykrywają łupki węglowe oraz żwiry lodowcowe...”

- Uniósł głowę nad książki. - W takim razie skąd tam bagno?

- Zmarszczył brwi i spojrzał na mnie niczym inkwizytor węszący herezję.

Uklękałam obok niego, pod dywanem skrzypnęła jedna z desek. Odłożyłam na stół swój PowerBook i szkicownik. Wskazałam palcem fasolowaty kształt na mapie, położony na południowy wschód od rzeki. Góra „Redmountain” - 120 metrów. Jej grzbiet tworzył miejscowy horyzont, zza którego słońce wschodziło najkrótszego dnia w roku i oświecało znajdujące się naprzeciwko wzgórze. Między górą a rzeką Boyne leży Monashee.

- Nie jest to znowuż tak nietypowe, jakby się mogło wydawać. Mamy tutaj tereny podmokłe... - Wskazałam na moczary Crewbane, znajdujące się na lewo od zakola. Następnie powiodłam palcem do samej góry, prawej strony zakola. - A tutaj mamy bagna Dowth.

- Monashee leżało mniej więcej w połowie drogi między nimi.

- Podejrzewam, że woda spływająca z górskiego grzbietu nie mogła się stąd wydostać i najpierw stworzyła mokradło. Z fotela dobiegło nas wyjątkowo głośne chrapnięcie. Arthur, który dawno już przekroczył osiemdziesiątkę, najpierw rozmawiał z nami o tym, jak w latach młodości łowił łososie w rzece Boyne, a potem przysnął. Niewiele interesowało go odkrycie w Newgrange. Wzmianka o rzece stanowiła jeszcze jeden pretekst do oddania się wspomnieniom.

- Hm... - Finian uderzył palcem o mapę. - Teraz sobie przypomniałem, że na tym samym brzegu rzeki jakiś czas temu odkryto rzadki gatunek sitowia.

Usiadłam w jednym z foteli.

- *Juncus compressus!*

- Trafione. Sit ścięsniony. Gatunek związany z mokradłami, występuje na polach niedaleko Monashee. Już zapominałem, że byłaś dobra z wiadomości o dzikiej florze.

- Nie ja, Finian, tylko mój ojciec. Inne dzieciaki były w niedziele zabierane przez swoich ojców do zoo. P.V. Bowe organizował nam wycieczki po polach w poszukiwaniu kwiatów polnych. Część rzeczy zapadła mi w pamięć. - Tak jak lekcje łaciny i wersy ze sztuk, których uczył się, recytując je nam na głos w samochodzie.

Finian złożył mapę.

- Wydaje mi się, że jeśli w okolicy jest tylko jeden lub dwa nieduże obszary bagienne, to należy przypuszczać, że nasza pani została przemocą złożona w ofierze, prawda?

- Mogła też być ochotniczką. - Ponowna ocena praktyk prehistorycznego ofiarowywania ludzi doprowadziła uczonych do wniosku, że niektóre „ofiary” chętnie uczestniczyły we własnych egzekucjach. Ponadto nie każde znalezione szczątki ludzkie noszą ślady rytualnej śmierci. Finian mimo wszystko miał rację. Ta kobieta raczej nie zabłądziła przypadkowo na bagna. To również przemawiało za jej prehistorycznym pochodzeniem. Gdy w Irlandii zapanowało chrześcijaństwo, zakazano ofiarowywania ludzi i pochówków w

- No cóż, nie wiem, czy są ślady przemocy - powiedziałam. - Na wyniki sekcji zwłok musimy poczekać do jutra rana.

Gdy zmierzałam do Brookfield, zadzwonił do mnie Malcom Sherry, informując, że po wielu trudach udało im się wreszcie wydobyć Monę z bryły torfu i że odkładał dalsze badanie ciała na kolejne dwanaście godzin. Przydzielono mu starą kostnicę, znajdującą się w oddzielnym budynku na szpitalnym terenie. Odpowiadało to nam, gdyż badanie Mony nie mogło się odbywać w obecności innych

Finian zajął drugi fotel i zaczął przeglądać moje szkice, podczas gdy ja szukałam cyfrowych zdjęć, które uprzednio zgrałam na laptop.

- A więc znalazłaś się w Newgrange wcześniej, niż przypuszczałaś. Nie mówiłaś mi przypadkiem, że wybierasz się tam w czasie przesilenia?

- Zgadza się. Na drugą część wywiadu do „Dig”. To takie amerykańskie czasopismo archeologiczne. Robią reportaż o irlandzkich kobietach-archeologach. Zaproszono nas, abyśmy się zebrały wtedy w Newgrange o wschodzie słońca. Głównie po to, aby mogli zrobić zdjęcia.

- Będziesz w komorze?

- Nie. Nie licząc kilku VIP-ów, liczba miejsc jest ograniczona do dwudziestu osób, którym rozdziela się bilety w drodze losowania. O ile mi wiadomo, wszyscy już to widzieliśmy. To nie byłoby uczciwe.

- Założę się, że będzie tam obecny jakiś polityk.

- Chyba minister turystyki zaplanował krótką wizytę.

- A nie mówiłem! A tak przy okazji. Mam zaproszenie dla dwóch osób na przedświąteczny wieczorek w domu Jocelyna Carewa w Dublinie. Chciałbym, żebyś ze mną poszła.

- Kiedy?

- Hm... wkrótce. - Wstał, podszedł do kominka i wziął białą prostą wizytówkę z wydrukowanym tekstem.

- Jocelyn Carew zaprasza do siebie 20 grudnia między 19.00 a 21.00 - wyrecytował monotonna.

- To... w przyszły poniedziałek! - Ten sam, w którym miałam się spotkać z Fran.

- Zgadza się. Miałem cię zaprosić dużo wcześniej, ale obawiam się, że zapomniałem.

Zamknęłam oczy i próbowałam sobie przypomnieć, czy w ogóle mam jakieś umówione spotkania. Tuż przed Bożym Narodzeniem chyba tylko towarzyskie, może próbę chóru. Próbę mogłabym opuścić albo przełożyć, chyba że nie dałoby się. Profesor Carew był niezależnym członkiem Parlamentu Irlandzkiego. Doktorem medycyny, konserwatystą, krytykiem teatralnym. Z radością poznałabym również jego żonę. Tym większą, że towarzyszyłby mi Finian.

- Poszłabym z tobą z przyjemnością - powiedziałam. - Jeśli ci to nie przeszkadza, to ostateczną odpowiedź dam jutro.

- Wszystko jedno. Już potwierdziłem. Tyle że naprawdę nie chcę iść sam.

To było jego typowe zachowanie. Irytujące. Najpierw mnie zaprasza, a potem udaje, że zrobił to po namyśle. Nie chciałam już tego roztrząsać. Ukłęknął przy stole i badawczo przyglądał się zdjęciu, które wyświetliłam na monitorze laptopa. Zmarszczył brew.

- Po co Crean używał koparki do osuszania bagna? Przecież jest za ciężka do prac na miękkiej glebie.

- Pewnie chciał dotrzeć do skalnego podłoża lub żwiru. W ten sposób miałby solidną podstawę, z której mógłby usuwać resztę górnej warstwy materiału.

- Hm... Powiedziałaś, że ciało pierwotnie znajdowało się jakieś półtora metra pod powierzchnią. To niewiele, jak na prehistoryczne znalezisko. - Finian myślał o tempie narastania bagna. - Żeby twoja teoria mogła być prawdziwa, Monashee powinno tworzyć się przez ponad pięć tysięcy lat. Nie ulega wątpliwości, że musiałyby być teraz o wiele głębsze.

- Może kiedyś było. Ale prawdopodobnie wydobywano z niego torf na opał, kto to może wiedzieć. Drenowanie mogło również obniżyć jego poziom. Jest też jeszcze coś, co napawa mnie optymizmem. Każdy archeolog powie ci, że w Europie to Irlandia odnotowuje najwięcej ciał znalezionych w bagnach. A właściwie szkieletów. Szczątki mężczyzny, znalezionego w bagnie Stoneyisland w Galway, które przeleżały tam około sześciu tysięcy lat, pochodzą z wczesnego

- Słusznie. Ale Illaun, jakie są szanse, że tak było też w tym wypadku? Spróbujmy oszacować. - Usiadł wygodnie w fotelu i umieścił mały palec jednej ręki między kciukiem a palcem wskazującym drugiej. Zawsze w ten sposób układał palce, gdy podsumowywał informacje. - Ile ciał znaleziono ogółem w irlandzkich bagnach?

- Około osiemdziesięciu.

- Jaki jest ich średni wiek?

- Większość prawdopodobnie pochodzi ze... średniowiecza.

- Powiedzmy zatem, że pięćset do tysiąca lat. A jeśli chodzi o resztę Europy?

- W większości pochodzą z epoki żelaza.

Przez chwilę liczył.

- A więc przeciętnie mają dwa i pół tysiąca lat?

- Przeciętnie - skinęłam głową.

- Zatem najprawdopodobniej ta kobieta nie pochodzi z epoki kamienia, Illaun. - Uśmiechnął się niczym mały chłopiec, dumny ze swego małego kalamburu. - W najlepszym wypadku jest Celtyjką.

- Mój mądry przyjacielu. Ta kobieta spoczęła w okolicach Newgrange w okolicznościach, które, z czym oboje się zgadzamy, raczej nie były przypadkowe. Mam na myśli miejsce. Tymczasem znaczenie Brú na Bóinne* zostało zapomniane na długo przed przybyciem Celtów. Zatem, jeśli jej pochówek był znaczący, miał też miejsce w epoce neolitu. Nie mam nic więcej do dodania.

W holu zadzwonił telefon. Finian przeprosił i wyszedł. To zakłóciło drzemkę starszego pana, który zbudził się w środku chrapnięcia.

- Plan drenowania rzeki Boyne... głupie skurczybyki... zniszczyć taką rzekę... łososie... - Usiadł i na nowo podjął swój temat w punkcie, w którym skończył opowieść. Od czasu łagodnego udaru mówił trochę niewyraźnie, ale łatwo było zrozumieć sedno jego słów, gdyż rzeka i łososie były jego ulubionym tematem.

- Spójrz... na ścianie... - Arthur wskazywał kciukiem za siebie. Spojrzałam we wskazanym kierunku i zobaczyłam oprawioną w ramki fotografię, przedstawiającą kobietę obok przewieszzonej za ogon ryby. Pod względem wielkości ryba dorównywała wędkarce i miała szerokość ramion kobiety. - Zobacz! Takie łososie łowiono w Newgrange... wędkarki... nawet wtedy.

Podeszłam bliżej i przeczytałam inskrypcję:

Pani Myrtle Hastings z łososiem ważącym 60 funtów, złowionym poniżej Newgrange w roku 1926.

Długość 137 cm 16 mm x Obwód 83 cm 82 mm.

- Tyle łososi... pstrągów... przejść przez rzekę, stąpając po ich grzbietach... - zarechotał. - I to nie tylko łososiowate... szczupaki, węgorze, okonie...

- Mmm... - Nie chciałam go obrazić, ale moje zainteresowanie tematem topniało. Musiał to wyczuć, gdyż przestał wyliczać i rzekł: - Kiedyś ojciec mi opowiadał, że czarne ciało... pływało

* Brú na Bóinne - szeroki meander rzeki Boyne, gdzie znajdują się imponujące grobowce korytarzowe, pionowe kolumny skalne oraz inne zabytki prehistoryczne. Dolina Brú została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

w Boyne... Newgrange... sto lat temu lub nawet więcej... mężczyzna... mówiono, że Nubijczyk... budowali peram... param...

- Piramidy - powiedziałam, szybko przytomniejąc. James, podrzemując, musiał słyszeć strzępy naszej rozmowy. Słuchałam go teraz bardzo uważnie, z czego zdawał sobie sprawę. Oczy błyszczały mu szelmowsko.

- Uważano więc, że istnieje jakiś związek między ciałem a powstaniem Newgrange?

Starszy pan kiwnął głową. Wiedziałałam, że miał opinię gawędziarza, ale tym razem wyglądało, że mówi prawdę. Do pokoju wszedł Finian.

- Czas do łóżka. Dobranoc. - Arthur się pożegnał.

Finian podał mi laskę i pomógł wstać. Bess zeszła z sofy i poszła za nim.

- Twój ojciec właśnie opowiedział coś, co może mieć związek z naszym znaleziskiem - powiedziałam.

Finian spojrzał na mnie sceptycznie.

- Co takiego wymyślił?

- Być może znaleziono tu kiedyś jeszcze jedno ciało. - Potwórzyłam mu historię opowiedzianą przez Jamesa. - Jeśli w bagnie było inne ciało, to tylko przemawia za potrzebą zabezpieczenia całego pola i przeprowadzeniem prac wykopaliskowych. Moglibyśmy się natknąć na miejsce ofiarnych pochówków. Bóg jeden wie, ile ciał się tam zachowało.

- Potrzebujesz czegoś więcej niż barwnych opowieści mego ojca.

- *Kroniki hrabstwa Meath?*

- Nie znamy daty. To będzie jak szukanie igły w stogu siana... -

Finian zauważył, że przyglądałam mu się intensywnie. - Oczekujesz, że się tym zajmę?

Obdarzyłam go promiennym uśmiechem.

- W porządku - powiedział, pochylając się nad monitorem mojego laptopa, aby obejrzeć zdjęcie płodu czy tego czegoś, co znajdowało się w koparce obok Mony.

- Sherry uważa, że mogła to urodzić?

- Albo znajdowało się wciąż w jej łonie. - Nie poprosiłam patologa, by sprecyzował, co miał na myśli, mówiąc „potomstwo”, rozcięcie z boku zaś mogło wskazywać, że koparka wyrwała je z ciała Mony.

Finian wyglądał na przerażonego.

- To z pewnością nie jest ludzki płód.
- Obawiam się, że jest. Widziałam takie całkiem niedawno.

Finian spojrział na mnie znad okularów.

- Nie w rzeczywistości. Może w kościele, albo na płycie grobowej.

- Na obrazie? Jakiś koszmar w stylu Hieronima Boscha?
- Nie. Raczej na pewno była to rzeźba.
- Czy ten Traynor wiedział, co znaleziono razem z kobietą?
- Chyba nie. Dlaczego pytasz?
- Staram się ustalić, dlaczego nie chciał, byś się tam kręciła.
- Rzeczywiście. Ciekawe, dlaczego stara się przekopać to miejsce,

lecz nie pozwala nam na zrobienie prawie tego samego.

- Jak ci się wydaje, kto powiadomił go o wszystkim?
- Sierżant O'Hagan. Chyba dobrze się znają.
- No właśnie. - Finian poklepał ręką miejsce obok siebie. - Wracaj

tutaj.

Usiadłam przy nim na sofie.

- O wiele lepiej - powiedział, zamykając laptop i obejmując mnie ramieniem. Położyłam głowę na jego ramieniu.

- Naprawdę chcesz, żebym poszła z tobą na przyjęcie do Jocelyna Carewa?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział, przytulając mnie mocniej. - Przepraszam, że zabrzmiało to tak obcesowo. Po prostu było mi głupio, że zapomniałem zaprosić cię wcześniej.

- Nic nie szkodzi- Przynęłam się bliżej. - Wybaczam ci.

Do domu dotarłam dopiero przed północą. Włączając światło kuchenne, zauważyłam żółtą karteczkę przytrzymywaną przez lodówkowy magnes w kształcie papugi. Moja matka nieumyślnie przejęła ojcowski zwyczaj pozostawiania wszędzie notatek tego typu, co za każdym razem boleśnie przypominało mi o jego braku. Wyciągnęłam notatkę spod papugi. „OBAJ NAKARMIENI. BOO U MNIE”.

Mieszkałyśmy z matką osobno w budynku - który kiedyś był domem rodzinnym - pochodzącym z lat trzydziestych, parterowym z oknami na zatokę, znajdującym się na obrzeżach Castleboyne. Był on równocześnie siedzibą firmy Illaun Bowe,

konsultanta archeologicznego. Taki układ oznaczał, że mogłam mieć na oku moją matkę, ciężko znoszącą stan gorszy od wdowieństwa. Ponadto zapewniał mi bazę w terenie, na którym miałam najwięcej

Fakt, że Meath jest pochłaniane przez Dublin, oznacza zagrożenie dla wielu stanowisk archeologicznych, co z kolei korzystne jest dla mojej działalności. Niemniej jednak personel składający się z czterech osób, ze mną włącznie, stanowi raczej skromne przedsięwzięcie. Gdy potrzebne są ekspertyzy z zewnątrz, zlecam je grupie specjalistów. W wypadku konieczności stworzenia zespołu archeologów, często zatrudniam studentów i absolwentów, których mogę zebrać nawet w ostatniej chwili.

Miałam zamiar zgasić światło kuchenne, gdy mój żołądek gwałtownie przypomniał mi, że nic nie jadłam od śniadania. Było już za późno na przygotowywanie czegokolwiek, więc poszperałam w lodówce i znalazłam zwiotczały kawałek pizzy. Odgryzłam kawałek i zaczęłam łączyć żuć, lecz nawet zaostrzony apetyt nie stępił wyraźnie wyczuwalnego posmaku, więc włożyłam resztę pizzy do

Z części domu zamieszkanego przez moją matkę dobiegło pojedyncze, głębokie szczeknięcie. W ten sposób Horacy dawał o sobie znać, prosząc przy okazji o usunięcie Boo, niewątpliwie wylegującego się na jego psiej poduszce. Jeśli nie poszłabym do niego natychmiast, poczekałby uprzejmie, aż nie położyłabym się do łóżka, a potem zaczął szczekać ponownie. Otworzyłam więc drzwi prowadzące do wspólnego składziku, spełniającego również rolę swoistego bufora pomiędzy dwoma mieszkaniami. Znajdowała się w nim pralka, suszarka, mój rower, parasole, narzędzia ogrodnicze, oblepione błotem gumowce i miski domowych zwierzątek. Horacy drapał do drzwi, a wtórował mu głuchy łomot wskazujący na to, że Boo skakał na kławkę. Z niejasnych kocich powodów wołał to od tradycyjnego miauczenia. Gdy otworzyłam drzwi, pod nogami przemknął mi szary kształt, a wielkie łapy wylądowały na mych ramionach. Uniosłam brodę, by uniknąć pełnego kontaktu z wilgotnym pyskiem Horacego i w zamian zostałam polizana w szyję.

- Tak, dobry pies, dobry. Siad! - Płowy dog, należący właściwie do mojego ojca, dotrzymywał obecnie towarzystwa

matce, pełniąc równocześnie rolę obrońcy, choć prawdę powiedziawszy, każdy intruz zostałby najprawdopodobniej wylewnie powitany obślinionymi liźnięciami.

- Dobranoc, Horacy - wyszeptałam i zamknęłam drzwi.

Mikrofalówka brzęknęła, gdy weszłam do kuchni, więc wyjęłam pizzę i wyrzuciłam na talerz. Nalałam trochę mleka do szklanki i poszłam do salonu, gdzie Boo, mój kot rasy Maine Coon, właśnie rozciągał się na sofie, na której zamierzałam usiąść, by obejrzeć wiadomości w telewizji. Zdecydowałam, że lepiej będzie pójść spać, niż próbować oderwać go od licznych poduszek, na których się ułożył. Poza tym byłam zmęczona, a piątek zapowiadał się na bardzo długi

Przeżułam pizzę, dokończyłam mleko, wyłączyłam światło i położyłam się, starając przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałam o ciałach z bagien. I to był mój błąd, ponieważ ciągle powracał do mnie obraz trzymanego przeze mnie w rowie w Monashee stworzenia. Gdy zdałam sobie sprawę, że sen nie nadejdzie, wstałam, włożyłam szlafrok, kaptcie i powlokłam się do biura.

Na półkach nie znalazłam niczego na temat, więc weszłam do Internetu. Było tam mnóstwo stron poświęconych mumiom, najwięcej z nich dotyczyło oczywiście tych z Egiptu. W kategorii ciał z bagien statystyki pokazywały 2000 wyszukiwań z północnej Europy, około setka z nich datowana była radiowęglowo itp. Można było nawet obejrzeć rankingi popularności, swoiste spisy największych atrakcji - coś w rodzaju Europejskiego Konkursu Ciał z Bagien.

„Panie i panowie, dowiedzmy się czegoś więcej o naszych uczestnikach. Pierwszy na scenie to przystojny, rudowłosy Duńczyk - tak, to Człowiek z Tollund. Reprezentująca Niemcy Dziewczyna z Windeby jest naprawdę trendy nastolatką - połowa jej głowy jest ogolona. Holandię reprezentuje bezgłowa para męską - oto Duet z Weerdinge. Na koniec mamy przedstawiciela Wielkiej Brytanii: może i posiada podwójną osobowość, ale na pewno tylko jedną sztukę odzieży - tak, to Człowiek z Lindów, znany także jako Pete Marsh - spójrzcie na jego ramię i seksowną opaskę z lisiego futra”.

Zastanawiałam się, czy Mona także dołączy do tej parady dziwactw na rozmaitych stronach internetowych.

Uważa się, że większość ludzi z bagien to ofiary składane w środku zimy - rytualnie zamordowane w tej samej porze roku. w której odkryliśmy ciało z Monashee. W żołądku Człowieka z Lindów był nawet z pyłek jemioty, obecnie kojarzącej się nam z bożonarodzeniowymi całusami, a przez Celtów traktowanej jako roślina święta, nie należąca ani do ziemi, nieba czy wody. Co pomyślano by o zawartości mojego żołądka, jeśli zostałabym znaleziona za dwa tysiące lat od dzisiaj? Mąka, ser, oliwki, pomidor, karczochy i anchovies - musieliby trochę pogłówkować.

Mój nonszalancki nastrój zniknął, gdy dotarł do mnie ponury fakt, że każdy z ludzi, o których czytałam, cierpiał z rąk innych przed znalezieniem się w ciemnym bagnistym grobie. Niektórzy z nich zostali uduszeni lub pobici na śmierć, inni zamordowani, a często wszystkiego tego doświadczyli jednocześnie. I chociaż paru zostało uznanych raczej za ofiary kary śmierci niż mordu rytualnego, to mimo wszystko stanowią nieme świadectwo surowego życia na obrzeżach grzędzawisk Europy Północnej, które musiało wydawać się jeszcze posepniejsze podczas długich zim.

Lecz czego dokładnie szukałam w sieci? Ziewnęłam, przeciągnęłam się i pomyślałam chwilę. Pobieżne poszukiwania prowadziłam w działach nauki popularnej, a powinnam zajrzeć na kilka stron akademickich, które subskrybowałam. Zaczęłam więc jeszcze raz.

W drugiej części domu rozniosło się szczekanie Horacego. Przez kilka sekund wsluchiwałam się w jego warczenie, które potem zamilkło. Najprawdopodobniej odpowiadał na odległość jakimś psu, niesłyszalnemu dla mnie. Zupełnie tak, jak Horacy był niesłyszalny dla mojej matki, śpiącej w zatyczkach do uszu.

Bez problemów dotarłam do interesujących mnie wiadomości - listy przedmiotów grobowych oraz ludzkich i zwierzęcych szczątków pochowanych wraz z ciałami z epoki neolitu i żelaza w północnej Europie. Przed oczami miałam różnorodne znaleziska: naczynia, siekiery, skórzane czapki, bursztynowe korale, rogi i kości bydłce oraz przejmujące świadectwa typowo ludzkiej troski o wygląd zewnętrzny: wełniana opaska na włosy, siatkowy czepek, grzebień. A potem natknęłam się na obiekt dziwaczny na tle innych. Młoda kobieta w Ostrup w Danii została pochowana ze szkieletem łabędzia - stworzenia, które według Celtów mogło

przemieszczać się pomiędzy światem żywych i umarłych, być może dlatego, że zamieszkiwało strefę graniczącą pomiędzy wodą i ziemią, podobnie jak samo bagno.

Horacy zaszczekał ponownie. Z jakiegoś powodu był niespokojny, co działało również na mnie. Szczekanie psa w środku nocy jest przez ludzi odbierane inaczej niż za dnia. Być może to pozostałość po czasach, gdy psy strzegły naszych jaskiń.

Potarłam oczy i znów ziewnęłam. Potrzebowałam snu. Jak przez mgłę zmieniłam zakres poszukiwań na szczątki dziecięce. Trafiłam na kobietę z bagna Borremose w Jutlandii, znaną z noworodkiem - szczątki datowane na wczesne stulecie naszej ery. Następne informacje związane z tematem - to pochodzący z wczesnej epoki żelaza szkielet kobiety z Derrymaauirk w hrabstwie Roscommon, pochowany z dziecięcą czaszką, oraz sprawozdanie z makabrycznego znaleziska z epoki żelaza w Yorkshire - mężczyzna i ciężarna kobieta znalezieni razem, pogrzebani żywcem i razem przebici drewnianym pałem; szczątki płodu odnalezione pomiędzy nogami kobiety świadczą o tym, że poroniła w chwili śmierci.

Lecz nie było żadnych podobnych znalezisk z epoki neolitu. Dzieci i dorośli znalezieni razem tu i tam, lecz żadnych noworodków z matkami. Po raz pierwszy pojawiły się u mnie wątpliwości co do prehistorycznego pochodzenia Mony.

Coś zawibrowało tak gwałtownie pod moją lewą ręką, że aż podskoczyłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że cały czas nieświadomie trzymałam wyciszoną komórkę, która teraz brzęczała wściekle jak nieumyślnie uwięziony wielki żuk. Zastanawiając się, któż mógł dzwonić o tak późnej porze, podniosłam srebrny pancerzyk i

- Powiem to tylko raz. Monashee to nie twój pieprzony interes. Moje serce zatrzymało się na moment. - Słucham?

- Ciałem już się ktoś zajął... Tak więc odwal się.

Nagle zdałam sobie sprawę, że głos był znajomy, lecz zmieniony przez alkohol.

- Czy w taki sposób załatwia pan swoje sprawy, panie Traynor? Zastraszając ludzi w środku nocy? Nie jestem pod wrażeniem.

- Nie pieprz. Monashee jest moje. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, z czym masz do czynienia.

Prawie mogłam wyczuć alkohol w jego oddechu.

- Z pijanym tyranem.

- To nie twój interes. Ostrzegam - zamamrotał niezrozumiale, starając się nacisnąć przycisk kończący rozmowę. - Ostrzegam cię - powtórzył i rozłączył się.

17 grudnia

Rozdział 4

- Są dwie, proszpani. Jedna jest na gąsienicach i pracuje wzdłuż wykopu, który zrobiła koparka, i przeżuwa całą resztę, jak leci. Jeśli będzie dalej pracować w tym tempie, do wieczora wiele nie zostanie z tego bagna.

Wciągałam dzinsy, komórka kołysała się na moim ramieniu, a ja słuchałam Seamusa Creana. Dzwonił ze swojego domu we wsi Donore, odległej od Monashee o jakieś dwa kilometry. Ze złości i zdumienia nie do końca panowałam nad ruchami, dlatego rzucony po przekątnej telefon upadł, odbijając się od drewnianej, wypolerowanej podłogi mojej sypialni. Gdy schylałam się, by go podnieść, jeszcze raz zerknęłam na radio z budzikiem. Była szósta trzydzieści rano. Na zewnątrz wciąż ciemno, choć oko wykol.

Pół godziny wcześniej zadzwonił telefon i przez chwilę wydawało mi się, że to poranne ptasie trele, a nie czyjaś chęć wyciągnięcia mnie z łóżka w kolejny ponury, grudniowy poranek. To niewielka cena za to, że ustawiłam dzwonek w telefonie na śpiew ptaków. Po omacku szukałam przycisków, aż trafiłam na właściwy. Po drugiej stronie usłyszałam głos Creana i usiadłam wyprostowana na łóżku.

- Przepraszam, że panią zbudziłem... - Przerwał, ciężko dysząc.

- Czy to ty, Seamusie? Coś się stało? - Dałam mu swoją wizytówkę, aby mógł powiadomić mnie, ile mu się należy za poprzedni dzień pracy.

- Myślę, że Traynor coś kombinuje...

Przypomniałam sobie groźby sprzed zaledwie kilku godzin. To było przerażające.

- Mów dalej...

- Jakiś gość właśnie się do mnie dobijał, szukając kluczy do koparki, którą zeszłego wieczoru zaparkowałem z tyłu pola. Może mi pani wierzyć, że nie byłem mu specjalnie wdzięczny, że o takiej porze postawił cały dom na nogi.

- Znasz go?
- Nie. Nigdy go na oczy nie widziałem. Chyba obcokrajowiec. Podrzucił go kierowca dużej platformy do przewożenia samochodów, jadący w kierunku Monashee.

- Seamus, masz samochód?

- Mam rower.

- Dobra, słuchaj uważnie. Jedź na Monashee i rozejrzyj się. Jeśli coś się rzeczywiście dzieje, nie mieszaj się i nie kręć się tam. Po prostu wracaj do domu i powiadom mnie o wszystkim.

- Dobra, zrobi się.

Poszłam do łazienki, odkręciłam prysznic, poczekałam, aż pojawiła się para, zrzuciłam piżamę i weszłam pod gorący, niczym gejzer, strumień wody.

Nie ulega wątpliwości, że Traynor coś kombinuje. „Tym już się ktoś zajął”, powiedział, w oczywisty sposób nawiązując do Mony. Co mógł mieć na myśli?

Umyłam włosy i spłukując szampon, obmyłam wodą twarz. Czy Traynor został poinformowany o zakazie sądowym? I kiedy zakaz wchodził w życie? Wysunęłam się spod prysznic, wzięłam z drążka ogrzany ręcznik i wytarłam się. Sędzia na pewno zrozumiał powagę sytuacji i wydał natychmiastowy zakaz.

Wciąż przechodziły mnie dreszcze, więc na głowie zawiązałam turban z niewielkiego ręcznika i otuliłam się w gruby płaszcz kąpielowy. Poszłam do kuchni, do połowy napełniłam miskę truskawkowymi płatkami i dolałam mleka. Sięgnęłam po czajnik i poczułam koci ogon ocierający się o moją łydkę. Boo chciał wyjść.

Przeszłam przez hol i otworzyłam mu drzwi do wyziębionego składziku, ale ociągał się, więc musiałam wejść do chłodnego pomieszczenia. Potem, zamiast skorzystać z otworu w drzwiach, znowu miauknął, abym mu otworzyła drzwi prowadzące na patio. Gdy obok byli ludzie, lubił korzystać z ich usług.

- No dobra, Boo, sprawdźmy, jaki dziś mamy poranek.

Otworzyłam drzwi. Powitał nas lodowaty powiew wiatru.

Jasny księżyc otulał ośnieżoną ziemię niebieską poświatą i rzucał głębokie cienie drzew i krzewów, rosnących w znajdującym się za patio ogrodzie. Boo wysunął się przez drzwi, chłodny powiew zjeżył mu sierść na karku. Potem coś usłyszał, przyczaił się

i wyruszając na polowanie, wtopił w cienie. Mimo zniewieściałych manier, Boo nie bał się zimna. Z reguły.

Dreszcz zimna kazał mi szybko zamknąć drzwi. Nagle przypomniało mi się, że nigdy nie przedstawiałam się Traynorowi. Dałam swoją wizytówkę O'Haganowi, który musiał mu ją przekazać. Ta dwójka była ze sobą związana bardziej, niż myślałam.

Gdy ponownie zadzwonił Crean, byłam już w sypialni. Ubierałam się. Opierałam się na rękach i kolanach, szukając pod łóżkiem telefonu. Wyciągając komórkę wciąż słyszałam, jak mówił. Przy okazji znalazłam żółtą karteczkę, którą zmiełam i położyłam na szafce.

- Możesz powtórzyć, Seamusie? - Trzymałam telefon tuż przy uchu.

- Krążą wokół wydzielonego terenu. Namiot zniknął, ale barierki wciąż są na miejscu.

To niewielkie pocieszenie. Ale zaczynałam rozumieć, o co chodziło Traynorowi. Wygląda na to, że słyszał o zakazie sądowym. Byłam też pewna, że Terence Ivers nie omieszkał poinformować policji, że zakaz będzie musiał być wyegzekwowany.

- Skąd są ci umundurowani policjanci, którzy byli tam wczoraj?

- Z Donore.

- Hm... Mam pomysł. Ale muszę cię prosić o przysługę.

- Żaden problem. Proszę uważać na drodze, jeśli będzie pani jechać samochodem.

Podziękowałam mu, wyjaśniłam, co chciałam zrobić, i umówiliśmy się na późniejsze spotkanie w Droghedzie.

Włożyłam dżinsy i sweter na okazje, w których musiałam odwiedzić stanowisko archeologiczne, spędzić trochę czasu w opuszczonym, chłodnym budynku i zjeść jakiś lunch. Nie musiałam robić pełnego makijażu. Wzięłam tylko tusz do rzęs i szminkę, żeby umalować się w samochodzie. Następnie wróciłam do kuchni, zrobiłam sobie herbatę do termosu, z którego mogłabym pić w samochodzie. W składziku zasznurowałam wodoodporne buty, które, jak oceniałam, były odpowiednie na dzisiejszy dzień. Do samochodu zapakowałam też zapasowe

gumowce. Chwyciłam wreszcie parkę, sprawdziłam, czy w kieszeniach mam czapkę i rękawiczki i przewiesiłam ją przez ramię.

Gdy otwierałam drzwi wejściowe, Boo śmignął mi pod nogami z zadartym do góry ogonem i zniknął w ciepłych zakamarkach domu. Przez chwilę lub dwie rozważałam, czy nie postąpić tak samo.

Mimo że na drodze prawie nie było śniegu, nocny mróz sprawił, że była zdradliwa. Trasa, która zwykle zajmowała mi trzydzieści minut, prowadziła krętymi, wiejskimi drogami, dlatego pokonanie jej tym razem zajęło mi dwukrotnie więcej czasu. Przynajmniej Mona nie była wystawiona na działanie pogody. Miałam nadzieję, że Sherry wcześniej rozpocznie, abym mogła obejrzeć ją najpóźniej koło południa.

Włączyłam radio, aby złapać wiadomości o siódmej i prognozę pogody. Nic w zasłyszonym skrócie nie przykuło mojej uwagi, więc ściszyłam i czekałam na wieści o pogodzie. Najwyraźniej nadciągała odwilż. Nic nie zapowiadało opadów śniegu, może tylko na wyżynach. Prowadząca robiła przegląd porannej prasy: nagłówków i nietypowych historii. Już miałam zmienić stację, żeby posłuchać muzyki, kiedy usłyszałam, jak mówi: „I wreszcie - znalezione w rzece Boyne zмумifikowane ciało może powstrzymać plany budowy nowego hotelu. Czyżby to był kolejny przypadek złośliwości rzeczy martwych?

Wyglądało na to, że temat Mony zaczynał być traktowany przez media jako przykład jednej z dziwacznych historii. Jednakże, ku mojemu zdziwieniu, prezenterka zapowiedziała, że w następnej godzinie usłyszymy więcej o znalezisku w Newgrange.

Szybko przełączyłam na lokalną stację i trafiłam na fragment wiadomości dotyczący wydarzeń z regionu. Właśnie skończyła się relacja z Newgrange, najwyraźniej nagrana poprzedniego dnia. W studio miał się właśnie odbyć wywiad telefoniczny na żywo. „Rozmawiamy z miejscowym biznesmenem, panem Frankiem Traynorem, który jest właścicielem terenu, na którym znaleziono ciało. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- Co?! - krzyknęłam w kierunku radia, potem nastawiłam je głośniejszemu z obawy, że umkną mi jakieś słowa Traynora.

Jego głos brzmiał miękko, jakby wczorajsze pijaństwo w ogóle się na nim nie odbiło. Tak, to naprawdę pasjonujące znalezisko.

Co za ulga, że to nie morderstwo. Ciało zostało już zabrane z bagna. Być może zostanie umieszczone jako ekspozycja w Centrum Informacji Turystycznej.

- Albo nawet w twoim nowym hotelu, Frank – dołączył dziennikarz.

Traynor zachichotał.

- A wiesz, to nie jest zły pomysł.

- No cóż. Życzę powodzenia. Jak sądzę, hotel będzie otwarty przed końcem przyszłego roku?

- Pod warunkiem, że nie będziemy musieli teraz przerwać prac. Jak wiesz, taka inwestycja bardzo by się przydała w tej okolicy.

- No pewnie. Ale zawsze znajdą się tacy, którym będzie przeszkadzało, że budowa znajduje się niedaleko obiektu światowego dziedzictwa i tak dalej.

- No tak, tak zwani obrońcy zabytków, którzy rzucają kłody pod nogi ludziom postępowym. Ze swojej strony mogę zapewnić, że hotel w żaden sposób nie naruszy krajobrazu. Nie bardziej, niż robi to centrum turystyczne.

- Pokrzepiłeś nas na duchu. Rozmawiałem z Frankiem Traynore, dziękuję bardzo.

Budzący obrzydzenie wywiad się skończył. Zauważyłam, że moje kłykcie na kierownicy były białe, a przecież było mi bardzo ciepło.

Mając nadzieję, że ogólnokrajowy serwis informacyjny poda bardziej obiektywne informacje, zmieniłam stację. Jednakże nawet w swojej osławionej wyobraźni nie mogłam przewidzieć, co usłyszę.

„...w studio jest z nami Muriel Blunden z Muzeum Narodowego, która będzie mówić na temat najnowszego odkrycia...”

Przegapiłam wstęp do wywiadu, więc nazwisko Muriel spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Poczułam, że się czerwienię. Dlaczego zgodziła się na wywiad? Zazwyczaj trzyma się z boku, gdy pojawiają się jakiegokolwiek kontrowersje. Unika takich sytuacji, żeby nie wchodzić w konflikt z ludźmi ze środowiska. Czyżby chciała odkupić swe winy?

- Zanim zapytam, jak ono jest ważne - spiker cyzelował każde słowo przenikliwym głosem - może mogłaby Pani nam

opowiedzieć trochę o tych tak zwanych „ciałach z bagien”? Jak często są znajdowane i skąd się biorą?

Blunden pokrótce przedstawiła pobieżne informacje, wspominając o eksponatach wystawianych w muzeum - od Człowieka z Gallagher, znalezionego w 1821 roku, do bezgłowego korpusu wykopanego z bagna Croghan Hill w 2003.

- Czy zachowacie to ostatnie?

- Na dzień dzisiejszy trudno powiedzieć. Zależy od stanu samego ciała i jego znaczenia archeologicznego, które z kolei wyznacza jego wiek.

- A jak się Pani wydaje, z jakich czasów pochodzi?

- Jest zbyt wcześnie, by to stwierdzić. Ale raczej mało prawdopodobne, by pochodziło z prehistorii ze względu na zbyt małą odległość pochówku od powierzchni ziemi.

Dlaczego tak bardzo umniejszała znaczenie znaleziska? O co w tym wszystkim chodzi?

- Czy będziecie ochraniać również samo stanowisko, na wypadek odnalezienia w nim większej liczby ciał?

- Nie. Ten pochówek wygląda na przypadkowy. Poza tym, stanowisko i tak znajduje się w miejscu prowadzenia intensywnych prac budowlanych, więc będziemy się starali zakończyć badania w ciągu kilku dni, a badanie ciała w terminie późniejszym.

I to wszystko. Dyrektor do spraw wykopalisk Muzeum Narodowego wypowiedziała się. To niewiarygodne. Kilka dni? W tak ograniczonym czasie trudno byłoby sporządzić dokładny rysunek stanowiska, nie mówiąc o rozpoczęciu prac. Przed oczami stanęli mi wszyscy archeolodzy w kraju, którzy w tej chwili krztusili się przy śniadaniu. Stanowczo Muriel była po stronie dewelopera.

Nieznacznie oszołomiona, skręciłam na pobocze drogi, wyłączyłam radio i spróbowałam się skupić. O co w tym wszystkim chodziło? Czułam się tak, jakby w kraju przeprowadzono nocny zamach stanu i nowa ekipa zajęła miejsce prawowitych władz.

Silnik był ciągle włączony i w samochodzie zrobiło się gorąco, więc opuściłam szybę. Gdy zimne powietrze wypełniło wnętrze, mój oddech się wyrównał, ulatując w otaczające ciemności. Jeżeli byłam zdezorientowana, słuchając wcześniej Traynora, to obecnie miałam wrażenie całkowitej paranoi. Zamiast sankcjo-

nować wykopaliska, Muriel Blunden je zlikwidowała. Ale dlaczego?

Ivers. Na pewno wiedział o decyzji muzeum. A może właśnie się o niej dowiedział, jak ja? Usłyszał starą rywalkę, dającą mu mata na falach eteru, zanim zdążył się z nią skonfrontować. To było możliwe.

Przez barierki pobocza mogłam zobaczyć wschodnią część nieba w kolorze indygo, na krawędzi horyzontu przechodzącym w zielonkawę. Wcisnęłam przycisk szyby, spojrzałam w lusterko boczne i włączyłam kierunkowskaz, sygnalizując wyjazd na drogę. Mój umysł był na tyle pochłonięty kilkoma działaniami naraz, że z opóźnieniem zareagowałam na nieoczekiwany dzwonek telefonu, leżącego na siedzeniu obok. Jedną nogą nacisnęłam sprzęgło, drugą hamulec i zdążyłam pochwyć telefon przed włączeniem się poczty głosowej.

- Illaun, to ja, Terence. Czy słuchałaś...?

- Muriel Blunden w radio? Tak, słyszałam. Ciekawy sposób powiadomienia mnie, Terence.

- Przepraszam, Illaun. Dowiedziałem się wczoraj wieczorem i nie chciałem ci przeszkadzać. Zostawiłem wiadomość w poczcie głosowej dzisiaj rano, około wpół do siódmej. Nie odebrałaś?

To musiało być wtedy, gdy rozmawiałam z Creanem. Pamiętam, jak telefon wpadł mi pod łóżko. Od tamtego czasu nie patrzyłam na wyświetlacz.

- Nie odsłuchiwałam wiadomości, Terence, ale dzięki. - Najwyraźniej nie starał się wysłać wiadomości. - Ale dlaczego Muriel nadużyła wobec ciebie stanowiska?

- Polityka.

- Przez małe czy przez duże „p”?

- Co masz na myśli?

- Konflikt wewnętrzny czy ingerencja rządu?

- Po trosze jedno i drugie.

- Kto za tym stoi?

- Ostatecznie - ten Traynor.

- Ten od budowania hotelu? Wątpię, czy ma choćby pozwolenie na budowę. Szczególnie w miejscu naprzeciwko Newgrange. Nigdy nie wydano by mu zezwolenia.

Ivers zaśmiał się cynicznie.

- Tak myślisz? Z obecnym rządem, wszystko jest możliwe.
- Ale skąd ten pośpiech? I to ciśnienie? Wczoraj wieczorem Traynor zadzwonił do mnie i kazał się odwalić.
- Nie mam pojęcia, dlaczego tak się spieszy. Wiem tylko, że facet ma kontakty i robi z nich dobry użytek.
- O jakiego polityka chodzi?
- Słuchaj. Oboje rozmawiamy przez komórki. Nie mam zamiaru ryzykować i rozgadywać się w tej chwili.
- Nawet jak na Iversa, było to zbyt paranoiczne.
- Daj spokój, Terence.
- Mogę powiedzieć tylko tyle, że sprawa jest na poziomie ministerialnym.
- Wiesz to od Muriel?
- Ależ skąd! Po prostu... wiem.
- Który minister?
- Nic więcej nie powiem.
- Wiedziałałam, że mówił poważnie. Na pewno z wrażenia pocił się w tej chwili obficie.
- A co w tej sytuacji ze mną? Nie mogę tego tak zostawić. Szczególnie, gdy ktoś próbuje mnie zastraszyć.
- Powiedziałam Muriel, że tam byłaś, ale tego nie skomentowała. Moim zdaniem powinnaś działać, jakby nic się nie stało, ja też tego tak nie zostawię.
- Blunden optuje za wąską interpretacją zakazu sądowego, czyli badaniem jedynie bezpośredniego otoczenia znaleziska. Czy dokument nie wyjaśnia, że słowo „stanowisko” dotyczy całego pola?
- Nie. Pozostawia to interpretacji czytającego, co pozwoliło Blunden na zawężenie obszaru badań tylko do bezpośredniego otoczenia obiektu. Ale mamy zamiar zwrócić się do sądu o uzyskanie dostępu do całego stanowiska.
- Tak więc lepiej działaj szybko, bo wkrótce nie będzie śladu po stanowisku. - Przekazałam mu wieści od Seamusa Creana.
- Jasna cholera! Policja z Donore miała tego pilnować.
- Myślę, że tamtejszy sierżant siedzi w kieszeni Traynora. Właśnie dlatego poprosiłam Seamusa Creana, by zadzwonił na posterunek w Slane i powiadomił o naruszeniu miejsca popełnienia przestępstwa. To może zdezorganizować wszystko na jakiś czas.

Pod starą rowerową wiatą, niedaleko nieczynnej kostnicy, dwoje moich pracowników przeszukiwało blok torfu, z którego wydobyto Monę. Gayle Fowler i Keelan O'Rourke byli młodymi archeologami po dwudziestce, dopiero zaczynającymi swą karierę.

Pierwotna hałda ziemi była dużo mniejsza, tuż obok rósł kopczyk ponumerowanych torebek foliowych, wskazujących kolejność prac. Obok leżały opisane plastikowe torebki, zawierające różne przedmioty, które zostały znalezione.

- Cześć kochani, jak leci?

- Cholernie zimno - odpowiedziała Gayle, podchodząc do mnie z rydlem w jednej ręce, wierzchem drugiej ocierając krople z koniuszka nosa. Gayle miała na sobie czapkę z wełny lamy, z nausznikami - pamiątkę po zeszłorocznej wyprawie wędrownej po Peru. Żółta odblaskowa kurtka ze srebrnymi, świecącymi w dzień paskami i wodoodporne spodnie na polarze pogrubiały i tak pulchną sylwetkę dziewczyny. Keelan, badając coś na kolanach, przez moment mnie ignorował.

- Jedliście śniadanie?

Gayle pociągnęła nosem.

- Rano kupiliśmy sobie trochę pączków i kawę.

- No to radzę wam pójść coś zjeść. Otworzyłam wam rachunek w szpitalnej stołówce. Możecie tam zająć w każdej chwili. Znaleźliście coś?

Gayle wskazała rydlem kopczyk torebek.

- Raj dla palinologa. Tu jest tyle pyłków, że można dostać ostrego kataru siennego. - Palinolodzy to specjaliści od wszelkiego rodzaju pyłków, a analiza pyłków może nie tylko poszerzyć naszą wiedzę o roślinach, które pomagały tworzyć bagno - nasionach, pędach, mchach, trawach - ale również dostarczyć informacji o naniesionych wiatrem pyłkach innych gatunków, które spadły na bagno i zostały tam uwięzione. Można by je następnie porównać z dobrze udokumentowanym rejestrem pyłków Irlandii, poczynając od ostatniego zlodowacenia, i w ten sposób określić ramy czasowe, w których tworzyła się ta warstwa Monashee.

- Jakież ślady ludzkiej działalności, stare nacięcia torfu i tego typu sprawy?

- Nie-e - odpowiedział lekceważąco Keelan, podnosząc się wreszcie. Chudy, blady, z czarną postrzępioną brodą, odziany był

w długi, szary szynel rosyjskiej armii, który nie pasował do jaskrawej andyjskiej czapki, prezentu od Gayle.

- Sporo materiału pokruszyło się i odpadło podczas pracy koparki i w trakcie wyjmowania ciała... - Skierował obiektyw polaroida w miejsce, gdzie umieścił linijkę pomiarową. - Znaleźliśmy też jakieś okrągłe czarne kulki, leżały blisko siebie obok głowy kobiety.

- Pochodzenia zwierzęcego, roślinnego czy mineralnego?

Gdy zdjęcie było gotowe, Keelan wziął oznakowaną torebkę i wyciągnął w moim kierunku.

- Powiedziałbym, że organicznego, ale twarde, jak w łożysku kulkowym, zobacz... Jest ich siedem... - Zebrane w rogu torebki, kulki wyglądały jak zasuszone ziarna pieprzu. Obrócił torebkę, bym mogła obejrzeć ją z drugiej strony.

- Hmm... Chyba jakieś nasiona - powiedziałam.

Zadzwoił mój telefon komórkowy. To był Malcolm Sherry, który skończył sekcję obu obiektów i czekał na mnie.

Zabrałam od Gayle plik notatek, zdjęć i rysunków związanych ze sprawozdaniem w sprawie autostrady i skierowałam się w stronę starej kostnicy.

Rozdział 5

Równolegle do siebie stały dwa stoły do przeprowadzania sekcji. Rdzewiące nogi przyśrubowane były do pokrytej białymi kafelkami podłogi; wielu płytek brakowało, co nadawało podłodze wygląd szachownicy. Szczątki na każdym ze stołów pokryto zielonym prześcieradłem. U góry wisały dwie lampy przysłonięte obitymi i zakurzonymi abażurami. W jednej brakowało żarówki. Łuszczące się, pobielone ściany, zepsute okna - w starej kostnicy nie było już szpitalnej atmosfery. Wydawało się, że znikła wraz z zapachem środka do dezynfekcji, wypartego przez woń stęchlizny zmieszanej z zapachem kwaśnego mleka.

Na jedynym haku wystającym z półki umieszczonej na ścianie, gdzie znajdowały się również drzwi, przez które właśnie weszłam, wisała zielona odzież ochronna, plastikowy fartuch i tweedowy kapelusz Sherry'ego. Stał między dwoma stołami, ubrany w budrysówkę. Widząc, że się waham, powiedział.

- Z radością stwierdzam, że płyny ustrojowe nie stanowią zagrożenia. Poza tym jest tu cholernie zimno. - Z ust wydobywały mu się kłęby pary. Nie trzeba mnie było dłużej przekonywać, że bym nie zdejmowała ciepłej parki.

Sherry podszedł do lepiej oświetlonego stołu, gdzie leżał większy z dwóch przykrytych obiektów. Następnie przywołał mnie palcem w lateksowej rękawiczce. Miałam po raz pierwszy obejrzeć Monę w całości.

Gdy Sherry zdjął prześcieradło, moją pierwszą reakcją był podziw zmieszany z dręczącym poczuciem wstydu. Mona leżała na plecach, wyciągnięte ramię wskazywało teraz fragment odpadającego tynku na ścianie za nią. Poprzednio niewidoczne lewe ramię było zgięte przy boku, zamknięta dłoń spoczywała na lewej piersi. Prawa pierś była odkryta, pełna, choć nieco spłaszczona, wciąż ze śladem chropowatej otoczki dookoła

wyraźnego, lecz ściągniętego sutka. Na skórze, kilka otartych plam wielkości monet, ukazywało substancję, która, jak mogło się wydawać, powstała z materiału kolorem i konsystencją przypominającego pokrywający ścianę tynk.

W miarę jak moje oczy odnalazły twarz, a następnie resztę ciała, poczułam rosnące rozczarowanie. Zdałam sobie sprawę, że brakowało wielu fragmentów, to zaś, co zostało, uległo rozkładowi. Szczątki bardziej przypominały skórę zrzuconą przez węża, szkielet zewnętrzny porzucony przez jakąś istotę, która wyskoczyła z własnego ciała. Górną część głowy, z pojedynczymi puklami włosów zabarwionych na czerwono przez jakieś bagienne substancje chemiczne, zachowała swój kształt. Jednak od czoła w dół twarz przypominała zapadniętą gumową maskę z dziurami na oczy, usta i - co dziwne - również uszy. Dolna partia szkieletu prawie pozbawiona była ciała. Wyglądający na zwęglony fragment kręgosłupa wił się z zapadniętej klatki piersiowej aż do miednicy. Do kości krzyżowej przyklejone było coś, co na pierwszy rzut oka przypominało sporą kałużę smoły, było zaś, jak przypuszczałam, pozostałością organów wewnętrznych. Mona pogrzebana została na plecach, co miało znaczenie w przypadku klasyfikacji archeologicznej - jej dolne kończyny nie były zgięte, lecz wyprostowane. Kości jednej z nóg kończyły się na wysokości kolan,

Sherry obserwował, jak patrzyłam na całość. Milczał. Odważnie się uśmiechałam. W końcu była czymś więcej, niż tylko samym szkieletem czy też zbiorem strzępów skóry. Jednakże nie wygrałaby żadnego konkursu piękności ciał znalezionych w bagnach. Nawet by jej tam nie dopuszczono.

- No cóż - powiedziałam - wygląda na to, że sporo przeszła.

- Więcej, niż ci się wydaje - powiedział Sherry. - Ale zacznijmy od początku. - Wyciągnął rękę ruchem, który wymagał zaangażowania całego ciała. Zupełnie, jakby wygłaszał wykład. - Mamy tu szczątki kobiety w wieku od piętnastu do trzydziestu pięciu lat, która miała około metr czterdzieści siedem centymetrów wzrostu. Kwaśne środowisko i beztlenowe warunki, w których długo przebywała, doprowadziły do powstania dwóch najbardziej rzucających się w oczy cech ciała. Po pierwsze, chodzi o zachowanie znacznej części skóry i tkanki tłuszczowej w okolicach

tułowia, twarzy oraz kończyn górnych. Po drugie, doszło do całkowitego zbrązowienia ciała. Jednakże...

- Całkowitego? - przerwałam. Odżyły moje nadzieje na to, że Mona pochodzi z bardzo wczesnego okresu. Poza tym, im twardsza skóra, tym wolniej przebiegałby rozkład ciała.

Sherry przyjął mniej formalny ton.

- Jej naskórek rozpuścił się w bagnie, jestem jednak pewien, że skóra właściwa w całości przekształciła się w taką właśnie postać o kolorze brązowym. Dziś rano wysłałem wycinek do analizy mikroskopowej. Wyniki powinny być lada moment.

Utrata zewnętrznej warstwy skóry zdarza się bardzo często w przypadku ciał, które znajdowały się w bagnach, znajdujące się zaś poniżej, w skórze właściwej, idealne linie papilarne koniuszków palców w przeszłości były przez badaczy mylnie interpretowane. Uważano, że osoby te nie pracowały fizycznie, a zatem były wysoko urodzone.

- Świetnie, Malcom, przepraszam, że ci przerwałam.

Wzruszył ramionami, dając mi do zrozumienia, że nic nie szkodzi.

- Ależ możesz mi przerywać, właśnie miałem powiedzieć, że szczątki musiały leżeć blisko płynącej wody, co przyspieszyło demineralizację pewnych części szkieletu.

- Prawdopodobnie tam, gdzie woda sączyła się z bagna do kanału odwadniającego - zasugerowałam.

- To mogłoby być wytłumaczenie. W każdym razie kości czaszki, tylnej i przedniej części, zostały całkowicie zniszczone. Klatka piersiowa, kręgi oraz kości kończyn dolnych pozostały nietknięte, są jednak odwapnione i elastyczne, bardziej przypominają chrząstki. Dobrze zachowała się zewnętrzna część tułowia, a kończyny górne wręcz wspaniale - w całości uległy mumifikacji - skóra, kości, mięśnie, więzadła, paznokcie, nawet włoski na ramionach.

Mówił o Monie jak o wspaniałym okazie, nie zważając na jej niedostatki.

- Nie zachowały się żadne pozostałości ubrania czy tkanin, które mogłyby nam pomóc w ustaleniu okresu, z którego pochodzi?

- Nic a nic. Będziemy musieli poczekać na speców, aż ustalą jej wiek metodą węglową.
- Co może być niezłym wyzwaniem w przypadku ciał znalezionych w bagnie - powiedziałam i dodałam: - Jak oczywiście wiesz.
- Tak, zdaję sobie sprawę, jak ciało może wchłaniać wiek bagna, w którym się znajduje. - Sherry znał się na rzeczy. Podczas określania wieku Człowieka z Lindów miały miejsce duże rozbieżności, wyjaśnione wreszcie tym zjawiskiem. Oczywiście, jeśli Mona pochodziła z tego samego okresu, co bagno, w którym ją znaleziono, problem mielibyśmy z głowy. Ale jeśli została pochowana przez ludzi, którzy wykopali jej grób w starszych warstwach torfu, mogło to wypaczyć odczyt. Zanim otrzymamy wstępne wyniki badania węglem, może minąć miesiąc lub nawet
 - Jednakże - dodał po zastanowieniu - przy ciele ofiary niedawno popełnionego morderstwa zwykle znajdujemy jakieś elementy tkaniny. Całkowity brak ubrania w tym wypadku - ani jednej nitki, mógłbym dodać - może wskazywać na wiekowość znaleziska.
 - Dlatego, że kwasy bagienne miały dużo czasu na zniszczenie tkaniny?
 - Albo dlatego, że została pochowana nago.
- Jasne.
- Byłoby to możliwe w przypadku jakiegoś rytuału. Co z pewnością umieszcza nas w zamierzczłych czasach. - Moje nadzieje znów zostały obudzone.
- Poczekajmy i wtedy zobaczymy. Jedno jest pewne - nie będziemy poszukiwać jej mordercy. Chyba, że będziemy mieli wehikuł czasu.
- Już po raz drugi wspomniał o morderstwie. Zastanawiałam się, co powie dalej.
- Tak z ciekawości, Malcom, powiedziałeś policji, że wykluczyłeś wersję, jakoby została niedawno zabita?
- Tak, jakieś dwie godziny temu.
- Hm... to dziwne.
- Dlaczego pytasz?
- Bo wyglądało na to, że ten facet, Traynor, nie miał co do tego wątpliwości, kiedy udzielał rano wywiadu w radio.
- Sherry westchnął.

- Powiedziałem to sierżantowi O'Haganowi wczoraj, w ściślejszej tajemnicy. Powiedziałem tylko jemu i tobie.

Nie wątpiłam już, że O'Hagan był człowiekiem Traynora.

- Traynor wprowadził też na bagno buldożery - oznajmiłam. - Wygląda na to, że za zgodą Muzeum Narodowego. Niewiarygodne, ale prawdziwe.

- W tej okolicy Traynor to gruba ryba.

- Znasz go?

- Nie. Ale zatrzymałem się na noc w Droghedzie. Spotkałem miejscowego lekarza pierwszego kontaktu i umówiliśmy się, że zjemy wspólnie kolację. Studiowaliśmy razem. Traynor, jak się okazuje, kupił jeszcze jedną działkę w dolinie rzeki Boyne. Od jakiegoś zakonu.

- I ma zamiar wybudować na Monashee hotel, zgadza się?

- Na to wygląda.

- Przecież nie mógł dostać pozwolenia na budowę hotelu. Nie na zabytku światowego dziedzictwa.

- Nie takie rzeczy się zdarzają - odpowiedział oschle. - Powiedziałeś, że słyszałaś go rano w radio. Założę się, że w lokalnej rozgłośni?

- Zgadza się.

- Jest jej właścicielem.

- Co? - Odjęło mi mowę.

- Właściwie jest właścicielem większościowego pakietu akcji.

Zaczynałam rozumieć, dlaczego Traynor był taki arogancki.

Irytowało mnie, że uchodziło mu to na sucho. Teraz chciałam jednak dowiedzieć się czegoś więcej o Monie i jej losach. Wskazałam na jej miednicę, w której znajdowała się teraz kleista plama.

- Zapewne pozostałości organów wewnętrznych?

- Ach tak, to interesujące - ciągnął z coraz większym zapałem. - Mimo że jama klatki piersiowej jest nietknięta, nie zachowały się tam żadne organy. Podobnie jak w czaszce, a właściwie powinienem powiedzieć w calvarium, nie zachowała się materia mózgowa. - Pociągnął palcem po skórze swojej głowy, żeby mi pokazać.

Kiwnęłam głową. Przynajmniej mieliśmy porównywalny zasób wiadomości. Żadne z nas nie doceniało erudycji drugiej osoby.

Calvarium jest fachowym terminem określającym kopułę czaszki - w tym wypadku jedyną niespłaszczoną część pogniecionej głowy, której od kilku minut unikałam wzrokiem. Sherry podszedł do środka stołu.

- Jakimś zrzędzeniem losu zachowały się części ciała Mony związane z porodem: gruczoły sutkowe - jedną ręką wskazał na klatkę piersiową, drugą na miednicę - i narządy rodne.

- To jej macica? - Zafascynowana pochyliłam się, aby przyjrzeć się z bliska. Mogłam zobaczyć, gdzie patolog dokonał nacięcia na materii organicznej wielkości naleśnika. - Jest większa, niż myślałam.

- Jasne, że tak. Nie jest zwinięta. Urodziła na krótko przed śmiercią.

- To niezwykle przypadek, prawda?

- Słucham?

- Że zachowały się właśnie te części.

- Nie. W przypadku kobiet macica jest zwykle ostatnim organem, który ulega gniciu w procesie rozkładu. Czasami w warunkach wilgotności tkanka tłuszczowa zamienia się w tłuszczowosk, co miało miejsce w przypadku jej piersi.

- Tłuszczowo... tłuszczowo trupia?

- Zgadza się. Mówimy tu o procesie saponifikacji - zmydlania. Za chwilę do tego wrócę. Porozmawiajmy jednak o porodzie. Zachowały się po nim ślady na kości łonowej, które co najmniej pośrednio potwierdzają, że urodziła dziecko. Dlatego założyłem, że zmarła w połogu lub niedługo potem. Przypuszczałem, że to jej pierwsza ciąża i że może poczęła nieślubne dziecko, a kiedy nadszedł czas rozwiązania, umyślnie schowała się na moczarach, aby uniknąć wykrycia. Następnie i matka i dziecko zmarły z powodu wyziębienia organizmu, w jej wypadku również z wycieńczenia, biorąc pod uwagę rodzaj porodu, przez jaki musiała przejść.

- Dobra teoria, ale mam wrażenie, że w nią nie wierzysz.

- Bo nie pasuje do faktów.

- To znaczy?

- Po pierwsze, jej ciało... - Przeciągnął nad nim ręką. - Po śmierci nie było pozostawione na powierzchni. Na ciele, jak też

kościach, brak jakichkolwiek śladów działalności owadów czy też padlinożerców.

- Zatem albo pochowano ją żywcem, albo wkrótce po śmierci.

- Zgadza się. Po drugie, została zamordowana... - Sherry zrobił pauzę i głośno przełknął ślinę. Nie mógł pohamować emocji. - Zamordowana i okaleczona. Odcięto jej usta i uszy. Wycięto też oczy.

Zaczęłam mieć podobne odczucia, co Sherry. Nic dziwnego, że z trudem mogłam patrzeć na Monę. Wydawało mi się, że jej zniszczona twarz prosiła, by na nią nie patrzeć.

- Spójrz tutaj. - Sherry wskazał na otwory po bokach głowy, pozbawione warg, wykrzywione w grymasie usta, ziejące oczy. - Pojdz bliżej, jeśli możesz.

Przesunęłam się wzdłuż stołu, zmuszając się do obejrzenia szerniałej maski z żalnym puklem imbirowych włosów.

- Najpierw założyłem, że powieki i usta uległy rozkładowi, zanim doszło do zakonserwowania ciała, co się często zdarza w procesie naturalnej mumifikacji. Ale chrząstka gnije wolniej i tak naprawdę dobrze się zachowuje w bagiennych warunkach. Dlatego brakujące uszy były zagadką. Zachowały się tylko ich skrawki - małe płatki na początku kanału słuchowego. To sprawiło, że zrobiłem się jeszcze bardziej podejrzliwy. Dlaczego te skrawki nie uległy pomarszczeniu? Przyjrzałem się bliżej i zobaczyłem brzegi ran w miejscu, gdzie małżowina została odcięta od ciała przy użyciu ostrego narzędzia. To samo z ustami,

Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie brzegi miały nienaturalny, powstały w wyniku nacięcia, wygląd.

Sherry włożył palec za krawędź jednego z oczodołów, które, teraz to zauważyłam, były postrzępione.

- Rany w tym miejscu nie są już tak równe. Dłubano w nich końcem ostrza, zanim udało się wydłubać oczy. W ten sposób zdałem sobie sprawę, że usunięto nie tylko powieki, ale też gałki oczne.

- Jezu, Malcom, ona zmarła straszną śmiercią.

- Tak, to był nieludzka śmierć, ale nie zmarła od tych ran. -

Sherry wrócił na miejsce za głową Mony i podniósł jej podbródek by mi go pokazać. Podcięto jej gardło, a właściwie

prawie odłączono głowę od reszty ciała. - W dodatku została uduszona. Spójrz tutaj... - Wskazał na wgniecenie w skórze tuż pod nacięciem, pod miejscem gdzie powinna znajdować się małżowina. - Dokonano tego za pomocą jakiegoś sznurka. Spojrzałam na niego wyczekująco.

- Nie, nie zachowała się. Jedno jest pewne – podcinanie gardła w trakcie duszenia to krwawa robota.

Boże, dlaczego spotkał ją taki los? I czym sobie na niego zasłużyła? Jakie prawo złamała, jakie tabu naruszyła? Jej koniec przypominał bardziej karę, niż złożenie w ofierze. Istniało rzeczywiste prawdopodobieństwo - na myśl o tym skrzywiłam się - że została okaleczona jeszcze przed śmiercią. Wszystko to wskazywało na prehistoryczne pochodzenie.

- Zastanawiasz się pewnie, czym można sobie zasłużyć na taką śmierć? - Sherry skinął głową w kierunku drugiego stołu. - Myślę, że powód leży tam.

Wstrząsnął mną dreszcz, nie mający nic wspólnego z temperaturą w kostnicy.

- Spójrzmy zatem, dobrze? - Powiedział, przesuwając się w kierunku drugiego stołu. Położyłam mój notes i ołówek na krawędzi stołu Mony i ruszyłam za nim.

Już miał zdjąć drugie prześcieradło, kiedy zapukano do drzwi.

- Kurczę - bąknął pod nosem, lecz zawołał pogodnie: - Proszę wejść.

Kobieta w białym kitlu uchyliła do połowy drzwi i podała mu żółtą kopertę.

- Doktorze Sherry, to są wyniki dla pana.

- Dziękuję - powiedział, patrząc na zegarek. Sprawdziłam godzinę na swojej komórce. Była 12.40. Dziesięć minut temu miałam się spotkać z Seamusem Creanem.

Sherry zaczął ściągać rękawiczki.

- Przepraszam cię Illaun, ale umówiłem się z kimś na lunch.

- Ja też. Jestem już spóźniona.

Uśmiechnął się.

- Ja też. Poza tym muszę udać się na posterunek policji w Droghedzie, aby złożyć oficjalny raport, który zwolni ich z obowiązku wszczynania śledztwa. Do zobaczenia tutaj, o której? O czwartej? - Wrzucił rękawiczki do plastikowego kosza na

odpady i wyciągnął z kieszeni klucz do kostnicy. - Albo weź klucz, na wypadek gdybyś wróciła wcześniej i chciała zrobić trochę rysunków.

Wzięłam klucz, lecz zaraz przyszedł mi do głowy lepszy pomysł.

- Wiesz, co? Zostawię go u kogoś z mojego zespołu. Ten, kto będzie pierwszy, zabierze klucz.

- Nie ma sprawy.

Gdy opuszczałam kostnicę, znowu przypomniał mi się Traynor. Nie było potrzeby złościć się na niego - lepiej postarać się o prawne wstrzymanie prac budowlanych. O wiele bardziej oburzające było działanie Muriel Blunden - urzędnika państwowego, który zamiast bronić dziedzictwa, ułatwia jego niszczenie. Ale dlaczego zajęła w tej sprawie tak kuriozalnie dziwaczne stanowisko?

Rozdział 6

Crean zaproponował spotkanie w kościele farnym św. Piotra, znajdującym się przy głównej ulicy. Drogheda nie była miastem, które znałam dobrze, lecz kościół stanowił widoczny punkt orientacyjny.

Padał drobny śnieg z deszczem, więc weszłam po schodach, by zobaczyć, czy nie schował się przed złą pogodą do środka. Pchnęłam mosiężną gałkę obrotowych drzwi i znalazłam się w jakby znajomym wnętrzu. Odnowiony niedawno kościół był modelowym przykładem neogotyku. Nie poznałam go właśnie ze względu na renowację. Aby zaspokoić ciekawość, przeszłam wzdłuż przejścia bocznego do ołtarza i stwierdziłam, że pamięć mnie nie zawiodła. Wewnątrz szklanego relikwiarza, otoczonego pozłacaną kratownicą w kształcie stożka, znajdowała się zwęglona głowa mężczyzny. Jego skóra wyglądała jak poplamiony żółto-brązowy zamsz, a zamknięte powieki nadawały mu senny wygląd, przeczący gwałtownej śmierci, jaka go spotkała.

Była to zachowana głowa świętego, męczennika Oliviera Plunketta, której nie widziałam od czasów dzieciństwa, gdy oglądałam ją na wycieczce szkolnej. Wycieczka miała w programie również wizytę w Newgrange. Zastanawiałam się teraz, czy nasi nauczyciele kiedykolwiek zauważyli dziwną analogię pomiędzy kościołem przechowującym spaloną czaszkę i reszkę szczątków, a kurhanem, niegdyś również zawierającym spalone kości.

Wstałam i podeszłam do relikwiarza świętego, okrążyłam róg i znalazłam się w części kościoła jemu poświęconej, w której znajdował się kolejny relikwiarz zawierający szczątki jego ciała. Były tam również drzwi jego celi więziennej, różne tablice pamiątkowe i broszury, z których wybrałam i zaczęłam przeglądać jedną. Wydrukowano w niej mrozące krew słowa, pochodzące z wyroku śmierci za zdradę:

„I z więzienia Newgate ciągnięty będziesz saniami przez Londyn do Tyburn; tam zostaniesz powieszony, lecz odetną cię jeszcze żywego, wyjmą wnętrzności i spalą na twoich oczach; twoja głowa zostanie odcięta, a ciało poćwiartowane i zniszczone w sposób zadowalający Jego Wysokość. Modłę się do Boga, by zlitował się nad twą duszą”.

Zbyt wiele. Zupełnie jak Mona. Czy Mona także była ofiarą prześladowań religijnych?

Stałam kilka metrów od wykładanego czerwonymi poduszkami rzędu ławek, znajdujących się z przodu kaplicy głównej. Na drugim końcu siedzeń widać było stojak z rzędami palących się świec ofiarnych i rysującą się na tle ich blasku sylwetkę mężczyzny. Klęczał w ławce najbliższej kaplicy, jego ramiona były zgarbione, a głowa pochylona. Nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś poza mną był w kościele.

Mężczyzna podniósł głowę, przeżegnał się i podniósł do wyjścia, lecz dopiero po tym jak przyklęknął na środku i odwrócił do mnie, zorientowałam się, że to Seamus Crean. Podążyłam za nim i dogoniłam go w przedsionku.

- Myślałam, że się rozminęliśmy, Seamusie.

- Przepraszam panią, zapalałem świeczkę. Moja matka bardzo wierzy w świętego Oliviera.

- Rozumiem...

- Mówi, że może mi pomóc znaleźć nową pracę przed świętami.

Zeszliśmy po schodach. Zauważyłam, że Crean umył włosy - pojaśniały o kilka odcieni i kręciły się w różnych kierunkach.

- Jadłeś coś? - spytałam.

- Noo, nie...

- No to chodźmy gdzieś i coś zjedzmy. Ja stawiam.

Zawahał się przez moment, gdy dochodziliśmy do ulicy.

- O co chodzi?

- Tylko nic wymyślnego, jeśli to pani odpowiada.

Uśmiechnęłam się.

- Nie ma sprawy. Ty wybierasz miejsce. Jeśli odpowiada tobie, odpowiada i mnie.

W szarej mżawce przeszliśmy przez ulicę pod światełkami bożonarodzeniowymi, którym nie udawało się wprowadzić w dob-

ry nastrój ponurych kierowców uwięzionych w ledwo poruszającym się korku, dodatkowo powiększonym przez pogodę i rozpoczynającą się gorączkę zakupów. Crean zaprowadził mnie do przestronnego pubu, gdzie jedzenie serwowano na tacę, jak w bufecie. Spod jasno oświetlonych witryn z gorącymi talerzami można było wybrać sobie pieczoną wołowinę, rybę, gotowaną szynkę, kapustę i ziemniaki. Właśnie tego potrzebowaliśmy w smętny grudniowy dzień, więc oboje zabraliśmy się do jedzenia duszonej wołowiny w sosie z dodatkiem okazałej góry warzyw. Do picia wzięłam wodę, a Crean dużą szklankę mleka.

- Tak więc, co się stało rano? - spytałam, gdy zjedliśmy po kilka kęsów.

- Szczerze mówiąc, to był nawet ubaw, proszpani. Zsiadłem z roweru przy początku drogi, zobaczyłem radiowóz policyjny nadjeżdżający na pole i wysiadających z niego niebieskich. Minutę czy dwie później, chłopaki z koparek stanęli z policjantami na poboczu i zaczęli gadać. Praca akurat stanęła, więc podjechałem do

- „Co jest, chłopcy?” - spytałem tych z koparek. - „Szukacie pana Traynora, coby to załatwił?”

Jeden z nich do mnie:

- „Mógłbyś sprowadzić go tu, żeby pogadał z policją. Nie możemy go złapać przez telefon”.

A wtedy jeden z policjantów pyta: „Czy zna pan tego Traynora? Czy to właściciel tej działki?”

- „Znam - mówię i ładuję się z powrotem na rower – ale dzisiaj go nie złapiecie. Pojechał do Dublina”.

Rozbawiła mnie zuchwałość Creana - w ogóle się tego po nim nie spodziewałam.

- A co się tam teraz dzieje?

- W momencie, gdy na nowo zaczynali prace, przyjechali jacyś ludzie, żeby przeprowadzić ekspertyzę. Mówili, że muszą coś zmierzyć, czy coś takiego. Pomachali chłopakom z koparek przed nosem urzędowymi papierami. Tak więc prace będą musiały stanąć, dopóki nie skończą.

To była dobra wiadomość. Ivers i IAWU musieli zawiadomić Urząd Prac Publicznych i dostać pozwolenie na prace na całym polu. Pomimo stojącej za nim Muriel Blunden, Traynorowi nie

wszystko układało się po myśli. Ale dlaczego tak szybko chciał rozkopać teren? Czy miało to coś wspólnego z uchylaniem się od

- Co mówi się o tym hotelu Traynora? W jaki sposób zdobył pozwolenie na budowę?

Crean sprawdził, kto siedzi obok nas. Mimo że nie mogliśmy zostać podsłuchani, nachylił się do mnie i konspiracyjnie ściszył głos.

- Wygląda na to, że kupił różne działki od opactwa Grange.

- No i?

- No cóż - to żeński zakon szpitalny, który znajduje się niedaleko stąd. Mówią, że przybył tu z Normanami. Wszystkie jego prawa do ziemi pochodzą z zamierzchłych czasów.

- Jakie prawa?

- Prawa pozwalające zrobić z ziemią cokolwiek. Budować albo nie. Dlatego Traynor myśli, że prawo budowlane jego nie dotyczy.

- Ale te prawa nie obowiązują obecnie.

Crean pochylił się jeszcze bardziej.

- No to co? Traynor ma za sobą Radę Hrabstwa i ministra turystyki i dziedzictwa.

- Dereka Warda?

Crean kiwnął głową. Oczywiście, minister Ward jest członkiem parlamentu z tutejszego okręgu wyborczego, a jego partia wsławiła się ingerencją w ustawodawstwo dotyczące planowania środowiska. Właśnie stąd pochodzą polityczne znajomości Traynora.

- Chodzą także plotki - wyszeptał Crean - że w umowie z zakonnicami jest zapis o podzieleniu się z zakonem zyskiem z hotelu.

Wiedziała, że zakony religijne w całej Irlandii wyprzedawały w ostatnich latach nieruchomości, ale udział w zyskach hotelu był dla mnie czymś nowym.

- Czy to zakon katolicki?

Crean znowu pokiwał głową.

- Opactwo jest czymś w rodzaju schronienia. Leży obok Donore, ale nie mam pojęcia, jaka jest jego pełna nazwa, bo nigdy nie miało za dużo do czynienia z lokalną społecznością. Wszystko, co wiem, to jakieś plotki.

- Jakie plotki?
- Jakiś czas temu pracowało tam mnóstwo budowlańców. Wszyscy z zagranicy. Nie mam nic przeciwko obcokrajowcom, ale zastanawiam się, dlaczego nie mogły zatrudnić kogoś stąd? Mój ojciec mówi, że zakonnice mają coś do ukrycia.

Podeszła kelnerka i spytała, czy życzymy sobie deser, najwidoczniej serwowany przy stoliku. Odmówiłam i poprosiłam o wodę, a Crean zamówił szarlotkę z bitą śmietaną i filiżankę herbaty.

- Seamusie, a te wierzenia, że Monashee jest nawiedzona...
- Spojrzałam mu prosto w oczy. - Tak naprawdę w to nie wierzysz, prawda?

Odchylił się, jakby podsłuchiwaniec nagle przestali mu przeszkadzać.

- Wierzę i nie wierzę. Powiedziałem pani wszystko, co wiem. Za dnia to miejsce jest zawsze w cieniu, ludzie nie lubią przechodzić tamtędy nocą, od czasu do czasu widuje się tam dziwne światła.

Zawsze w cieniu za dnia? Dość dziwne miejsce na wybudowanie tam hotelu, Illaun.

- Może zapamiętałeś coś jeszcze?
- Niektórzy mówią, że można tam zobaczyć powstające z ziemi postacie w białych szatach grobowych, jęczące i lamentujące
- Kiedy widziano te zjawy?
- Głównie w tym okresie w roku. Mój ojciec wie o nich wszystko. Mogę go zapytać.

- Bardzo cię proszę, Seamusie. - Może Finian znajdzie coś ciekawego do swojej kolekcji folklorystycznej.

- Czas na mnie.

Podniosłam rękę, żeby go na chwilę zatrzymać.

- Seamusie, mam poczucie winy, że straciłeś pracę z powodu tego znaleziska. Ale jeśli pozwolą nam na dalsze wykopaliska w Monashee, to dam ci jakieś zajęcie.

- To nie była pani wina. Ale dzięki.

Wyszliśmy z pubu. Deszcz ze śniegiem przestał padać, ale ruch na ulicy był ciągle duży. Mieliśmy się rozejść, gdy zobaczyłam srebrnego mercedesa torującego sobie drogę z zato-

czki po drugiej stronie ulicy. Siedzenie pasażera zajmowała kobieta. Złapałam Creana za ramię i wskazałam w kierunku samochodu.

Pochylił głowę, by lepiej widzieć kierowcę.

- To Traynor - powiedział. - I jakaś kobieta, której nie znam. Może prawniczka, jadąca z nim do Monashee...

Minęło kilka sekund, zanim zorientowałam się, że Crean się na mnie gapi.

- Mówiąc o duchach, proszpani, to wygląda pani, jakby właśnie jednego zobaczyła.

Byłam prawie pewna, że kobieta w samochodzie to Muriel Blunden, dyrektor do spraw wykopalisk w Muzeum Narodowym.

- Poczekaj sekundę, Seamus.

Wyciągnęłam komórkę, włączyłam i zadzwoniłam do biura Terence'a Iversa.

- Terence, właśnie widziałam Franka Traynora w Droghedzie. Był z Muriel Blunden, jestem prawie pewna.

- To mnie nie dziwi. Traynor to cwany biznesmen. Przez chwilę pokrzyżowaliśmy mu szyki dziś rano, ale znowu nas wyprowadził w pole. Udało mu się po południu złożyć prośbę w Sądzie Najwyższym w Dublinie o całkowite zniesienie zakazu. Decyzja będzie rano. Wydaje mi się, że na jego korzyść.

Sąd Najwyższy mógł uchylić decyzję sądu okręgowego. Wyłączyłam telefon i powiedziałam Creanowi o zmianie naszej fortuny. Nie chciałam, by odszedł z fałszywymi nadziejami na pracę.

Rozdział 7

Po spotkaniu z Creanem usiadłam w samochodzie i przejrzałam ostatnie wyniki badań, które otrzymałam wcześniej od Gayle. Miały stworzyć podstawę wkładu mojej firmy do OWŚ - Oceny Wpływu na Środowisko - zleconej przez Zarząd Dróg Krajowych. Chciałam skończyć pisanie raportu przed bożonarodzeniową przerwą.

Spędziłam godzinę na parkingu, czytając i robiąc notatki, więc zanim wyjechałam do szpitala, zadzwoniłam do Malcolma Sherry'ego, by powiedzieć mu, że się spóźnię. Okazało się, że on również. Dlatego najpierw skierowałam się pod rowerową wiatę, by sprawdzić, jak Gayle i Keelan radzą sobie z blokiem torfu, który został znacznie pomniejszony.

- Wygląda na to, że niedługo skończycie - powiedziałam.
- Tak. Czekamy na kogoś z IAWU, żeby to zabrał. - Gayle wręczyła mi klucze do kostnicy i wskazała na stosik ponumerowanych pakunków.

- Nie wiem, czy powinniśmy dać im również to - powiedział Keelan, podnosząc jedną z przezroczystych torebek i podając mi ją. Zauważyłam, że na lateksowe rękawiczki naciągnął drugie - wełniane rękawiczki bez palców. - Znalazłem to obok nasion.

Wewnątrz torebki znajdował się cienki zwitek rzemienia, zwężający się przy każdym z końców jak rozciągnięta guma. Od razu skojarzyłam, co to jest.

- Zatrzymam to na jakiś czas - powiedziałam, odchodząc.
- Hej...!
- Muszę już iść, Keelan - powiedziałam, przyspieszając kroku.
- Przynajmniej powiedz nam, co to jest - krzyknął za mną.
- Później wytłumaczę.
- A co z OWŚ? - dodała Gayle.
- Zadzwonię do was - krzyknęłam i skręciłam za róg wiaty.

Gdy weszłam do kostnicy, poczułam, że zmienił się zapach. A raczej, został wzbogacony o jakiś inny - słodki, znany

i z jakichś powodów niepokojący. Im bardziej starałam się go zidentyfikować, tym bardziej stawał się nieuchwytny.

Rozejrzałam się, czy niczego nie zabrano. Oba stoły były przykryte. Nic nie przesunięto. Przedmioty, które pozostawiłam na stole Mony, nadal tam leżały... I wtedy zobaczyłam to. Przykrycie drugiego stołu było podciągnięte w dół po mojej stronie. Tak jakby ktoś podniósł je wcześniej, a potem nieuważnie rozłożył jeszcze raz. Oczywiście, mogło osunąć się pod własnym ciężarem, lecz nadal wydawało mi się, że ktoś był w kostnicy. Archeolodzy mają zwyczaj wywodzić znaczące fakty z fragmentów dowodów.

Wyrzebałam komórkę i zadzwoniłam do Keelana.

- Co jest, Illaun?

- Czy wchodziliście do kostnicy, gdy mnie nie było?

- My? Nie ma mowy.

- A może kogoś wpuściliście?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Poczekaj, zapytam Gayle... -
powtórzył pytanie. - Nie.

- I nikt nie prosił was o klucze?

- Nikt nie prosił nas o klucze - powiedział powoli, by Gayle mogła zrozumieć. - Gayle zaprzecza, więc masz odpowiedź od nas obojga. Skoro już to wyjaśniliśmy, możesz powiedzieć, jakie znaczenie ma ten rzemień?

- Właśnie zamierzam się tego dowiedzieć - odpowiedziałam i rozłączyłam się.

Ostrożnie odwijając przykrycie Mony, gdy wszedł Sherry, czytając w biegu papiery z żółtej koperty, którą podano mu wcześniej.

- Nie ulega wątpliwości, - powiedział, jakbyśmy nigdy nie opuszczali kostnicy - że tanina doskonale spełniła swoją rolę. -

Spojrzał na Monę z podziwem. - Zobacz, jak świetnie skóra zmieniła się w skórzastą warstwę.

- Malcolm, czy byłeś tu po naszym spotkaniu?

- Nie.

- A czujesz... perfumy?

Wciągnął powietrze.

- Nie - zaśmiał się. - Raczej nie mamy tutaj zachowanego ciała jakiegos świętego. - Zwinął kopertę, wepchnął ją do

kieszeni swojej parki i z pudełka, umieszczonego w zlewie na końcu stołu, wyciągnął parę rękawiczek chirurgicznych.

Postanowiłam na razie zapomnieć o tajemniczej wizycie w kostnicy. Miałam na głowie inne sprawy. Informacja o zaawansowanej działalności taniny powiększyła moje nadzieje na prehistoryczne pochodzenie Mony. No i jeszcze miałam nowe

- Skoro o skórze mowa - powiedziałam, pokazując plastikową torebkę.

Twarz mu się rozświetliła.

- To z gleby pod wiatą?

- Tak. Chcesz sprawdzić, czy pasuje? - Podałam mu woreczek.

Sherry otworzył go i ostrożnie wyjął rzemyk. Trzymał go między palcem a kciukiem i pozwalał dyndać, abyśmy mogli zobaczyć jego długość. Trochę się rozwinął, ale zasadniczo zachował swój półokrągły kształt. Widziałam, że końce były rozciągnięte i zakręcone, jakby pękły przy rozciąganiu. Sherry rozprostował przedmiot - miał jakieś pięćdziesiąt centymetrów długości.

Umieścił skórzany paseczek wzdłuż rowka z boku szyi Mony. Pasował idealnie.

- To na pewno to - powiedział.

Następnie obejrzał końce rzemyka.

- Tego nie zrobiła koparka, pęknięcie jest stare. Musiał się porwać, kiedy ją duszono. Oddał mi rzemyk. - Myślałem jednak, że stryczek albo ruchomy węzeł będą dłuższe.

- Może uduszono ją, zakręcając to z tyłu?

- Hm... tak, może za pomocą patyka. To by wyjaśniało, dlaczego końce są zwinięte w ten sposób.

- Mogła to nawet nosić. - Trzymałam rzemyk pod światło i obracałam nim powoli. - Chociaż nie ma tu śladów szydła, którym mógł być zszyty... ani śladów węzła.

- Myślę, że węzeł mógł się łatwo rozwiązać, biorąc pod uwagę użytą siłę. Więc możesz mieć rację. Mogła zostać zamordowana przy użyciu własnego naszyjnika.

- Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. - Umieściłam go z powrotem w woreczku. - Jeśli skończyłeś już z Moną, to ją

- Nie mam powodów, aby dłużej zajmować się Moną, jak ją nazywasz. Ani podstaw, żeby tracić czas lub pieniądze na dalsze badania. Może oprócz RTG, które zostanie dla ciebie wykonane.

Rozległo się tandetne wykonanie *Tubular Bells* Mike'a Oldfielda. Spojrzeliśmy na siebie ze zdziwieniem. Potem Sherry oprzytomniał.

- Cholera - powiedział - to moja komórka. Wyjął z kieszeni kurtki zwiniętą kopertę i wyciągnął telefon. - Tak?

Kiedy słuchał rozmówcy, uśmiechałam się do siebie. Przypadkiem, czy celowo, Malcom ustawił sobie dzwonek na muzykę z *Egzorcysty*?

Zaczęłam w myślach wyszczególniać, co już wiedzieliśmy o Monie, ale szybko zdałam sobie sprawę, jak wielu rzeczy nie wiemy - nie mieliśmy pojęcia, jak naprawdę wyglądała, nie mieliśmy do analizy resztek jej ostatniego posiłku, żadnych zębów, które pomogłyby określić zwyczaje żywieniowe, żadnych śladów zdobienia ciała, ubrań, biżuterii czy rzeczy osobistych. Chyba że uwzględnimy skórzaną garotę*. Zaczęłam się zastanawiać, na finansowanie jakich dalszych badań naukowych powinno się przygotować Muzeum Narodowe. Określenie wieku metodą węglową? Być może. Tomografię komputerową? Mało prawdopodobne.

Sherry rozmawiał ściszym głosem.

- Nie mogę teraz... nie jestem sam... muszę dokończyć... No dobrze. Będę tam za pięć minut. - Rozłączył się i powiedział: - Illaun, muszę pójść do recepcji w głównym budynku. To mi zajmie tylko kilka minut. Możesz tu na mnie poczekać? Omówimy wyniki drugiej sekcji, jak tylko wrócę.

- Nie ma sprawy. I tak miałam wykonać kilka rysunków.

Sherry umieścił telefon i kopertę w różnych kieszeniach i opuścił kostnicę. Zegar w moim telefonie wskazywał 18.10, kiedy zadzwoniłam na komórkę Keelana i zostawiłam wiadomość, że już pora, by poszli do domu, jeśli jeszcze tego nie zrobili. Dodałam, że pracuję nad OWS przez weekend i zadzwonię lub wyślę e-maila, jeżeli będę potrzebowała pomocy. Uzgodniłam

* Garota - kawałek wytrzymałego, cienkiego materiału, służący do zaciskania oburącz na szyi ofiary.

przedtem z Terence'em Iverssem, że odbiorą próbki, które zbierali Gayle i Keelan. Z wyjątkiem skórzanego rzemyka, który zostawiłam w opisanej torebce przy ciele.

Obeszłam stół do przeprowadzania sekcji i wybrałam ką, pod którym było widać ślad po rzemieniu i ułożenie obu ramion. Skórzane ciało już wysychało i plamka na ramieniu pojaśniała. Dzięki temu pory skóry zrobiły się dobrze widoczne, niczym nakłucia wykonane ręką tatuażysty. Kiedy rysowałam jej twarz, zauważyłam, że nos doskonale się zachował i był delikatny, czego nie dostrzegłam pod wrażeniem okaleczonych rysów. W pewien sposób kontrastował z brutalnością, która ją spotkała, a delikatna uroda była wciąż widoczna mimo ogromnych wysiłków jej morderców.

Zdałam sobie wtedy sprawę, że Sherry nie powiedział mi nic o tym, czy na jej ciele były ślady wskazujące na to, że próbowała się bronić. Obejrzałam najpierw wyciągnięte ramię, potem zgięte, ale nie mogłam niczego dostrzec. Zauważyłam jednak, że spoczywająca na piersi dłoń była zaciśnięta w pięść. Ujęłam jej rękę po raz drugi i dokładnie obejrzałam ze wszystkich stron. Wyglądało na to, że coś trzyma w

Z bijącym sercem kucnęłam przy stole i próbowałam zerknąć przez jej ściśnięte palce. Nie przepuszczały ani odrobiny światła.

Z kieszeni kurtki wygrzebałam szczyrek, otworzyłam go i delikatnie włożyłam między dwa palce Mony. Natrafił na coś twardego.

Mona rzeczywiście mocno coś trzymała.

Kiedy znowu się podnosiłam, przypadkowo zaczęłam o znajdujący się za mną drugi stół i zsunęłam pokrycie na podłogę. Obracając się, by położyć je z powrotem, nie mogłam nie dostrzec tego, co się pod nim znajdowało.

Pewnego dnia, w szkole, Finian Shaw zadał nam pytanie: „Jaka jedna czynność odróżnia ludzi od wszystkich innych stworzeń?” Poprosił, żebyśmy napisali odpowiedzi, które potem zebrał. Wiedząc, że starannie sformułował pytanie, staraliśmy się odgadnąć, co miał na myśli, mówiąc „czynność” i wymienialiśmy - „pismo”, „gra na instrumentach”, czy nawet „wytwarzanie narzędzi”. Lecz żadnemu z nas nie udało się dostarczyć odpowiedzi, której szukał, a i tak nie liczył, że nam się uda.

- Odpowiedź jest taka - powiedział - że jesteśmy jedynymi istotami, które chowają swoich zmarłych.

Uśmiechnęłam się na to wspomnienie nie tylko dlatego, że nikomu z nas nie przyszło to do głowy, ale także dlatego, że przypomniało mi dzieciństwo, gdy z moim bratem Richardem urządzaliśmy rytualne pogrzeby. Oczywiście nie grzebaliśmy ludzi, lecz z wielką ceremonią urządzaliśmy pochówek licznym małym zwierzętom w kwietniku, na końcu naszego ogrodu. Pierwszy pogrzeb wyprawiliśmy trzmielowi, ułożonemu uprzednio na wacie w pudełku po zapałkach. Potem były inne: biedronka, ćma, świeżo wyklute pisklą, kościste i różowe, z cieniutkimi, jakby papierowymi, powiekami. Awansowaliśmy nawet do pogrzebu najsłabszego z miotu kociaka. Poprosiłam mamę o dostarczenie trumny i dostałam pudełko po butach wyściełane białym aksamitem. Urządziliśmy procesję, na której czele szłam, trzymając w górze tekturowe pudełko, a Richard za mną wyśpiewywał fałszywie hymn. Wykopaliśmy grób, uklękliśmy, pomodliliśmy się, zakopaliśmy i postawiliśmy krzyż zrobiony z patyczków po lodach.

A potem nasza suczka zdechła ze starości. Wookie była czarno-białym kundlem umaszczonym jak panda. Pierwotnie miała na imię Spot, ale przechrzciliśmy ją na Wookie, aby mieć dodatkową postać w naszych zabawach w *Gwiezdne Wojny*. Ojciec chciał, aby zajął się nią weterynarz, lecz ze względu na nasze doświadczenie przedsiębiorców pogrzebowych, nalegałam na pogrzeb na kwietniku. Nie mieliśmy pudełka, gdyż musiałoby być za duże i niezgrabne, więc położyliśmy psa na boku na gazecie i wykopaliśmy płytki grób.

Dwa tygodnie później, z niejasnych powodów, może z chęci ujżenia prawdziwego szkieletu, zaproponowałam ekshumację. To, co odkryliśmy, różniło się bardzo od naszych oczekiwań. Zazwyczaj puszyste futerko Wookie było połyskliwie mokre i przyklejone do jej ciała. W swej nieświadomości pomyślałam, że spociała się z gorąca i tak to wyjaśniłam Richardowi. Raptem, jakby na potwierdzenie mej teorii, zauważyłam, że pies zaczął dyszeć. Pogrzebaliśmy Wookie żywcem! Lecz jakiś instynkt nakazał mi jej nie dotykać. Kazałam Richardowi zostać, a sama pobiegłam po ojca, chcąc być pierwsza, która mu to zakomunikuje.

- Tato, tato, ona żyje! Wookie żyje! Chodź szybko!

Gdy wróciłam, ciągnąc ojca za rękę, Richard stał przy dziurze z patykiem. Właśnie szturchnął nim brzuch Wookie. Skłębiona masa larw wyoiła się z otworu, który zrobił. Oboje odskoczyliśmy w zmieszaniu, gdy w nozdrza uderzył nas smród.

Tato szybko chwycił łopatę i narzucił ziemię na wierzch ciała.

- Nigdy więcej tego nie róbcie - powiedział ze złością. - Niektórych rzeczy nie powinno się oglądać.

Niektórych rzeczy nie powinno się oglądać. Jako zawód wybrałam archeologię, która polega na wydobywaniu na powierzchnię tego, co jest ukryte, i za każdym razem słowa mojego ojca zmuszały mnie do zastanowienia się nad stosownością wyciągania pewnych rzeczy na światło dzienne. Teraz, w przewiewnej kostnicy, nastąpił właśnie taki moment.

Sherry przeciął skórzastą osłonę i otworzył brzuch stworzenia od mostka do miednicy. Klatka piersiowa rozchyliła się jak wachlarz, przylegając do zewnętrznych powłok, składających się z nawarstwionego tłuszczu otoczonego warstwą skóry. To, co kiedyś było wnętrznościami, leżało obok na stole - szachownica zielono-brązowych, nierozpoznawalnych organów i rurek, tak jak reszta ciała przekształconych, jak mi się wydawało, w wosk trupi. Wyglądający jak grudka kitu małej mózg został usunięty i włożony do położonego na stole odciętego wierzchołka czaszki.

Zabarwiona taniną, odchylona do góry twarz w niczym nie przypominała twarzy ludzkiego noworodka. Rudawy puszek pokrywał czoło, otaczał długi na palec róg skórnny i przechodził poniżej nacięcia, z którego Sherry usunął przezroczysty czop. W oczodole znajdowały się dwa złączone oka o czarnych tęczęwkach i twardówce w nikotynowożółte plamy. Tam gdzie powinny być usta, znajdowało się jedynie wyżłobienie, a podbródek połączony był z klatką piersiową za pomocą mięsistej membrany bezpośrednio nad nacięciem Sherry'ego. Druga membrana łączyła tył czaszki z ramionami.

Odwróciłam wzrok, szukając na chwilę wytchnienia. Spojrzałam ponad drugim stołem i zauważyłam, że w pomieszczeniu brakowało rozmaitych akcesoriów, na przykład kranów oraz nasadek używanych do obmywania ciał na lekko nachylonych stołach, ułatwiających spływanie płynów do umiejscowionego

przy ich końcu zlewu, którego rury ściekowe były przeżarte rdzą i połamane.

W zakurczonym zlewie przede mną zobaczyłam zostawione przez Sherry'ego tekturowe pudełko rękawiczek chirurgicznych i rolkę plastra. Zajęłam się nakładaniem pary rękawiczek, których raczej nie miałam zamiaru używać, lecz pomogło mi to zyskać kilka sekund, zanim mój wzrok niechętnie powrócił do leżącego na stole obiektu.

Z jego ramion wyrastały dwa kikuty, każdy z zawiązkiem ciała na końcu, a z bioder cztery równej długości nogi, układające się pod różnymi kątami. Wszystkie te kończyny musiały być ułożone w rzędzie, gdy ciało było zwinięte, lecz Sherry rozciągnął je i przyczepił do stołu, odsłaniając złączenie nóg w chaotycznym zwoju, wyglądającym na żeńskie organy płciowe. Wyglądało to, jakby ktoś obrabował niemowlęce woskowe preparaty anatomiczne i złączył je ze sobą, nie wiedząc, jak zrobić to prawidłowo.

Wiedziałam, że patrzę na ciężko zdeformowane ludzkie dziecko.

Byłam pod wrażeniem dobrego stanu zachowania ciała, pomimo zniekształceń jego żalosnej postaci. Słyszałam o mumifikujących właściwościach wosku trupiego, lecz nigdy nie podejrzewałam, że jest tak skuteczny. Nie przewidziałam również zjełczałego zapachu, jaki unosił się znad stołu. Odwróciłam się, by złapać trochę powietrza i w tym samym momencie do kostnicy wrócił Sherry.

- Bardzo cię przepraszam, Illaun... jeden z lokalnych koronerów stara się ułatwić sobie życie, wykorzystując moją obecność tutaj. Właśnie znaleziono ciało mężczyzny... w dziwnych okolicznościach... i chciał, żebym zaraz jechał na miejsce, stary leniwiec. Powiedziałem, że dołączę później. - Wyjął z pojemnika parę rękawiczek i naciągnął je na ręce. - Widzę, że ciekawość wzięła górę.

- Nie do końca - zacisnęłam palcami nos - przypadkowo zrzuciłam osłonę.

- Powiniennem być cię ostrzec - powiedział. - To musiał być dla ciebie szok.

- Nie, jest okej. Tylko nie spodziewałam się smrodu, to wszystko.

Sherry zbliżył się do stołu.

- Tak, to fascynujące. I wszystko to efekt saponifikacji.
- To znaczy przekształcania ciała w воск trupi.
- Ciągle zapominam, że liźnęłaś trochę medycyny sądowej -

Sherry trochę się snobował, ale nie przeszkadzało mi to. Rok studiów w zakresie archeologicznej medycyny sądowej przed doktoratem na pewno nie uczynił ze mnie patologa.

- To nie oznacza, że w pełni rozumiem wszystkie reakcje chemiczne w tym procesie.

- Tak jak my wszyscy. Nie do końca.

Przypomniało mi się coś ze studiów.

- Noworodki są szczególnie na to podatne, prawda?

- Tak, ponieważ we wnętrznościach nie mają prawie żadnych bakterii mogących rozpocząć proces rozkładu.

- Dlaczego ten noworodek ma dodatkową parę nóg?

- Druga para nóg pochodzi z nierozwiniętego płodu. Czasem nazywa się go bliźniakiem pasożytnym.

- Tak jak te pokazywane kiedyś w cyrkach?

- Tak, jeśli udawało im się przeżyć, co jest raczej rzadkie. Częściej w przeszłości kończyły jako okazy w słojach teratologów - anatomów i kolekcjonerów osobliwości, wyspecjalizowanych w „cudach natury”, a raczej potworach. Chyba na dzisiaj już wystarczy. - Sherry zdjął rękawiczki i przypadkowo potrącił ciało noworodka, które zadrzało jak włóki *Obcego*.

Przypomniało mi to, gdzie widziałam stworzenie podobne do tego leżącego przede mną na stole operacyjnym. Dwa miesiące wcześniej byliśmy z Fran na wakacjach w Toskanii i widziałyśmy coś podobnego w muzeum florenckim, na płaskorzeźbie kamiennej. Na pierwszy rzut oka wyglądała ona jak jakiś skorupiak, lecz w rzeczywistości przedstawiała połączone miednicą bliźnięta. Miały dwie głowy, więc nie przypominały noworodka znalezionego przy Monie. Najwyraźniej płaskorzeźba przedstawiała dzieci urodzone we Florencji w okolicach 1317 roku.

Byliśmy już na parkingu, gdy przyszło mi do głowy pytanie.

- Ten człowiek, w którego sprawie dzwonił do ciebie koroner. Gdzie go znaleziono?

- Nie jestem dokładnie pewien. Policja ma mnie tam zawieźć. Gdzieś niedaleko Donore.

Znowu zadzwoniła melodia z *Tubular Bells*. Sherry odebrał telefon.

- Sherry... co?... powtórz... jesteś pewien? - Słuchał, a rozmówca coś potwierdzał. Potem Sherry powoli odsunął telefon od ucha i spojrzał na mnie. - Ten nieżywy człowiek... to Frank Traynor. Został zamordowany. Na Monashee.

Rozdział 8

Wzdłuż zwirowanej drogi na grobli ustawiły się trzy policyjne radiowozy oznakowane żółtymi pasami. Srebrny mercedes Traynora stał zaparkowany mniej więcej w połowie drogi między drogą a brzegiem rzeki. Miejsce oświetlały reflektory, nadciągającą od wody mgłę od czasu do czasu przecinały wąskie snopy latarek. Z radiowozów dobiegał dźwięk skrzeczących radionadajników. Sylwetki rozmawiających półgłosem ludzi przemykały w świetle reflektorów.

Sherry poszedł przodem, minął policyjne auta i krótko oświecił latarką wnętrze mercedesa. Snop światła odbił się od zakrwawionych szyb, ale zdążyłam zobaczyć wystarczająco dużo, by wiedzieć, że tapicerka również była umazana krwią. Sherry podszedł do przodu samochodu i w mglistej ciemności wymówił czyjeś imię.

Z mgły, z ponurą miną, wyłonił się mężczyzna ubrany w garnitur i krawat. Sherry patrzył na niego przez chwilę badawczo, po czym stracił zainteresowanie. Oczekiwał kogoś innego.

Rozpoznałam sierżanta O'Hagana, który odburknął coś na moje powitanie. Wyczułam, że mnie nie rozpoznał - nie miałam nic na głowie. Kiedy mnie mijał, zapytałam:

- Sierżancie O'Hagan?

Zatrzymał się i przypatrywał mojej twarzy.

- Czy kiedy pan Traynor tu przyjechał, był z nim ktoś jeszcze?

- Kim pani, u diabła, jest?

- Tak więc był czy nie, sierżancie? - spytał stojący przy mnie Sherry.

O'Hagan spojrzał gniewnie.

- Mamy zeznania naocznego świadka. Jadąc tutaj, między czwartą trzydzieści a piątą, Frank zatrzymał się na stacji benzynowej w Donore. Był sam.

- Dziękuję, sierzancie - odpowiedział słodko Sherry.

O'Hagan poszedł w swoim kierunku. Postanowiłam na razie nic nie wspominać o Muriel Blunden.

Kasznięcie sprawiło, że obejrzeliliśmy się i zobaczyliśmy wychudłego, starszego mężczyznę, którego wzięłam za koronera. Zaciągał się papierosem i gestem przywołał do siebie Sherry'ego. Poszliśmy za nim kilka metrów, mijając samochód Traynora, do miejsca, w którym mgłą rozświetlały co najmniej cztery latarki. Snopy światła nakierowane były na leżącego twarzą do ziemi człowieka, którego górna część ciała spoczywała na wsuniętych pod ciało ramionach. Ręce zakrywały twarz, jakby umarł podczas płaczu, modlitwy czy też obu tych czynności. Rozpoznałam srebrny krawat

- Zakładam, że znaleźliście go dokładnie w takiej pozycji? - spytał Sherry.

- Tak, musiał próbować ucieczki przed napastnikiem. - Koroner ponownie się zaciągnął i zakaszał. Długotrwałe palenie zniszczyło mu płuca.

- Albo został tutaj przyniesiony.

- Po co ktoś miałby to robić? - westchnął patolog, który najwyraźniej wolał, aby sprawą od początku zajmował się patolog kr-
Próbował go pan odwrócić? - spytał Sherry, klękając przy ciele.

- Nie, ranę na gardle widać jak nic. Sądząc po ilości krwi, którą stracił, nie mam wątpliwości, co do przyczyny śmierci. Postanowiłem zostawić resztę panu.

- I jest pan pewien, że to Traynor.

- Yhy.

Koroner odkaszlnął flegmę.

- Tak, to jest Traynor. To sterczało spod jego ciała.

Wyciągnął w kierunku Sherry'ego białą, zakrwawioną kopertę. Mogłam dostrzec jedynie słowa „Frank Traynor” napisane na maszynie w miejscu, gdzie powinien być adres.

Sherry przekazał mi swoją latarkę i założył parę rękawiczek chirurgicznych, które wyciągnął z kieszeni kurtki.

- Poświeć mi, proszę.

Wziął kopertę. Była otwarta. Zgrabnie wyciągnął z niej coś, co wyglądało na kartkę świąteczną. Oświetliłam ją latarką.

Stylizowany, złoty wzór na purpurowym tle otaczał słowa: „Niech spokój Ziemi, Wody i Powietrza będzie z tobą i niech odradzające się Słońce na nowo rozbudzi wszystkie twoje marzenia”.

Sherry otworzył kartkę i pokazał kolejny napis: *Sic Concupiscenti puniuntur.*

- Mówi ci to coś? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- To łacina. „Ukarani będą... ci, którzy są... pożądlivi”? - Udało mi się przetłumaczyć.

Sherry chrząknął i podał kartkę z kopertą najbliższemu policjantowi. Następnie wsunął rękę pod ciało, obrócił je i dał mi znak, bym oświetliła twarz Traynora.

Przez sekundę czy dwie, dłonie martwego mężczyzny pozostawały na miejscu, lecz jego gardło było widoczne - przypominało lśniący, czerwony szalik z przebiegającą przezeń ciemną linią. Dłonie zsunęły się z twarzy.

- O, kurwa! - powiedział policjant, który chwilę wcześniej wepchnął się przede mnie, częściowo zasłaniając mi widok.

- Jezu Chr... - Koroner zaniósł się kaszlem.

- Illaun - powiedział miękko Sherry - podejdź tutaj. Chcę, żebyś to zobaczyła...

Podeszłam i przykucnęłam obok patologa. Najpierw nie zdawałam sobie sprawy, co mi pokazywał Sherry, widziałam tylko okropieństwo - puste oczodoły, odkryte zęby otoczone owalem żywego mięsa. I wtedy wyczułam osobliwie znajomy zapach.

- ...I spójrz tutaj...

Z boku głowy znajdowała się rana - ślad po wystrzale z pistoletu? Sherry obrócił głowę ofiary, abym mogła zobaczyć z drugiej strony. Kolejna rana, z dziurą pośrodku.

Wreszcie do mnie dotarło.

Ciało Traynora nie zostanie wystawione, aby krewni i przyjaciele oddali mu hołd. Zmarły pozbawiony został oczu, uszu i ust. Tak jak Mona.

Potem zauważyłam coś jeszcze w kącie ust Traynora. Wydawało się, że krew z ran zakrzepła w jednym rogu w zbite kulki, zupełnie jak wosk. Żołądek zaczął wysyłać niepokojące sygnały do mojego mózgu.

Pokazałam to Sherry'emu.

- Co to jest?

Sherry pochylił się bardziej.

- O Boże! - wykrzyknął, wkładając rękawiczkę między jeszcze niezesztywniałe szczęki i wypychając coś z ust denata. – Możesz to sobie wyobrazić? - Zapytał, wstając i trzymając coś między kciukiem a palcem wskazującym. - Mamy tu do czynienia z jakimś psycholem?

W rękę trzymał ciemne, ostro zakończone liście i jasnoczerwone jagody.

Sherry zaparkował obok mojego samochodu przy szpitalu w Droghedzie. Przez całą drogę powrotną nie zamieniliśmy ani jednego słowa.

Chociaż oboje byliśmy zawodowo związani ze śmiercią, ja zajmowałam się szczątkami ludzi, którzy umarli dawno temu w okolicznościach, których mogłam się tylko domyślać. Przez rok studiowałam na archeologii zagadnienia z medycyny sądowej i uczestniczyłam w sekcjach zwłok, które właściciel za życia postanowił przekazać nauce. Łatwo było zachować obojętność przed anonimowym ciałem i patrzeć na nie, jak na fascynującą strukturę tkanek i kości.

Wiele razy widziałam i dotykałam szczątków zmarłych i nie miałam problemów z zachowaniem dystansu wobec tych, po których zostawała jedynie kupka kości lub plama w ziemi. Szybko nauczyłam się, że nawet kompletne szkielety czy dobrze zachowane mumie nie były niczym więcej niż skamielinami lub skorupami niegdysiejszych ludzi. Nawet ciała moich zmarłych krewnych, złożonych w otwartych trumnach z rękami w modlitewnej pozie i z różańcem, bardziej przypominały figury woskowe nieudanie naśladowujące wujków i ciotki, których znałam.

Zaledwie trzy godziny temu widziałam Franka Traynora żywego na ulicach Droghedy. Teraz leżał martwy na polu niedaleko Boyne. Oglądałam nie tylko jego ciało. Mogłam wejrzeć również w to, jak został zamordowany. Ten fakt nasunął mi myśli, że dusza nie opuszcza ciała natychmiast.

Szokująca była również brutalność, z jaką dopuszczono się zbrodni.

- Nie wystarczyło tylko go udusić - odezwał się Sherry. Myślał o tym samym. Wyłączył światła, ale zostawił silnik uruchomiony.

- Moim zdaniem siedział w samochodzie, kiedy napastnik złapał go od tyłu i użył jego krawatu, by odciąć dopływ krwi tętniczej, a potem poderżnął mu gardło. Ktokolwiek to uczynił, został obryzany krwią.

Przypomniały mi się umazane we krwi okna i snop latarki na przemoczonej krwią tapicerce.

- Jak udało mu się wydostać z samochodu?

- Myślę, że nie myliło mnie przecucie. Został wyciągnięty z auta, a następnie okaleczony.

Przed oczyma miałam Traynora leżącego z dłońmi zakrywającymi twarz.

- O Boże! On był wciąż przytomny.

- Obawiam się, że tak, Illaun. Ale tylko przez chwilę, bo szybko tracił krew. Zastanawiamą mnie dokładnie te same rany, które widzieliśmy u kobiety w kostnicy. Oznacza to, że ktoś musiał tam wejść. - Spojrzał na mnie z przerażeniem. - Zostawiliśmy klucz u twoich pracowników. Musimy sprawdzić...

- Już to zrobiłam. Nikomu nie dawali klucza. Ale owszem, ktoś wszedł do kostnicy, gdy nas nie było. Frank Traynor.

- Traynor? To nie ma sensu. Jesteś pewna?

- Wyczułam jego wodę kolońską. Potwierdziłam to, gdy klęczałam przy jego ciele.

- Ale po co miałby tam iść?

- Tego nie wiem. Ale raczej nie po to, by popatrzeć na Monę. - Wyjaśniłam Sherry'emu, że ktoś ruszał przykrycie nad zwłokami noworodka.

- Ale dlaczego?

- No właśnie. Porozmawiajmy o tym dziecku. To dziewczynka. Czy był poród?

- Raczej tak. Nie ma śladów wiązania łożyska, choć trudno wywnioskować z pnia pępowiny, czy zostało oddzielone, czy po prostu wyschło. Urodziła się martwa czy żywa? Trudno określić. Lecz nawet jeśli technicznie była żywa przy urodzeniu, pewne jest, że biedactwo nie miało szans na łyk powietrza - było to dla niej fizycznie niemożliwe.

- Więc jak określisz przyczynę śmierci?
- Liczne anomalie strukturalne, uniemożliwiające życie.
- A co jest przyczyną takich... anomalii?

Według Finiana, samo Monashee było anomalią.

- W tym przypadku rozpoczęło się od tworzenia się mózgu, czy raczej jego braku. - Przypomniała mi się szara grudka umiejscowiona na odciętym spodku czaszki. - Mózg nie rozdzielił się na dwie półkule, a ponieważ w rozwoju płodowym istnieje dwukierunkowy proces pomiędzy formowaniem się mózgu i czaszki, skutkuje to wrodzonym defektem symetrii twarzy, czego dowodem jest pojedynczy oczodół.

- Ale dziecko miało dwoje oczu, nie jedno.

- Owszem, dwoje, ale stopionych ze sobą. Zwykle uważa się, że nasze oczy powstają oddzielnie, lecz najnowsze badania wskazują, że strefy oczne płodu stanowią na początku jedno, a potem się rozdzielają. Jeśli do tego nie dojdzie, mamy cyklopie - z jednym lub dwoma oczami, lub czasami tylko szparę pozbawioną oka w ogóle. Jak widziałaś, oczodół może być umieszczony tam, gdzie zazwyczaj formuje się nos, który przesunięty zostaje wtedy nad oczodół. Mówię „nos”, choć jest to jedynie mięsista rurka bez żadnych otworów.

- Boże, to jakiś koszmarny dowcip genetyczny.

- W pewnym sensie tak. A to biedactwo doświadczyło nie tylko tego. Pamiętasz jej kończyny?

- Bulwkowato zakończone kikuty - odpowiedziałam.

- Znane jest to jako fokomelia - niewykształcenie kości długich. Także palce dłoni i stóp są zrosnięte - ten stan zwany jest syndaktylią. Wydaje się, że natura okazała swą okrutną łaskę, gromadząc liczne wady wrodzone, tak by zniekształcony noworodek nie przeżył. A w tym przypadku na tym się nie kończy - anencefalia, retrofleksja czaszki, wszystko to przysparzało matce znacznych trudności przy porodzie.

Poród. Myśl, że komuś przyszło urodzić takie stworzenie wywołała we mnie dreszcze. Być może odezwał się atawistyczny kobiecy lęk.

- Ciągle nie powiedziałaś, co wywołuje takie wady.

- Czasami są efektem zwykłych mutacji - zdarzają się częściej, niż byś podejrzewała, lecz zazwyczaj we wczesnym etapie ciąży

następuje poronienie takiego płodu. Czasami to bywa dziedziczne - gen recesywny ujawnia się co kilka pokoleń w rodzinie. W niektórych przypadkach to wina lekarstw lub promieniowania. Właśnie dlatego wykonamy testy DNA.

- To może być skomplikowane. Ten sam proces, który konserwuje ciała z bagien, wyflukuje z nich DNA.

- Hmm... zapomniałem o tym. Ale może wosk zachował kilka nietkniętych komórek.

- Być może, ale wątpię, czy uda nam się pozyskać DNA z Mony. Jeśli nie, to nie będziemy w stanie udowodnić, czy są matką i córką.

- Matką i córkami, prawdę mówiąc.

- Najpierw należałoby określić ich wiek, nieprawdaż?

- Coś knujesz, Illaun. O co ci chodzi?

- O datowanie szczątków węglem C14. U mnie będzie to trwało strasznie długo - tygodnie, jeśli nie miesiące. Przyspieszona spektrometria masowa mogłaby to znacznie ułatwić... - Robiłam aluzję do procesu, który miligram zwęglonej materii analizuje w godzinę, w przeciwieństwie do konwencjonalnej metody badania kilku gramów przez szereg dni.

- Twoi ludzie mają dostęp do laboratorium radiowęglowego na Uniwersytecie w Dublinie. Potrzebuję tylko przybliżonej oceny - po jednej próbce z każdego obiektu, bez badań dendrologicznych. Czy możesz to dla mnie zrobić? - Jeśli Monashee miało zostać zabezpieczone jako stanowisko archeologiczne, tym bardziej potrzebowałam szybkiej informacji.

- Wiesz, że to jest cholernie drogie i stosowane przeze mnie tylko w przypadku sprawy kryminalnej.

- Prawdę mówiąc, to właśnie jest taka sprawa. Ktoś kopiuje morderstwa z przeszłości. Oznacza to, że musisz być absolutnie pewien, że ciało z bagna jest tak stare, na jakie wygląda.

Sherry westchnął.

- Dobrze. Ale kto za to zapłaci?

- Muzeum Narodowe. Ale oni jeszcze o tym nie wiedzą. I jeszcze jedno: wydaje mi się, że Mona trzyma coś w jednej ręce. - Opowiedziałam, jak usiłowałam włożyć ostrze scyzoryka pomiędzy jej

- Ach, ja też zastanawiałem się, dlaczego ma zaciśniętą pięść - powiedział. - Starłem się ją otworzyć, lecz nie chciałem

ryzykować połamania jej kości. Myślę, że powinniśmy poczekać na rentgen przed podjęciem decyzji.

- Daj mi znać, jak tylko będziesz miał wyniki.

Sherry zaczął skubać palec wskazujący.

- Pamiętaj, Illaun - przysługa za przysługę.

Co miał na myśli?

- Nie ma sprawy.

Spojrzał na czarną sylwetkę starej kostnicy, rysującą się na tle nieba.

- Chyba ktoś jeszcze, oprócz Traynora, musiał być tutaj dzisiaj.

Być może przyszli razem.

- To możliwe.

- A może przypomniało ci się coś jeszcze w związku z tekstem kartki?

Pomyślałam przez chwilę.

- Pożądliwość kojarzona jest z żądzą. Wydaje mi się, że żądzą fizyczną, choć może ogólnie dotyczyć chęci wzbogacenia się. Myślę, że frazę z kartki można rozumieć jako: „Oto kara dla tych, którzy zawinili żądzą”.

- No cóż, nic nie wiem o libido Traynora i o jego metodach robienia interesów, ale jestem prawie pewien, że przyczyną jego śmierci było rozkopanie pola. - Sherry włączył światła samochodu. - A ten, kto go zabił, raczej nie chce, byś też się tym zajęła.

- Sugerujesz, że jestem w niebezpieczeństwie?

- Uważam, że powinnaś na siebie uważać.

- Dziękuję za twą troskę, Malcolmie - powiedziałam i wysiadłam z jego rangę rovera. Gdy odjechał, nacisnęłam przycisk odblokowujący drzwi w moim samochodzie, lecz spostrzegłam, że były one otwarte. Czyżbym je tak zostawiła? Przez kilka sekund stałam na zewnątrz, zaglądając przez okna do środka.

Nikogo tam nie było.

Oglądałaś za dużo horrorów, Illaun. Wsiadaj do samochodu.

I wtedy usłyszałam czyjś oddech. Po kręgosłupie przebiegł mi lodowaty dreszcz strachu. Odwróciłam się i spojrzałam na kostnicę. Wejście ukryte było w głębokim cieniu. Stamtąd właśnie dobiegał ten dźwięk. Był dziwny - jakby ktoś z zapchanym nosem i gardłem ze świstem łapał powietrze. Może to jakieś zwierzę? Pies?

Dostrzegłam ruch. W moją stronę zbliżał się rozmazany biały kształt. Nie mogłam się poruszyć. Lodowaty dreszcz przeszył mnie na wskroś.

Wsiadaj do samochodu, Illaun. Natychmiast!

Uwolniłam się z odrętwienia, szarpnęłam drzwi, wsiadłam do środka i zatrzasnęłam je za sobą. Centralny zamek zadziałał. Jednak nie mogłam włożyć kluczyka do stacyjki. *Cholera!*

Wzięłam głęboki oddech. Kluczyk gładko wskoczył na miejsce.

Uruchomiłam silnik i światłami oświetliłam cały parking aż do wyjazdu. Na ścianie kostnicy dostrzegłam zniekształcony cień, przypominający kraba lub skorpiona wznoszącego swe kleszcze w ruchu obronnym.

Rozdział 9

W drodze powrotnej do Castleboyne nie mogłam pozbyć się wrażenia, że w samochodzie oprócz mnie znajdują się jeszcze dwa duchy. Siedziały razem na tylnym siedzeniu - Mona z gumowatą, zniekształconą twarzą, a Traynor z krwawym uśmiechem na wyszczerzonej twarzy i z pustymi oczodołami. Wyobraziłam sobie, że jeden z nich siedzi w ciemnościach obok mnie i zaczęłam się bać, że światła nadjeżdżającego pojazdu odsłonią mi jego rzeczywistą

Gdy zadzwonił telefon i po drugiej stronie usłyszałam głos mojej matki, poczułam taką ulgę, że zjechałam na pobocze drogi i pozwoliłam jej trąkotać o tym, co robiła w ciągu dnia, ludziach, których spotkała na zakupach, zasłyszanych ploteczkach i swoich planach zakupu prezentu gwiazdkowego dla wnuka.

- ...no i? Jak ci się wydaje?

Zorientowałam się, że jej nie słuchałam. Wystarczył mi tylko dźwięk jej głosu.

- Jesteś tam, Illaun?

- Tak, mamó. Coś przerwało na sekundkę. Co chciałaś dać Eoinowi?

- Dmuchany namiot. Może się nim bawić i w domu, i w ogrodzie.

- Na pewno mu się spodoba. Ale skontaktuj się może z Gretą, na wypadek gdyby miał coś podobnego.

- Dobrze. Chciałabym ubrać z nim choinkę. Na pewno mu się spodoba.

- Na pewno.

- Wiesz, że Richard strasznie tęskni za ojcem. Żeby wrócił choć na jeden dzień...

- Tak, mamó. Ale wiesz przecież, że to niemożliwe.

Westchnęła.

- Tak mi źle. To była zawsze ulubiona pora roku Paddy'ego - powiedziała drżącym głosem.

- Przerabialiśmy to już setki razy. Porozmawiam z Richardem, okej?

Pociągnęła nosem.

- Dobrze, kochanie. Ale dzwonię do ciebie głównie po to, żeby zapytać, czy jadłaś. Zostało mi trochę polędwicy wieprzowej. Po powrocie miałabyś kolację.

Dziękuję bardzo, już dziś jadłam pieczone mięso, a mój żołądek nie czuje się najlepiej po tym, co widziałam.

- Czy mogłabyś zostawić ją w lodówce? Zjem później.

- Co słychać w pracy? - Moja matka zawsze powraca do tego tematu, gdy nie mam apetytu.

- Nie chodzi o pracę. Po prostu zjadłam dziś całkiem solidny obiad.

- Na pewno?

Duchy znowu zaczęły się materializować. Najpierw je przegoniła, a teraz je przyzywa.

- Oj, mam. Daj spokój.

- No dobrze, kochanie. Ale nie musisz na mnie warczeć.

- Przepraszam. Muszę już kończyć, do zobaczenia.

Wyciszyłam telefon, włączyłam radio i zaczęłam wyjeżdżać na drogę. Przy akompaniamencie grzmiącego z głośników *Galopu Walkirii* zza drzew wyłoniła się olbrzymia postać i przemknęła obok samochodu. Prawie skręciłam do rowu, aby uniknąć zderzenia, równocześnie zdając sobie sprawę, że był to poruszający się cień, rzucany przez przednie światła nadjeżdżającej sąsiednim pasem ciężarówki. Serce waliło mi jak młotem. Wyłączyłam radio.

Weź się w garść, Illaun.

To nie było do mnie podobne. Nastraszona przez cienie, pozwoliłam sobie na dziwaczne myśli, w których Mona mściła się na Traynorze za zakłócenie jej spokoju lub regulowała rachunki za zbrodnię jej wyrządzoną.

Ale te myśli wydawały się nie bardziej bezsensowne niż sugestia, że to Malcolm lub ja zabiliśmy Traynora. Jak dotąd, taki wniosek byłby całkiem uzasadniony, gdyż byliśmy jedynymi osobami, które wiedziały, jakiego rodzaju obrażeń doznało ciało z bagien wieki temu. Chyba że Sherry miał rację i ktoś jeszcze był w kostnicy z Traynorem.

Albo... Wiedziałam, że to wariactwo, lecz musiałam rozważyć to choćby przelotnie. Chyba, że źle odczytaliśmy wiek Mony, która została zamordowana i utopiona w bagnie całkiem niedawno. Mogło to oznaczać, że jej morderca nadal żył. Nie, to niemożliwe. Zbyt wiele nieprawdopodobieństw.

Bardziej prawdopodobny był fakt, że Traynor został zamordowany w wyniku źle poprowadzonych interesów. Może jego ostatnie przedsięwzięcie hotelarskie przyciągnęło uwagę jakichś kryminalistów, a on nie zgodził się na płacenie haraczu?

Czy zakonnice, które również miały czerpać korzyści z hotelu, były tego świadome? Trzeba by było się im przyjrzeć. Mogła istnieć szansa, że nadal miały coś do powiedzenia w sprawie Monashee. Chciałabym również dowiedzieć się, jakiego rodzaju prawa własności obowiązywały na ich ziemiach i czy miały jakikolwiek związek z innymi częściami doliny rzeki Boyne.

Mój umysł galopował z jednego ślepego zaułka w drugi. Byłam pewna, że Malcolm Sherry, przeprowadzający w tej chwili kolejną sekcję zwłok, również boryka się z tą samą zagadką. Z tym że on miał gorzej, gdyż musiał wyjaśnić samemu sobie, dlaczego ciało, nad którym pracował, miało te same rany, co ciało, któremu robił sekcję wcześniej tego samego dnia.

Potrzebowałam zmiany tematu. Sięgnęłam do przegrody i wyjęłam płytę Emmylou Harris *At The Ryman*. Włożyłam ją do odtwarzacza i podkreśliłam dźwięk. Muzyka country była moim sekretnym nałogiem, nigdy niewypowiedzianą miłością. Nie wstydziłam się jej, lecz zmęczyły mnie ludzkie drwiny i uwagi, że chyba cierpię na jakąś chorobę społeczną. „Tak więc jesteś fanką muzyki country? Nie martw się, to można leczyć”.

Byłam już prawie w domu, śpiewając na cały głos *Cattle Call*, gdy zauważyłam błyski z mojego telefonu. Odchylając klapkę, zauważyłam wyświetlone imię Finiana. W tym samym momencie światła mojego samochodu napotkały mętną ścianę mgły.

Zwolniłam, wyłączyłam muzykę i przyłożyłam telefon do ucha.

- Czy wszystko w porządku, Illaun? Właśnie w telewizji mówią o morderstwie niedaleko Newgrange. Podobno znaleziono ciało mężczyzny. Wiesz, kto to?

- Wiem - powiedziałam znużonym głosem. - Biznesmen Frank Traynor. Ten, który zamierzał wybudować tam hotel.

- To nie twoja sprawka, prawda?
- Och, Finian, nie żartuj. Widziałam ciało i był to widok raczej przerażający. A co dziwne...

Prowadziłam jedną ręką, drugą trzymałam telefon, a mgła wcale nie ułatwiała jazdy.

- Poczekaj, zadzwonię, jak dojadę. Ale mam jeszcze dla ciebie coś, nad czym mógłbyś się zastanowić. Jakiego rodzaju prawo własności może mieć opactwo lub zakon do ziemi nadanej w czasach normańskich, które stałoby nad współczesnym prawem budowlanym? - Naciśnęłam czerwony przycisk, bez wątplenia dając Finianowi argument, pasujący do jego teorii dotyczącej kobiecych mózgow, przeskakujących z oszałamiającą prędkością z tematu na temat.

Wjechałam do Castleboyne zanurzonego w rzeczną mgłę, w której płynęły delikatnie połyskujące dekoracje uliczne.

Na dywaniku, brzuchem do góry, leżał Boo, niczym martwy kot z kreskówki. Przednie łapy miał ugięte, wisiały mu w powietrzu, a tylne rozrzucił na boki, ukazując duży, pokryty miękkim futerkiem brzusek. Ukłękłam, by go pogłaskać, ale szybko wstał i odszedł, machnięciem ogona demonstrując oburzenie. Koty błyskawicznie wyrównują różnice. Gdy już nam się wydaje, że poznaliśmy ich język, dają nam do zrozumienia, że istnieje jeszcze jeden metapoziom i że w naszym tempie poznawczym raczej nie uda nam się go osiągnąć. Może dlatego więcej ludzi woli psy - one nigdy nas nie odtrącają. Bardzo potrzebowałam teraz Horacego, ale znajdował się w drugim skrzydle, z moją matką. Nie byłam w stanie wysłuchiwać pytań na temat mojego apetytu.

Pomyślałam, że może mi pomóc prysznic. Weszłam do sypialni, na nocnym stoliku zobaczyłam pomięty kawałek żółtego papieru, który rano znalazłam pod łóżkiem. Rozwijając go ponownie, zobaczyłam nagryzmołone ręką ojca: „POKÓJ ILLAUN”.

Takie proste. A mimo to tak dla niego wtedy trudne. I w końcu niemożliwe. Usiadłam na łóżku i wybuchnęłam płaczem.

Płakałam za ojcem i nad mamą, która nie zasługiwała, aby jej zabawnego, błyskotliwego, łagodnego towarzysza życia zagarnęła otchłań choroby Alzheimera. Płakałam z powodu Mony, tak bezdusznie okaleczonej, i oplakiwałam człowieka, którego miałam

wszelkie powody nie lubić. Wiedziałam jednak, że cokolwiek złego uczynił, nie zasłużył, by skończyć w tak szokująco brutalny sposób.

Po policzkach wciąż płynęły mi łzy. Uniosłam twarz i pozwoliłam, by zmyła je tryskająca z prysznicza woda. Po dziesięciu minutach gorącej kąpieli poczułam się lepiej i wyszłam z kabiny. W holu dzwonił telefon. Niespiesznie udałam się w jego kierunku i podniosłam słuchawkę.

- Halo?

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - To był Finian.

- Tak, czuję się... - Oddech przerwały mi wydobywające się z piersi resztki szlochu. - Tak, czuję się dobrze. - Wtem przypomniałam sobie, że miałam do niego zadzwonić.

- Wcale nie czujesz się dobrze, Illaun. Chcesz, żebym do ciebie wpadł? Zabrałbym cię na drinka?

- Nie, dzięki. Po prostu muszę się wyluzować i wcześniej położyć spać. Przepraszam, że nie zadzwoniłam tuż po powrocie. Po prostu zupełnie zapomniałam.

- Pamiętasz chociaż, o co mnie prosiłaś?

- Ee... - Zapomniałam. *Gdyby moja pamięć mogła być tak dobra, jak wyobraźnia.*

- *Frankalmoign.*

- Słucham?

- *Frankalmoign.* To z normandzkiego. Innymi słowy, „prawo posiadania własności według wolnych datków”. Czy coś takiego.

- O czym ty mówisz?

- Prawo starożytne... klasztory... własność kościelna. Przypominasz sobie? Jezu, twój mózg potrafi w bardzo krótkim czasie przełączyć się z mocy maksymalnej na minimalną.

- Nagle przypomniałam sobie, co o opactwie Grange mówił Seamus Crean. - Ale czym *jest frankalmoign!*

- Przypomnij sobie prawa podziału ziemi między spadkobierców i tak dalej. Terminologia feudalna. *Frankalmoign* określa własność i przywileje nadane kościołowi przez miejscowego feudała w zamian za pewne usługi, zwykle za modlitwy w intencji jego i całej rodziny. Masz na myśli jakiś konkretny przykład?

- Tak, opactwo Grange. Zakonnice, które sprzedały Monashee Frankowi Traynorowi. To jakiś zakon opiekuńczy.

- Katolickie zakonnice?
- O ile wiem, to tak. „Przybyły wraz z Normanami”, jak mi powiedział Crean.
- A więc są tu od dwunastego wieku. Biorąc pod uwagę naciski z obu stron, trudno powiedzieć, jak udało im się do tej pory przetrwać.
- Z obu stron? Co masz na myśli?
- Z jednej strony musiały się uchylać przed tzw. *Periculosos*. To był dekret papieski wydany przez papieża Bonifacego w 1298 roku. Pozwalał mniszkom na przebywanie wyłącznie w zamkniętym środowisku. Mogły swobodnie wychodzić dopiero w dziewiętnastym wieku, dlatego większość zakonów żeńskich, które znamy, zostało utworzonych właśnie w dziewiętnastym stuleciu. Z drugiej strony, odizolowane czy nie, musiałyby przetrwać rozwiązanie klasztorów, przeprowadzone przez Henryka VIII, Cromwellovską konfiskatę mienia i wreszcie prawa antykatolickie. Tyle odnośnie do przeszkód.
- No cóż, wygląda na to, że te zakonnice jakoś przetrwały.
- Może miały po prostu szczęście.
- Wątpię. Sądzę, że były tolerowane z jakiegoś powodu. Przez cały ten czas, począwszy od Normanów.
- Hm... Może, kiedy wkroczyła reformacja, chroniło je w pewnym stopniu angielskie pochodzenie. Nawet jeśli zakon był katolicki, to przynajmniej nie reprezentował barbarzyńskiej, zbuntowanej Irlandii. Tak przy okazji, jak on się nazywa?
- Nie wiem... - Odchyliłam słuchawkę, by nie było słyhać mojego ziewnięcia. - Pytanie do ciebie. Czy *frankalmoign* wciąż posiada moc prawną?
- Hm... nie jestem pewien. Zgodnie z tym, co przed chwilą czytałem, zostało zniesione w prawie angielskim w 1925 roku, ale sądzę, że straciło rację bytu dużo wcześniej.
- Dlaczego?
- Ponieważ do połowy osiemnastego wieku prawie całe mienie Kościoła katolickiego zostało skonfiskowane, arystokracja protestancka zaś nie wspierała klasztorów i temu podobnych. Co nie znaczy, że *frankalmoign* od czasu do czasu nie pojawiało się w aktach własności, jak mogło być też i tym razem. Ale jakiegokolwiek prawa czy przywileje otrzymało opactwo Grange

w zamian za świadczone usługi, to wątpię, czy, oprócz mienia, mogłyby zostać odsprzedane.

- Finian, to naprawdę interesujące, ale obawiam się, że będziemy musieli na tym przerwać naszą pogawędkę. Jestem wykończona. -

Ogarnęło mnie silne zmęczenie.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc i poczłapałam do sypialni. Moje ostatnie myśli dotyczyły usług, jakie mogły świadczyć zakonnice z opactwa Grange, i za które otrzymały na ponad osiemset lat niekwestionowany tytuł prawny do własności. Modlitwy za zmarłych? To chyba niezły interes.

W ciemności nic nie było widać. Szturchnięcie w bok. Dwie łapy. I ten odgłos. Mruczenie.

- Aua, Jezu, Boo, idźże spać! - jęknęłam.

Musiał schować się gdzieś w pokoju, zanim położyłam się do łóżka. Będę musiała wstać i go wyrzucić. Ale może wreszcie się uspokoi. Ponownie zasnęłam.

Jakiś czas później - godzinę, dwie, trudno stwierdzić - znów się obudziłam. Nasłuchiwałam mruczenia, czekałam na miękki dotyk łap, cichutkie miauknięcia, nawet na odgłos skakania na drzwi. Nic. Boo spał. W takim razie, co mnie obudziło?

To szczekał Horacy. Wiedziałam, że nie po raz pierwszy. Jeśli to się powtórzy, będę musiała wstać z łóżka i pójść go uciszyć. Byłam jednak bardzo zmęczona i czekałam w nadziei, że sam się uspokoi.

Pies zaszczekał ponownie. Dźwięk wiercił mi czaszkę niczym odłamek szrapnela.

- Do cholery - mruknęłam i wytoczyłam się spod kołdry. Przeszłam cichutko do składziku, gdzie wsunęłam stopy w jaskrawoczerwone gumowe chodaki ogrodowe i narzuciłam stary, zielony polar. Słyszałam, jak Horacy sapał po drugiej stronie drzwi. Kiedy mu otworzyłam, nie przywitał się ze mną, tylko podbiegł do drzwi na patio i czekał, aż go wypuszczę. Ciało miał napięte, niecierpliwie czegoś oczekiwał. Przynajmniej wiedziałam, że nie mieliśmy żadnego intruza

- Coś tam jest, piesku? - szepnęłam, próbując przekonać siebie, że to tylko lis albo królik, co by wyjaśniało zdenerwowanie

psa. Niecierpliwie drapał drzwi na patio. Niemniej jednak bałam się je otworzyć.

Mogłam pójść do salonu i odsunąć zasłony przy rozsuwanych oszklonych drzwiach, które również prowadziły na patio. Ale to sprawiłoby, że poczułabym się w pewnym sensie jeszcze bardziej bezbronna. Horacy machał ogonem i drapał drzwi. Były zamknięte i zaryglowane, miały też dodatkowe zabezpieczenie na łańcuch, który

Wsunęłam łańcuch w zapadkę i odryglowałam drzwi. Biorąc głęboki oddech, przekreśliłam zamek Yale. Miałam zamiar uchylić je tylko na tyle, żeby dało się przez nie zerknąć. Ale to tylko doprowadziło psa do szału. Nagle pchnął drzwi i warcząc na ciemność, wystrzelił do przodu.

Trzymane łańcuchem drzwi, prawie się z powrotem zamknęły, więc przyłożyłam do nich ucho, nasłuchując warknięć i pisków, kiedy Horacy złapie swą zdobycz. Niczego takiego nie słyszałam.

Włączyłam od wewnątrz lampę oświetlającą patio i otworzyłam drzwi na całą szerokość łańcucha. Gęsta mgła spowijała ogród, światło przeszywało przestrzeń tylko kilku metrów wyłożonego kafelkami tarasu. Ledwo mogłam dostrzec Horacego. Wpatrzony przed siebie czał się na terakocie i powoli wycofywał. Głowę miał skierowaną na bok, spojrzenie do góry, uszy płasko przy głowie, obnażone zęby, a sierść zjeżoną na karku. Zamiast warczeć, dziwnie świszcział. Był ranny?

Nad nim stała postać w białej szacie lub jakimś kombinezonie. Powoli zaczęła wycofywać się we mgłę. Przetarłam oczy ze snu. Nie mogłam dostrzec twarzy, była... zasłonięta woalem.

Postać znikła.

Horacy zawrócił do domu, cicho machał ogonem. To nie on świszcział.

Wpuściłam psa do środka, zatrzasnęłam drzwi i trzęsącą się ręką zasunęłam rygiel. Adrenalina, której poziom zaczął mi się podnosić, sprawiła, że moje serce dudniło. Oparta ramieniem o drzwi próbowałam pojąć, co takiego widziałam. Postać we mgle miała na sobie kapelusz ze zwisającym z przodu woalem. Biały kombinezon. Biały kapelusz i woal.

Wyglądało na to, że mój nocny gość nosił kombinezon pszczelarza. Pszczelarza. W środku zimy.

18 grudnia

Rozdział 10

Był niedzielny poranek. Wiedziałam to, ponieważ słyszałam matkę przygotowującą w kuchni śniadanie, a tylko w niedzielne poranki jadałyśmy razem. Wydarzenia poprzedniego dnia zaczęły przesuwac się w mej głowie jak stara kronika filmowa, osiągając kulminację w scenie z zasnutym mgłą ogrodzie. Usiadłam w szoku. Jak mogłam w ogóle zasnąć po czymś takim? Nawet nie próbowałam zadzwonić na policję, a przecież zawsze jestem pierwsza w wydzieraniu się na głupich bohaterów filmowych, nie zachowujących podstawowych środków ostrożności. Uznałam, że mój opóźniony system obronny po prostu wyłączył się, by przez noc naładować baterie.

- Illaun? Wstałaś? Już dziesiąta.

- Taa... już wstaję. - Wśliznęłam się z powrotem pod kołdrę, owinęłam nią i postarałam się złapać lot powrotny do krainy snów.

- Illaun! - Znowu się obudziłam, cała napięta. Ten głos był chyba w stanie przewiercić się przez otwór gruby na kilometr - Śniadanie gotowe. Czas wstawać!

- Już wstałam, wstałam. - *Błagam, nie wołaj mnie więcej.*

Odwinęłam się z kołdry i ujrzałam wpatrującą się we mnie parę oczu - żółtych i okrągłych jak plasterki cytryny. Boo usadowił się na mojej poduszce i spoglądał na mnie z góry.

- Cześć, Boo. Dobrze spałeś?

Kot mrugnął. Odmrugnęłam. Dobrze poinformowani właściciele kotów tak robią. To po to, by podtrzymać komunikację międzygatunkową. Jednak czasami mam wrażenie, że to koty pobbają naszym dziwactwom.

Boo poszedł za mną do kuchni, lecz wymknął się przez kocie wyjście, gdy mijaliśmy drzwi na patio. Zatrzymałam się, otworzyłam drzwi i wyjrzałam. Mgła zniknęła. Płytki na patio wyglądały na tłuste, z obwisłych gałęzi krzewów i łodyg kwiatów w ogrodzie kapala woda. Wszystkie drzewa były nagie oprócz

palmy kordyliny. Strząsnęłam kapcie i włożyłam czerwone chodaki. Opadłe liście połyskiwały tłusto pod nogami, gdy szłam do miejsca, gdzie znajdowała się postać. Nie było żadnych śladów stóp na płytkach. Dookoła patio i grządek wysypany był dekoracyjny żwir. Tam też nie było śladu. Lecz każdy, kto wszedł do ogrodu od frontu domu, musiał przejść przez trawę.

Dotarłam do końca patio i zbadalam skrawek trawnika, ciągnącego się od krawędzi żwiru do drugiego końca wybrukowanego podjazdu. Trawa była mokra, a ziemia pod nią przesiąknięta wodą. I na pewno śliska. Dostrzegłam kilka miejsc, w których czyjeś odcisnięte stopy straciły oparcie i pośliznęły się na trawie, miażdżąc jej źdźbła i wydłubując trochę ziemi. Lecz trudno było stwierdzić, czy odciski zostawiła osoba wchodząca do ogrodu, czy wychodząca. Prowadziły one za to prosto w kierunku mojego samochodu zaparkowanego na

Owijając się ciasniej szlafrokiem przed zimnym, wilgotnym powietrzem, ruszyłam krótkim zboczem w dół. Rowkowane, gumowe zelówki chodaków nie miały problemów z utrzymaniem się na powierzchni. Z wierzchołka zbocza zobaczyłam zniszczenia. Okno po stronie pasażera w mojej hondzie zostało stłuczone. Kawałki szkła znajdowały się na kostkach brukowych, a pozostała część szyby wgnieciona była do wewnątrz. Jednak radio i odtwarzacz CD były całe, z zapłonu nie zwisały żadne kable, a schowek był zamknięty. Wyglądało na to, że nic nie zginęło i nie było żadnych dalszych uszkodzeń. Sprawdziłam należącego do mojej matki forda Ka, zaparkowanego za rogiem, przy drzwiach wejściowych. Wszystkie okna

Z domu zadzwoniłam na posterunek policji w Castleboyne i zgłosiłam szkodę. Oficer dyżurny odpowiedział, że pijani młodzi wandalami włamali się do kilku samochodów na przedmieściach, a ja najprawdopodobniej również padłam ich ofiarą. Co do odzianego w biel intruza, to policjant złożył wszystko na karb mgły. Pewnie miałam pr. Moja matka siedziała przy stole, czytając gazetę do śniadania.

- Co robiłaś w ogrodzie, skarbie? - spytała, spoglądając sponad okularów i równocześnie nalewając do mojej filiżanki herbatę z zielonego imbryczka. Miała świeżą fryzurę - mocną

trwała na siwiejących brązowych włosach - z rodzaju tych, jakie fryzjerzy narzucają wszystkim paniom po sześćdziesiątce.

- Ktoś włamał się w nocy do samochodu.

Odstawiła imbryk i złapała się za różową bluzkę, którą nosiła pod ciemnoniebieskim swetrem z cekinami.

- Jezus, Maria! Czego mogli chcieć, Illaun?

- Pewnie tego, co zwykle - odtwarzacza, radia. Ale nic nie wzięli. Horacy ich usłyszał i obudził mnie we właściwym momencie.

Uśmiechnęła się.

- Paddy zawsze twierdził, że Horacy jest świetnym psem podwórzowym. - Po chwili w jej głosie pojawiła się obawa. - Nie zaczęłaś ich ścigać, prawda?

- Nie, tylko słyszałam, jak uciekają - skłamałam. - Nie wydaje mi się, że zrobili coś więcej, zanim zdążyłam wyjść.

- Dzwoniłaś na policję?

- Tak. Powiedzieli, że w nocy było kilka włamań do samochodów. Ludzie często zostawiają prezenty na tylnych siedzeniach.

- Dzięki Bogu, że nie zabrali nic twojego. Najlepiej zapomnieć o tym na chwilę i zjeść śniadanie. Mam tu pyszny chleb dla ciebie. No i świetne salami z Yore.

Moja matka spędziła rok w Niemczech i Austrii w latach pięćdziesiątych, po maturze. Raczej nie nauczyła się niemieckiego, lecz zmieniła nawyki żywieniowe. Tak więc my również byliśmy odpowiednio wychowywani - marynaty, kiełbasy, ser, żytni chleb były zawsze rano na stole, nawet w czasach gdy można je było kupić tylko w delikatesach Magill, dokąd ojciec jeździł w weekendy. Czasami przywoził kiełbasę, którą smażyliśmy z jajkami lub jedliśmy na zimno z sałatką ziemniaczaną. No i jeszcze była zawsze galaretka jabłkowa, zaprawiana przez matkę goździkami. To właśnie na nią miałam w tej chwili ochotę, lecz by okazać uznanie, wzięłam kawałek chleba, posmarowałam majonezem Hellmann's Light, położyłam na wierzch plasterki salami ze sklepu Yore i zaczęłam żuć.

- Spójrz na ten artykuł - powiedziała oburzonym tonem. - „Boże Narodzenie - jeszcze jedno pogańskie święto, o którym Kościół woli nie wspominać...” - Zaszleściła gazetą. - Co za

bzdury. Pamiętam dokładnie słowa z katechizmu liturgicznego: „Dlaczego 25 grudnia wybrano na święto? Odpowiedź: by przeciwdziałać i zlikwidować wpływy pogańskiego święta «Niepokonanego Słońca» w czasie przesilenia zimowego”. To chyba oczywiste, czyż nie? Żadna tajemnica.

Wymamrotałam coś pod nosem i zajęłam się jedzeniem. Moja matka była czuła na tego rodzaju sprawy. No i bez wątpienia pogańskie korzenie chrześcijańskich świąt są non stop wałkowane w prasie, lecz w obecnej chwili nie miałam nastroju do dyskusji.

Coś nie dawało mi spokoju. Na kartce znalezionej pod ciałem Traynora był napis: „Niech spokój Ziemi, Wody i Powietrza będzie z tobą i niech odradzające się Słońce na nowo rozbudzi wszystkie twoje marzenia”. Raczej nie były to życzenia bożonarodzeniowe. Dotyczyły bardziej przesilenia zimowego i Newgrange niż Betlejem.

Moja matka wróciła do artykułu, odczytując na głos niektóre wersy i ponuro komentując rolę mediów w podkopywaniu katolicyzmu w Irlandii. Słyszałam piąte przez dziesiąte i zastanawiałam się, czy ironiczne przesłania na kartce miały jakieś dodatkowe znaczenie religijne.

„Oto kara dla tych, którzy zawinili Żądzą”. Słowa wyglądały na cytaty religijny, jednak oba cytaty dzielił znaczny dystans. Pierwszy był banałem w stylu New Age, a drugi brzmiał jak wyrok Inkwizycji. I dlaczego *Concupiscenti* napisano wielką literą? Pomyłka czy nazwa własna? Jeśli wykluczmy pomyłkę, *Concupiscenti* stają się grupą, a nawet organizacją.

- Czy w katechizmie było wspomniane o pożądlivosti? Od razu zastrzegam, że nie powiem ci, dlaczego pytam.

- Chyba nie chcę wiedzieć. Raczej to słowo nie znalazłoby się w katechizmie liturgicznym. Ale pamiętam je z lekcji o doktrynie chrześcijańskiej. Były dwa rodzaje pożądlivosti - pożądlivość oczu i pożądlivość ciała. Pierwsza oznaczała przesadne pragnienie gromadzenia dóbr materialnych.

Czyżbym słyszała definicję wyroku Traynora?

- A druga?

- Pożądlivość ciała jest wtedy, gdy przyjemność zmysłowa staje się celem sama w sobie.

- Hmm... - Jeżeli romansowanie było jego przestępstwem, to zapłacił za nie ogromną cenę.

- Obie są oczywiście grzechami. Ale niewielu ludzi dzisiaj uznaje to za grzech. - Moja matka westchnęła, odłożyła gazetę i powiesiła złożone okulary na łańcuszku na szyi.

- Zmieniając temat, rozmawiałam z Gretą, tak jak mówiłaś. O namiocie dla Eoina.

- Naprawdę? No i? - Upiłam trochę herbaty. Miała idealną temperaturę - zbyt gorąca na wypicie duszkiem, lecz świetna do

- Spodobało jej się. A przy okazji, dziś rano wyjechali na kilka dni do Bostonu w odwiedziny do rodziny Greta. Potem przyjadą tutaj.

- Aha. - Dotarło do mnie. *Zadzwoń do brata w tej drugiej sprawie.*

Teraz jednak nie miałam ochoty na rozmowę z Richardem. Część mojego umysłu rozpamiętywała nocne wydarzenia. Kto lub co było tej nocy na patio? I czy była to ta sama zjawą, która skrywała się w cieniu przy kostnicy? Dlaczego ktoś miałby się tak ubierać? Może to mgła zmyliła mój wzrok. Po co rozbijać okno, nic nie zabierając? Może po to, by mnie zastraszyć. Ale dlaczego? Przypomniało mi się ostrzeżenie Sherry'ego.

- ...telefon wieczorem... - Mama opowiadała o wieczornej rozmowie z synową.

Bliski zamiennik przenikliwego alarmu przeciwpożarowego rozdzwonił się w mojej głowie.

- Kurde, mój telefon. Przepraszam. - Pobiełam do sypialni i z powrotem do holu. Teraz przypominałam sobie, że Finian dzwonił na stacjonarny. Wróciłam do samochodu. Mojej komórki nie było na siedzeniu, gdzie ją zostawiłam. Sprawdziłam, czy telefon nie ześlizgnął się przypadkiem z siedzenia na podłogę, lecz wiedziałam, że nic tam nie będzie.

Byłam wściekła, ale w pewnym sensie odczułam ulgę. Kradzież uwiarygodniła przypuszczenie, że gang młodych bandytów wziął mnie pod uwagę w swym szale zakupowym.

Peggy nie pracowała w weekendy, zatem usiadłam przy jej posprzątanym biurku. Wolałam je od mojego, zawalonego zbindowanymi sprawozdaniami z badań. Dokumenty dla Rady Miejskiej i Zarządu Dróg Krajowych, zdjęcia cyfrowe i polaroi-

dowe, wydrukowane e-maile i rzeczy skopiowane z Internetu -moje biurko nie słyszało o biurze bez papierów.

Najpierw zadzwoniłam na mój skradziony telefon, żeby sprawdzić, czy złodziej nie chce za niego okupu. Włączyła się poczta głosowa, więc nie został wyłączony i nikt nie chciał negocjować. Potem zadzwoniłam do operatora, aby zablokował numer. Potem do miejscowego warsztatu. Powiedzieli mi, że muszą najpierw zamówić szybę i najwcześniej będą ją mieli w poniedziałek koło południa.

Następnie sprawdziłam skrzynkę e-mailową i znalazłam wiadomość wysłaną poprzedniego wieczoru przez Keelana O'Rourke. Podał mi listę elementów znalezionych w torfie, ale nic oprócz skórzanego rzemyka nie przykuło mojej uwagi. Przesłałam tę wiadomość Iwersowi z IAWU, streszczając mu również wszystko, czego dowiedziałam się o Monie. Zasugerowałam, by przeprowadzono dalsze badania na temat okoliczności jej śmierci, gdyż z tego, co wiedziałam, była pierwszą pewną ofiarą rytualnego mordu lub ofiarowania, znalezioną w bagnie na terenie Irlandii. I na wypadek gdyby Ivers jeszcze nie słyszał, w postscriptum poinformowałam go o śmierci Traynora. Prawdopodobnie otrzymałby moją wiadomość dopiero w poniedziałek, jednak bez względu na sądowy zakaz wykonywania prac, zakładałam, że prace na Monashee zostały na weekend wstrzymane, gdyż, o ironio, było to teraz oficjalne miejsce zbrodni.

Zadzwoniłam na Brookfield i zastałam Finiana w połowie późnego śniadania.

- Zadzwonię później - zaproponowałam.
- Lepiej wpadnij do mnie. Coś ci pokażę. Myślę, że to cię bardzo zainteresuje.
- Będę za jakąś godzinę, muszę najpierw coś załatwić. -

Odłożyłam słuchawkę, podniosłam ją ponownie i wybrałam numer międzynarodowy. Była to rozmowa, którą ciągle odkładałam, udając, że to ze względu na różnicę czasu i że będę dzwonić do brata o zbyt wczesnej porze. Znając jednak jego i Grete, prawdopodobnie zarezerwowali sobie poranny lot do Bostonu z lotniska O'Hare i przed siódmą byli już na nogach w swym chicagowskim apartamencie.

Richard jest pediatrą, a ściślej, zajmuje się intensywną terapią noworodków. Im wcześniej rodzi się maleństwo, tym większe

wyzwanie, a jeśli mu się uda je uratować, to tym większa satysfakcja z wykonanej pracy. Ostatnio uderzyło mnie, że podchodzi do przypadku ojca w bardzo podobny sposób, tyle że teraz wyzwanie stanowi powstrzymanie procesu zdziecinnienia osoby dorosłej.

Odebrała Greta. Wymieniłyśmy kilka uprzejmości, po czym usłyszałam brata.

- Cześć starsza siostró. Co mogę dla ciebie zrobić o tak wczesnej porze?

- Mama mówiła mi, że miałeś nadzieję, iż ojciec dołączy do nas w święta. Rzecz w tym...

- Tylko na kilka godzin. Nie potrafię sobie wyobrazić bez niego Bożego Narodzenia. Jestem pewien, że ty też nie.

Przestań mną manipulować.

- Richardzie, to niemożliwe.

- Oczywiście, że to jest możliwe. Illaun, on nie u m a r ł.

Powstrzymałam się przed powiedzeniem czegoś, czego bym potem żałowała.

- Wiem, że trudno ci to zaakceptować, ale jego stan znacznie się pogorszył. Ojciec jest już... poza nami.

- Masz na myśli jego stan umysłowy?

- Również fizyczny.

- Chodzi o to, że nie kontroluje żadnych czynności fizjologicznych?

Chyba możemy sobie z tym poradzić przez jeden dzień? Kiedy byliśmy dziećmi, podcierał nam tyłki; kiedy prowadził mnie do łazienki, żebym się wysikał, trzymał mi nad sedesem siusiaka. Bez wątplenia potrafię zrobić teraz to samo dla niego.

To było trudniejsze, niż mi się wydawało. Wykazywał się najwyższym stopniem samolubstwa, chcąc mieć na święta ojca w domu. Marzyła mu się idylla: świąteczny rodzinny poranek, w radio kolędy, wszyscy otwierają prezenty, w tle choinka, jego synek wdrapuje się dziadkowi na kolana, a babcia w kuchni przygotowuje indyka.

- Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że... - Nie wiem, czemu przypomniało mi się odwapnione ciało Mony. - On jest tylko skorupą. Na święta nie mielibyśmy taty, ale obcą osobę, która przywłaszczyłaby sobie ojca ubrania i trochę by go przypominała. - Po drugiej stronie zapadła cisza. To był lewy prosty. Czas na

nokaut, który nie był dla mnie przyjemny. - No i to głośne zachowanie. Wyobraź sobie, jak zareagowałby Eoin, trzylatek, kiedy ten dziwny facet zacząłby podskakiwać i ryczeć w niebogłosy lub, co gorsza, masturbować się. - Zacisnęłam powieki, mimo to czułam, jak łzy wypływają mi na rzęsy.

- Uważam, że przesadzasz, Illaun.

- Na litość boską, Richard. Myślisz, że wymyśliłabym coś takiego?

- Słyszałam, jak Greta woła męża.

- Słuchaj, muszę już iść - powiedział - mogłabyś zrobić coś z tym cholernym psem?

- Z Horacym? - spytałam z naciskiem. Przynajmniej mógłby nazwać go po imieniu.

- Tak. Z Horacym. A jeśli chodzi o tatę, porozmawiamy o tym po naszym przyjeździe. Może jakaś dodatkowa dawka leków załatwiłaby sprawę na jeden dzień.

Trzymałam telefon z dala od siebie i przyglądałam mu się, kiedy w słuchawce rozlegał się sygnał rozłączania. Cóż to była za strata czasu. I będę musiała przerobić to jeszcze raz. Z trzaskiem odłożyłam słuchawkę i rzuciłam pod adresem brata przekleństwo. Za to, że nie chciał przyjąć prawdy do świadomości.

Już miałam wychodzić z biura, kiedy urządzenie zadzwoniło ponownie. Pomyślałam, że to być może Richard oddzwania i przez moment się zawahałam. Podniosłam słuchawkę, gotowa znowu stanąć

- Nie mogłem cię złapać na komórkę - powiedział męski głos. Nie należał do Richarda. To był głos Malcolma Sherry'ego.

- Cześć Malcolm. Obawiam się, że mi ją ukradli.

- A to pech. Słuchaj, dzwonię z Droghedy. Policja przesłuchuje Seamusa Creana w sprawie zamordowania Traynora.

- Seamusa? To śmieszne! Nie mógłby go zabić.

- Miał powód, aby nie lubić Traynora.

Zobaczyłam siebie i Creana stojących na ulicy i patrzących na Traynora. Rozwiałam jego nadzieje na znalezienie pracy. A wszystko to przez Traynora.

- Daj spokój Malcolm. Ja też miałam. Podobnie jak setki innych ludzi, mogę się o to założyć.

- Rozpatrują też sprawę podobieństwa ran zadanych Traynorowi do tych, które miało ciało z bagna. Crean miał dostatecznie

dużo czasu, aby obejrzeć szczątki w czwartek, zanim przybył ktokolwiek z nas.

- Na miłość boską, znajdowała się w półtonowej bryle mokrego torfu!

- Mógł odkryć ziemię wokół jej głowy, a potem przykryć znowu.

- Ale po co miałby zadawać takie same rany Traynorowi?

- Może w umyśle Creana śmierć sama w sobie nie stanowiła dostatecznej kary za to, co ten człowiek mu uczynił.

- On go tylko wyrzucił z tymczasowej pracy. - Gdy tylko to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, że to słaby argument. Oczywiście, że dla Creana to była poważna sprawa. W końcu widziałam, jak w kościele św. Piotra w Droghedzie modlił się o pracę.

- No i jeszcze ta wskazówka w postaci kartki i gałązki ostrokrzewu w ustach ofiary - zapłata za zwolnienie go przed świętami.

Nie wydawało mi się, aby Seamus zdolny był do takich teatralnych gestów, ale puściłam to mimo uszu. Było coś jeszcze bardziej nieprawdopodobnego.

- Na miłość boską, napis był po łacinie!

- Też o tym myślałem. Detektyw, z którym rozmawiałem, mówi, że matka Creana jest pobożną katoliczką, często bywającą na mszach łacińskich.

- I napisała kilka słów po łacinie dla swojego syna-mordercy. Naprawdę tak myślisz?

Miałam nadzieję, że Sherry się opamięta.

- Policja uważa, że najprawdopodobniej znalazł kartkę w domu i wykorzystał ją, nie wiedząc, co oznaczał napis.

- Ależ... nieważne. - Jaki sens miała dyskusja z takimi argumentami? - Czy mają już narzędzie zbrodni?

- Jak dotąd nie. Ani na miejscu zbrodni, ani w domu Creana nie znaleziono umazanego krwią ubrania. Nie znaleziono niczego, co bezpośrednio wiązałoby go z morderstwem. Ale eksperci od medycyny sądowej zebrali mnóstwo odcisków palców i porównują je z odciskami Creana.

- Czyli na razie zatrzymali go tylko do wyjaśnienia?

- Tak, został zatrzymany na podstawie artykułu czwartego Ustawy o odpowiedzialności karnej, który daje im nawet do

dwunastu godzin na sformułowanie oskarżenia lub uwolnienie podejrzanego. Zawsze jednak mogą ten czas przedłużyć.

- Dzięki za telefon, Malcolm. Chciałabym jakoś pomóc Creanowi.

- Policja na pewno będzie z tobą w kontakcie. Nie radziłbym robić niczego, zanim się z tobą nie skontaktują. Tak przy okazji - umieściłem obiekty z bagna w chłodni. Będą tam, aż ktoś się o nie upomni. Dam ci znać w przyszłym tygodniu o RTG.

Odłożyłam słuchawkę i zastanowiłam się nad serią wypadków, które zaszły od czasu odkrycia ciała Mony. Ktoś bardziej przesądny ode mnie mógłby powiedzieć, że wraz z nią na świat wy dostały się złe siły.

Rozdział 11

Gdy Bess przybiegła z dobudówki z czerwonej cegły, by mnie przywitać, zorientowałam się, że Finian musiał pracować gdzieś niedaleko, prawdopodobnie w jednej ze szklarni. Ruszyliśmy na poszukiwania, obserwując po drodze stadko szpaków - stłoczone przy ptasiej fontannie; energicznie furkotały skrzydłami, rozpryskując sobie wodę na grzbiety i na zamrznięty ogród. Opadające krople wyglądały w promieniach popołudniowego słońca jak kawałki szkła. Finian musiał nalać gorącej wody, by rozpuściła lód. Nieco dalej kos przewracał stare liście, leżące na krawędzi zamrzniętego oczka wodnego, ryzykując dla znajdującej się tam roślinności ześlizgnięcie się na lód. Ponad nim dzwonec i sosnówka wisiały uczezione zwisającego z gałęzi koszyczka z

Minęliśmy z Bess pierwsze trzy szklarnie pokryte dwuspadowym dachem. Gdy podeszliśmy do czwartej, suka wcisnęła się w niedomknięte drzwi. Weszłam za nią i zaniknęłam je za sobą.

- Po co ta szklarnia, skoro nie zamykasz drzwi? - krzyknęłam, wiedząc, że Finian był gdzieś niedaleko.

- Czasami można, to bez znaczenia. - Głos nadpłynął zza krzaków, zimujących w szklarni w wysokich kubłach z terakoty.

Finian stał na drabinie i dopasowywał taflę szyby do ramek w dachu. Ubrany był w standardowy zestaw ogrodniczy - koszulę w kratę, pikowaną zieloną kamizelkę i ciemnobrązowe spodnie sztruksowe. Wydawał się częścią tego miejsca, jak otaczające go rośliny, światło słoneczne i przesiąknięte ciepłym zapachem powietrze. Należał do tych ludzi, którzy zamieszkują ziemię z ufnością tubylców, przy których cała reszta wygląda jak lękliwi goście z daleka.

- Tylko wymienię jedną zbitą - powiedział, wygładzając za pomocą małej kielni kit dookoła krawędzi ramki. - Wypadła

dzisiaj wczesnym rankiem... - Przez moment przyjrzał się własnemu dziełu. - Jeszcze tylko troszkę tutaj, czy możesz podać mi tamto? - Wskazał plastikowy pojemnik z półki zastawionej mnóstwem podobnych.

- Skąd wiesz? - spytałam, podając mu pojemnik.
- Że potrzebuję trochę więcej kitu?
- Nie! Że szyba stłukła się wczesnym rankiem?
- Słyszałem z sypialni, gdy właśnie zamierzałem wyłączyć światło.

Chyba gdzieś około pierwszej. - Nabrał małą porcję krawędzią kielni i oddał mi pojemnik.

- Zabawne. Mniej więcej o tej samej godzinie usłyszałam wybijaną szybę w moim samochodzie.

- Chcieli ukraść? Samochód? - Nałożył kit w róg ramki i przycisnął go palcem.

- Raczej nie. Według policji, chcieli tylko mój telefon. I dostali.

- To irytujące. Myślałem, że kradzieże telefonów to już przeszłość, od kiedy operatorzy mogą zdalnie uszkadzać mikrotelefon.

- No właśnie. Na dodatek wczoraj w nocy zobaczyłam coś bardzo dziwnego. - Opisałam scenę na patio i zachowanie Horacego.

Finian zatrzymał się na chwilę i spojrzął na mnie z z troskaniem.

- To musiało być straszne. Kto to mógł być? Czego chciał?

- Nie mam pojęcia. Wcześniej, wieczorem, widziałam też kogoś w bieli przed kostnicą w Droghedzie, gdy wracaliśmy z miejsca zbrodni.

Finian zszedł po drabinie, odłożył kielnię na półkę i wytarł ręce w pozostawioną tam ścierkę. I właśnie tu, w tym momencie, w szklarni, zapragnęłam, by przytulił mnie ten mężczyzna o dłoniach pachnących kitem.

- To chyba okropne zobaczyć zamordowanego człowieka - powiedział. - A może wywarło to na tobie o wiele większe wrażenie, niż ci się wydaje? Może twoja wyobraźnia coś ci dopowiedziała?

Już o tym myślałam. Moja słynna wyobraźnia raczej nie wytwarzała halucynacji, ale zdarzało jej się to i owo wyolbrzymić. Zdeformowane ciało z kostnicy mogło się do tego przyczynić.

- Na pewno nie wyobraziłam sobie tego kogoś na patio - odpowiedziałam. - Ale ten strój pszczelarza... no nie wiem. Była mgła. Mimo wszystko strasznie się bałam.

Finian odgarnął lok z mojego policzka.

- Przeżyłaś ciężkie chwile, moja kochana. Mam na to lekarstwo. Co powiesz na grzane wino?

- Najpierw mnie przytul.

- Oczywiście. Bardzo głupio z mojej strony. - Objął mnie, a ja rozkoszowałam się płynącym od niego spokojem.

- Nie mogę pić o tej godzinie - powiedziałam wreszcie, uśmiechając się.

- Daj spokój! Przecież są święta! - Finian objął mnie ramieniem i wyprowadził ze szklarni, a Bess podskakiwała z radości i biegała dookoła nas.

Finian wziął do ręki ksero artykułu z gazety, jedno z kilku leżących na stole. Z układu graficznego i braku fotografii można było wywnioskować, że pochodziły z XIX lub z początków XX wieku.

- *Voilà!* - powiedział, podając mi kartkę. - Idę podgrzać wino, a ty zacznij czytać od tego miejsca.

Finian zostawił mnie samą, więc zaczęłam czytać artykuł, który zaznaczył seledynowym markerem. Pochodził z tygodnika „Meatch Chronicle” z lutego 1897 roku.

DZIWNE ZDARZENIE W NEWGRANGE

„Ciało pochodzące najprawdopodobniej z dalekiej przeszłości znaleziono w zeszłym tygodniu, płynące rzeką Boyne w pobliżu Droghedy. Znalaziska dokonało dwóch wędkarzy łowiących łososia w jazie w dole rzeki, niedaleko Newgrange. Wyciągnąwszy ciało o hebanowej skórze na brzeg, zawiadomili siły policyjne w Donore, które następnie wezwały doktora Wyatta, mieszkającego w tej samej wsi. Specjalista medyczny wykluczył oszustwo i oświadczył, że zwłoki liczą wiele lat, a ich wygląd wskazuje na to, że zostały wydobyte z pobliskich bagien przez ostatnią powódź, która tej zimy osiągnęła niespotykaną dotąd siłę i cofa się dopiero teraz. O odkryciu został następnie powiado-

miony pan Canty, kustosz, znawca starożytności w hrabstwie Meath, a ciało, należące najprawdopodobniej do mężczyzny, zostało zabrane przez policję do dalszej ekspertyzy".

Następny wycinek pochodził z kwietnia tego samego roku i był listem do redakcji, napisanym przez wielbnego Reginalda Maunsella, przedstawiciela Stowarzyszenia Brytyjsko-Izraelskiego, które wywodziło rodowód ludów anglo-saksono-celtyckich z dziesięciu zagubionych plemion Domu Izraela.

„W czasach, gdy nauka kwestionuje niepodważalne prawdy Biblii (mam tu na myśli świętej pamięci pana Darwina i innych), źle się dzieje, gdy traci się okazję wzmocnienia tych prawd wiecznych. Taką okazją było ostatnie odnalezienie ciała nubijskiego niewolnika w rzece Boyne".

Dalej następował opis przybycia żydowskiej księżniczki Tea-Tephi z Egiptu do Irlandii w 585 roku przed Chrystusem. Poślubiła ona Wielkiego Króla Tary („co nie powinno nikogo dziwić, gdyż druidyzm był czymś w połowie drogi pomiędzy Synajem a Kalwarią") i, „zasiawszy nasienie Dawida na tych ziemiach", rozpoczęła na brzegu Boyne budowę grobowca - imitacji piramid. Księżniczka przywozła ze sobą murarzy i niewolników. Ciało wyłowione z rzeki, określone jako „murzyńskie", musiało więc należeć do nubijskiego niewolnika pracującego przy budowie.

Tak oto na podstawie listu wielbnego dżentelmena powstała legenda o Nubijczyku. Oprócz jego naciąganych teorii, wypaczona była również cała chronologia - Newgrange zbudowane zostało setki lat przed piramidami. Wielbny prezentował również popularny wówczas pogląd, jakoby rodowici mieszkańcy nie mogli stworzyć czegoś takiego samodzielnie. W podobny sposób tłumaczone są tajemnicze znaleziska, będące rzekomo efektem działalności obcych. Należy mu jednak przyznać, że próbował dowiedzieć się wszystkiego o odnalezionym ciele, z czego zdawał sprawę w niezwykle interesującym zakończeniu listu.

„Chciałbym również dodać, że gdy wybrałem się w podróż do tych miejsc w nadziei obejrzenia ciała, doznałem rozczarowania. Chodziły słuchy, że szczątki zostały przejęte przez okoliczną

rzymskokatolicką wspólnotę zakonną pod pretekstem zapewnienia im chrześcijańskiego pochówku. Jednak gdy spytałem opatkę, czy to prawda, zaprzeczyła. Przyczyną tego mogła być zarówno niechęć do przedstawiciela Kościoła reformowanego, jak i obawy przed najazdem różnego rodzaju wielbicieli starożytności".

Podobieństwo faktów było uderzające: okaleczone ciało pojawiające się w okolicach Monashee oraz zakonnice z opactwa Grange - no bo jaka mogła być tu jeszcze „okoliczna wspólnota”? - pojawiające się na horyzoncie. Coraz bardziej pragnęłam złożyć im wizytę.

Finian przyniósł tacę, na której umieszczona była stara srebrna misa na poncz i kilka kubków. Gdy zaczął czerpać parujące wino, jego korzenny aromat wypełnił pokój.

- Mmm... - Zamknęłam oczy i wdychałam opary. - Już sam zapach wystarczy.

- No cóż. Możesz tu tak siedzieć i wachać. To oznacza więcej wina dla mnie. - Udał, że chce wylać zawartość jednego z kubków do misy.

- Nic z tego. Dawaj to tutaj. - Wyciągnęłam ręce po kubek, owinęłam palce wokół niego i pociągnęłam łyk. Było pyszne.

- Te wycinki są fascynujące - powiedziałam. - Jak ci się udało je wytropić?

- Gdy usłyszałem od mojego ojca wzmiankę o Nubijczykach i piramidach, pomyślałem, że może to mieć jakiś związek z brytyjskim izraelizmem. Około 1900 roku przeprowadzali oni wykopaliska na wzgórzu Tara. Szukali Arki Przymierza.

- I, o ile dobrze sobie przypominam, znaleźli niewiele.

- Ale wzbudzili bardzo dużo „szumu medialnego” dookoła Biblii, Egiptu i tak dalej.

Później przepytałem ojca szczegółowo, w jakim wieku był jego ojciec, gdy usłyszał tę historię, i udało nam się zawęzić przedział czasowy do kilku lat na przełomie stuleci. Wczoraj pojechałem do Urzędu Historycznego Hrabstwa Meath w Navan, żeby pogrzebać w ich archiwach. Zacząłem cofać się od 1902 roku i po godzinie znalazłem list Maunsella.

- Pokazałeś go Arthurowi? - Ojciec Finiana oglądał wyścigi konne w pokoju obok.

- Pokazałem. Ale on myślał, że chodzi o arkę Noego, która na pewno mogłaby z powodzeniem płynąć w górę Boyne, zanim - zgadnij co - nie zaczęli, dranie, manipulować przy rzece!
- Nie ciesz się za bardzo. Pogląd, że którakolwiek z arek znalazła się w Irlandii, nie jest wcale dziwniejszy od niektórych najnowszych teorii dotyczących Newgrange, o których czytałam.
- Na przykład?
- Co powiesz o tej, która sugeruje, że Newgrange zostało zbudowane w czasie krótkiej epoki lodowcowej jako kanał dla ciepła słonecznego, mającego ogrzewać Ziemię?
- Daj spokój.
- Albo że Newgrange, Knowth i Dowth umiejscowione są nad uskokiem geologicznym wytwarzającym magnetyczne emanacje?
- Pobożne życzenia wyznawców New Age.
- Albo że kopce są wczesnymi prototypami, stworzonymi przez ludzi, którzy później podróżowali do Egiptu i Ameryki Południowej, by tam wznosić budowle kamienne?
- Przeciwiństwo wielebnego Maunsella. O podobnym stopniu wiarygodności.
- Jednak znalazłam jedną czy dwie całkiem intrygujące.
- Tak?
- Na przykład, że niektóre z kolistych wzorów, wrytych na kamieniach, to obrazy fal dźwiękowych.
- Skąd ludzie neolityczni wiedzieli, jak wyglądają fale dźwiękowe?
- Niezwykle akustyczne właściwości samej komory mogą wytworzyć serię impulsów falowych, widzialnych w określonych warunkach świetlnych, gdy promienie słońca przechodzą przez mgłę lub dym. A gdy dodamy jeszcze drugą teorię, że światło przesilenia zimowego było odbijane na zewnątrz komory i docierało do rzeki poniżej, mamy megalityczne początki koncertów „światło i dźwięk”.
- Finian zachichotał.
- Pierwszy rockowy koncert na tysiące lat przed występem U2 w Slane Castle. Co przypomniało mi, że nie jesteś jedyną osobą w swojej rodzinie, obdarzoną pięknym głosem. Natknąłem się na to, gdy szukałem Nubijczyka z Newgrange. - Podał mi

jeszcze jedną odbitkę artykułu, która leżała oddzielona od innych. Artykuł pochodził z grudnia 1898 roku.

BAL W CASTLEBOYNE

„Niezwykłe udany bal odbył się w gmachu sądu Castleboyne w poniedziałkowy wieczór. Zorganizowany został w celu zdobycia funduszy na zakup węgla i zaopatrzenia dla ubogich na święta. Amatorskie Stowarzyszenie Muzyczne w Castleboyne włożyło wiele wysiłku w zapewnienie sukcesu przedsięwzięcia. Bal rozpoczął się koncertem muzyki wokalne i instrumentalnej, którego ukoronowaniem było wykonanie przez pana Petera Hunta pieśni *A Little Golden Ring* przy akompaniamencie skrzypiec panny Marie Maguire”.

- W Castleboyne jest tylko jedna rodzina Huntów - powiedział Finian.
- Rodzina mojej matki.
- Tak więc Peter Hunt jest jednym z twoich przodków.
- Tak, widziałam jego podpis na domowych książkach i szkicach. Mamy też stare skrzypce, które musiały do niego należeć. - Instrument przechodził w rodzinie z pokolenia na pokolenie i moja matka była jego obecnym opiekunem. Lecz cały czas znajdował się na strychu, jego drewniana część się rozeschła, końskie włosie ze smyczka wystrzępiło, a struny rozkruszyły.
- Biorąc pod uwagę datę, to będzie twój... dziadek?
- Nie, pradziadek. - Czytałam dalej artykuł, z którego wynikało, że „zespół smyczkowy pana Brittaina zadowolił wszystkich”, a tańczono „z niesłabnącym zapałem do wczesnych godzin porannych”. Obecnych było około czterdziestu par, wszyscy wymienieni - najpierw panie, za których nazwiskami umieszczono w nawiasach nazwy miejscowości, z których pochodziły. Możliwe, że akompaniatorka Petera Hunta, panna Maguire (Celbridge), została w końcu jego żoną, gdyż nadal w tej małej miejscowości o trzydzieści kilometrów stąd, w hrabstwie Kildare, mieszkają moi dalecy kuzyni. Prawdopodobnie czytałam o wczesnym stadium związku pary, z której się wywodziłam. - Dziękuję, to cudowne.

- Jestem pewien, że o wiele więcej tego typu informacji czeka na odkrycie. Najbardziej podoba mi się to, że wiadomości są sezonowe. Pozwalają dowiedzieć się, co przodkowie robili w tym momencie roku.

- Brzmi bardzo kulturalnie, prawda? Bal charytatywny. W programie muzyka wokalna i instrumentalna. I spójrz - przeczytałam z wycinka: - „Oświetlony świecami hol był pięknie udekorowany roślinami wieczniezielonymi, a złote draperie przemieszane były z paprociami”. - Spojrzałam na Finiana. - Nie chodziło tylko o biznes.

W moim głosie musiało być coś niezamierzenie tęsknego, bo wziął mnie za rękę.

- Chciałabyś żyć w tamtych czasach, prawda?

Spojrzałam na niego ostro.

- I być wymieniona jako panna Bowe, nawias, Castleboyne - znakomita w szkicowaniu i śpiewie. Oczywiście poszukująca mężczyzny, by w konsekwencji obarczyć się siedmiorgiem dzieci i mężem-pijakiem. Najprawdopodobniej skończyłabym jako beneficjentka akcji charytatywnych. Dziękuję bardzo.

- Ups, przepraszam. Zrozumiałem.

Być może zareagowałam zbyt gwałtownie, próbując wyprowadzić go z błędu, lecz coś mówiło mi, że Finian tak naprawdę w to nie uwierzył.

- Skoro jesteśmy przy dekoracjach świątecznych, opowiedz mi o ostrokrzewie. Dlaczego jest używany, co symbolizuje?

- To nie jest pytanie zadane tak sobie. Dlaczego pytasz, Illaun?

- No cóż, skoro musisz wiedzieć... - Opowiedziałam mu o ostrokrzewie w ustach Traynora.

- Mój Boże! Żałuję, że spytałem. Pomyślmy... mnóstwo tradycji jest z nim związanych. Na przykład taka, że wypuścił liście, by ukryć Świętą Rodzinę przed żołnierzami Heroda i od tego czasu jest wieczniezielony. Albo że z jego gałązek upleciona była korona cierniowa, a jego oryginalnie białe jagody zostały zabarwione na szkarłatno przez Chrystusa. Mamy również przesady - ma przynosić szczęście mężczyznom, tak jak bluszcz kobietom. Z drugiej strony, dziewice wieszają go dookoła łóżka w Wigilię jako ochronę przed zn. Nie łączyło się to w żaden sposób z zamordowaniem Traynora.

- Kościół wczesnochrześcijański nie bardzo lubił ostrokrzew, gdyż używany był podczas rzymskiego święta Saturnaliów jako podarunek odpędzający zło. Cztili go również celtyccy druidzi, łączący go z bogiem słońca, gdyż był szczególnie widoczny w nagim lesie w grudniu. Jego jagody kojarzono z męską krwią Bogini. Czy było coś jeszcze...

Spojrzałam na zegarek. Miałam nadzieję zrobić jeszcze świąteczne zakupy, no i była jeszcze próba chóru po mszy o siódmej.

- Istnieje angielska tradycja umieszczania go wokół uli... Wydało mi się, że się przestyszałam.

- Powiedziałaś, „uli”?

- Tak, uli. Z powodu brzęczenia pszczoł.

- Brzęczenia?

- Tak. Kiedyś mówiło się, że w noc wigilijną pszczoły w ulach zaczynają brzęczeć, by uczcić narodzenie Chrystusa. W myśl pierwszej linijki *Psalmu 100*: „Wykrzykujcie na cześć Pana” *.

Finian nie przypominał sobie o wydarzeniach, jakie spotkały mnie poprzedniej nocy. Przez moment poczułam strach, lecz wkrótce wytłumaczyłam sobie, że to tylko przypadek.

Gdy wyjeżdżałam z Brookfield, czułam się o wiele lepiej. Pewnie przyczyniło się do tego wino, lecz troska Finiana także wiele zrobiła. Ponadto zyskałam informacje, które mogą mi się potem przydać, gdy trzeba będzie przedstawić Muriel Blunden udokumentowane dowody potwierdzające obecność jeszcze jednego ciała na Monashee.

* *Księga Psalmów*, w: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wyd. 3, popr., Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980, s. 661.

Rozdział 12

Po mszy o dziewiętnastej zostaliśmy na próbę chóru. Gillian Delahunty była nieobecna z powodu kataru i na organach zastępowała ją nosząca okulary siostra Aloiza McNeill z zakonu ss. Miłosierdzia. Siostra Bernadetta uczyła wiele pokoleń dzieci w Castelboyne. Garstka starszych zakonnic - emerytowanych nauczycielek - wciąż mieszkała w mieście, ich klasztor służył teraz za hotel.

Gdy zamknęliśmy teczki z hymnami i pogawędziliśmy chwilę przed opuszczeniem chóru, przysunęłam się do niej bliżej i kiedy zauważyłam, że wychodzi, towarzyszyłam jej po schodach.

- Nie było z nami Fran, prawda? - Ciągle miała nawyk niespuszczania nas z oczu.

- Tak. Ma nocny dyżur.

- Jak się czuje twój ojciec, Illaun? Brakuje mi go na ekranie.

- Sądzę, że w obecnych okolicznościach chyba dobrze.

- Cierpienie dla każdego jest wielkim ciężarem, dla ludzi takich, jak twój ojciec, pewnie jeszcze większym.

- Ma siostra na myśli amnezję?

To spostrzeżenie padało tak często, że prawie nie zwracałam już na nie uwagi. Działo się tak, ponieważ wielu uważało, że znają ojca, gdyż oglądali go w roli sympatycznego właściciela sklepu, w długo emitowanej sztuce telewizyjnej. Właśnie to poczucie, że należy do swoich widzów, przesądziło o powrocie ojca do teatru. Pewnego wieczoru, gdy grał Vladimira w inscenizacji *Czekając na Godota*, wykrzyknął: „Nie pamiętam tekstu!”, i zamilkł. Aż do momentu opadnięcia kurtyny widownia myślała, że to część scenariusza. Dla P.V. Bowe'a kurtyna już się nie uniosła. Nikt nie chciał ryzykować.

- Tak, jakie to smutne - rzekła. - A tacy jak ja, mimo różnych dolegliwości, wciąż pracują. Jak to się mówi, złego diabli nie wezmą.

- Moim zdaniem siostra się w ogóle nie starzeje. - Tym razem ja wypowiedziałam uprzejmy frazes. Ale to akurat była

prawda. Nie licząc spranego welonu, siostra Aloiza wyglądała, moim zdaniem, tak samo, jak wtedy gdy uczyła mnie w podstawówce. Te same rogowe oprawki a la Buddy Holly, te same nieskazitelne, sztuczne zęby.

- Gdybyż to mogła być prawda.

Gdy dotarliśmy na dół, minęło nas dwóch mężczyzn, wynoszących z zakrystii gipsowy posąg. Po turbanie na głowie, ciemnej cerze i złocistym słoju z kadzidłem w rękach poznałam, że to Baltazar - jeden z Trzech Króli. Przepuściliśmy mężczyzn przodem. W ciemnościach kościoła Baltazar wyglądał, jakby samoistnie unosił się w powietrzu.

Skorzyszałam z okazji i zadałam siostrze pytanie:

- Zastanawiam się, czy zna siostra zakon, o którym niedawno słyszałam? Mieści się w opactwie Grange.

Zatrzymała się na schodku, w zastanowieniu przytrzymując się mego ramienia.

- Między Slane a Drogheda - dodałam.

Siostra Aloiza ścisnęła mnie za ramię.

- Ach tak... - Schodziłyśmy po pustych schodach. - To siostry szpitalniczki. Stary zakon opiekuńczy. Ekskluzywny. Myślę, że kolebka zakonu mieściła się w Dublinie lub okolicach, ale już go tam nie ma. W Grange również zostało niewiele zakonnicek.

- To prawda. Myślę, że wyprzedają majątek.

- Jak my wszyscy, Illaun. Tak to teraz wygląda. Nie chcą nas ani w szkołach, ani w szpitalach.

- Jaki szpital prowadzi zakon z opactwa Grange?

Znowu się zatrzymałyśmy, stara zakonnica spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Chyba nie obarcza się znowu zakonników winą za jakieś problemy społeczne?

- Nie, proszę siostry. Chodzi o zachowanie stanowiska archeologicznego. I czystą ciekawość, muszę przyznać.

Pokonałyśmy ostatnie schodki, po czym wyszłyśmy przez drzwi na wyłożony kafelkami ganek.

- Mówiono o nim „szpital dla położnic” - wyjaśniła. – Innymi słowy szpital dla kobiet w ciąży i tych, co urodziły. Tyle że w tym przypadku zakonnice opiekowały się córkami bogaczy.

Para z naszych ust skraplała się w chłodnym powietrzu, które dostawało się na ganek przez na pół otwarte drzwi. Mężczyźni przeszli obok nas i zniknęli we wnętrzu kościoła.

Siostra Bernadetta uśmiechnęła się do mnie cynicznie, zupełnie nie w swoim stylu.

- Mam na myśli bogatych katolików, którzy nie chcieli, aby świat się dowiedział, że ich córki wydały na świat nieślubne dziecko.

- Co się potem działo z dziećmi? Były oddawane do adopcji?

- Tak. Tym również zajmowały się szpitalniczki. Nie wiem, jak im się udawało obejść prawo kanoniczne w tej drugiej kwestii, ale jakoś sobie poradziły.

- W drugiej kwestii?

- Zakonnicom zawsze zabraniano zajmowania się położnictwem i innymi rzeczami, które były bezpośrednio związane z ginekologią. Inne zakony, które przyjmowały dziewczęta z widoczną ciążą, zapewniały tylko dyskrecję. Porody odbywały się w zwykłych szpitalach położniczych. Mogę się domyślać, że chodziło o wpływy, jakie siostry posiadały w wyższych sferach. Pewnie dlatego pozwalano im opiekować się dziewczętami do porodu włącznie.

- Hm... to bardzo interesujące, siostro. Dziękuję.

Rozstałyśmy się przy drzwiach kościoła. Do domu wróciłam pieszo, ponieważ postanowiłam nie brać samochodu, w którym brakowało szyby. Zmarłam. Wreszcie dowiedziałam się, czemu poświęciły swoje życie zakonnice z opactwa Grange. Nie przysporzyło to im więcej szacunku w moich oczach, lecz pomogło wyjaśnić ich zaangażowanie finansowe w budowę hotelu. Już wiedziałam, dlaczego otrzymały ziemie.

Gdy wróciłam do domu, zauważyłam, że w holu miga światełko automatycznej sekretarki. Ktoś zostawił mi wiadomość. Męski głos należał do inspektora z wydziału dochodzeniowo-śledczego posterunku policji w Droghedzie, Matta Gallaghery. Mówił z akcentem z okolic miasta Donegal, z domieszką amerykańskiego. Prosił, abym jak najszybciej zadzwoniła lub stawiła się osobiście na komisariacie.

Najpierw jednak zadzwoniłam do Finiana.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o *frankalmoign*? Już wiem, w zamian za jakie usługi zakonnice otrzymały w ten sposób

nadania ziemskie - powiedziałam mu, czego dowiedziałam się od siostry Aloizy.

- Intrygujące. Jesteś zadowolona?
- Co znaczy, czy jestem zadowolona?
- Wygląda na to, że masz lekką obsesję na punkcie opactwa Grange.

Czy nie czas, żebyś dała temu spokój?

- Nie rozumiesz, Finian. Jeśli są zaangażowane w budowę hotelu, być może uda nam się je przekonać, by poczekały, aż przeprowadzimy na Monashee prace wykopaliskowe. Nie musielibyśmy wtedy wkraczać na drogę prawną.

- W takim razie, dlaczego nie pojedziesz do nich osobiście i o tym nie porozmawiasz?

Miał rację. Jutro była niedziela i nie miałam żadnych innych zobowiązań. Mogłabym udać się do opactwa, a stamtąd pojechać do komisariatu policji w Droghedzie.

Najpierw musiałam jednak znaleźć numer telefonu do opactwa Grange. Zadzwoiłam do biura numerów, ale operator poinformował mnie, że nie dysponują informacją o takiej instytucji.

Postanowiłam zadzwonić pod numer pozostawiony przez inspektora Gallaghery. Byłam zaskoczona, że o tej porze jeszcze pracował. Miałam zamiar zostawić mu tylko wiadomość.

- Pani jest tym archeologiem, który na zlecenie Centrum Informacji Turystycznej bada ciało tej kobiety?

Ściśle mówiąc, na zlecenie IAWU, ale nie warto było się o to spierać.

- Zgadza się. Proszę pana...

- Muszę zadać pani kilka pytań.

- Tak, wiem, ale nie teraz. Przyjadę do pana osobiście. Może jutro?

Wiem, że jutro jest niedziela, ale wieczorem będę w tamtej okolicy.

- O której?

Jeśli zakonnice zgodziłyby się ze mną spotkać, ile czasu by mi to zajęło?

- Powiedzmy, między czwartą a piątą.

- Hm... O szóstej muszę być w Slane, umówiłem się też z kimś, kto pracuje w Centrum Informacji Turystycznej w Newgrange, że wpadnę do nich po drodze. Myślę, że mógłbym

przyjechać tam odrobinę wcześniej, załatwić, co trzeba, i spotkać się też z panią. Co pani na to?

- Zimą biuro zamykają o piątej.

- Jeśli to będzie konieczne, przekupię ich, żeby pozwolili nam zostać.

- A jak ja...

- Pani Bove, jestem oficerem policji. Nie będzie pani miała najmniejszych kłopotów. - Mówił poważnie czy żartował ze mnie?

- Postaram się być tam na wpół do piątej. Jeszcze jedna sprawa. Ma pan numer telefonu do opactwa Grange? Do zakonnicy, które sprzedały ziemię...

- Wiem, o kogo chodzi. Dlaczego chce się pani z nimi skontaktować?

- Są zaangażowane w budowę hotelu na Monashee i chciałabym się dowiedzieć, czy dadzą nam zgodę na prace wykopaliskowe, zanim ruszy inwestycja.

- Wątpię, żeby miały na ten temat coś do powiedzenia.

- Rozmawiał pan z nimi?

- Ktoś od nas dzwonił do nich, żeby uprzedzić, że za jakiś czas wpadniemy, aby porozmawiać z kimś, kto negocjował z Frankiem Traynorem.

- W takim razie ma pan ich numer w bazie danych...

- Jest pani bardzo pewna siebie.

- Nie chciałam być arogancka, inspektorze - powiedziałam słodko. - Jestem jednak przekonana, że chciałby pan kontynuować śledztwo.

Gallagher wymamrotał coś cicho i odczytał mi numer.

- Zakładam, że wie pani, z kim rozmawiać?

- No cóż, właściwie to nie.

- Z siostrą przełożoną. Nazywa się Geraldine Champion. Powiedziano mi, żeby unikać siostry Roche, która kieruje sprawami finansowo-księgowymi. Twarda sztuka.

Z jego wypowiedzi przebijało poczucie humoru.

- Jeśli tak pan mówi, inspektorze, z pewnością się zastosuję. - Odwiesiłam słuchawkę i wybrałam podany przed chwilą numer.

- Klasztor św. Małgorzaty - oznajmił głęboki, kontraltowy głos kobiety w nieokreślonym wieku.

Przez moment myślałam, że mam niewłaściwy numer. Najwyraźniej tak poprawnie brzmiała nazwa opactwa Grange.

- Chciałabym rozmawiać z siostrą przełożoną. Ee... z siostrą Champion. - Zaczęłam się płątać. Miałam się zwracać do nich „matko” czy „siostro”? Nigdy przedtem nie musiałam tego robić.

- Przy telefonie. Siostra Geraldine Champion. A pani?

- Illaun Bowe, archeolog.

- W czym mogę pani pomóc?

- Chodzi o pole na Monashee. O ile wiem, sprzedały je siostry Frankowi Traynorowi. Świętej pamięci, niestety.

- Tak, spotkał go straszny los. Rzeczywiście, sprzedałyśmy mu Monashee, jak też inne działki. Czy właśnie tego chciała się pani dowiedzieć?

Tak naprawdę nie zadałam jeszcze pytania.

- To nie takie proste. Przez telefon długo by wyjaśniać. Czy mogłybyśmy się spotkać? Chciałabym odwiedzić siostrę jutro.

- Jaki miałby być cel naszej rozmowy? - spytała chłodno. *Nie strać jej, Illaun.*

- Chodzi o zachowanie stanowiska archeologicznego i przeprowadzenie na nim ewentualnych prac wykopaliskowych. - *Jak powiedzieć to delikatnie?* - Sądzę, że może siostra mieć pewien wpływ na przyszłe zagospodarowanie tego terenu.

Zaśmiała się. Mógł to też być niski, gardłowy dźwięk, ironicznie komentujący moją wypowiedź. Nie byłam pewna.

- O której godzinie chce pani do nas przyjechać?

- Powiedzmy o trzeciej?

- Umówmy się dokładnie na czwartą. Ani wcześniej, ani później.

Prawie powiedziałam: „Dobrze, proszę pani”, ale rozłączyła się, zanim zdążyłam się zbłąźnić.

Po umówieniu się z opatką, pooglądałam przez jakiś czas telewizję. Ale ponieważ nic nie przykuło mojej uwagi, stwierdziłam, że wczesne położenie się spać dobroczynnie podziałałoby na moje zdrowie. Nie musiałam przygotowywać kolacji, ponieważ przegryzłam coś podczas zakupów na mieście. Zanim położyłam się do łóżka, wybrałam ubrania na jutrzejszy dzień. Doszłam do wniosku, że biały kaszmirowy golf, szare spodnie, czerwono-brunatna skórzana kurtka i pasująca do niej torebka, kupiona

w październiku w Toskanii, gdzie spędziłyśmy z Fran tydzień w mieście Lucca, będą doskonale pasowały na jutrzejsze spotkania. Potem sprawdziłam, czy nie było ze mną w pokoju Boo. Nie chciałam, żeby coś zakłócało spokój dzisiejszej nocy.

Już po półgodzinie obudziłam się złana potem, serce biło mi w piersiach. Miałam wyraźne uczucie, że jakaś istota trzymała swoją twarz tuż przy mojej. Nie oddychała. Jej ciało nie miało temperatury. Ani zapachu. To dlatego mogła podejść tak blisko niezauważona. Gdybym poruszyła się chociaż odrobinę, na pewno bym się z nią zetknęła. Moje mocno bijące serce nie wytrzymałoby jeszcze większego przerażenia. Musiałam jednak coś zrobić, inaczej istota i tak by mnie pożarła. Wstrzymując oddech, sięgnęłam do włącznika światła i

Stworzenie momentalnie rozwiało się, ja zaś siedziałam na łóżku, ciężko dysząc. Byłam przekonana, że przed oczami mignął mi owad z kleszczami skorpionia i twarzą ludzkiego niemowlęcia.

19 grudnia

Rozdział 13

Wyruszyłam z Castleboyne w jasne, mroźne popołudnie. Na bladobłękitnym niebie rysowały się pojedyncze wstęgi przepływających chmur. Po dziesięciu minutach jazdy wysiadłam, by ponownie przymocować przezroczystą folię, którą okleiłam dziurę po oknie. Gdy spjrzałam w górę, zorientowałam się, że to, co wzięłam za fragment chmury, było w rzeczywistości księżycem pomiędzy pełnią a kwadrą, tak cieniutkim, że niebo prawie go rozpuściło. Wzięłam głęboki wdech, nabrałam w płuca chłodnego, rozświeconego powietrza i podziękowałam w duchu za ten dzień. I za to, że nocna mara ostatecznie zwolniła swój uścisk.

Dopiero gdy zjechałam z głównej szosy w kierunku Monashee i opactwa, dookoła zrobiło się ponuro i znad Boyne nadciągnął gęsty welon mgły. Temperatura także spadła, więc dotychczasowa równowaga pomiędzy ogrzewaniem samochodowym a zimną bryzą, wpadającą przez folię, została zniwelowana na korzyść wilgotnego i lepkiego powietrza, które zmroziło mnie na kość, zanim skręciłam w bramę jakiejś drogi dojazdowej, by w słabnym świetle sprawdzić moją pozycję na mapie.

Nie pomyślałam, by poprosić kogokolwiek o wskazówki, lecz przed wyjazdem obejrzałam klasztorną mapę Meath. Znalazłam na niej krzyżyk na wzniesieniu „Redmountain”, znajdującym się po drugiej stronie rzeki i Newgrange, który uznałam za opactwo Grange. Według moich obliczeń, znajdowałam się obecnie tuż obok poszukiwanego „Ani wcześniej, ani później”, słowa opatki ciągle rozbrzmiewały w mych uszach. Popatrzyłam na zegarek na desce rozdzielczej: była 15.50. Niebezpiecznie blisko zbliżała się czwarta. Dlaczego określiła czas tak dokładnie? Przebiegłam w myślach wszystkie możliwości w daremnym wysiłku zapobieżenia perspektywie spóźnienia się na spotkanie. Nagle znikąd pojawiło się wspomnienie. Podczas zachodu słońca, w dniu przesilenia zimo-

wego, promienie słoneczne oświetlają południową komorę grobowca korytarzowego Dowth. Dokładnie to samo dzieje się w tym czasie w Newgrange. Byłam wtedy w komorze z małą grupą innych archeologów i zapamiętałam, że światło zniknęło dokładnie pięć minut po czwartej - gdy zaszło zimowe słońce.

Strząsając z siebie nagłe uczucie zaniepokojenia, wysiadłam z samochodu, by rozejrzeć się w poszukiwaniu jakiejś wieży lub dachu. Widok na dolinę przysłaniał mi pokryty bluszczem mur, rozciągający się po obu stronach bramy, więc weszłam kilka metrów w głąb wjazdu. Po obu stronach rozpościerały się delikatnie pofalowane wzgórza, gdzieśgdzie można było dostrzec zawieszony w nieruchomym powietrzu wstęgi dymu z kominów farm. Po drugiej stronie, lecz trochę niżej i w odległości około dwóch kilometrów, leżało Newgrange. Było świetnie widoczne nawet w półmroku. Otaczający trawiastą kopułę pierścień z kwarcu błyszczał z daleka jak korona z pereł.

Spojrzałam na najbliższy słup bramy. Żadnej tabliczki czy napisu. Na drugim słupie to samo. Dopiero później dostrzegłam parę rdzewiejących, kutych w żelazie skrzydeł bramy, zawieszonych na słupach. Były tak szeroko otwarte, że oplotły je krzewy. Skrzydła przyozdobione były dekoracjami w kształcie motywów roślinnych, a na ich górnej części znajdował się wyblakły, złożony napis po francusku: na lewym: *La croix du dragon*, a na prawym: *est la dolor de deduit*, uzupełniający zdanie.

La croix du dragon est la dolor de deduit? Brzmiało jak motto heraldyczne, najprawdopodobniej normañskie. „Krzyż smoka jest cierpieniem czegoś...” - to wszystko, co mogła mi podpowiedzieć moja szkolna francuszczyzna. Lecz co ten średniowieczny napis robił na bramie irlandzkiej posiadłości wiejskiej? Dopiero teraz olśniło mnie, że cały ten czas stałam przed poszukiwanym klasztorem św. Małgorzaty.

Aleja prowadziła w dół do zadrzewionej części wzgórza, ewidentnie skrywającego opactwo. Wielkie, sierpowato uformowane stado szpaków nadleciało, by wskazać mi drogę i zapaść wydłużonym strumieniem w drzewa jak przywołany do lampy dżin.

Wskoczyłam do samochodu i pomknęłam wzdłuż wysadzanej drzewami alei. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 15.59,

gdy z chrzęstem zatrzymałam się na żwirze podjazdu obrośniętej bluszczem, trzypiętrowej rezydencji. Obok zaparkowany był jasnobłękitny land rover. Wysiadłam z samochodu na trawnik rozciągający się w dół zbocza, aż do łuku drzew iglastych.

Szpaki świergotały i szczebiotały hałaśliwie w drzewach za mną, gdy wchodziłam po schodach prowadzących do pomalowanych na czarno drzwi, umieszczonych pod łukiem w kształcie liścia. Nacisnęłam mosiężny przycisk dzwonka we framudze drzwi. Nie usłyszałam jego dźwięku ze środka i po minucie lub dwóch dzwonięcia doszłam do wniosku, że nie słyszał go także nikt wewnątrz. Właśnie podniosłam ciężką kołatkę w kształcie głowy smoka, by dać znak o sobie, gdy coś odwróciło mą uwagę. Z ptasiej wrzawy moje uszy wychwyciły dźwięki pieśni wykonywanej przez żeńskie głosy.

Być może podeszłam nie do tego wejścia. Wycofałam się więc spod drzwi, szukając w oknach jakichkolwiek śladów życia. Lecz nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek był w domu. Wtedy zauważyłam, że okna, choć w stylu gotyckim, nie były oryginalne. Cała kamienna fasada wyglądała na odbudowaną.

Zeszłam ze schodów i skierowałam się w stronę kilku budynków pomocniczych na lewo od rezydencji, przesztych sklepieniem przejściem. Najprawdopodobniej to była kiedyś powozownia i stajnie, pomyślałam, przechodząc pod łukiem do zamkniętej przestrzeni, której lewa strona okolona była wysokim ogrodowym murem z czerwonej cegły, a pozostałe dwie strony stanowiły nawę i północny transept starego kościoła opackiego. W środku zachodniego szczytu znajdował się romański portal, którego ciepły piaskowiec kontrastował z ciemnoszarym wapieniem reszty budynku. Nad wysokim dachem, w miejscu gdzie północny transept stykał się pod kontem prostym z nawą - zarówno nawa, jak i transept posiadały zaokrąglone ku górze okna - wznosiła się kwadratowa wieża ze smukłymi blankami, wskazującymi na późniejszą datę ich konstrukcji.

Daleko, wewnątrz kościoła, zakonnice zajęte były ćwiczeniem czegoś w rodzaju nieznanego dla mnie rytmicznego skandowania. Z powodu zmierzchu przypuszczałam, że wspólnota musiała odprawiać nieszpory, co wyjaśniłoby, dlaczego nikt nie odpowiedział na mój dzwonek do drzwi.

Przeszłam na zewnątrz, wzdłuż nawy w stronę północnego transeptu, wdychając wilgotny zapach starego kamienia i obserwując, jak warstwa porostów na fundamentach budynku rzucała niesamowitą poświatę. Nade mną, w ciemnościach, z listowia formującego kapitele okien, wyglądały wyrzeźbione twarze. Zatrzymałam się na chwilę, by się im przyjrzeć. Przypominały one rzeźby Zielonego Człowieka, znajdowane w starych kościołach i czasami kojarzone z pogańskim Królem Lasu, odradzającym się zimą. Lecz te tutaj wyglądały bardziej na twarze dzieci.

Docierały do mnie słowa pieśni śpiewanej przez chór zakonnice.

Ecce mundi gaudium

Zobaczcie radość świata... Przynajmniej moja łacina była lepsza od francuskiego.

Procedenti virginis ex utero - Urodzony z łona dziewicy...

Sine viri semine - Bez nasienia męskiego...

Novus annus est - Oto nowy rok...

Sol verus in tenebris illuxit - Prawdziwe słońce rozświetliło ciemności...

Siostry z klasztoru św. Małgorzaty miały własną praktykę kołędniczą, aczkolwiek wykonywaną na nieomal świeckim materiale średniowiecznym. Do mych uszu dotarły mocne głosy młodych kobiet, zamiast drżących taktów starzejącej się wspólnoty. Kolęda zakończyła się i nastąpiła cisza.

Myśląc, że siostry skończyły, cofnęłam się do drzwi wejściowych, którymi mogły wychodzić. Zorientowałam się, że wybrukowana ścieżka pięła się pod górę, a ściana nawy w kierunku zachodniego końca zmniejszała swą wysokość, by wyrównać różnicę poziomów. Gdy dotarłam do drzwi, zakonnice rozpoczęły śpiewanie kolejnego żywiołowego hymnu z akompaniamentem klaskania rąk i instrumentu, który brzmiał jak irlandzki bodhran*.

Przez kilka chwil przyglądałam się drzwiom, które schowane były wewnątrz kuliście zakończonego potrójnego portalu. Składał się on z rzędów łuków, które wraz ze wspierającymi je kolum-

* Bodhran - tradycyjny irlandzki instrument przypominający bęben. Wykonany jest zazwyczaj z koziej skóry naciągniętej na drewnianą ramę. Z tyłu posiada charakterystyczne, krzyżujące się wsporniki.

nami, pokryte były głęboko wrytymi wzorami i rzeźbionymi figurami. Był to imponujący przykład dwunastowiecznej architektury romańskiej. Zdobienia przedstawiały głównie fantastyczne stwory, wśród których łatwo było można dostrzec mantikorę (stworzenie z twarzą mężczyzny, ciałem lwa i ogonem skorpiona) i *cynocephalusa* (człowieka z głową psa). Były tam jeszcze inne dziwne postacie, których od razu nie rozpoznałam, więc postanowiłam zapytać o nie przeorysę, jeśli nadarzy się okazja.

Popchnęłam ciężkie, nabijane gwoździami drzwi, lecz były one nie tylko zamknięte, ale pokryte dodatkowo warstwą brudu i kurzu, świadcząca, że od dłuższego czasu nie były otwierane. Potwierdzały to dodatkowo pędy bluszczu krzyżujące się w górnej części drzwi. Zakonnice raczej nie będą tędy wychodziły.

Przeszłam wzdłuż południowej ściany kościoła, którego nawa stanowiła część kwadratowego kruzganka, a pozostałe trzy ściany były częściami innych budynków klasztornych. Wejście prowadziło do zadaszonego korytarza biegnącego dookoła kruzganka. Pośrodku znajdował się trawiasty ogród. Na drugim końcu południowe skrzydło klasztoru łączyło się z transeptem. Najprawdopodobniej, by ułatwić poruszanie się w każdej pogodzie.

Było coraz ciemniej, więc z daleka dostrzegłam jedynie drzwi i wychodzącą z nich zakonnice. Dostrzegła mnie i dała znak, bym zaczekała, aż zamknie drzwi na klucz. Potem szybkim krokiem ruszyła w moją stronę. Była to wysoka, elegancka kobieta po czterdziestce, ubrana w szary dwuczęściowy garnitur i białą bluzkę. Jej czarne włosy były ściągnięte z czoła mocno do tyłu i związane białą gumką, do której przytwierdzony był krótki welon w kolorze garnituru. Miała brązowe oczy, kruczoczarne brwi, bladą cerę i delikatne kości policzkowe, a jej postawa i wygląd przywodziły na myśl

- Przepraszam - powiedziała. - Straciłam poczucie czasu.

Zdecydowałyśmy się na próbę chóru po niesporach.

Rozpoznałam jej głos.

- I nie przedstawiłam się - powiedziała przepraszająco. - Jestem Geraldine Champion. A pani musi być...?

- Illaun Bove. Nic się nie stało, siostrze. Miałam przyjemny spacer. I koncert przy okazji. - Chór zaczął śpiewać kolejną kolędę, tym razem spokojniejszą.

Siostra Campion postukała w swój zegarek i uśmiechnęła się trochę nerwowo.

- Możemy już iść? - Odniosłam wrażenie, że nie chce, bym dłużej pozostawała blisko chóru. Ciekawe, czy było to związane z dokładnym określeniem czasu wizyty. Ale co innego mogłabym usłyszeć, gdybym przyjechała później?

- To piękny kościół - powiedziałam, gdy szłam za nią. -

Według moich szacunków, nawa pochodzi z dwunastego wieku, lecz ma dodane późniejsze zdobienia. Wieża nad przejściem - trzynasty wiek. Krużganek z piętnastego? A budynki na przedzie to neogotycka odbudowa. - Chciałam, żeby dostrzegła moje zainteresowanie architekturą opactwa. Miałam zamiar pojawić się tu jeszcze raz, by dokładniej przyjrzeć się zachodnim drzwiom. I kto wie, co znajdowało się wewnątrz kościoła?

- Ma pani dobre oko - zauważyła, gdy przechodziłyśmy pod łukiem budynku powozowni. - Zachodnie skrzydło przetrwało pożar w dziewiętnastym wieku i zostało później odbudowane. Mamy wszystkie plany, gdyby chciała się pani z nimi zapoznać.

- Bardziej interesuje mnie jednak architektura roma... Siostra Campion położyła dłoń na moim przedramieniu.

- Czy archeolodzy wiedzą wszystko również o architekturze?

- Chłód jej dłoni przeniknął przez rękaw mojej skórzanej kurtki.

- Niekoniecznie. Magisterium broniłam z archeologii sztuki i architektury.

- Ach tak - powiedziała, tracąc zainteresowanie. - Tak więc, co chcecie robić w Monashee? - Przeszłyśmy od razu do rzeczy, nie docierając nawet do domu.

- No cóż, najchętniej to, co nazywamy wykopaliskami badawczymi.

- W odróżnieniu od?

Wspinałyśmy się ramię w ramię po schodach i zatrzymałyśmy przed drzwiami. Przebiegło mi przez myśl, że nasza rozmowa tu dobiegnie końca.

- W odróżnieniu od wykopalisk ratunkowych, które muszą być wykonywane w sytuacji, gdy stanowisko jest zagrożone.

- A to stanowisko? Czy Monashee... jest w jakiś sposób zagrożone?

- Biorąc pod uwagę powstający tam hotel... – Zakonnica spojrzała na mnie ze zdumieniem. - To siostra nic nie wie o hotelu? - Mówiła serio? A co z podziałem zysków?

Opatka wydobyła klucz z kieszeni i włożyła do zamka.

- Lepiej niech pani wejdzie - powiedziała.

Budynek był słabo umeblowany i oświetlony, a ogrzewanie pozostawiało wiele do życzenia. Gdy przechodziłyśmy przez wyłożone parkietem pokoje i pokryte kafelkami korytarze, wydobywająca się z ust para skraplała się w chłodnym powietrzu. Spodziewałam się zapachu pasty do czyszczenia, zmieszanego z wonią przygotowywanej kolacji. Czuć było natomiast tylko stęchlizną i wilgocią. Na nagich ścianach, tu i ówdzie, wisiały wieńce ze splecionych nierozdzielnie gałęzi drzewa szpilkowego, bluszczu, pokrytego jagodami ostrokrzewu, udekorowane pęczkami jemioli.

- To dlatego tak późno odbywała się próba – wytłumaczyła siostra Champion, wskazując ręką listowie. - Wieszaliśmy dekoracje.

Podążając za siostrą przełożoną, zauważyłam, że jej welon był obrębiony czerwoną tasiemką. Nie zwróciłam na to wcześniej uwagi, ale ubrana byłam w barwy zakonu.

Zatrzymałyśmy się i siostra Champion wprowadziła mnie do wyłożonego dywanem pokoju. Pomieszczenie miało wysoki sufit i zielone ściany; stało w nim biurko i metalowe szafy na dokumenty. Przynajmniej było tam ciepło. Pokój najwyraźniej służył siostrze za gabinet; z okna za biurkiem, jak się domyślałam, można było spoglądać na krużganki.

Siostra zamykała drzwi, gdy krótko i dyskretnie odezwał się jej telefon komórkowy. Wyjęła go z kieszeni, spojrzała na wyświetlacz i zwróciła się do mnie:

- Proszę usiąść, muszę przydzielić pewne obowiązki, zaraz będę z powrotem.

Usłyszałam oddalający się dźwięk jej skrzypiących gumową podeszwą butów i postanowiłam obejrzeć gabinet. W pokoju znajdowało się tylko jedno krzesło i fotel opatki. Dywan był całkiem wytarty, ciepła dostarczał elektryczny grzejnik wentylatorowy. Na biurku nie było żadnych ozdób, na ścianie nie wisiały żadne obrazy ani grafiki. Tylko pojedyncze, oprawione zdjęcie, przedstawiające grupę zakonnicek. Nie było żadnych oznak

bogactwa, nawet wygody. Spartański wygląd opackich wnętrz bardziej przypominał podupadającą instytucję niż zamożny zakon.

Czego zatem oczekiwałaś, Illaun? Luksusowego pensjonatu? Przyznaję, że wyobrażałam sobie, że będą lepiej sytuowane. *Bądź szczerą - myślałaś, że te zakonnice są zachłanne na pieniądze.* To prawda. Ale teraz niepokoi mnie coś innego. I nie bardzo wiem co.

Rozejrzałam się ponownie. Dopiero teraz dotarło do mnie, że oprócz zdjęcia na ścianie, nic wewnątrz opactwa Grange nie wskazywało, że jesteśmy w miejscu sakralnym.

Wstałam, aby obejrzeć zdjęcie. Wyglądało na zrobione niedawno i przedstawiało ustawione w dwóch rzędach uśmiechnięte kobiety. Było ich około dwunastu, odziane w szare stroje, większość po trzydziestce, niektóre były pochodzenia azjatyckiego czy też afrykańskiego - typowa mozaika mieszanych ras we współczesnym zakonie. Stały na tych samych schodach, po których wchodziłam kilka minut temu. Raz jeszcze moje przypuszczenia okazały się niesłuszne. Klasztor św. Małgorzaty był społecznością małą, ale

Coś przyciągnęło moją uwagę. Na jednej z szaf na akta, poza kręgiem światła rzucanym przez lampę, znajdował się maleńki szkielec zwierzęcy umieszczony na cokoliku. Stał prawie pionowo na wrzecionowatych nogach, lecz najbardziej rzucała się w oczy jego czaszka: kości rozszerzały się ponad pustymi oczodołami jak więdnące płatki tulipana. Wyglądał jak miniaturowy obcy.

Pukanie do drzwi sprawiło, że wróciłam na swoje miejsce. Obróciłam się, a przez otwarte drzwi wsunęła się głowa zakonnicy.

- Dokąd znowu poszła? - spytała władczo. Stalowszcare, druciane włosy wysuwały się spod welonu. Pod wieloma względami twarz przypominała Geraldine Champion, a raczej jej ordynarny szkic.

- Ee... mówiła coś o przydzielaniu obowiązków - powiedziałam nieśmiało. Przez moment czułam się znów jak uczennica w szkole zakonnej.

Kobieta głośno westchnęła.

- To już załatwione. Właśnie dlatego dzwoniłam. - Jej ręka uzbrojona była w telefon komórkowy. Następnie dodała z widoczną irytacją. - Dlaczego po prostu nie zostawi tego mnie?

Poczułam się winna. Zupełnie, jakbym zmówiła się z opatką, aby utrudnić tej kobiecie życie.

Zakonnica zatrzasnęła drzwi z hukiem, od którego aż podskoczyłam. To musiała być siostra Roche, przed którą ostrzegął mnie Gallagher. Teraz już wiem dlaczego.

Przez następnych kilka minut wyęczałam słuch. Z klasztornych zakamarków dobiegały nawoływania. Nie mogłam zrozumieć słów, ale szybko ucichły i ponownie usłyszałam skrzypienie gumowych podeszew o parkiet.

Weszła siostra przełożona i zdecydowanie podeszła do biurka. Usiadła dostojnie, pochyliła się do przodu, wzięła głęboki oddech i zwróciła się do mnie.

- Proszę jeszcze raz przyjąć moje przeprosiny. To była kwestia wewnętrznej administracji. Zarządzanie społecznością religijną, nawet niewielką, niekiedy bywa trudne. - Usiadła wygodnie. - Zapewniam panią, że cała moja uwaga jest teraz do pani dyspozycji.

- Dziękuję. Tak z ciekawości, ile mieszka tu zakonnice?

- Jest nas tu dziesięć. Nie licząc mnie i siostry Roche. To znaczy Ursuli. Zdaje się, że złożyła pani wizytę? - Jej uśmiech sugerował, że obie myślałyśmy to samo o siostrze Roche. Skinęłam głową, ale nie odwzajemniłam znaczącego uśmiechu. Byłam tu obca. Niezależnie od dzielących je kwestii, były ze sobą bliżej niż ja z którąkolwiek z nich.

- Wracając do Monashee - zaczęłam - zakładałam, że wie siostra o ciele kobiety, które znaleziono tam we czwartek.

- Tak, słyszałam. Kobieta z odległej przeszłości, o ile wiem. Frank mi powiedział.

- Frank Traynor?

- Znamy się od lat. Właśnie dlatego zaczęłam robić z nim interesy. A co się tyczy odnalezionego ciała...

Zastanawiałam się, czy siostra Campion wiedziała, w jaki sposób Traynor został zamordowany.

- Jeszcze nie wiemy, z jakiego okresu pochodzi. Mam nadzieję, że z jak najdawniejszego. Wtedy jej szczątki mogłyby rzucić nowe światło na założycieli Newgrange. Możliwe też, że na stanowisku znajdują się przedmioty kultury materialnej po chodzące z tamtego okresu lub inne szczątki.

- Inne szczątki? - Zmarszczyła brwi.
- Tak. Istnieją źródła potwierdzające, że podobne ciało zostało wypłukane przez powódź z Monashee ponad sto lat temu. Być może zakonnice urządziły mu tam pochówek.
- Naprawdę? Nic mi o tym nie wiadomo. I nadal nie wiem, w jakiej właściwie sprawie pani przychodzi? - Głos siostry Campion stał się nieprzyjemny.
- Chodzi o to, że pan Traynor miał zamiar zdjąć całą warstwę torfu z działki, aby przygotować miejsce pod budowę hotelu.
- Nie sądzę. - Zakonnica wtrąciła cicho. - W każdym razie, stanowczo bym się temu sprzeciwiała.
- Coś się we mnie uspokoiło. Być może Monashee było bezpieczne. Wydawało się, że przeorysza nie miała pojęcia o prawdziwych zamiarach Traynora.
- Myślałam, że znała siostra plany inwestycyjne Franka Traynora? Krąży nawet słuchy, że zakon miał czerpać korzyści z hotelu.
- Nie spiesząc się z odpowiedzią, obróciła krzesło w kierunku okna i spoglądała na zaciemnione krużganki.
- Żyjemy w zmieniających się czasach. Przez tysiące lat Szpitalniczki pod wezwaniem św. Małgorzaty z Antiochii zapewniały opiekę tym, które dzisiaj nazywamy samotnymi matkami.
- Jej głos zabrzmiał ostrzej.
- Szkoliłyśmy się na akuszerki i pracowałyśmy w szpitalach położniczych zakonu. Nasze usługi były dyskretne, nie ingerował w nie ani Kościół, ani państwo. Teraz, właściwie z dnia na dzień, skończyło się zapotrzebowanie na naszą pracę. Nie piętujemy się już ciąży pozamałżeńskiej, na aborcję zaś ciężarne decydują się bez obaw, że wykrwawią się na śmierć... lub pójdą do piekła. - Zaśmiała się gardłowo. - I jaki jest tego wynik? Zakon, który przetrwał tysiąc lat, został pozbawiony źródła dochodu. - Odwróciła się do mnie. - Czy można nas winić za to, że próbujemy znaleźć źródło funduszy dla na: Pokręciłam głowę. Bardziej z konsternacji niż zrozumienia.
- Myślałam jednak... czy nie mówiła siostra, że zakon nie miał już żadnej roli do spełnienia?
- Źle mnie pani rozumiała. Zawsze będziemy miały rolę do spełnienia wśród biednych i opuszczonych, nic się nie zmieniło.

Ale tradycyjnie, dochód otrzymany od bogatych członków społeczeństwa przeznaczaliśmy na działalność charytatywną. Była obłudna czy mówiła prawdę?

- Mimo że posiadacie reputację tych, które pomagają tylko bogatym?

- Nie mogę zaprzeczyć, że od czasu do czasu traciliśmy z oczu nasze powołanie i nie powinniśmy o tym zapominać. Ale aby zakon mógł przetrwać i uniknąć prześladowań, od czasu do czasu musieliśmy wykazać się pragmatyką. Robiliśmy to od czasu *Periculoso*, kiedy to zrewidowałyśmy naszą regułę i stałyśmy się tak zwanym świeckim zakonem. Pobożnym towarzystwem. Oznacza to, że teoretycznie nie składamy wieczystych ślubów zakonnych. Tak naprawdę to robimy, ale jesteśmy od nich uwalniane na jeden dzień w roku. Nasza rozmowa zesza już jednak na szczegóły formalne. - W kącikach jej ust zaczął pojawiać się uśmiech. - Właśnie dlatego... - Miała zamiar coś wyjaśnić, ale zmieniła temat. - Czy wiedziała pani, że Henryk II przybył do Irlandii w roku 1171? W Boże Narodzenie?

Skinełam lekko głową, co w przybliżeniu oznaczało, że przypominam sobie takie wydarzenie.

- Chciał pokazać normańskim baronom, którzy niedawno dokonali inwazji na Irlandię - i oczywiście rodowitym Irlandczykom - że był ich suwerenem.. Ale miał kłopoty z papieżem Aleksandrem z powodu zlecenia zabójstwa Tomasza Becketa w katedrze kanterberyjskiej... - Siostra Champion oparła łokcie na biurku. Delikatnie uderzała opuszkami palców o usta. Wyglądało na to, że zastanawia się nad dalszymi słowami.

- Mniejsza z tym, to długa historia. Nasz edykt był jednym z pierwszych wydanych przez Henryka, kiedy przybył do Dublina. Zakonowi nadano wtedy również inne ziemie; kiedy zostałam tutaj przeoryszą, pokazano mi edykt dla opactwa Grange, znam zatem jego treść. Został pierwotnie sporządzony po łacinie, rzecz jasna. - Zamknęła oczy i zaczęła mówić z pamięci: - „Niech będzie wiadome wszystkim pobożnym chrześcijanom, iż nadaję te ziemie, pola, lasy, wody, młyny i łowiska do nich należące, całkowicie i zupełnie w wieczyste użytkowanie opactwu św. Małgorzaty i służącym Bogu zakonnikom, aby użytkowały je w myśl *frankalmoign*, wolne od świeckich obciążeń”.

Finian strzelił w dziesiątkę.

- Frank Traynor musiał myśleć, że mógł nabyć także te prawa - powiedziałam.

- Mogło tak być. Szczegóły prawne podpisanego dokumentu to działka siostry Roche. Ale jedno jest pewne. - Pochyliła się do przodu, uderzyła dłonią o biurko i utkwiała we mnie swój wzrok. - Nigdy nie dawałyśmy zgody na budowę hotelu na Monashee.

Szybko ponownie oparła się plecami o krzesło, jak gdyby wyrównując równowagę języka ciała.

- Gdzie indziej, owszem, ale nie naprzeciwko Newgrange. Nie jesteśmy odcięte od świata. Ta część doliny rzeki Boyne jest obszarem chronionym i słusznie. Użyję wszelkich... – ostrożnie dobierała słowa - dostępnych mi wpływów, aby to wyegzekwowano.

Zauważyłam teraz, że na jednym z jej palców widniała złota obrączka. Oblubienica Chrystusa? Co mnie jednak bardziej zaintrygowało, to wygląd jej paznokci. Były starannie wypielegnowane, wypolerowane do połysku i przypominały wnętrza muszli. Siostra Campion, jak podejrzewałam, nie była przeciwna odrobinie luksusu.

Opatka podniosła się z krzesła.

- To wszystko. Obawiam się, że muszę się z panią pożegnać. Wzywają mnie obowiązki.

- Oczywiście. Dziękuję, że zechciała siostra poświęcić mi swój czas. Jeszcze tylko... - Wstałam i rozejrzałam się po pokoju. Podążyła za moim wzrokiem, gdy przez chwilę wpatrywałam się w szkielet.

- To chyba jest tarsjusz * - powiedziała. - Dorosły osobnik. -

Wskazała na zdjęcie z lekceważeniem. - Prezent od naszych azjatyckich przyjaciół.

- Ciekawe. Ale nie o to chciałam siostrę zapytać.

Przeszła obok mnie i otworzyła drzwi.

- Najwyraźniej panu Traynorowi bardzo się spieszyło. Może siostra wie, dlaczego?

* Tarsjusz - nocna, nadrzewna, wielkooka małpiatka wielkości małej wiewiórki, występująca na Archipelagu Malajskim.

- Nie - odpowiedziała, wyprowadzając mnie na korytarz.
 Byłyśmy już w głównym holu, gdy przechwyciła nas spiesząca ze schodów siostra Roche.

- Martha Godkin złapała jakąś infekcję. Ma trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Prosi o sprowadzenie lekarza, ale powiedziałam...
 Przeorysza uniosła rękę, by ją uciszyć.

- Ursulo, poczekaj chwilę. - Wyglądała na poirytowaną. - Właśnie żegnam się z panią...
 - Illaun - dokończyłam za nią.
 - Z panią Illaun, zgadza się. - Zostawiła siostrę Roche stojącą w holu i odprowadziła mnie do drzwi. - Zatem do widzenia. Miło było panią poznać.

- Siostrzo, zanim pójdę, tak z ciekawości. Kim była św. Małgorzata z Antiochii?
 - Dziewicą i męczennicą z czwartego wieku. Odrzuciła zaloty rzymskiego urzędnika, który wydał ją władzom jako chrześcijankę. Próbowano ją spalić i ugotować, wszystko nieskutecznie. Dlatego w końcu ją ścięto. - Otworzyła drzwi. Na zewnątrz panowała ciemność.
 Miałam jeszcze jedno pytanie.
 - A motto nad bramą, mówiące coś o krzyżu i smoku?
 - *La croix du dragon est la dolor de deduit?* - Stała przytrzymując otwarte drzwi. - Znowu św. Małgorzata. Słowa te od normañskich czasów znajdowały się nad wejściem do wszystkich naszych domów. „Krzyż smoka jest cierpieniem rozkoszy”. Tak to tłumaczymy. Wydaje mi się, że słowo *deduit* po raz pierwszy pojawiło się w *Powieści o Róży**. Oznacza oczywiście przyjemność seksualną. - Powiedziała to tak, jakbym nie mogła o tym nie wiedzieć.
 Skinęłam głową.
 - Oczywiście. Co zatem oznacza „Krzyż smoka”?
 - Zgodnie z legendą, św. Małgorzacie ukazał się w więzieniu szatan pod postacią smoka i połknął ją. Ona zaś dotknęła jego wnętrza krucyfiksem, który nosiła przy sobie, i smok wypluł

* *Powieść o Róży* - trzynastowieczny poemat autorstwa Guillaume'a de Lorris, będący kodeksem miłości dworskiej.

ją całą i zdrową. Od tego czasu Małgorzata jest zaliczana do świętych wspomóżycieli, uważa się ją za patronkę położnic. Brzmi to teraz osobliwie, nawet nieco makabrycznie. - Siostra Champion zaczęła zamykać drzwi.

Dziewica patronką kobiet w ciąży? Przypomniało mi to o czymś, o czym miałam wspomnieć podczas naszej rozmowy.

- Jeśli można, siostrze - powiedziałam - przy kobiecie z bagna na Monashee znaleziono jeszcze jedno ciało.

- Tak?

- Ciało niemowlęcia.

- Dziwne. - Twarz siostry Champion była do połowy schowana za drzwiami, co utrudniało odczytanie jej wyrazu.

- Tak, to zastanawiające - rzekłam i wyszłam na zewnątrz. Automatycznie włączyło się światło, odwracając na moment moją uwagę. - No cóż, dziękuję za poświęcenie mi czasu, siostrze i... - Odwróciłam się, by ucisnąć jej dłoń, ale przeoryszy już nie było.

Siedziałam w samochodzie i obserwowałam siedzibę. W większości pokoi umieszczonych na górze, gdzie prawdopodobnie mieściło się dormitorium*, paliły się światła. Przy bramie jednak panowały ciemności. Poczekalam przez chwilę, zastanawiając się nad mottem zakonu. Siostra Champion wyjaśniła mi jego dosłowne znaczenie, lecz pominęła to ukryte. Jednak dawało się je łatwo odczytać: bóle porodowe są konsekwencją żądzy.

Wyjęłam ze schowka kamerę cyfrową, przez moment zastanowiłam się nad wzięciem latarki, którą też tam trzymałam, ale stwierdziłam, że będzie mi przeszkadzać. Ustawiłam aparat na wysoką rozdzielczość, wyłączyłam w samochodzie górne światło, żeby nie włączyło się, kiedy otworzę drzwi. Cicho stąpając po żwirze, minęłam sklepione przejście, po bruku doszłam do zachodnich drzwi.

W ciemnościach dało się rozróżnić tylko szczyt kościoła z ciemną plamą pośrodku, gdzie mieściło się wejście. Stałam lekko z boku, aby nie zasłaniać szczegółów rzeźbienia w pełnym świetle błysku - cień dodałby im więcej znaczenia. Skierowałam

* Dormitorium - sypialnia w klasztorze.

obiektyw w stronę drzwi, nie mając pewności, czy ujmowałam również framugę, i nacisnęłam migawkę. Na moment wokół mnie zrobiło się jasno i postanowiłam wycofać się, zanim ktoś z klasztoru wyjdzie, by sprawdzić, co się stało.

Wtedy właśnie usłyszałam w pobliżu astmatyczny, świszczący głos, jakby ktoś chrapał i charczał jednocześnie. Przez moment myślałam o postaci, którą spotkałam w moim ogrodzie. Potem przypomniałam sobie, że dawno temu słyszałam ten odgłos kilka razy. Ta okolica była idealna dla sów płomykówek.

Zanim jednak minęłam przejście, zatrzymałam się, by na wszelki wypadek zrobić jeszcze jedno zdjęcie - fasady budynku. Moja siatkówka wciąż jeszcze była nieco oślepiona z powodu pierwszego błysku, dlatego spoglądając przez wizjer, wydawało mi się przez chwilę, że między mną a zachodnimi drzwiami stoi na biało ubrana postać.

Rozdział 14

Wyjeżdżając z długiej alei, ciągle nie byłam pewna, którądy powinnam jechać. Jeszcze raz wydostałam się z samochodu i spróbowałam ustalić swoje położenie. Pomimo ciemności, nadal widać było błyszczące półkole kwarcu dookoła Newgrange. A dalej mogłam dostrzec coś, co wyglądało jak wielokolorowa broszka wpięta w pagórkowaty teren. Była to wieś Słane w bożonarodzeniowym przybraniu - elektryczna jaskrawość ożywionych ulic kontrastowała z widmową jasnością miejsca umarłych. Lecz w okolicach opactwa Grange nie było jakiegokolwiek śladu życia. *Światło oświeciło ciemności, lecz*

Wsiadłam do samochodu. Jednego byłam pewna - dochodziła piąta, a ja nie miałam telefonu komórkowego, żeby skontaktować się z detektywem Gallagherem. Jednak Centrum Informacji Turystycznej nie znajdowało się aż tak daleko, a teraz już miałam ogólne pojęcie, którądy jechać.

Gdy wjechałam na parking, stały na nim nieliczne samochody. Odciągnęłam daszek przeciwsłoneczny, po którego drugiej stronie przymocowane było podświetlane lustro. Szybko wytuszowałam rzęsy i umalowałam usta. Nie zdecydowałam się na makijaż, jadąc do opactwa. Natychmiast przypomniały mi się wypielęgnowane paznokcie siostry Campion. Oczywiście, osoba na jej stanowisku powinna dbać o wygląd, a paznokcie nie były przecież wyzywające.

Przejsie do centrum znajdowało się pod drewnianą pergolą, wzdłuż błyszczących mrozem płyt chodnikowych. Po mojej prawej stronie Boyne płynęła w przeciwnym do mnie kierunku, a nad nią zawieszona była kładka prowadząca do przystanku minibusów, wożących turystów do Newgrange, Knowth i z po-

wrotem. Na lewo znajdował się sztuczny wodospad, który zmalął do cienkiej strużki, gdy przeszłam obok niego. Nadchodziła godzina zamknięcia.

Przedstawiłam się pracownicy czekającej na wyjście spóźnionych kupujących. Powiedziała, że spodziewano się mnie i wskazała restaurację piętro niżej. Gdy schodziłam po krętych stopniach, dostrzegłam samotną postać siedzącą przy jednym ze stolików i czytającą niedzielną gazetę.

Mężczyzna spojrzął znad gazety, gdy skierowałam się w jego kierunku. Jego wąsy, krótko przystryżone włosy i krzepka sylwetka, nieomal rozsadzająca nijaki garnitur, z daleka krzyczała „policjant” - dokładnie tak, jak powiedział. Lecz z jakichś przyczyn zapomniał wspomnieć o swojej najbardziej charakterystycznej cesze: włosach. Nie dało się ich opisać w żaden eufemistyczny sposób - „rude” to za mało, „marchewkowe”, to określenie pasowało bardziej, choć tak naprawdę był to żółtopomarańczowy kolor świeżo przekrojonej marchewki. Jego cera świadczyła o niedawnych słonecznych wakacjach: nie była opalona, lecz wściekle czerwona, z huszczącym się ze skóry nosem.

Wyciągnęłam dłoń.

- Illaun Bowe. Przepraszam za spóźnienie.

Swoim uściskiem połknął moją dłoń aż do przegubu.

- Matt Gallagher. Zaczynałem się martwić. Ale stwierdziłem, że zadzwoniłaby pani, gdyby coś się stało. - Miękki akcent z Donegal stał w sprzeczności z jego wyglądem zapaśnika. Miał chyba około czterdziestki.

- I tak powinnam do pana zadzwonić, lecz wczoraj rano skradziono mi komórkę. - Spojrzałam na jego prawie pustą filiżankę i poczułam ogromną potrzebę wypicia mocnej kawy.

- Naprawdę? Jak do tego doszło? - Złożył gazetę i położył ją na stole, przykrywając coś, co przypominało ksero z bożonarodzeniowej kartki znalezionej pod ciałem Traynora.

Opowiedziałam mu o intruzie i wybitym oknie.

- Telefon był pewnie drogi?

- Nie bardzo. - Spojrzałam w stronę zaciemnionego stanowiska kelnerskiego.

- No tak, dlatego mówimy ludziom, żeby nie zostawiali niczego na wierzchu w samochodach. - Sięgnął do marynarki i wyjął notes. - Chyba zamknięte - powiedział, wskazując stanowisko - lecz jeśli potrzebuje pani jedynie kofeiny, może pani spróbować włamania. To oznacza, że automat nalewający colę działa.

Jego poczucie humoru rozluźniło mnie.

- Namawia mnie pan do popełnienia przestępstwa, inspektorze? Dobrze, niech będzie. - Podeszłam do automatu, wzięłam kartonowy kubek i przycisnęłam go do metalowej dźwigni. Brązowy gazowany płyn wypłynął z dyszy i wypełnił kubek po brzegi. Z torebki wyłowiłam monetę i zostawiłam ją przy kasie.

Usiadłam przy stoliku i pociągnęłam łyk coli w oczekiwaniu na pierwsze pytanie Gallaghera. Jednak on zapalił papierosa i rozparł się na swoim krześle, które zachwiało się, gdy pokaźna sylwetka wystawiła je na próbę.

- Gdy usłyszałem o morderstwie Franka Traynora, uznałem, że robił interesy z niewłaściwymi ludźmi, być może z przestępcami zagranicznymi. Gdy dowiedziałem się o użyciu noża, zacząłem się zastanawiać, czy nie padł ofiarą najnowszego krwawego sportu, uprawianego w naszym pięknym kraju...

Patrzył mi w oczy, z których musiał wyczytać pytanie, gdyż nie miałam pojęcia, o czym mówi.

- Przypadkowe zabijanie - hobby pijanych i naćpanych mętów. Lecz później ujrzałem jego ciało i pomyślałem: z czym, do cholery, mamy tu do czynienia? Z psychopatą? Seryjnym mordercą? Muszę przyznać, że byłem w kropce. I wtedy przypomniałem sobie podstawową zasadę... - Usiadł prosto i wypił resztki swojej kawy. - Gdy ktoś stara się cię wyrolować, działa w sposób pozornie skomplikowany.

- To znaczy?

- Frank Traynor został zabity przez kogoś, kogo znał. Kogoś, kto miał do niego żal. To proste.

- Ale dlaczego z taką... brutalnością?

- Tak, jak powiedziałem. By wyglądało to inaczej niż w rzeczywistości. No i możliwe, żeby zostawić swój własny podpis.

- Co to oznacza?
 - Wyjaśni się później. - Gallagher otworzył notes na nowej stronie. - Kiedy po raz ostatni widziała pani Franka Traynora?
 - W piątek, na ulicy w Droghedzie, pomiędzy czternastą trzydzieści a czternastą czterdzieści pięć.
 - Czy był z panią wtedy Seamus Crean?
 - Tak.
 - W jakim celu spotkała się pani z nim?
- Wyjaśniłam, że chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o Monashee i wspomnieć Creanowi o zamiarze zatrudnienia go na krótki czas.
- Czy zabójstwo Franka Traynora było tą proponowaną pracą?
- Miałam właśnie zamiar wziąć kolejny łyk coli, lecz zatrzymałam się w połowie drogi.
- Pan chyba żartuje? - Poczułam nagle wypływający na policzki rumieniec, jakby policjant uderzył mnie w twarz. Ten facet był zarazem dobrym i złym gliną.
- Gallagher zachował zimny wyraz twarzy.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani Bowe. - Wiedział, że mnie zdenerwował. Musiałam szybko odzyskać równowagę. Z jakiegoś powodu moją uwagę skupiła schodząca z jego nosa skóra.
 - Oczywiście, że nie. Myślałam, że na stanowisku znajdzie się dla niego trochę kopania. Czasami używamy koparek do usuwania wierzchniej warstwy ziemi lub robienia wykopów.
- Gallagher odłożył papierosa na krawędź stołu i zajrzał do notesu.
- Według doktora Sheery'ego, tylko on i pani wiedzieliście o dokładnym rozmieszczeniu ran na znalezionym ciele. Ran, które potem zadano panu Traynorowi.
 - To prawda. - Nie miałam zamiaru mówić mu jeszcze o moich podejrzeniach co do wizyty Traynora w kostnicy.
 - Jednak nie wykluczył on możliwości, że Crean obejrzał ciało kobiety przed przybyciem kogokolwiek. Może usunął część gleby pokrywającej jej twarz i po wszystkim ponownie przykrył dla niepoznaki. Bardzo możliwe również, że to pani przekazała mu szczegóły podczas spotkania.

Poczerwieniałam.

- Oczywiście. Naszkicowałam mu szybciotko i poprosiłam: „Zrób dla mnie takie, dobrze?” A skoro już przy tym jesteśmy, czy nie spytałeś doktora Sherry’ego, komu przekazał informacje, gdy wybrał się w tym samym czasie na lunch? Założę się, że nie. I co z tym? - Wyciągnęłam odbitkę kartki świątecznej spod gazety i pomachałam policjantowi przed nosem. – Jeżeli Seamus Crean ma cokolwiek z tym wspólnego, to ja jestem Świętym Mikołajem, a pani Crean pracuje dla hiszpańskiej Inkwizycji.

Gallagher poprawił się na niewygodnym krześle.

- Pracujemy nad tą kartką - wymamrotał, chwytając ją i wpychając z powrotem pod gazetę.

Wstałam.

- To śledztwo do niczego nie doprowadzi. Szukacie w złym miejscu.

Gallagher nerwowo poruszał wąsami. Zerknął na sprzątaczkę, która zaczęła zmywać podłogę.

- O czym pani mówi?

Zniżyłam głos.

- Owszem, wszystko ma związek z polem na Monashee. Lecz musicie zadać sobie pytanie: Dlaczego Traynor w takim pośpiechu chciał je przekopać jeszcze przed świętami? Raczej nie zdążyłby ze wszystkim przed Nowym Rokiem, więc spokojnie mógł poczekać. No i jeszcze to zdeformowane ciało dziecka... - Nie byłam pewna, czy chcę powiedzieć wszystko.

- Proszę kontynuować.

Miałam nadzieję, że moja osławiona wyobraźnia mi nie przeszkodzi.

- Jestem pewna, że Traynor widział je w kostnicy. Nawet specjalnie tam pojechał. Wszyscy skupiliśmy się na tym, w jaki sposób został zamordowany i okaleczony, lecz to w jakiś sposób nas rozprasza. Na dodatek ktoś mnie śledzi... - Mój głos załamał się. Znajdowałam się pod większym napięciem, niż przypuszczałam.

Sprzątaczką zwolniła wycieranie podłogi, gdy nadstawiła ucha w naszym kierunku.

- Proszę usiąść - powiedział cicho Gallagher, po raz ostatni zaciągając się papierosem i wygaszając go z sykiem w popielniczkę.

Opadłam na krzesło.

- W noc morderstwa ktoś ubrany na biało obserwował mnie przy wyjściu z kostnicy. Potem widziałam tę dziwną postać stojącą na patio w noc, kiedy mój telefon...

- Dlaczego dziwną? - Zainteresował się nagle Gallagher. Zaczął nawet robić notatki.

- Ubrana była w białe szaty, albo kombinezon. Z przedniej części kapelusza zwisał welon - zupełnie jak w dawnym ubiorze pszczelarzskim. I jeszcze dzisiaj. Wydaje mi się, że byłam przez kogoś śledzona do opactwa Grange.

- Kto, według pani, jest mordercą?

- Nie mam pojęcia.

- Uważa pani, że jest w niebezpieczeństwie?

- To możliwe. Zależy, jak bardzo zbliżyłam się do odkrycia, dlaczego zamordowano Franka Traynora.

- Tak więc sugeruję, aby już się pani tym nie zajmowała.

- Ale skoro już macie mordercę, chyba nie mam się czego bać.

Po raz pierwszy uśmiechnął się, ukazując pełen garnitur białych zębów.

- Jest pani sprytna. W chwili obecnej Crean nie znajduje się w areszcie. Tak więc ostrzeżenie jest jak najbardziej obowiązujące.

- Nie postawiliście mu zarzutu popełnienia morderstwa?

- Jeszcze nie.

- Czy rozmawiał pan z kobietą, która towarzyszyła Traynorowi tamtego popołudnia? Może ona będzie wiedziała, z kim miał się spotkać w Monashee?

- No tak, kobieta. Crean o niej wspomniał. Ale świadek, który widział Traynora tamtego popołudnia na przedmieściach Droghedy, twierdzi, że był w samochodzie sam.

- Tak więc musiał ją gdzieś wysadzić.

- Nasi chłopcy przepytali każdego, kto mógł przechodzić ulicą w piątek w porze lunchu - sklepikarzy, pracowników

biurowych, uczniów. Niektórzy przypominają sobie jego mercedesa parkującego na ulicy i więcej nic. Tak więc wyeliminowaliśmy tę kobietę-zjawę z naszych pytań. Na wszelki wypadek zaapelowaliśmy o zgłoszenie się każdej osoby, która była wtedy z Traynorem. Dotychczas nie mieliśmy żadnej odpowiedzi. Kim ona była? Zna ją pani?

- Nazywa się Muriel Blunden. Jest dyrektorem do spraw wykopalisk w Muzeum Narodowym. - Nie widziałam jego twarzy. Pochylił się nad notesem i powoli szukał czystej kartki.

- Dzisiaj rano wzięła stronę Traynora w wywiadzie radiowym, tak więc raczej dobrze się znali. - Podniosłam się do wyjścia.

- Dziękuję za przybycie - powiedział mechanicznie.

- Nie mogę powiedzieć, że było mi miło.

Gallagher machnął ręką i kontynuował pisanie.

- Nie zgadzam się - zawołał, gdy zaczęłam wchodzić po schodach.
- Wybierzmy się wkrótce na przyzwoitą filiżankę kawy.

Tylko po to, żeby wylać ją na twoją głowę, pomyślałam.

Na spotkanie z Gallagherem w Centrum Informacji Turystycznej jechałam drogą u grzbietu góry „Redmountain”, nie przejeżdżając obok Monashee. Teraz, wracając wzdłuż dna doliny, zwolniłam za sznurem samochodów. Gdy wjechałam za zakręt, zauważyłam patrol policyjny - znajdował się jakieś pięćset metrów przede mną, poza polem. Pomyślałam, że przepytawali kierowców, czy ktoś z nich nie przejeżdżał tamtędy w piątek wieczorem. Zdziwiła mnie tak duża liczba samochodów na wiejskim terenie, ale przypomniałam sobie, że przecież w niedzielę sklepy w Droghedzie były otwarte ze względu na przedświąteczne zakupy.

Włokąc się na pierwszym biegu, wspominałam spotkanie z inspektorem i wcześniejszą wizytę u siostry Champion. Miałam wrażenie, że była w jakiś sposób wyreżyserowana, a w momentach, kiedy to udało mi się ją zaniepokoić, odsłaniała dziwny charakter opactwa Grange. W ten sam sposób wydawała się szczerą, gdy otwarcie mówiła o znajomości z Frankiem Traynorem. Mimo to czułam, że specjalnie ukrywa pewne fakty.

Było coś dziwnego również w atmosferze samego miejsca. Trudno ją było dokładnie określić, ale z pewnością nie był to nastrój świętości. I to nie przez brak nawet jednego krzyża, figury, czy też obrazu religijnego.

O ile sobie przypomiinałam, opactwo Grange nie widniało w żadnym indeksie budowli romańskich. Czy dlatego, że nieprzerwanie służyło celom religijnym? A może był inny powód? Zastanawiałam się, co też to mogło być, kiedy w białym fordzie mondeo zobaczyłam przemykającego jak błyskawica Gallaghera, który wyprzedził sznur oczekujących pojazdów. Na dachu forda migąło niebieskie światło. Zatrzymał się na krótko, zamienił kilka słów z kimś z patrolu i pojechał dalej.

Załogę patrolu stanowiło dwóch młodych, umundurowanych policjantów, którzy stali pośrodku drogi, każdy twarzą w innym kierunku jazdy. Na poboczu, po lewej stronie, stał zaparkowany radiowóz. Gdy podjechałam bliżej, zauważyłam na przednim siedzeniu pasażera znajomą twarz. Zamiast posuwać się w kierunku patrolu, wyjechałam z kolejki i zaparkowałam auto przed pojazdem policji. Kiedy podeszłam bliżej, siedzący z odkrytą głową oficer wydawał się zaskoczony. Wreszcie mnie poznał i z nachmurzoną miną opuścił szybę.

- Sierżant O'Hagan? - Oddech skraplał mi się na mroźnym powietrzu.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał ponuro.

- Rozmawiałam z inspektorem Gallagherem na temat śledztwa. Pytał mnie, czy nie wiem o czymś niezwykłym, co miało miejsce na Monashee w dniu zamordowania Franka Traynora.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- No cóż, zastanawiam się, dlaczego rankiem w dniu morderstwa nie było tu żadnego policjanta, mimo potwierdzonego sądownie pisma. - Patrzyłam mu prosto w oczy i modliłam się, żeby moja zagrywka okazała się skuteczna.

- Wsiada pani - powiedział, wskazując kciukiem na tył samochodu.

Otworzyłam tylne drzwi i usiadłam za O'Haganem.

- Chyba nie o to pani, kurwa, chodzi, co? - Już nie miał na sobie białej maski - opadła i ukazała ostre kły.

- Możemy się wymienić - powiedziałam. - Pan mi opowie o postępie śledztwa, ja zaś zapomnę, że wspomniane zdarzenie w ogóle miało miejsce.

- Pierdol się.

Udałam, że mam w rękawie jeszcze jednego asa.

- Są też różne przysługi, jakie denat i sierżant miejscowej policji wyświadczyli sobie nawzajem przez te wszystkie lata... Prasa z pewnością chciałaby się o tym dowiedzieć.

O'Hagan zeszywniał. Światła mijającego nas samochodu na moment oświetliły wnętrze radiowozu i mogłam dostrzec we wstecznym lusterku spojrzenie sierżanta. Rozważał wszystko, co powiedziałam.

- Zatrzymaliśmy Creana - powiedział pod nosem.

- Mimo że pan wie, że Crean tego nie zrobił. Co jeszcze macie?

- Na krótko przed śmiercią Frank odebrał ze swojego aparatu dwa telefony. Jeden był wykonany z niezarejestrowanej komórki, drugi z budki telefonicznej w Slane. To wszystko.

- Nie wszystko. W samochodzie Traynora w piątek po południu w Droghedzie była kobieta. Dlaczego nie została przesłuchana?

- Nie było żadnej kobiety.

- Nie gra pan fair, sierżancie. Wiem, kim była. - Gwałtowny wdech.

- Nazywa się Muriel Blunden.

- Cholera! - krzyknął, wypuszczając powietrze. Wreszcie znalazłam właściwy punkt.

- Więc słucham.

- Rozmawiałem z nią. Jest wolna od podejrzeń. I tak to wiedziałem, ale chciałem sprawdzić, czy nie wie, kto mógł zamordować Franka.

- I?

- Wie tylko, że kiedy z nim była, odebrał przez komórkę rozmowę. Umówił się z kimś na Monashee. Muriel jest przekonana, że była kobieta. Jestem pewien, że to był jeden z tych anonimowych telefonów.

- Dlaczego nie powie pan tego Gallagherowi?
- Bo sam chcę znaleźć mordercę Franka. I nie mam zamiaru niczego ułatwiać Gallagherowi.

To by wyjaśniało, dlaczego Gallagher nie wiedział nic o Muriel Blunden. O'Hagan użył swoich wpływów, aby upewnić się, że w żadnym raporcie nie będzie widniało nazwisko Muriel.

- A więc pozwolił pan, żeby wrobiono Seamusa Creana?
- Gallagher nie da rady tego posklejać. Poza tym, odciski palców w samochodzie nie są jego.
- Macie odciski palców?
- Tak, całe mnóstwo. Jebany, nie przejmował się, że je zostawia.
- Jakie są pozostałe tropy?
- Elvis albo Śmierć, jak pani woli.
- Co pan ma na myśli?
- Kobieta, która przejeżdżała obok Monashee twierdzi, że widziała, jak ktoś ubrany na biało wsiadał do merca Franka. Chłopaki w komisariacie stawiają zakłady, że to była albo Śmierć, albo Elvis w drodze na występ.

Nie wiedziałam, czy śmiać się czy płakać. Zrozumiałam, dlaczego Gallagher tak się zainteresował, gdy wspomniałam o intruzie na patio.

- Na pewno zatrudni jakiegoś psychiatrę, by się wywiedział - dodał O'Hagan.
- Dlaczego pan tak mówi?
- Bo już korzysta z usług jakiegoś psychoanalityka, żeby powiedział nam to, co już wiemy o mordercy.
- Czyli?
- Pieprzyć wszystko.

Otworzyłam drzwi samochodu.

- Przynajmniej już wkrótce dowie się o telefonie, który Traynor odebrał, gdy Muriel Blunden była w jego aucie.
- Chce mu pani powiedzieć?

Wysiadłam z samochodu i nachyliłam się.

- Nie będę musiała. Sam się dowie, gdy ją przesłucha. - Zamknęłam drzwi.

Do domu dojechałam po siódmej. Nie jadłam nic od śniadania, które składało się z płatków, tosta i herbaty. Przypomniałam sobie, że w lodówce stał posiłek przygotowany w piątek przez moją matkę. Wstawiłam talerz do mikrofalówki i usłyszałam, jak przez kocią zapadkę wszedł Boo. Mama wzięła Horacego ze sobą do mojej owdowiałej ciotki Betty, która mieszkała dziesięć kilometrów stąd w kierunku Dublina. Czasami, kiedy wypity kilka ginów z tonikiem, mama zostawała u siostry na noc.

Sprawdziłam automatyczną sekretarkę. Była tylko jedna wiadomość, od Finiana, który prosił, żebym do niego zadzwoniła. Teraz jednak potrzebowałam spokoju i oczyszczenia umysłu od rzeczy związanych z Monashee i morderstwem Traynora.

W sypialni zrzuciłam ubrania, nałożyłam szlafrok, a stopy wsunęłam w kapcie. Z kolacją na tacy poczłapałam do salonu, włączyłam telewizor i wybrałam program przyrodniczy. Nie udawało mi się przestać myśleć o dręczących mnie kwestiach, choć pogryzałam coś dla poprawienia nastroju, oglądałam niesamowite zwyczaje krabów lądowych i miałam przy sobie mruczącego kota.

Dlaczego O'Hagan chronił Muriel Blunden? Odpowiedź: Traynora, O'Hagana, Blunden i zakonnice łączyły interesy. Ponieważ chodziło o budowę hotelu na Monashee, Muriel Blunden ryzykowała utratą stanowiska, jeśliby się wydało. Dlaczego była w to wplątana? Ponieważ Traynor potrzebował poważnego argumentu w rozmowach z niezliczonymi urzędami państwowymi, odpowiedzialnymi za konserwację.

Jeżeli Geraldine Champion także chroniła Muriel, to na pewno skłamała na temat swojego sprzeciwu wobec hotelu na Monashee, bym dała jej spokój.

Na dodatek w tym gronie pojawił się Derek Ward - minister turystyki i dziedzictwa. Prawie o nim zapomniałam. Lecz teraz wszystko układało mi się w zgrabną całość. Jako minister odpowiadający za Muzeum Narodowe, musiał przymknąć oko na zatrudnienie Muriel. To jego zwyczajowe postępowanie, gdy chce wesprzeć kogoś bez bezpośredniego zaangażowania własnej

osoby. W jego interesie będzie więc utajnienie roli Muriel w tej sprawie.

Odsunęłam tacę na bok kanapy i wcisnęłam czerwony guzik pilota, by wyłączyć telewizję. Co za dziwna kombinacja - Hotelarz, Zakonnica, Urzędnik Służby Cywilnej, Policjant, Polityk. Prawie jak zbieranina średniowiecznych pielgrzymów z *Opowieści kanterberyjskich* Chaucera. „I była tam Zakonnica, Przeorysza...”

Przed oczami przesuwały mi się postaci siostry przełożonej, sierżanta, Muriel Blunden i Franka Traynora, których widziałam razem w samochodzie. Razem - bingo! - Oto i sedno sprawy. Muriel Blunden i Frank Traynor byli kochankami! O to chodziło. Ta zasadnicza kwestia wszystko wyjaśniała. Pewny siebie Traynor w lokalnej rozgłośni, Muriel bagatelizująca znalezisko, kryjący ją O'Hagan. Nie trzeba było jej nakłaniać do działania, gdyż od

Podeksytowana, że odnalazłam swoje powołanie do roli detektywa kanapowego, udałam się do barku i nalałam kieliszek wina z prawie pustej butelki. Australijskie Shiraz, które otworzyłam w wieczór poprzedzający wezwanie na Monashee. To było... liczyłam - cztery wieczory temu. Wyciągnęłam gumowy korek i wypuściłam powietrze z butelki.

Smakowało w porządku, prawie jak wino pierwszej młodości.

Trochę tak jak ty, moja droga, he, he.

Pewien znajomy głos w mojej głowie ostatnio łapał okazje, aby zastawić na mnie pułapkę.

Jedzenie resztek i dopijanie wina z zeszlotygodniowych butelek, to nie jest życie dla kobiety w twoim wieku.

Głos zadziwiająco przypominał głos mojej matki, wzbogacony o efektowny wiedźmi rechot.

- Precz, Szatanie - powiedziałam na głos i wcisnęłam korek z powrotem do butelki.

Usiadłam wygodnie z kieliszkiem w ręku i zaczęłam na nowo bawić się w detektywa. Sprawcą musiał być ktoś z partnerów biznesowych, który niekoniecznie musiał popełnić morderstwo.

Może był tylko inspiratorem? Albo zwabił Traynora na spotkanie ze skrytobójcą? Kto mógłby nim być? Muriel Blunden? Nawet jeśli byli kochankami, to nie wykluczało jej z kręgu podejrzanych. Mogła również skłamać o odebranych przez Traynora telefonie od kobiety. Ale jeśli Muriel mówiła prawdę, to z kim Traynor umówił się na Monashee? Z opatką? Siostra Champion powiedziała, że znali się z Traynorem. Dała jasno do zrozumienia, że w biznesie nie brała udziału: „Szczegóły prawne podpisanego dokumentu to działka siostry

No tak, siostra Roche. Nie wzięłam jej pod uwagę. Może przy okazji podpisania umowy zrobiła Traynora w konia i zagarnęła trochę pieniędzy, on zaś to odkrył i miał zamiar ja wydać? Ale skąd mogła wiedzieć o obrażeniach, jakich doznała Mona? Tu był szkopuł. Chyba, że... Malcolm Sherry nigdy nie powiedział, z kim umówił się tego dnia na lunch...

Hola, Illaun, spokojnie.

Mój umysł przypominał rozpędzający się pociąg, nabierający prędkości, w miarę jak pojawiały się w nim nowe teorie, niczym migające po trasie stacje. Mimo że wypiałam tylko pół lampki wina, czułam się tak, jakbym się upiła i zaczęła rzucać nedorzeczne oskarżenia na zwykłych, uczciwych ludzi o dokonanie wyjątkowo okrutnego morderstwa. Moje śledztwo najszybciej zaprowadziłoby do więzienia mnie samą. Lepiej zostawić wszystko ekspertom. Usadowiłam się wygodnie na kanapie i zamknęłam oczy.

Kiedy na kolana wskoczył mi Boo, zorientowałam się, że przysnęłam, nie mogłam jednak ocenić, na jak długo. Może na kilka sekund, a może na pół godziny. Ale przynajmniej podróżujący przez moją głowę pociąg ekspresowy zatrzymał się na bocznicu. Na zewnątrz zerwał się silny wiatr. Dobiegał mnie grzechoczący dźwięk klapki w skrzynce pocztowej.

W holu zadzwonił telefon. To był Finian, nieco poirytowany tym, że do niego nie oddzwoniłam. Wyjaśniłam mu, że potrzebowałam trochę czasu dla siebie.

- Czy to znaczy, że jutro wieczorem zostajesz w domu?

Przyjęcie Jocelyna Carewa! Zupełnie zapomniałam, że miałam potwierdzić, czy na nie pójde. Przez moment zastanawiałam się, czy moja zła pamięć nie jest przypadkiem oznaką początków Alzheimera, częścią genetycznego dziedzictwa. Błyskawicznie jednak odrzuciłam tę myśl - nie byłam w stanie przypomnieć sobie, gdzie położyłam kluczyki od samochodu, ale moja pamięć długotrwała była niczym imadło - albo tak przynajmniej uważałam.

- Przepraszam, Finianie, oczywiście, że z tobą pójde.

- Za późno, oferta wygasła wczoraj.

Wiedziałam, że się ze mną drażni.

- Tyle się ostatnio wydarzyło, że zupełnie wyleciało mi to z głowy. Tak przy okazji, nie myślałeś, czyby nie zatrzymać się na noc w Dublinie? - Ugryzłam się w język. Po co to powiedziałam?

- Nie... - powiedział nieco zaskoczony. - Dlaczego miałbym zostawać na noc w stolicy?

- No wiesz... alkohol, prowadzenie samochodu, pięćdziesiąt kilometrów do domu... - Wiedziałam, że brzmiało to kulawo.

- Chciałabyś zostać na noc w Dublinie?

- Ee... - Wyczułam, że istniała jakaś przeszkoda. A może zwyczajnie jakiejś poszukiwałam. - Którego mamy jutro?

- Dwudziestego.

- O! To dzień przed przesileniem. Następnego ranka muszę być wcześniej w Newgrange, świeża i wypiękniona.

- W takim razie nie zostajemy w Dublinie. Musimy tylko ustalić, o której wracamy.

Pogawędziliśmy krótko i powiedzieliśmy sobie dobranoc. Odłożyłam słuchawkę i zastanawiałam się, jak udało mi się podczas krótkiej rozmowy wyjawić więcej, niż chciałam, by wiedział, i jednocześnie tak dokonać sabotażu, abyśmy nie mogli być razem.

Wlałam wino do kieliszka i podniosłam tacę z jedzeniem. Resztki kolacji i resztki wina. Brzmiało to jak fragment jednej z piosenek country, której udawałam, że nie lubię

*Cóż mi zostało
W smutnym życiu mym
Ostatki kolacji
I resztki różnych win...*

W pewnym sensie Finian był też resztką mężczyzny.

Gdy weszłam do kuchni, podmuch wiatru zrzucił plastikową doniczkę z zewnętrznego parapetu i potoczył ją za dom. W noce jak ta, Horacy zazwyczaj czeka, gdyż wiatr zakłóca jego umiejętności odróżniania prawdziwych zagrożeń od wymaginowanych. Lecz teraz był z moją matką u ciotki Betty.

Poczułam się słaba i samotna. Przeszłam się dookoła domu i sprawdziłam, czy wszystkie zewnętrzne drzwi były zamknięte, a alarm włączony. Gdy wchodziłam do składziku, by skontrolować łańcuch na drzwiach na patio, coś drapnęło w szybę okienną.

Zamarłam. Strach zaczął lodowacieć mi w żyłach.

Drzwi zastukały. W oknie pojawiła się guzowata sylwetka, której pazur jeszcze raz przejechał po szkłe. Zdałam sobie sprawę, że była to gałąź glicynii, którą wiatr przygiął do okna.

Sięgnęłam po łańcuch, założyłam go na drzwi i oparłam się o nie plecami. Moje serce dudniło, znowu pompując krew do żył.

20 grudnia

Rozdział 15

- Dzień dobry, Illaun. Jak weekend? - powitała mnie żwawo Peggy, gdy weszłam do biura. Przeglądała poranne gazety.

Usiadłam i podłączyłam swojego laptopa do dużego ekranu.

- Średnio...

Lecz Peggy wcale nie słuchała odpowiedzi.

- Bukmacherzy raczej nie przewidują białego Bożego Narodzenia. Ktoś mógłby zrobić majątek, jeśli zaczęłyby padać śnieg. - Podeszła do mojego biurka i podała mi „Timesa” i „The Independent”. Najwyraźniej odświeżano coroczne frazesy. I to na całej stronie.

NADZIEJE NA BIAŁE ŚWIĘTA BLEDNĄ

Tylko raz w moim życiu na Gwiazdkę padał śnieg. Ale i to może mi się zdawało.

SKLEPY SZYKUJĄ SIĘ NA REKORDOWE OBROTY

Nigdy nie widziałam, żeby napisali, że „Sklepy oczekują niskich obrotów”.

W gazecie zamieszczono również fotografię grupy młodych ludzi śpiewających kolędy.

„Członkowie chóru The Piccolo Lasso podczas wczorajszego dorocznego koncertu bożonarodzeniowego w Filharmonii Narodowej”.

- Byłaby z tego piękna pocztówka bożonarodzeniowa, prawda? - spytała Peggy, wracając do swojego biurka. - Wiem, że ty jesteś raczej wybredna, jeśli o to chodzi. - Przypomniała sobie moje komentarze na temat kartki, która przyszła w zeszłym

tygodniu: „Wesołych świąt!” na tle fotografii dublińskiej iglicy*. Peggy lubiła zabawne kartki świąteczne, a ulubionymi gazetami były kolorowe tabloidy. Jeden z nich leżał w tej chwili przed nią. Ignorując jej aluzję do kartek bożonarodzeniowych, przejrzałam kolumnę z wyszczególnionymi tematami w „Timesie”. Nie było żadnej informacji o postępie w śledztwie.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nadal nie wysłałaś ani jednej kartki, Illaun. Wstydź się. - Peggy wzięła mój brak odpowiedzi za próbę zmiany tematu, co częściowo było prawdą.

Muszę w tym miejscu opisać Peggy. Pulchna pięćdziesiątka o pokaznym biuście. Albo, jak pewnie by sama siebie opisała - zmysłowa, krągła i wolna (to ostatnie odnosi się do osiągnięcia wieku, gdy nie ma już mowy o dzieciach i można folgować nienasyconemu apetytowi na seks bez konieczności używania chemii czy prezerwatyw. Nie oznacza to wcale rozwiązłości Peggy. Jej mąż, Fred, to dla niej jedyny obiekt pożądania, a ci, którzy o tym wiedzą, często kpią z jego chudości i wiecznie zastraszonego spojrzenia). Ciągłe zmienia fryzury i kolor włosów — obecnie miała na głowie coś w rodzaju połyskliwe czarnego hełmu a la Louise Brooks ** z pasującym do niego ciemnym makijażem. Peggy jest żarliwą zwolenniczką ziołowych lekarstw na każdą dolegliwość i gorliwą wielbicielką telenowel oraz plotek o życiu i miłostkach gwiazd showbiznesu. Ponadto jest najlepiej zorganizowaną i efektywną istotą ludzką, jaką kiedykolwiek spotkałam - dokładnie taką sekretarką.

- Przypuszczam, że zapomniałaś również o naszym lunchu firmowym w czwartek.

- Oczywiście, że nie - skłamałam. - Lepiej zarezerwujmy gdzieś stolik.

- Illaun, czy rzeczywiście uważasz, że jakakolwiek restauracja w Castleboyne będzie jeszcze miała wolny stolik na ten właśnie tydzień? - Uśmiechnęła się do mnie łobuzersko. - Ale nie martw

* Dublin Spire - górująca nad Dublinem iglica, której budowa pochłonęła 8 mln euro i wzbudziła wielkie kontrowersje wśród mieszkańców.

** Louise Brooks (1906-1985) - amerykańska gwiazda kina niemego.

się. Zarezerwowałam „Stary Młyn” dla naszej czwórki miesiąc temu.

No właśnie.

- Kupię kilka kartek i wydrukuję adresy. Będziesz musiała tylko podpisać. - Złożyła swoją gazetę. - Może być?

- No pewnie. Napisali coś o morderstwie?

Popatrzyła na mnie zaintrygowana.

- Jakim morderstwie?

- Przepraszam, myślałam, że wiesz. - Zastanawiałam się, dlaczego to nie stało się pierwszym tematem naszej rozmowy. Po chwili wyszło na jaw, że Peggy nie ma pojęcia o morderstwie, mimo że trąbiono o nim w każdych wiadomościach w radiu i telewizji, nic nie mówiąc o jej ulubionych tabloidach. Ale niewątpliwie miała co innego do roboty. Staralam się zdać jej jak najkrótszą relację z wydarzeń, jakie rozegrały się od piątku, co nie było łatwe, mając na uwadze jej apetyt na makabryczne szczegóły.

- ...aż do dzisiejszego poranka - powiedziałam prawie pół godziny później, spoglądając na biurowy zegar dla zaznaczenia, że temat skończony. - Staram się przywrócić choćby pozory normalności. Gdybyś mogła pomyśleć przez chwilę o poprzednim czwartku i piątku. Czy ktokolwiek dzwonił do biura i chciał jakichś informacji na temat znaleziska przy Newgrange?

- Żaden dziennikarz, jeśli to masz na myśli.

- Ktokolwiek. Szczególnie, jeśli się nie przedstawił.

- Nie. Pamiętałabym taki telefon. W rzeczywistości rozmawiałam jedynie z Keelanem. To było w czwartek i powiedziałam mu, że następnego dnia ma jechać do szpitala.

- Okej, Peggy. Od teraz, jeśli odbierzesz jakikolwiek telefon od mediów, przekieruj go na inspektora Matta Gallaghera, detektywa z posterunku w Droghedzie. Albo lepiej... - Zastanawiałam się, czy uprzykrzenie życia Muriel Blunden nie poprawi mi nastroju. Lecz przypomniałam sobie, że pewnie opłakuje swego zmarłego kochanka i prawdopodobnie czuje się strasznie opuszczona, jak to zwykle kochanki w takich sytuacjach.

- Nie, nic - powiedziałam. - Bierzmy się do roboty.

Musiałam przedrzeć się przez najnowsze dane dotyczące autostrady, zamieścić najważniejsze z nich w sprawozdaniu

i napisać wstęp. Chciałam też obejrzeć zdjęcia rentgenowskie Mony, ze szczególnym uwzględnieniem jej zaciśniętej dłoni. Należało również wgrać do laptopa zdjęcia z kostnicy i opactwa. No i jeszcze przyjęcie u Jocelyna Carewa - nie miałam co na siebie włożyć. Powinnam także pomyśleć o jutrzejszym wywiadzie dla „Dig”.

Zaproponowałam, żeby Peggy wzięła mój samochód do Castleboyne. W trakcie wymiany szyby mogłaby kupić kartki świąteczne i odebrać mój nowy telefon komórkowy. Zanim otworzyła pocztę i wyszła, zajęłam się autostradą. Proponowana trasa drogi prowadziła przez zagęszczony archeologicznie teren - historię hrabstwa w pigułce. Wśród zidentyfikowanych elementów znajdował się prehistoryczny kamienny krąg, kilka wczesnośredniowiecznych zagród, otoczonych ziemnymi lub kamiennymi wałami, pozostałości anglonormandzkiej rezydencji ziemskiej wraz z wałami ziemnymi i ogrodzeniami, oraz dwa cmentarze, z czego jeden to *cillin*, przeznaczony dla nieochrzczonych dzieci. Oprócz tego znajdował się tam obszar ziemi uprawnej, na której doszło do jednej z potyczek przed bitwą nad rzeką Boyne w 1690 roku - wykop próbny ukazał grot piki, bagnet, muszkiet, kule armatnie oraz nietknięte pociski moździerzowe. Odnalezienie dowodów na dotychczas nieznaną potyczkę pomiędzy armiami Wilhelma i Jakuba stanowiło dobry przykład, w jaki sposób archeologia może pomóc historykom w ustalaniu dokładnego obrazu przeszłości.

Właśnie zaczęłam pisać wstęp do sprawozdania, kiedy zadzwonił telefon. Nie chciałam odebrać, ale podniosłam słuchawkę, kiedy usłyszałam, jak Malcolm Sherry zostawia wiadomość.

- Jestem, Malcolmie. Próbuję tylko napisać raport z badań, zanim ogarnie mnie przedświąteczny nastrój.

- Rozumień cię, Illaun. Robię to samo. Dlatego chciałbym położyć twoją panią z bagna, że tak powiem, do łóżka. Oglądałem wyniki prześwietlenia. Nic niezwykłego w nich nie ma. Żadnej widocznej patologii ani deformacji szkieletu, brak śladów obrażeń czaszki. Ale rzeczywiście trzyma coś w ręku. Trudno określić kształt, wygląda to na dzieło rąk ludzkich.

- Wykonane z metalu czy kamienia? - Wstrzymałam oddech. Okres historyczny, z którego pochodziła Mona, można by szybko ustalić za pomocą tego właśnie przedmiotu.

- Ani z tego, ani z tego. Myślę, że z kości.
- Z kości? - Wydawało się, że Mona wprost zasypywała nas zagadkami. Ozdoba wykonana z kości mogła pochodzić z dowolnego okresu. - Malcolm, muszę to jak najszybciej zobaczyć. - Mogłabym określić wiek ze sposobu, w jaki przedmiot został wykonany.
- Dzisiaj wysyłam oba zestawy szczątków. Ivers zorganizował dla nich tymczasową przechowalnię w kontrolowanej temperaturze w Muzeum Narodowym. - Najwyraźniej Iwersowi udało się obejść panią dyrektor ds. wykopalisk. Przyszło mi jednak do głowy, że Muriel Blunden nie było prawdopodobnie w pracy.
- Pod koniec tygodnia powinni się też do ciebie odezwać z uniwersyteckiego laboratorium datowania metodą węglową. Myślałem też o przyczynach deformacji noworodka. Zakładając, że ciało nie pochodzi ze współczesności, możemy wykluczyć narkotyki i promieniowanie. Może zatem chodzić o kazirodztwo.
- Ponieważ zwiększa prawdopodobieństwo wystąpienia poważnych wad rozwojowych?
- Tak, poza tym stanowiłoby tabu, przynajmniej w najbliższej rodzinie. Mogłoby to wyjaśniać, dlaczego matkę poddano takiemu ostracyzmowi. Być może urodzenie tego dziecka stanowiło dowód, że dopuściła się kazirodztwa. A jej brat lub ojciec, ktokolwiek z nich był odpowiedzialny, podzielił jej los.
- To mogłoby wyjaśniać sprawę „Nubijczyka”. Wiedziałałam jednak, że kazirodztwo nie zawsze w kulturach starożytnych stanowiło tabu. Wśród warstw rządzących, dajmy na to. Jeśli nie znajdowano kobiety odpowiedniej rangą, król mógł raczej poślubić swoją siostrę niż kobietę o niższym statusie społecznym. Było to rozpowszechnione na przykład w Egipcie w okresie Nowego Państwa.
- To bardzo interesująca myśl, Malcolmie, zapamiętam ją.
- Teraz jednak byłam bardziej podekscytowana perspektywą ujrzania przedmiotu, który Mona trzymała w zamkniętej dłoni. Gdzie był teraz Sherry? - Mówisz, jakbyś wciąż znajdował się w Droghedzie. Dlaczego?
- Postanowiłem zostać na weekend. Udałem się z kimś na niewielką wycieczkę po hrabstwie Meath.
- Czyżby z tą samą osobą, z którą umówił się na lunch w piątek? *Daj spokój. Trzymaj się tematu.*

- Malcolmie, czy mogłabym prosić cię o przysługę?
- Śmiało.
- Chodzi o ten kawałek kości. Chciałabym, żebyś wyjął go z ręki Mony. Jeśli zechciałbyś poczekać, to w ciągu godziny ktoś by to od ciebie odebrał. Załatwię to z Iverssem.
- Zrobi się. Ale jak już powiedziałem w zeszłym tygodniu - przysługa za przysługę. Co ty na to?
- Ee... - Dlaczego tak się tego obawiałam?
- Illaun, jesteś tam?
- Strzelaj.
- Chodzi o jutrzejsze przesilenie w Newgrange. Możesz mi załatwić dwa bilety? Dla mnie i osoby towarzyszącej?

Byłam kompletnie zaskoczona. Ale czego innego mogłam się spodziewać? To nie było takie proste. Sherry dobrze wiedział, że bilety na ten dzień i na dni go poprzedzające oraz następne, zostały wyprzedane na drodze losowania w październiku. Tylko kilka zarezerwowano dla VIP-ów. Przesilenie widziałam parę lat wcześniej, więc w tym roku miało mnie nie być w komorze.

- Jeśli mi się nie uda, to może następnego dnia lub we czwartek?
- Nie będzie mnie tu. Wyjeżdżam na święta.
- Postaram się. Ale niczego nie obiecuję.

Odłożyłam słuchawkę, zastanawiając się, dlaczego tak późno mnie o to poprosił. Zadzwoiłam do Keelana O'Rourke. Jego komórka odpowiedziała nierównym sygnałem. Zepsuła się? Keelan mieszkał w Navan, stolicy hrabstwa. Navan też znajdowało się nad rzeką Boyne, ale nie było tak malownicze, jak moje rodzinne miasto. Miałam w bazie danych domowy numer Keelana, ale ponieważ miał dziś pracować z Gayle na stanowisku planowanej autostrady i był całkowicie niezawodny, nie było sensu dzwonić do domu.

Gayle nie miała ani komórki, ani własnego środka transportu. Na to ostatnie nie mogłam nic poradzić, ponieważ nie umiała prowadzić, ale jej odmowa przyjęcia służbowej komórki była denerwująca. W innych okolicznościach protest ten byłby godny pochwały, ale w terenie, w jakim zwykle pracowaliśmy, komórka była narzędziem niezwykle przydatnym.

Zirytowana, że nie mogę się skontaktować ze swoimi pracownikami, postanowiłam przekierować swoje napięcie w inną stronę

i uspokoić nerwy, dzwoniąc do Cona Purcella, dyrektora Centrum Informacji Turystycznej w Newgrange. Con był moją jedyną nadzieją na zdobycie biletów dla Malcolma. Nie cierpiałam stawiać go w niewygodnej sytuacji.

Złapałam Purcella w biurze i wyjaśniłam krótko sytuację, dodając, że Sherry okazał niezwykłą pomoc przy badaniu znaleziska z Monashee.

- Illaun, nie mogę nic zrobić, chyba, że ktoś zrezygnuje. Ale wtedy musimy zwrócić bilety do puli i wylosować uczestników spośród chętnych, którzy się do nas zgłosili.

- Rozumiem, ale może ktoś z VIP-ów się wycofa.

- Wątpię. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Nie zdążyłam odłożyć słuchawki, gdy telefon zadzwonił ponownie. Na wyświetlaczu pojawił się nieznajomy numer.

Odpowiedziałam tak, jakby to zrobiła Peggy.

- Biuro Illaun Bowe, w czym mogę pomóc?

- Kapitanie, melduje się Keelan O'Rourke z ekipy wyjazdowej. Czy na pokładzie naszego statku wszystko w porządku?

- Cześć Keelan, cieszę się, że zadzwoniłeś. Co to za numer? Skąd dzwonisz?

- Tylko proszę nie mówić szefowej. Dzwonię z pubu, niedaleko miejsca, gdzie powinienem teraz pracować.

Zaśmiałam się.

- Co to za historia?

- W piątek wieczorem skradziono mi telefon.

- Dziwne, mi również.

- Jak?

- Ktoś włamał się do mojego samochodu.

- Przykro mi to słyszeć. W moim przypadku to przez głupotę. Zostawiłem komórkę na ladzie w pobliskim pubie. Gdy przyszedłem tam w sobotę, powiedziano mi, że nikt nie oddał im żadnego telefonu.

- Posłuchaj, kup sobie nowy na koszt firmy. Poproś potem Peggy o numer zamówienia, czy jak to się tam nazywa. Tymczasem chciałabym, żebyś zabrał coś dla mnie z Droghedy i przywiózł tutaj.

- Co to jest?

- Pamiętasz ten pasek skóry? No więc to i jeszcze coś. Od doktora Sherry'ego. Będzie na ciebie czekał w starej kostnicy.

- Robi się. Jak tam sprawozdanie?
- Jest mniej więcej przygotowane. Właśnie piszę wstęp. Wyślę je tobie i Gayle e-mailem. Jeśli będziecie mieli jakieś komentarze lub dodatkowe dane, zwrótną pocztą proszę. Myślę, że jutro przerwiemy prace i przed świętami wyślemy to do ZDK.

- Kiedy muszę być u doktora Sherry'ego?

- Już powinieneś być w połowie drogi do Droghedy.

Zachichotał i rozłączył się.

Lubiłam Keelana z wielu powodów, zwłaszcza dlatego, że trzymał mnie w ryzach. Z nowym zapałem wzięłam się do sprawozdania. Nie spędziłam nad nim więcej niż dwadzieścia minut, kiedy oddzwonił Con Purcell.

- Illaun, zabawne, że wspomniłaś o VIP-ach. Właśnie dzwoniła sekretarka Dereka Warda i powiedziała, że pan minister z żoną udają się na pogrzeb przyjaciela i nie będą mogli pojawić się na przesileniu. Wiedziałaś o czymś, o czym ja nie wiedziałam?

- Skądże, Con. Zwykły zbieg okoliczności. - Wiedziałam, że tym przyjacielem musiał być Frank Traynor. To mi podsunęło pewną myśl.

- Powiedz doktorowi Sherry'emu, żeby czekał na zewnątrz o ósmej rano.

Podziękowałam Purcellowi i kiedy wybierałam numer Sherry'ego, zdałam sobie sprawę, że to był większy zbieg okoliczności, niż miałam czas, żeby go wyjaśniać - miejsce Dereka Warda będzie zajęte przez człowieka, który przeprowadzał sekcję zwłok jego przyjaciela.

Sherry był wdzięczny i powiedział, że spotkamy się na miejscu. Spojrzałam na zegarek. Było po jedenastej.

Telefon zadzwonił ponownie.

- Cześć. - Rozmówca nie musiał się przedstawiać.

- Cześć Fran.

- Dzwonię, żeby przypomnieć o dzisiejszym lunchu.

- Tak, tak. Pamiętam. W „Starym Młynie”.

- „U Waltera”.

- Ach, rzeczywiście. A, zapomniałam ci powiedzieć: wieczorem wybieram się na wyjątkowe przyjęcie do Dublina.

- Bał starych panien?

- Nie, wieczorek muzyczny w domu Jocelyna Carewa.

- Chyba padnę z zazdrości - powiedziała żartobliwie. – A z kim idziesz? Z wilkołakiem? - Nazywała tak Finiana. Przewisko wzięło się z jednej z naszych rozmów, gdy powiedziała, że Finian jest wilkiem w owczej skórze. Było to tym zabawniejsze, gdyż według niej, odpowiadało rzeczywistemu wyglądowi mojego przyjaciela.

- Nie mów tak. Sama bardzo chciałabyś tam być. - Sprytnie zmieniałam temat, unikając dyskusji o Finianie.

- W żadnym razie. Wolę wieczór z przystojnym elektrykiem, który obiecał włączyć moje lampki choinkowe.

- Ale nie był ubrany na czerwono i nie hasał przypadkiem z białą brodą?

- Niech pomyślę... tak, to ten. Powiedział też, że na Wigilię wejdzie do mnie przez mój komin.

Powiedziałam Fran, że zachowuje się nieprzyzwoicie, ale uznała to za komplement i odłożyła słuchawkę.

Wróciłam do sprawozdania, lecz po pięciu minutach znowu zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę, by po raz kolejny nie wysłuchiwać wiadomości nagranej na automatycznej sekretarce. Gdzie podziewała się Peggy?

Moje poirytowanie przygasło, gdy po drugiej stronie usłyszałam głos Seamusa Creana.

- Jak się masz, Seamusie?

- Średnio, proszpani. Astma mnie dręczy.

- Przykro mi. - Najprawdopodobniej ataki nasiliły się pod wpływem stresu związanego z przesłuchaniem.

- Dzwonię, żeby przekazać, że rozmawiałem z ojcem... - Odetchnął ciężko. – I wszystko jest ustalone na jutro o czwartej po południu.

- Ustalone? Ale co?

- Spotka się z panią w barze Micka Dorana w Donore. O tej porze będzie tam spokojnie.

Pogubiłam się.

- Mówiła pani, że chciałaby dowiedzieć się czegoś o zjawach.

No cóż, nie traktowałam tego aż tak poważnie. Ale nie miałam serca odmówić. O ile dobrze pamiętałam, nie miałam żadnych obowiązków jutro po południu.

- Dzięki, Seamusie. A jak nazywa się twój ojciec?

- Jack Crean.
- Okej, zapamiętam. Seamusie, na pewno policja już cię o to pytała, ale chciałabym ustalić kolejność zdarzeń w Monashee po tym, jak znalazłeś ciało. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, oczywiście.
- Nie ma sprawy... Pierwsze, co zrobiłem, to zadzwoniłem do Centrum Informacji Turystycznej. W centrali poprosiłem o rozmowę z szefem. Połączyli mnie z panem Purcellem i po krótkiej rozmowie powiedział, że przyjedzie do Monashee. Był po dziesięciu minutach...
- Crean znowu złapał trochę powietrza do płuc.
- Nie przyszło mi do głowy, że Con Purcell pojawił się na miejscu, ponieważ moim pierwszym punktem kontaktowym był Terence Ivers, uprzednio powiadomiony przez Purcella.
- Co wydarzyło się w tym czasie?
- Nic szczególnego. Wróciła wywrotka wywożąca ziemię, ale odesłałem ją.
- Czy kierowca widział ciało?
- Nie, proszpani. Był tak samo zły, jak ja. Odjechał, jakby go co goniło.
- A potem nadjechał pan Purcell. Co robił?
- Obejrzał dokładnie zawartość łyżki, powiedział, że ciało przebywało w torfie prawdopodobnie od dłuższego czasu... Potem powiedział, że przyśle kogoś, by to zbadał dokładniej, bo on jest bardzo za-
- I odjechał?
- Tak. Poprosił mnie jeszcze, żebym został w pobliżu.
- Tak więc przed moim przyjazdem byłeś tam, powiedzmy, czterdzieści minut. I nie zbliżałeś się do ciała?
- Pewnie, że nie. Poszedłem do kabiny, zjadłem kanapki i posłuchałem radia, żeby czas szybciej przeleciał. A potem jakiś gość zatrzymał się na poboczu, więc wyszedłem do niego i trochę po-
- Kto to był?
- Nie mam pojęcia. Tylko przejeżdżał. Zobaczył koparkę i zastanawiał się, czy gdzieś tu nie ma parkingu dla zwiedzających
- Jak wyglądał?

- Pamiętam tylko, że miał rzadką brodę.
- Nie wysiadł z samochodu?
- Nie. Odjechał. I to wszystko. Potem przyjechała pani.
- O czym myślałeś, siedząc w koparce?
- Prawdę powiedziawszy, trochę się bałem. Powtarzałem modlitwę, którą należało recytować, przechodząc obok Monashee.
- Naprawdę? A jaką?
- „Niech nie słyszę i nie widzę złego, gdy przechodzę. Lecz jeśli ujrzę i usłyszę, nie pozwól mi, Panie, nigdy nikomu o tym opowiedzieć”.

To nie mógł być przypadek. Oczy nie mogą widzieć, uszy nie mogą słyszeć, a usta mówić. Przed oczami stanęły mi okaleczone widma, które były ze mną tamtego wieczoru w samochodzie.

- Seamusie, czy wyrecytowałeś tę... modlitwę inspektorowi Gallagherowi?
- Nie. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o tym, co przydarzyło się Traynorowi. Dowiedziałem się dopiero po powrocie do domu. - Seamus również zauważył związek.
- Ale modlitwę znałeś wcześniej.
- Pewnie. Nauczyłem się jej od matki.

Ciekawe, czy też po łacinie, pomyślałam.

- No cóż, nie przyznawaj się do niej, jeśli Gallagher będzie cię jeszcze kiedyś przepytawał. Może znowu przysporzyć ci kłopotów.
- Nic nie powiem. Ale cieszę się, że przypomniałem ją sobie wtedy, bo okazała się skuteczna.
- W jakim sensie?
- Chyba mnie obroniła. Mówią, że w wieczór zamordowania pana Traynora widziano na polu białą postać... Moja matka mówi, że musi to być dusza tej biednej kobiety, którą znaleźliśmy. Jest niezadowolona, że nie urządziliśmy jej chrześcijańskiego pochówku.
- No tak. Powiedz swojej matce... - Nie wiedziałam, jak to wyrazić. Mona najprawdopodobniej skończy na wystawie w Muzeum Narodowym. - Powiedz jej, że życzę wam wszystkim wesołych świąt.

Dwadzieścia niczym nieprzerwanych minut później przeglądałam skończone sprawozdanie. Musiałam doprecyzować informacje na temat jednego obiektu znalezionej na stanowisku: myślałam,

że znaleźliśmy trzy groty pik, lecz skatalogowane były jedynie dwie. Mimo to zdecydowałam się wysłać sprawozdanie zgodnie z planem, przed świętami. Gdy spotkam się z Gayle i Keelanem, zapytam ich o tę niezgodność. Wysłałam dokument do OWS i dwojga moich pracowników.

Dopiero teraz dostrzegłam niewielki stosik otwartej poczty, którą Peggy zostawiła na moim biurku. Wzięłam koperty do ręki i szybko przejrzałam, czy nie ma wśród nich czegoś ważnego.

Przerzuciłam kilka kartek świątecznych i nagle poczułam suchość w ustach. Patrzyłam na abstrakcyjny, purpurowy widoczek z wystylizowanym złotym spiralnym motywem, biegnącym w poprzek całej kartki. Napis głosił: „Niech spokój Ziemi, Wody i Powietrza będzie z tobą i niech odradzające się Słońce na nowo rozbudzi wszystkie twoje marzenia”.

Moje palce drżały, gdy próbowałam ją otworzyć. W środku było pusto. Podobnie jak z tyłu. To było ostrzeżenie, coś w rodzaju: „Jesteś coraz bliżej. Kolejny krok będzie kosztował cię życie”. Zerwałam się z krzesła i pobiegłam w stronę kosza na śmieci, postawiłam go na biurku i zaczęłam szukać koperty.

Weszła Peggy i od progu zaczęła opowiadać.

- Musiałam poczekać, zanim nie wymienili szyby. Zjadłam wcześniejszy lunch. Uratowałam nas obie przed...

- Powiedz mi, w jakiej kopercie to przyszło? - Podniosłam kartkę do góry.

- Mój Boże, wyglądasz strasznie. Co się stało?

- Po prostu pomóż mi znaleźć kopertę. Peggy odłożyła torebkę i odsunęła mnie na bok.

- To powinno być proste. Koperta też była czysta.

- Jak to, czysta?

- Żadnego nazwiska ani adresu. Nawet znaczka nie było.

Oznaczało to, że kartka nie została nadana na pocztę.

Przypomniałam sobie, że wczoraj wieczorem słyszałam dźwięk pokrywki mojej skrzynki pocztowej. Ktoś musiał tam być. Nagle poczułam słabość i opadłam na fotel, zanim nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Musiałam trzymać twarz w dłoniach, ponieważ nie zauważyłam Peggy podchodzącej do biurka z pogniecioną kopertą, którą położyła przede mną.

- Wiem, że nie lubisz pewnego typu kartek - powiedziała, gdy wreszcie na nią spojrzałam. - Ale nie miałam pojęcia, że aż tak.

Miała tak ponurą minę, że musiałam się roześmiać.

- Och, Peggy. Ta kartka stanowczo mi się nie podoba, ale z trochę innych powodów. Powiedzmy, że ktoś użył jej, by przesłać mi wyjątkowo nieprzyjemną wiadomość.

Peggy wróciła do swojego biurka lekko zbita z tropu moim wyjaśnieniem czegoś, co wyglądało na niewinne życzenia. Lecz moment rozluźnienia pomógł mi odzyskać siły. Z szuflady wyciągnęłam pęsetę i chwyciłam tak kopertę, aby spojrzeć na nią pod światło. W środku była pusta. Z drugiej szuflady wyjęłam zamykaną torebkę plastikową, do której wrzuciłam kartkę i kopertę.

Peggy przyglądała się temu, a po chwili postanowiła powrócić do momentu, w którym jej przerwałam.

- Nie mieli telefonu, który chciałaś. Sprowadzą go albo dziś późno wieczorem, albo jutro rano. Ale udało mi się kupić ci... hm... to... - Wyciągnęła w moją stronę kilka zapakowanych w celofan paczuszek. Wycelowała w nie palcem, starając się nie używać słowa na „k”. - Ale chyba nie masz nastroju na wypisywanie, prawda?

- Rzeczywiście. Nie teraz. Powinam już jechać na spotkanie z Fran. Zanim wyjdę, jest jeszcze kilka spraw do załatwienia. Keelan O'Rourke podrzuci coś dla mnie i wróci do Droghedy. - Podniosłam torebkę z kartkami. - Poprosisz go, żeby zawiózł to na tamtejszy posterunek policji dla inspektora Matta Gallaghery, do rąk własnych? W tym czasie zadzwoń do niego i powiedz, że jedzie do niego dowód, który podrzucono do naszej skrzynki zeszłej nocy. A na koniec... - Z plecaka wyjęłam aparat cyfrowy i postawiłam go obok laptopa. - Wgraj te zdjęcia. Foldery zatytułuj „Kostnica” i „Drzwi zachodnie”.

Rozdział 16

Fran zaproponowała spotkanie w kawiarni przy murach obronnych anglonormandzkiego zamku, od którego nasze miasto wzięło połowę swej nazwy. W przeciwieństwie do mieszczącej się obok restauracji, gdzie odbywały się przyjęcia dla pracowników różnych biur, klientelę kawiarni „U Waltera” stanowili w większości ludzie z upchniętymi pod stolikami paczkami i torbami na zakupy. Na stoliku, przy którym siedziała Fran, leżało małe, zapakowane na prezent pudełko, przeznaczone, z czego zakłopotana zdałam sobie sprawę, dla mnie.

- Wygląda na to, że możemy się już nie spotkać przed świętami. Pomyślałam więc, że dam ci twój prezent dzisiaj.

- No cóż, znasz mnie, Fran, dam ci twój prezent bliżej świąt.

- Rzuciła mi promienny uśmiech. - To część tradycji. - Fran doskonale wiedziała, że często w panice poszukiwałam prezentów w Wigilię. Właśnie dlatego zmusiła mnie, bym kupiła świąteczny prezent dla Finiana w październiku, podczas naszego pobytu w Lucce. Wtedy wydawało się to takie nienaturalne, lecz teraz doceniłam jej dalekowzroczność.

Podniosłam pudełeczko, odstawiłam je na bok i pocałowałam Fran w policzek.

- Dziękuję, Fran - powiedziałam smętnie.

- Wesołych świąt. A teraz coś zjedzmy.

Czytając menu, gawędziłyśmy o Daisy i Oisynie. Fran odeszła od męża alkoholika i sprawowała opiekę nad dwojgiem ich dzieci. Zawsze mówiła niewiele o nim, lecz mnóstwo o dzieciach. Oboje przypominali matkę w taki sposób, że gdyby dało ich się połączyć w jedno, otrzymalibyśmy Fran. Oisín odziedziczył po matce zielone oczy, Daisy rude włosy; Oisín piegi, Daisy zaś długie nogi; oboje mieli jej szelmowski uśmiech.

Złożyłyśmy zamówienie i dalej rozmawiałyśmy o sprawach rodzinnych, lecz nagle poczułam, że tracę wątek. Fran wpatrywała się we mnie.

- Coś cię niepokoi, Illaun. Co się dzieje?
 - Chyba mam opóźnioną reakcję...
- Kelnerka przyniosła nasze zamówienie - wędzonego łososia i bajgiel z serkiem śmietankowym (dla Fran) oraz sałatkę z awokado i krewetek (dla mnie).
- Opóźnioną reakcję na co?
 - Na pogróżki.
 - Jezu, Illaun, ktoś ci grozi?
 - Nie mam pojęcia. - Przy jedzeniu opowiedziałam jej wszystko, co wydarzyło się od naszego ostatniego spotkania. - To oczywiste, że poruszyłam coś, co skrywa jakieś okropieństwo - stwierdziłam - ale ciekawe, co takiego zrobiłam, powiedziałam lub usłyszałam przez te kilka dni, że poczuli się zagrożeni?
 - Podejrzałabym O'Hagana - powiedziała Fran po zastanowieniu. - Przede wszystkim utrudnia śledztwo; a teraz jeszcze ty pogrążyłaś go przed Gallagherem. No i poza tym wygląda mi na prawdziwego sukinsyna.
- Głowy siedzących obok ludzi obróciły się w naszym kierunku, gdy Fran dobitnie wypowiedziała ostatnie słowa. Jej podświadome zarzuty wobec byłego męża nagle znalazły nieoczekiwane ujście.
- Odpowiedziałam prawie szeptem.
- Wiem, o co ci chodzi, Fran. Mnie także wydaje się, że O'Hagan jest z jakiegoś powodu rozgorączkowany, ale tak od razu robić z niego sadystycznego mordercę? Nie wydaje mi się.
- Fran westchnęła.
- Okej, w takim razie to był Duch opactwa Grange, uuuu!
 - Podniosła ręce, by podkreślić dźwięki wydawane przez zjawę.
 - Nie zdziwiłabym się - odpowiedziałam, odzyskując dobry humor. - Ale poważnie. Coś jest z nimi nie tak. Mam na myśli zakon. Wygląda na to, że zawsze chowały się w cieniu. Teraz nagle znalazły się na widoku publicznym i jedyne, czego chcą, to znowu zniknąć z pola widzenia.
 - Mogłabym ci pomóc dowiedzieć się o nich czegoś więcej.
 - Jak?
 - Mamy jedną z nich w naszym domu spokojnej starości. To znaczy, jest naszą pacjentką.
 - Jesteś pewna, że jest szpitalniczką...

- Św. Małgorzaty z Antiochii. I była w opactwie Grange. Codziennie nam o tym przypomina.

- Czy ona... z jej rozumem wszystko w porządku?

- Nie lepiej i nie gorzej niż u reszty naszych podopiecznych.

- Wydawałoby się, że zakon opiekuńczy sam powinien zajmować się swoimi członkami?

- Statek odpłynął, a ona pozostała zdana na własne siły. Jak E.T. i jak wielu innych staruszków.

- Ktoś z opactwa Grange ją odwiedza?

- Nie. Wydaje mi się, że kilka lat temu, kiedy siostra Gabriel miała się już wymeldować, przybyło tam sporo zakonnic z misji. W większości młodych, których ona nie zna.

- Ale siostra przełożona...?

- Nie sądzę, żeby Gabriel widziała się oko w oko z szefową. Słuchaj, dlaczego sama jej o to nie zapytasz? Zorganizuję dla ciebie odwiedzin.

Nie mogłam pozwolić, żeby ominęła mnie taka szansa. Im szybciej, tym lepiej.

- Kiedy?

- Najlepiej, kiedy będę na miejscu. Może w następny poniedziałek? To by mi dało czas, żebym mogła z nią pogadać, przygotować ją. Goście to u nas rzadkość.

Poniedziałek był dopiero za tydzień. Nie o tym dokładnie myślałam.

- Tak naprawdę wolałabym porozmawiać z nią wcześniej, jeśli to możliwe.

- Jeśli będzie miała wszystkie klepki na miejscu, kiedy wrócę w sobotę wieczorem, to spróbuję załatwić to na następny dzień.

Dzień Świętego Szczepana. Tylko jeden dzień wcześniej. Wciąż nie idealnie, ale nie chciałam naciskać Fran, kiedy miała wolne.

- Porozmawiajmy teraz o tobie i człowieku-wilku...

Spojrzałam na zegarek.

- Hej, Fran, spójrz, która godzina, już po drugiej, a ja muszę wybrać ubranie na dzisiaj. Chodźmy stąd.

- Nie wykręcisz się tak łatwo - powiedziała. - Gdy wrócę z ubikacji, dokończymy tę rozmowę. - Przeprosiła i skierowała się w kierunku toalet. Mogłam w ten sposób zapłacić rachunek,

unikając sprzeczki. Była dumna ze swej niezależności i jakikolwiek gest, który ją naruszał, był z natury podejrzany. Kolczasta osobowość mojej przyjaciółki skrywała hojną i opiekuńczą naturę, dlatego każdy, kogo uważała za niegodnego mnie, obrywał jej ostrym językiem.

Zawsze byliśmy do siebie niepodobne. Jako dziecko przypominała sumienną, nieskazitelnie ubraną i uczesaną lalkę Barbie, podczas gdy ja lubiałam wygrzebywać spod skał odrażające żyjątka. Jako nastolatka, zmieniła się w tyczkowatą Gotkę o kredowobiałej cerze, chowającą ażurowe rajstopy w plecaku, by nałożyć je dopiero w drodze do domu. Tymczasem ja przypominałam preraphaelicką wróżkę, która, niczym Heloiza, oddawała się marzeniom o Finianie. Z czasem nasze drogi się rozeszły, ponieważ, co było do przewidzenia, wybrałyśmy różne życiowe ścieżki. Ale kiedy wróciłam do Castleboyne, zwyczajnie kontynuowałyśmy naszą przyjaźń od miejsca, w którym się

Kelnerka wzięła moją kartę kredytową. Czekając, aż Fran wróci, postanowiłam rozpakować swój prezent. Najpierw nie mogłam uwierzyć własnym oczom, potem uśmiechnęłam się szeroko. Dostałam zestaw sześciu płyt kompaktowych ze świąteczną muzyką country - od Alison Krauss i Union Station po Boba Willsa i jego Country Playboys. Prawdopodobnie było tego więcej, niż dałabym radę wysłuchać przez święta, ale pomysł był cudowny. Tym bardziej, że kiedy znowu się zaprzyjaźniłyśmy, Fran z przerażeniem przyjęła wiadomość, że „nawróciłam się” na muzykę country - zupełnie jakby jakaś sekta wyprała mi mózg. Gdy wyjaśniałam, że jeśli to rzeczywiście był pewnego rodzaju kościół, to bardzo szeroko rozumiany, pozostawała głucha na moje argumenty. Nawet kiedy alternatywne country zostało zaakceptowane przez krytyków rocka (próbowałam bez sukcesu przekonać ją do Handsome Family), ani gdy jej idol George Clooney poprzez ścieżkę dźwiękową do filmu *Bracie, gdzie jesteś?* przyczynił się do umieszczenia muzyki w głównym nurcie, nie dała się przekonać, że to nie jest Hicksville.

Równocześnie z Fran podeszła do mnie kelnerka, niosąc paragon i moją kartę płatniczą. Dałam kelnerce napiwek i uprzedziłam protest Fran, wstając od stolika.

- Wszystko załatwione - powiedziałam.
- Dziękuję. Ale niepokoję się nie o to, kto zapłacił za lunch. Chodzi mi o ciebie i tego wilka w owczej skórce.
- Hej, chodź tutaj - szepnęłam, zmuszając ją, by pochyliła się bliżej i mogła usłyszeć, co mam jej do powiedzenia. Kiedy była blisko, pocałowałam ją w policzek. - Dziękuję za prezent - powiedziałam i skierowałam się w stronę drzwi. - To bardzo miło z twojej strony.
- Nie martw się. Idąc do sklepu muzycznego, zakryłam sobie twarz - rzekła, dołączając do mnie. - Kiedy porozmawiamy o tobie i Finianie?
- Może innym razem, co? Jedno ci powiem - musi od teraz do Wigilii wykonać jakiś ruch. W przeciwnym razie to koniec.
- Jasne. A renifery zaczną latać.

Na biurku leżała plastikowa torba, którą przywiózł Keelan. Peggy wyszła wcześniej na zakupy świąteczne. Ta pora roku nie sprzyjała pracy - wszystko, co nie było ważne, odkładano na później. Jeśli coś wymagało planowania, przesuwane było na nowy rok.

Usiadłam wygodnie na krześle i otworzyłam woreczek wypchany kawałkami pianki ochronnej, oddzielającej rzemyk od kawałka kości, który Sherry wydobyl z pięści Mony. Kościana rzeźba - od razu ją rozpoznałam - rozmiarem i kształtem przypominała rozsuniętą szminkę. Mimo że był nieco pokryty wyschniętą ziemią, mogłam zauważyć wzdłuż niego wiele wycięć. Płaski koniec był uformowany w rodzaj plinty *. Przez moment myślałam, że trzymam w ręku pionek

Z górnej szuflady biurka wyjęłam szczoteczkę do zębów i zaczęłam delikatnym ruchem ścierać osad. Gdy udało mi się usunąć większość skorupy, z tej samej szuflady wyjęłam wykałaczkę - kolejne, nieocenione w pracy archeologa narzędzie. Z wyźłobionych w kości rowków zaczęłam wydobywać brud. Czyszcząc przedmiot, rozmyślałam, jak trudno było określić jego wiek. Nie dokładny, tego dowiedziałabym się z wyników badania

* Plinta - kwadratowa lub prostokątna płyta, leżąca na fundamencie, bezpośrednio pod dolną częścią (bazą) kolumny.

metodą węgla, raczej w przybliżeniu, aby ocenić znaczenie znaleziska. Czy była to, na przykład, przekazywana przez pokolenia pamiątka rodzinna, która wraz z Moną skończyła w błocie? I jak to się stało, że szkielet Mony rozpuściły kwasy bagienne, a ten przedmiot, wraz ze ściskającą go tak mocno w chwili śmierci ręką, przetrwał?

Gdy skończyłam czyszczenie, naliczyłam po jednej stronie dziesięć równoległych, dekoracyjnych nacięć. Po drugiej znajdował się podłużny rowek, biegnący od podstawy do gładkiego, stożkowatego czubka, przypominającego nierozłożony jeszcze kapelusz grzyba. Artefakt posiadał tak znajomy kształt, że nawet nie musiałam mu się specjalnie przyglądać, lecz moje podekscytowanie wzrosło, gdy porównałam go z ilustracją w książce o dolinie Boyne. Wśród różnych ceremonialnych przedmiotów, znalezionych wewnątrz grobowców korytarzowych, znajdował się również wyrzeźbiony w kamieniu fallus o długości dwudziestu pięciu centymetrów. Jego miniaturową replikę pochowano wraz z Moną.

Byłam zaszokowana. Nareszcie odkryłam bezpośredni związek pomiędzy Monashee a Brú na Bóinne, pomiędzy Moną a neolitycznym ludem, który zbudował Newgrange. Po raz kolejny wysunęła się kwestia jej wieku - sprawa, którą już prawie zaniechałam.

Kiedy odwróciłam rzeźbę do góry nogami, pod plinta zauważyłam dziurkę, wyżłobioną tak, by stworzyć w kości malutki łuk. Wzięłam rzemyk i przekonałam się, że z łatwością dałoby się go przeciągnąć przez otwór.

Mona rzeczywiście została uduszona za pomocą własnego naszyjnika, a ten przedmiot był na nim zawieszony - dopóki rzemyk nie pękł. W agonii udało jej się jakoś utrzymać wisior w ręce. Ale czy był to śmiertelny uścisk zdesperowanej kobiety, która próbowała odciągnąć sznurek od gardła, czy też Mona celowo zabrała falliczną rzeźbę ze sobą do grobu?

Później, niż myślałam, rozpoczęłam poszukiwania stroju na przyjęcie do Carewa. Mój gust można z grubsza określić jako eklektyczny. Jednego dnia Cyganka z *Carmen*, drugiego poważna bizneswoman. Lubię również, jak kameleon, dopasowywać ubiór do otoczenia, a nawet do mojego nastroju. Może to być zapła-

nowane (tak jak w przypadku bożonarodzeniowej ślicznotki), lub, co częstsze, przypadkowe (jak podczas wizyty w opactwie, gdy dopasowałam się do siostry Champion).

Ciekawe, czy panna Marie Maguire również zamartwiała się swoim wyglądem tamtego wieczoru w Castleboyne, ponad wiek temu. Na pewno nie miała naszych problemów wywołanych zbyt wielkim wyborem wszystkiego. W jej przypadku była to najprawdopodobniej kwestia nałożenia jedynej odpowiedniej sukni. A mój pradziadek? Jakże były jego zmartwienia? Raczej nie dotyczyły stroju, chyba że jego garnitur był bardzo znoszony. Może miał nadzieję na odprowadzenie panny Maguire do domu? Nie. Mieszkała w Celbridge, o dwie godziny jazdy powozem. Musiała gdzieś przenocować. Raczej nie u niego. Pewnie u przyjaciół rodziny. Czy odprowadził ją? Czy udało im się wymknąć na chwilę, gdy wszyscy już spali? Do czego mogło dojść? Pocałunek? Coś więcej? Czy się pożądali? Czy musieli wyrzekać się swej namiętności z szacunku do siebie nawzajem? Czy musieli czekać do nocy poślubnej?

Otwierając szafę, myślałam, że nie był to taki zły pomysł. W prawdziwym tego słowa znaczeniu, takie postępowanie łączyło ludzi. Nawet na zawsze, jeśli pozostawali sobie wierni. Ale nic poza tym.

Wybrałam kilka sztuk odzieży i położyłam na łóżku. Wśród nich była satynowa kremowa bluzka ze stójką i guziczkami po jednej stronie. Raczej odpada. Następna to czerwona sukienka z dżerseju z plisowanym gorsetem i kołnierzykiem. Dopasowana, miękka, seksowna. Odpowiednia na okazję. Ale co z butami? Zamknęłam lustrzane drzwi i otworzyłam inne.

Perspektywa wieczornego wyjścia z Finianem zaczynała mnie absorbować. Obudziła od dawna już uśpione pragnienia. Ale czy skupiałam na nim moje seksualne potrzeby tylko dlatego, że był najbliższym dostępnym i atrakcyjnym mężczyzną, czy może było to coś więcej? A jeśli tak, to dlaczego teraz?

Wysokie buty? Nie z tą sukienką. Już bardziej pasowałyby z falbaniastą spódnicą trzy czwarte. Czarną. No i z bluzką, którą odrzuciłam. Plus skórzana kurtka, którą miałam w szafie - zestaw bardziej wyjściowy od tego, który miałam na sobie w niedzielę. Wyciągnęłam kurtkę na łóżko i przyłożyłam do niej bluzkę.

Pasowało. Przyłożyłam zestaw do siebie i skontrolowałam swój wygląd w lustrze szafy.

A włosy? Przedziałek pośrodku rozdzielał moje wilgotne włosy na dwie poszarpane połowy. Odpowiadało to moim cygańskim planom, więc postanowiłam później odtworzyć fryzurę za pomocą żelu. Fryzjer nie był konieczny. Jeśliby mi się nie udało, wróciłabym do czerwonej sukienki z dżerseju. Może lepiej nie - zanim skończyłabym dobieranie dodatków, wyglądałabym jak coś, co Jocelyn Carew mógłby powiesić na swojej choince.

Usiadłam na krawędzi łóżka. Istnieję na tym świecie dzięki Marii i Peterowi. Lecz mnie nikt nigdy nie będzie zawdzięczać istnienia. Nagle stało się to bardzo ważne. *A czas płynie, moja droga* - po raz kolejny usłyszałam wiedźmowatą odmianę głosu mojej matki.

Ogarnęła mnie melancholia. Na szczęście łatwo było ją pokonać. Wystarczyło tylko pomyśleć o genetycznym eksperymencie przeprowadzonym przez naturę na dziecku pogrzebanym na Monashee.

Rozdział 17

Wieczór był zimny, lecz suchy. Spacerowałam z ubranym w długi czarny płaszcz Finianem od Leeson Street w stronę placu Fitzwilliam, mając przed sobą perspektywę eleganckich tarasów domów, ciągnących się aż do Krajowego Szpitala Położniczego przy Holles Street, którego sylwetka majaczyła w oddali.

- Po raz ostatni byłem tu, gdy urodziła się Jennifer - powiedział Finian. Jennifer była jednym z trojga dzieci Maeve, jego siostry. Wyglądało na to, że ostatnio temat dzieci ciągle powracał. Rozmawialiśmy, jak bardzo delikatny może być temat rodziny w te dni. Maeve była zdania, że ich ojciec będzie miał lepiej w domu opieki, a Finian tłumaczył brak formalnego zaproszenia ich obu na święta do jej domu w Galway (co stało się tradycją od czasu, gdy dziesięć lat temu zmarła ich matka) jako próbę wywarcia na nim presji. Dla niego nie miało to większego znaczenia, lecz wiedział, że Arthur będzie tęsknił za wnukami. Tak więc oboje znajdowaliśmy się pod presją wywieraną na nas przez członków rodziny, którzy nie mieszkali w

- Moim zdaniem powinieneś uznać się za zaproszonego, zadzwonić do Maeve i zapytać, o której macie się stawić w wigilijny wieczór w Galway.

- Wow, czasami się ciebie boję - odpowiedział, przytulając mnie mocniej. - Pomyślę nad tym. A wracając do tematu tak zwanych „domów dla położnic”... - Machnął ręką w kierunku szpitala położniczego. - Biorąc pod uwagę fakt, że znaczna część historii Irlandii spłonęła podczas pożaru Archiwów Państwowych w 1922 roku, nigdzie nie znalazłem śladów takiej instytucji prowadzonej przez zakon szpitalniczek. Od średniowiecza do powstania państwa.

- Wydawało mi się, że znajdował się niedaleko lub w samym Dublinie.

- Niemożliwe. - Finian zdecydowanie potrząsnął głową. - Mówi się, że do 1700 roku w Dublinie nie było już żadnej

zakonnicy. Świadczy to o skuteczności systemu karnego. A w następnym stuleciu w całej Irlandii zarejestrowane były tylko dwa zgromadzenia, bynajmniej nie zakon szpitalniczek. Większość religijnych zakonów żeńskich, które znamy, założono w XIX wieku, po odnowie katolicyzmu.

- Robi się coraz ciekawiej, prawda?
- Ale znowu, opactwo Grange oficjalnie się nie pojawia.
- Wcale mnie to nie dziwi. Kontynuuj.
- Średniowieczne prawa własności ziemi w dolinie Boyne są nieźle udokumentowane, lecz twoje zakonnice nie występują w żadnych aktach czy przywilejach. Jak wiesz, zanim przybyli Normanowie, prawie cała ziemia w okolicy należała do cystersów.

Skinęłam głowę. Zakon cystersów założył opactwo Mellifont. To oni zaadaptowali system folwarków, które były niezależnie prowadzonymi farmami na ich posiadłościach. Od tych folwarków wywodzi się nazwa Newgrange *.

- Gdy Normanowie przejęli władzę, ofiarowali część gruntów Augustynianom z walijskiego klasztoru Llanthony. Ale nie ma nic, co by potwierdzało fundację klasztoru Zakonu Szpitalnego św.

- Dlatego, że zgodnie ze słowami opatki, została on nadana bezpośrednio przez Henryka II. Może to coś wyjaśni.

- Hmm. To jeszcze bardziej zaciemnia obraz. Szczególnie, jeśli wspomnimy o inwentaryzacji dóbr kościelnych przed ich konfiskatą za Henryka VIII.

- Może zakonnice zostały specjalnie przeoczone? Może miało to związek z powodem, dla którego otrzymały królewski przywilej? Siostra Campion powiedziała, że w zasadzie stanowią jedynie duchową społeczność. Może dzięki temu się uchowały?

- Twórcy przepisów karnych wymierzonych w katolików nie zwracali uwagi na takie niuanse. Nie, opactwo Grange było wyjątkiem. Dużym wyjątkiem...

Zatrzymaliśmy się przed dyskretnie oświetloną wystawą sklepową, prezentującą złotą biżuterię stylizowaną na celtycką.

- Moglibyśmy zapytać doktora Carewa - zauważyłam. – Zna się na historii medycyny w Irlandii, a w końcu to zakon

* *Grange* (ang.) - folwark.

opiekuńczy... Och, to oszałamiające! - Wskazałam przypominający obrożę naszyjnik z kutego złota skróconego w spiralę. - Takie proste, a takie piękne.

- Nie wolałabyś wisiora z kości? - zapytał Finian żartobliwie. Po drodze do Dublina opowiedziałam mu o znalezisku.

- I skończyć w bagnistym rowie? Dziękuję bardzo. - Czule dźgnęłam go w zebra i poszliśmy dalej.

- Żarty na bok. Ciekawe, czy ta rzeźba ma coś wspólnego z jej śmiercią. A jeśli tak, to czy mądrze jest ją przechowywać u siebie?

- Chyba nie stajesz się zabobonny?

- Nie, tylko zalecam uwagę, pamiętając o porannych pogrózkach.

- Ale ktokolwiek wysłał mi kartkę, nie wiedział o istnieniu rzeźby.

- A zabójca Traynora nie mógł wiedzieć o rodzaju ran zadanych ciału odnalezionemu w bagnie? Chyba jednak wiedział. Nie wiem z kim lub z czym masz do czynienia, ale lepiej przyjmij, że prawdopodobnie wie więcej o tej kobiecie i przyczynie jej śmierci, niż ty.

Wszystkie pokoje, łącznie z klatkami schodowymi i podestami, były wypełnione pisarzami, dziennikarzami, artystami, zwłaszcza zaś obrońcami środowiska. Wielu z nich pracowało na rzecz kampanii wyborczej Jocelyna Carewa. Niektórzy goście, zebrani w niewielkich grupkach, rozmawiali i śmiali się. Inni, przechadzali się pojedynczo lub w parach z lampką wina w ręku, podziwiając wiszące na ścianach niezliczone obrazy i grafiki, a także posągi, które, wydawało się, zajmowały każdą wolną przestrzeń.

W końcu dotarliśmy do salonu na drugim piętrze i skierowaliśmy się w kierunku zacisznego kącika między fortepianem buduarowym a jednym z oknem, z którego rozciągał się widok na ulicę. Finian miał na sobie śliwkową, aksamitną muszkę - szokująco kolorową, jak na niego - i ciemnografitową marynarkę z jedwabiu. Rozmawialiśmy przez chwilę, po czym Finian oznajmił.

- Poszukam Jocelyna i cię przedstawię. - Gdy przybyliśmy, gospodarz znajdował się na dole, pogrążony w rozmowie z Prokuratorem Generalnym Irlandii.

- Ale przedtem powiedz mi, kto to? - Moją uwagę zwróciła kobieta ubrana w brązy, przemykająca pomiędzy gośćmi jak ptak w żywopłocie. Włosy zebrane miała w kok, a jej żakiet i spódnica miały nieomal edwardiański krój.

- To Edith, żona Jocelyna - wyjaśnił Finian dyskretnie.

- Przyniosę sobie lampkę wina. Spotkamy się znowu tutaj - powiedziałam.

Ostrożnie wymijałam gości i meble. Musiałam się jednak zatrzymać, gdyż tłum rozstał się, by przepuścić czworo młodych muzyków, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, niosących teczki z nutami. Usadowili się w rogu niedaleko kominka, postanowiłam więc zostać i przez chwilę posłuchać. Nie było też potrzeby przechodzenia do sąsiedniego pokoju - koło mnie pojawiła się kelnerka z tacą pełną kieliszków z winem. Wybrałam lampkę czerwonego wina, a zespół zaczął śpiewać *The Holly and The Ivy*.

To miłe, pomyślałam. Kolędy, żeby przypomnieć nam, z jakiego powodu świętujemy. Śpiewano wzniosie, ze skomplikowanym, acz niewymuszonym podziałem na głosy. Rozległy się oklaski. Kwartet wybrał następną kolędę, *The Wexword Carol*.

Dobrzy ludzie, w ten świąteczny czas

Rozważcie dobrze i miejcie w pamięci

Co zrobił dla nas Pan

Posyłając ukochanego Syna Swego...

Gdy skończyli, wśród głośnych oklasków udało mi się usłyszeć śmiech Finiana. Znajdował się na podeście wraz z Jocelynem Carewem.

- Tak, to była Rotunda... - Usłyszałam, jak wchodząc do pokoju, powiedział Carew.

Finian przyprowadził go do mnie.

- Jak już mówiłem, Illaun próbuje... no cóż, nasze królewskie hrabstwo* przeżarła korupcja - wyjaśni to sama. Jocelyn Carew, Illaun Bove.

Carew ujął koniuszki moich palców i ukłonił się.

* Hrabstwo Meath, w którym rozgrywa się akcja, jest często nieformalnie nazywane królewskim hrabstwem (The Royal Country).

- Bardzo miło panią poznać. - Miał na sobie dwurzędowy granatowy garnitur. Uzupełniał go jasnoczerwony fular, rubinowe spinki do mankietów w rękawach świeżo wyprasowanej koszuli oraz maleńka czerwona róża w klapie. Wyprostowany, przyglądał mi się lubieżnie przez zawieszony na srebnym łańcuszku okulary. Robił to oczywiście w sposób teatralny. - Nadobna piękność poszukuje zgnilizny, tak? - Usta miał czerwone i zmysłowe, tym bardziej widoczne, że znajdujące się na tle białej, równo ostrzyżonej brody i wąsów. Jego kolorowy i zadbany wygląd wyraźnie kłócił się z burym strojem małżonki.

- Tak jakby. - Trudno znaleźć dobrą ripostę na dowcipną uwagę. - Próbuję dowiedzieć się jak najwięcej o zakonnicach, które prowadzą domy lub szpitale położnicze.

- Co za wspaniała terminologia... - Carew przyjął pozę kogoś, kto właśnie słucha wysublimowanej muzyki. - To brzmi tak łagodnie. Bardziej uspokajająco niż nazwy innych miejsc, które działały, kiedy byłem małym chłopcem. Chciałaby pani na przykład być siłą odstawiona do miejsca zwanego „szpital dla nieuleczalnie chorych” czy nawet „schronisko dla umierających”. Albo, uchowaj nas Boże, do „kolonii dla niedorozwiniętych umysłowo”? Ale odbiegam od tematu. Wybacz, moja droga.

- Wybaczcie - wtrącił Finian - że was opuszczę. - Niepostrzeżenie wymknął się i zniknął w tłumie.

- Mów dalej, proszę - powiedział Carew.

- To był dom dla bogatych dziewcząt, które zaszły w ciążę.

- Dla będących w kłopotcie, że się tak wyrażę. Klaczka tatusia pieprzyła jakiegoś stajennego i będzie się żrebić.

- Zgadza się. Ale zakonnice twierdzą, że taką samą pomoc zapewniały też biednym.

Carew prychnął i wykonał ramionami dziwaczny gest, przywodzący na myśl kobietę z pantomimy, której rolę odgrywa mężczyzna. - Powiedz proszę, kim są te okazy cnoty?

- Szpitalniczki św. Małgorzaty z Antiochii.

Nie odpowiedział. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. I to było znamienne.

- Słyszał pan o nich? - spytałam.

Carew wzniosł oczy do góry i wykonał zeza. Zawsze tak robił, gdy przywoływał na pomoc swoją nadzwyczajną pamięć.

- Według mojego ojca, pastora Kościoła anglikańskiego, zakonnice zawsze należało traktować z najwyższym szacunkiem. Zwłaszcza, jeśli należały do zakonu położniczego mieszczącego się na obrzeżach Dublina i hrabstwa Meath, gdzie się wychowałem... ponieważ - powiedział grobowym głosem - wszyscy chrześcijanie powinni być wdzięczni im za to, że wykonują takie obowiązki.

- I to były Szpitalniczki św. Małgorzaty?

- Z całą pewnością. A to był ich dom położniczy.

- Nie mieścił się zatem w mieście?

- Nie, nie, kochana. Boże uchowaj. Musiał być schowany od rozmodlonych oczu.

- Czy pański ojciec powiedział panu, na czym polegały ich obowiązki?

- To dziwne, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby go o to zapytać. Sądziłem, że świadczą dyskretnie usługi i chronią reputację, a owoce seksualnej niedyskrecji oddawały do adopcji i tak dalej. Ojciec dał mi też do zrozumienia, że anglikankami też się

A więc o to chodziło. Zmienne koleje losu nie dotyczyły zakonu, ponieważ obie strony rozłamu kościelnego miały wobec niego dług wdzięczności. Bogaci zawsze byli gotowi zapłacić za usunięcie domowych problemów, zwłaszcza jeśli były one spowodowane ciężką pozamażeńską. W takiej sytuacji wyznanie tych, które pomagały zatuszować sprawę, nie miało znaczenia. Wysłanie niemowląt niepostrzeżenie na katolicką stronę stanowiło, także dla arystokracji protestanckiej, dodatkowe zabezpieczenie przed roszczeniami majątkowymi. Małały wtedy obawy przed żądaniem zadośćuczynienia. Milczenie obu stron podtrzymywało system.

Nagle Carew zmarszczył brwi i spojrzał na mą twarz, jakby poszukiwał oznak gorączki.

- Czy nie jest pani przypadkiem córką Paddy'ego Bowe?

- Tak, jestem.

- Chyba dostrzegłem podobieństwo. Jak on się miewa? W swoim czasie był z niego cholernie dobry aktor.

Mój ojciec został już przyporządkowany do czasu przeszłego.

- Dobrze, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

- Szkoda, że marnował swój talent na te bzdury telewizyjne.

Miałam ochotę powiedzieć: „Cóż, aktorstwo to zawód niepewny, a on miał rodzinę do wyżywienia, ubrania i wyedukowania”. Ale zamiast tego pomyślałam o siostrze Aloizie i uśmiechnęłam się: przypomniałam sobie, że ojciec rozjaśniał życie wielu ludzi.

- To wszystko, co wie pan o zakonnicach z opactwa Grange?

- Obawiam się, że tak. Nigdy nie słyszałem o nich, zanim... Czy powiedziała pani „opactwo Grange”?

- Tak. Znajduje się w dolinie Boyne.

- Hmm. Przypomniało mi się, jak kilka lat temu otrzymałem raport grupy protestującej przeciwko nielegalnemu składowaniu odpadów medycznych niedaleko Duleek. Obawiali się, między innymi, skażenia wód gruntowych. Z jakiegoś powodu wspomniano także opactwo Grange - proszę nie pytać dlaczego. Chyba musi pani porozmawiać z kimś stamtąd. Czy mogę zapytać, dlaczego zbiera pani informacje na temat tego zakonu?

- Na należącej do nich ziemi odkryto w zeszłym tygodniu zмумifikowane ciało. To niedaleko Newgrange. Niedługo potem w tym samym miejscu znaleziono ciało zamordowanego mężczyzny, który odkupił od nich tę działkę.

- Ciało Franka Traynora, inwestora budowlanego.

- Tak. Zna pan najwyraźniej sprawę. Jako archeolog, jestem zainteresowana zabezpieczeniem stanowiska, a zakonnice mogą mieć w tej kwestii ostatnie słowo. Intryguje mnie również historia samego zakonu. Stanowią pewnego rodzaju zagadkę.

Carew odciągnął mnie od stojącej w zasięgu głosu grupki ludzi. Następnie zaczął mówić cicho i stanowczo.

- Obawiam się, że nie mogę pani powiedzieć nic więcej o zakonnicach. Ale radziłbym, żeby się pani przekopła - proszę mi wybaczyć kalambur - przez stosunki łączące świętej pamięci pana Traynora i Dereka Warda.

- Ministra?

- Tak. - Ponownie się rozejrzał. - Od jakiegoś czasu Ward tańczył, jak mu Traynor zagrał. Zwłaszcza w kwestiach dotyczących zmiany przeznaczenia terenów. Co dziwne, Ward wydaje się nie czerpać z tego korzyści. Żadnego wystawnego domu, szpanerskich samochodów, drogich wakacji. Wygląda na to, że ma czyste ręce.

- Albo ukrył sporo kopert, których do tej pory nie otworzył.
- Nie ulega wątpliwości, że jako minister turystyki i dziedzictwa mógł wpłynąć na władze samorządowe hrabstwa, żeby zaaprobowały budowę hotelu Traynora. Pytanie tylko, czy pieniądze wędrowały z rąk do rąk? I czy to nie dziwne, że jak tylko sprawa trafia na pierwsze strony gazet, Traynor zostaje zamordowany? Czy to dlatego, że Ward poczuł się skrepowany?
 - Chyba nie sugeruje pan, że...
 - Skądże. Nie twierdzę, że Derek Ward osobiście poderżnął Traynorowi gardło. Ale mógł być wśród jego świty ktoś, kto zinterpretował jego życzenia a la król Henryk i arcybiskup Becket. - Nawiązywał do rycerzy, którzy odczytali królewskie niezadowolenie jako znak do zamordowania „zbuntowanego księdza”, Tomasza Becketa, w katedrze w Canterbury w 1170 roku.
 - To mogłoby doprowadzić rząd do upadku - powiedziałam.
 - Tak, moja droga. To mogłoby przyjąć tak poważny obrót. Ale, znowuż, ten rząd od tylu lat śmierdzi korupcją, że nie jest już w stanie wyczuć własnego smrodu. Nic nie zrobiono, gdy...
 - Jocelyn!
- Odwróciliśmy się, żeby zobaczyć nacierającą w naszym kierunku hałaśliwą i przesadnie wystrojoną kobietę.
 - To rzeczywiście ty - wybuchła, spowijając go w fałdy wyperfumowanej draperii. Zanim zdążyłam się odezwać, wzięła Carewa pod ramię i odciągnęła ode mnie.
- Śpiewacy rozpoczęli wesołą wersję *Ding Dong Merrily on High*. Rozejrzałam się za Finianem, który musiał podryfować do któregoś z pokoiów, gdy byłam zajęta rozmową. Przepchnęłam się przez tłum w kierunku śpiewających i właśnie zaczęłam saczyć kolejny kieliszek wina, gdy poczułam szturchnięcie w plecy. Obejrzałam się, myśląc, że to Finian, lecz ze zdziwieniem zobaczyłam przed sobą swojego byłego chłopaka szczerzącego się do mnie.
 - Cześć, Tim. - Wykrzywiłam usta i odwróciłam się do kołędników.
- Szturchnął mnie znowu, lecz nie odpowiedziałam. Wówczas poczułam jego oddech na policzku, gdy pochylił się, by coś powiedzieć.

- Wyglądasz świetnie - wyszeptał.

Kiwnęłam głową i dalej wpatrywałam się przed siebie. Tim Kennedy prowadził badania archeologiczne w ramach prac światowego dziedzictwa kulturowego i przynajmniej trzy lata temu ze sobą zerwaliśmy. To nie było przyjacielskie rozstanie. Mimo że nie mieszkaliśmy razem, nasz romans był namiętny. Przez większość weekendów przyjeżdżał z Dublina do Castleboyne lub wychodziliśmy gdzieś razem. Czasami jechaliśmy na wieś, czasami wypadaliśmy do Londynu czy Paryża. Do czasu, aż przypadkiem odkryłam, że w dni powszednie Tim był w związku ze swoją sekretarką, która najwyraźniej tolerowała jego zniknięcia w weekendy.

- Miedzy mną a Karen wszystko skończone - wymamrotał do mojego ucha.

Tym razem odskoczyłam od niego, dając tym znak, że bardziej interesuje mnie słuchanie kolęd. Lecz Tim wcisnął swoje chude, kanciaste ciało między mnie a starszych państwa, z którymi dzieliłam ciasną przestrzeń pomiędzy dwiema kanapami. Musiałam wymyślić jakąś drogę ucieczki.

- Tak, to już koniec - kontynuował, nieświadomy mojego braku zainteresowania. - A co u ciebie? Jakiś postęp w życiu osobistym?

Miałam już powiedzieć coś złośliwego, gdy kątem oka zobaczyłam Finiana stojącego po drugiej stronie pokoju. Kolęda dobiegała końca. To była moja szansa.

- Muszę lecieć, Tim.

Kwartet zakończył ostatni krótki refren „Gloria, Hosanna na wysokościach”, a podczas braw przeprosiłam siwowłosą parę i precyzyjnie przycisnęłam się obok nich. Finian dostrzegł mnie, uśmiechnął się i podniósł kieliszek.

Zza pleców dobiegł mnie głos Tima.

- Idź do tatusia.

Poczułam się jak ugodzona nożem w plecy. Zawsze twierdził, że byłam „córeczką tatusia”, a moja przyjaźń z Finianem podejrzenie przypominała mu związek zastępczy. Gdyby ta uwaga wypowiedziana była przez kogokolwiek innego, nie dotknęłaby mnie tak bardzo.

- Co się stało? - zapytał Finian, gdy do niego dotarłam.

- Nic takiego - skłamałam.

- Czy to nie był Tim Kennedy? - Finian spotkał go raz czy dwa. - Powiedział coś, co cię zdenerwowało?

- Wypił za dużo wina - odpowiedziałam.

Spojrzałam w kierunku, gdzie stał Tim, lecz już go tam nie było. Uściskałam Finiana. Przez wszystkie te lata Finian nie powiedział nic, co mogło mnie zranić. Bywał krytyczny wobec moich poglądów, czasem się na mnie złościł, ale nigdy mnie nie obraził czy zniewazył.

- Chyba powinniśmy już iść, prawda? - zaproponował delikatnie.

- Poczekajmy na koniec kolęd.

- A co powiesz na jeszcze jeden kieliszek wina?

Nie miałam nic przeciwko, więc poszedł, by mi go przynieść. Gdy zostałam sama, wsłuchałam się w cudowne głosy śpiewaków. Od czasu do czasu kątem oka rejestrowałam Edith Carew, lecz zawsze przemykała prawie niepostrzeżenie.

Zanim Finian wrócił, odśpiewano jeszcze dwie kolędy.

- Zaczyna robić się ciasno - powiedział. - Cieszę się, że przyszliśmy wcześniej.

- Mmm... - Pociągnęłam łyk wina. - Tak się cieszę, że mnie zaprosiłeś, Finianie.

Chórzyści zaintonowali ostatnią kolędę: *The Coventry Carol*.

Lulaj, lulaj, małe dzieciątko baj,

baj, lulaj, lulaj...

- To wiele dla mnie znaczy - odpowiedział. Objął ramieniem moja talię i delikatnie uściskał. Staliśmy tak, moja głowa opierała się na jego ramieniu, i słuchaliśmy kojących taktów jednej z piękniejszych świątecznych kołysanek.

O, wy siostry wraz, cóż zrobić mamy,

By zachować ten dzień

To biedne dzieciątko, dla którego śpiewamy baj,

baj, lulaj, lulaj...

Znałam słowa kolędy, lecz teraz brzmiały trochę obco, jakbym słyszała je po raz pierwszy. Dostrzegłam Edith Carew, nareszcie stojącą nieruchomo w tłumie i słuchającą uważnie.

*Król Herod, w ten zły czas
Dzień ten wyznaczył
By jego ludzie, na rozkaz
Zabili wszystkie małe dzieci...*

Rzeź niewiniątek zawsze była dla mnie bardziej tematem obrazu niż rzeczywistego wydarzenia. Teraz zaczęła niepokojąco ożywać w mojej wyobraźni.

*Niedola moja, i twoja, b
iedne dzieciątko i każdy poranek i dzień.
Przez to rozstanie, n
asze płakanie baj, baj, lulaj, lulaj...*

Matka śpiewa swojemu nowo narodzonemu dziecku do snu, mając pełną świadomość, że oczekuje je straszny los z rąk ludzi Heroda. Melancholia na twarzy Edith powiedziała mi, że kobieta doskonale rozumiała przekaz kolędy.

*Lulaj, lulaj, małe dzieciątko baj,
baj, lulaj, lulaj...*

- Chodźmy, Finianie - wyszeptalam. Mój niepokój wzrastał.
- Lepiej pożegnajmy się z gospodarzami - powiedział, kierując się w stronę Edith. Lecz gdy zorientował się, że ocierała łzy, tylko skłonił się i cicho podziękował.

Gdy zbliżyłam się, Edith spróbowała uśmiechnąć się odważnie, lecz jej łagodne, brązowe oczy ją zdradziły - wydawały się stworzone do smutku.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - powiedziała, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie. - Zawsze mi się to przytrafia. To kolęda dla umarłych.

Schodząc po schodach, mijaliśmy lustro i przyjrzałam się swemu strojowi. Czarna marynarka i spódnica, kremowa bluzka. Dziwaczny dobór kolorów, jak na świąteczną okazję. Przywodził na myśl pogrzeby, obrzędy za zmarłych, całuny i popioły. To były kolory śmierci.

21 grudnia

Rozdział 18

O siódmej trzydzieści, na południowym wschodzie od grzbietu góry „Redmountain” rozciągało się zaróżowione niebo. Przed maską mojego samochodu z jednej strony drogi na drugą śmigały ptaki. Za sporadycznymi przerwami w żywopłotach można już było dostrzec wylaniające się z ciemności szare pola oraz rzekę, mieniającą się na srebrno i różowo, zupełnie jak łososie, które ją kiedyś wypełniały. Po raz trzeci, odkąd wyjechałam z Castleboyne, odsłuchiwałam kolędę *The Coventry Carol* z płyty Loreeny McKennitt, którą wzięłam ze sobą. Wciąż byłam zaskoczona, jak mogłam nie dostrzec jej wyraźnego smutku przez wszystkie te lata.

W drodze powrotnej do Castleboyne Finian wyczuł mój nastrój i zinterpretował go jako reakcję na pogróżki. Zaproponował, że zostanie na noc, lecz chciałam jedynie, żeby pokręcił się przed domem. Gdy był na zewnątrz, odsłuchiwałam nagrany wiadomość od Gallaghery: dał kartkę do ekspertyzy, odezwie się. Finian nie chciał odjechać, zanim nie przyrzekłam natychmiast dzwonić do niego, gdyby cokolwiek się stało. Lecz noc minęła spokojnie.

Zaparkowałam przy najdalszym wjeździe do Newgrange, obok innych samochodów. Grube warstwy podświetlonych chmur unosiły się ponad grzbietem góry. Ale kiedy chowałam płytę do pudełka, słońce zaświeciło mi prosto w oczy. Podsunęło mi to pomysł na wypowiedź do czasopisma.

Gdy wysiadałam z samochodu, od zachodniej strony nieba. wciąż jeszcze pogrążonego w ciemnościach, wyleciał klucz łabędzi. Naliczyłam ich siedem. Nie zmieniając szyku, usiadły na tafli płynącej w dolinie pod nami rzeki. Podeszłam do żywopłotu i spojrzałam w dół na zamarznęte i wciąż ukryte w półmroku pola. Na niektórych widać było skiby ziemi. Mimo że prawie nie było wiatru, powietrze było przenikliwie zimne. Zapięłam parkę i założyłam rękawice, zastanawiając się, czy pięć tysięcy lat

temu na zboczach poniżej i łąkach za rzeką zbierali się ludzie. Terasy, które rzeka Boyne tworzyła przez stulecia, wcinając się w dno doliny, stanowiły przestronny i naturalny amfiteatr. Być może ta strona rzeki, ze znajdującymi się tu świątyniami, była zarezerwowana dla starszych lub kapłanów, ktokolwiek z nich prowadził ceremonię. W jaki zatem sposób, w razie potrzeby, przedostawali się oni z jednego brzegu rzeki na drugi? Nieco w górę znajdował się bród - płytkie przejście rzeczne - ale w okresie zimowych powodzi często było ono niedostępne. Najprawdopodobniej mieli łodzie.

Odwrociłam się, aby spojrzeć na porośniętą trawą kopułę wzniesienia. Otaczająca go półokrągła, kwarcytowa fasada zbierała dostępne światło. Przed wejściem do kurhanu stała już grupka ludzi.

Gdy szłam w kierunku bramy prowadzącej na wzgórze, na którym usypiano kopiec, zauważyłam jadący w moim kierunku samochód. Rozpoznałam czarnego rangę rovera, dopiero gdy kierowca zmienił światła długie na mijania i mogłam zobaczyć coś więcej niż tylko oślepiający blask. Za kierownicą siedział Malcolm Sherry, obok niego, na fotelu pasażera znajdowała się kobieta. Sherry pomachał mi, przejeżdżając obok. Odpowiedziałam na jego gest i dalej szłam w kierunku bramy, gdzie wraz z innymi pracownikami Centrum Informacji Turystycznej stał Con Purcell.

- Dzień dobry Con - powiedziałam. - I wielkie dzięki. Doktor Sherry za chwilę do nas dołączy.

Otworzył bramę, aby mnie przepuścić.

- Są już dziennikarka i fotograf, a także jedna czy dwie z twoich koleżanek po fachu.

Zaczęłam właśnie wspinać się po ścieżce prowadzącej do kurhanu, kiedy radykalnie zwiększyła się ilość światła. Patrząc w kierunku góry „Redmountain”, zauważyłam jak chmura rozdzieliła się na równoległe, szare paski, odkrywając rozżarzone niebo koloru siarki.

Wśród stojącej przed wejściem grupy ludzi rozpoznałam dwie z moich koleżanek, które wraz ze mną i jeszcze jedną osobą stanowiły temat artykułu. Stały oddzielnie od ludzi, którzy już wkrótce mieli wejść do środka, aby na własne oczy zobaczyć, jak

przez otwór w dachu i wzdłuż korytarza, aż na podłogę położonej w głębi komory, wpadają promienie słońca. Archeolożki rozmawiały z Hebe Baxter z magazynu „Dig”. Niedaleko mnie stał ubrany w paramilitarny strój fotograf, Sam Sakamoto, i kierował obiektyw aparatu na jeden ze stojących kamieni, które kiedyś stanowiły zewnętrzny krąg, opasujący kurhan. To były pozostałości najstarszego kamiennego kręgu w kraju.

- Cześć Sam - powiedziałam, mijając fotografa
- Cześć. Hej, możesz mi powiedzieć, czy te kamienie zostały wzniesione w tym samym czasie, co kurhan?
- Nie, dużo później. Setki lat potem.
- W jakim celu?
- Nie jestem pewna. Jedna z teorii głosi, że „zamykały” starszą religię grobowców.
- Zatem w swoim czasie to miejsce stanowiło centrum dwóch kultów?
- Albo nawet więcej - powiedziałam, idąc w górę. Mogłam mu powiedzieć, że nawet później, w epoce żelaza, Brú na Bóinne stanowiło legendarne miejsce pochówku Wielkich Królów Irlandii, mimo że nie było na to żadnego archeologicznego dowodu. Mimo wszystko miejsce spowite było mistyczną aurą długo po tym, gdy zapomniano o jego właściwym przeznaczeniu.

Zobaczyła mnie Hebe Baxter i zawołała:

- Cześć Illaun, tutaj jesteśmy. - Ubrała się, jak my wszyscy, na zimną pogodę, mimo to wyróżniała ją neonoworożowa kurtka z kapturem oraz pasująca do niej szminka i cienie do powiek.
- Dzień dobry - zwróciłam się do wszystkich. - Wygląda na to, że pogoda dopisała.

Każda spojrzała w kierunku wschodzącego słońca i powiedziała coś niewyraźnie.

Hebe wskazała na stojące z nią dwie kobiety.

- Znasz Mags i Fredę, prawda, Illaun?
- Zgadza się. Kim jest ta czwarta osoba? - Hebe osobno przeprowadzała z nami wywiady w zeszłym tygodniu. Wymieniła wtedy wszystkie nazwiska, ale w tym momencie nie mogłam sobie jednego przypominąć. Pamiętałam tylko to, że nie była archeologiem.
- To Isabelle O’Riordan. Stoi dokładnie za tobą.

Obróciłam się i zobaczyłam, jak Malcolm Sherry całuje w policzek kobietę, z którą przyjechał, a następnie kieruje się w stronę grupki stojącej przy wejściu do grobowca korytarzowego. Isabelle, uśmiechnięta i z zaróżowioną twarzą, kroczyła w naszym kierunku.

- Nie spóźniłam się, prawda? - spytała piskliwym, laleczkowatym głosem, który przyprawił mnie o zgrzyt zębów. Pełne usta, sarnie oczy i żółte, kręcone włosy, niedbale wyglądające spod beczkowatego, ciemnozielonego kapelusza. Miała na sobie sięgający pięt czekoladowobrązowy płaszcz, spod którego wystawało coś, co mogło być koronkowym rąbkiem halki, ale było prawdopodobnie spódnicą. Nie ulegało wątpliwości, kto będzie wyróżniał się na zdjęciach. W jednej chwili poczułam do Isabelle awersję, choć podziwiałam jej rozmach, a nawet go jej zazdrościłam.

- Ależ skąd - powiedziała Hebe. Nie żeby ewentualne spóźnienie martwiło Isabelle. - Wiem, że pewnie zastanawiacie się, dlaczego Isabelle jest z nami. Pomyślałam, że uczciwie będzie przy tej okazji poznać alternatywny punkt widzenia na temat Newgrange. Isabelle, może przedstawi się pozostałym.

- Oczywiście. Jestem członkinią Bractwa Oriona. Wierzymy, że Newgrange i inne budowle na wzgórzu są portalami do gwiazd... a nawet więcej. - Z determinacją wysunęła swój śliczny podbródek. - Chcemy również otworzyć zamknięte umysły archeologów na prawdziwą naturę tych monumentów.

Jedna z moich koleżanek wzruszyła ramionami, druga uprzejmie chrząknęła. Ja miałam ochotę ją udusić. Hebe, nieświadoma, że utarła każdej z nas nosa, ględziła dalej.

- Chciałam po prostu, żeby każda z was opowiedziała o przeżyciu w Newgrange, uwzględniając profesjonalny i osobisty punkt widzenia. Sam pstryknie wam kilka wspólnych zdjęć, których nie mieliśmy okazji zrobić do tej pory.

Usłyszałyśmy dobiegające od wejścia głośne, podekscytowane głosy tych, którym Con Purcell otwierał kurhan.

- Idę dotrzymać komuś towarzystwa w środku. Cierpi na niewielką klaustrofobię - powiedziała Isabelle.

- Ale... - Hebe patrzyła bezradnie, jak Isabelle nas opuszcza. - No dobra, dołączy do nas później.

Sherry, który czekał przy wejściu, objął ją ramieniem i oboje weszli do wnętrza. Niespiesznie skierowałyśmy się w kierunku kurhanu, gdzie dołączył do nas Sam Sakamoto. Gdy ustawiałyśmy się półkolem, plecami do kwarcytowej fasady. Sam robił kilka próbnych zdjęć. Chmura już się rozproszyła i zatrzymała nad grzbietem naprzeciwko, niebo miało kolor roztopionego złota.

Sam na moment opuścił obiektyw aparatu.

- Słuchajcie, ta ściana za wami jest wprost niesamowita.

Spojrzałyśmy za siebie i zauważyłyśmy, że podtrzymująca kurhan ściana promieniała światłem. Tarcza słońca powoli wyłaniała się zza górskiego grzbietu, za cztery minuty przez szparę nad wejściem do środka miał wniknąć promień światła.

Wszyscy czekaliśmy w ciszy, patrząc na zegarki. Z wnętrza kurhanu wydobył się słyszalny pomruk. Efekt musiał być niezwykły, gdyż widzowie znajdowali się w odległości niecałych 25 metrów od wejścia i pod ważącym 200 000 ton kopcem, usypanym z ziemi i kamienia.

- Dobra - powiedziała Hebe, wyjmując cyfrowy dyktafon. - Załatwmy to, dopóki słońce oświetla komorę. Zacznijmy od... może od ciebie, Mags?

Odetchnęłam z ulgą, że to nie ja. Mimo że moje życie przez ostatnie kilka dni było blisko związane z tematem przesilenia, mało nad nim myślałam. Mags Carney, biegła w dziedzinie sztuki grobowców korytarzowych, w razie potrzeby mogła o nich opowiadać w nieskończoność. Mags i Freda Dowling były szanowanymi postaciami archeologii irlandzkiej, od czasu do czasu bywały też moimi wykładowniczymi.

Mags objęła szerokim gestem olbrzymi pierwotny głaz, leżący przed wejściem, z ornamentami w kształcie potrójnej spirali, i ogromne krawężniki, podtrzymujące kurhan.

- Ocenia się, że dwie trzecie europejskiej sztuki megalitycznej znajduje się na głazach w dolinie rzeki Boyne... - Łatwo było przewidzieć, co powie. Mogłam więc przez chwilę się zastanowić, bez wsłuchiwania się w jej słowa. Lecz ciągle powracała sprawa Isabelle. Denerwowało mnie, że to przez nią Malcolm Sherry naciskał na mnie w sprawie biletów. Ale chodziło nie tylko o to.

- ...inni przypisują spiralne wzory narkotycznym wizjom szamanów...

To z Isabelle ostatnio spotykał się Sherry. Ale nawet jeśli opisał jej obrażenia Mony, raczej nie wyglądała na mordercę. Chociaż ona pewnie wysłałaby kartkę z motywami New Age.

- ...i dlaczego pochowano tu szczątki kilku zaledwie osób? Czy były to kości przodków plemienia, odgrywających swoją rolę w cyklu życia i śmierci?

Ale jeżeli nie sama Isabelle, to może ktoś inny z Bractwa Oriona. Wyczułam, że Mags kończy wypowiedź, włączyłam więc swoją uwagę.

- ...Jak za 5000 lat ludzie będą patrzeć na katedrę w Chartres, jeśli nawet teraz jej prawdziwe znaczenie dla życia ludzi, za czasów których została wybudowana, staje się coraz bardziej mgliste? Ale wyobraźmy sobie teraz, że nastąpiła wielka katastrofa, zniszczono katedrę i wymazano całą wiedzę o cywilizacji chrześcijańskiej. Jak myślicie, co pomyśleliby sobie archeolodzy z przyszłości, gdyby odkryli ruiny Chartres? Oczywiście, znaleźliby tam ludzkie szczątki, ale minęliby się z prawdą, gdyby ją nazwali katedrą-grobowcem. Dlatego też musimy być ostrożni w wyciąganiu wniosków, szczególnie jeśli chodzi o Newgrange.

Mags zebrała zasłużone oklaski.

- Dziękujemy, Mags Carney - powiedziała do mikrofonu Hebe.
- Posłuchajmy teraz... a, co tam, Mags przybyła tu dzisiaj jako pierwsza, więc może według kolejności przybycia. Freda, prosimy.

Freda Dowling była autorytetem w dziedzinie rolnictwa neolitycznego.

- Zdumiewa mnie po prostu, jak to zostało wykonane. Już samo Newgrange jest niezwykle, ale pomyślmy o całym Brú na Bóinne: Knowth i Dowth oraz czterdziestu innych nienazwanych kurhanach i otoczonych wałem monumentach znajdujących się w tej okolicy. Jak wiemy, niektóre są nawet ze sobą połączone...

Domyśliłam się, o czym będzie mówić Freda.

- ...bez znajomości koła i bez pomocy żadnych metalowych narzędzi, przez kilka kilometrów taszczono z miejsca wydobywania setki głazów, ważących nieraz do dziesięciu ton każdy...

Postanowiłam porozmawiać z Sherrym. Ogarnęło mnie poczucie winy, że byłam zazdrosna o Isabelle O'Riordan. Nie z powodu jej związku z Malcolmem, lecz możliwości dowolnego wypowiedziania się na temat wszystkiego, co przyjdzie jej do głowy

w związku z Newgrange. Ona nie podlegała żadnym rygorom akademickim. I o ile wiem, pewnego dnia udowodni swoje racje.

- ...Kamienie przetransportowano tu rzeką z gór Mourne, kawały kwarcytu, użyte tylko do celów dekoracyjnych, z Wicklow. Następnie, w konstrukcji, którą widać za nami, umieszczono precyzyjnie dostrojone urządzenie astronomiczne, które po upływie pięciu tysięcy lat wciąż działa. Pomyślcie tylko, znajdujemy się obok najstarszej, solarnie zorientowanej konstrukcji na planecie. Uważam, że Newgrange jest miejscem, które może nauczyć nas większego szacunku dla przeszłości. Dziękuję.

I znowu aplauz. Kolej na mnie.

- Dziękuję, Freda. Illaun?

Nawet teraz, kiedy dobiegałam już czterdziestki, odczuwałam tremę, stojąc przed moimi byłymi wykładowczyniami, które, nie miałam co do tego wątpliwości, oceniały moje słowa w świetle tego, jak zapamiętały mnie z czasów studiów. To wtedy Mags mówiła mi: „Illaun, archeologowi niezbędna jest dobra wyobraźnia. Ale jeśli chcesz zostać kolejnym Erichem von Danikem *, radzę zacząć studiować hotelarstwo”. W ten sposób archeolodzy podchodzili do byłego hotelarza, który napisał *Wspomnienia z przyszłości*. „Wyobrażajcie, nie halucynujcie”, trafnie, choć niekoniecznie gramatycznie mawiała FrZaczerpnęłam głęboko powietrza.

- Kontynuując słowa Fredy, odwiedzający Brú na Bóinne często pytają, dlaczego tylko jeden z kopców ma specjalną komorę słoneczną. Nie mogę oprzeć się myśli, że umyka nam coś niezwykle oczywistego, co zobaczymy, jak tylko spojrzymy na wszystko z innej perspektywy.

Częściej oddając się przypuszczeniom, niż próbując interpretować wejście ich świata do naszego, dokonywaliśmy rzeczy odwrotnej - coś z naszego świata przenosiliśmy w przeszłość,

* Erich von Daniken - autor teorii wpływu kosmitów na życie ludzi w czasach prehistorycznych. Jego zdaniem wiele ówczesnych budowli nie mogło powstać za pomocą znanej wówczas techniki (np. Stonehenge, piramidy egipskie). Daniken napisał *Wspomnienia z przyszłości*, kiedy był dyrektorem pięciogwiazdkowego hotelu.

w wyobraźni, ma się rozumieć. - *Illaur, użyłaś tego słowa.* Spojrzałam na twarze dwóch starszych kobiet. Nie zmieniły się. *Dalej.* - Jeśli moglibyśmy podróżować w czasie i podarować ludziom zebranych tutaj przed pięcioma tysiącami lat - chociażby to... - Wyjęłam z kieszeni płytę kompaktową i uniosłam w górę, aby odbijała światło. - Albo jeszcze lepiej, setki płyt, po jednej dla każdego widza, co by uznali, że należy z tym zrobić?

- To, co ty przed chwilą - powiedziała Hebe. - Odbić promienie słońca.

- Dokładnie! Zatem ludzie zebrani na stokach tutaj i tam, na dalekim brzegu, mieliby okazję zobaczyć jeszcze bardziej widowiskowy pokaz.

Na twarzach moich koleżanek dostrzegłam konsternację.

- Zmierzam do dwóch rzeczy. Po pierwsze, to, co miało miejsce na Brú na Bóinne podczas ceremonialnych wydarzeń, było prawdopodobnie dużo bardziej spektakularne, niż potrafimy to sobie wyobrazić. Po drugie, ówcześni ludzie nie różnili się od nas pod tym względem i podobnie jak my dopasowywali przedmioty do własnych wierzeń oraz praktyk. Tak jak oni nigdy nie pojęliby odtwarzania muzyki z płyt kompaktowych, my pozostaniemy ślepi na prawdziwą rolę Newgrange, chyba że pomyślimy... - Spojrzałam do tyłu na otwór w dachu, skierowałam odbite przez moją płytę promienie na kurhan. - Chyba że najpierw wzniesiemy się ponad stereotypy, świadomość i doświadczenie.

Zostałam szczerze obdarzona oklaskami. Z pewnością wszyscy wiedzieli, że zachowywałam się niczym artysta uliczny.

Hebe miała zamiar coś powiedzieć, kiedy czyjś skrzeczący głos krzyknął z tyłu:

- To macica, a nie grobowiec! - Isabelle podeszła do nas z furkotem falban, jakbyśmy oczekiwali na jej wypowiedź z zapartym tchem. - To macica, nie grobowiec - powtórzyła. - I jako kobieta uważam za obraźliwe to, że zdominowana przez mężczyzn archeologia trzymała ten fakt w ukryciu tak długo. To takie... takie patriarchalne, przedkładanie śmierci nad życie, nieprawdaż?

- Przepraszam - powiedziałam. - Zaraz wracam.

Wytropiłam Sherry'ego, który stał odwrócony do nas tyłem i studiował wzory na kamieniu przy wejściu.

- Wejdźmy na chwilę do środka - powiedziałam, łapiąc go za ramię.
- I mów cicho.

Zeszliśmy po stopniach do wejścia i minęliśmy zdziwionego naszą obecnością Cona Purcella, którego poprosiłam o pozostawienie światła wewnątrz kurhanu. Popchnęłam Sherry'ego przed siebie, w stronę wąskiego przejścia uformowanego przez dwa pionowe kamienie zwane ortostatami.

- O co chodzi? - dopytywał się, zdezorientowany moją natarczywością.

Odezwałam się dopiero po wejściu do komory.

- Wiesz, że postawiłeś mnie pod ścianą, prosząc w ostatniej chwili o bilety. Mogłeś powiedzieć mi, dlaczego to robisz.

Sherry wyglądał na wyraźnie zakłopotanego. Stałam z rękoma opartymi o biodra i czekałam na wyjaśnienia. Napięcie podkreślała martwa cisza panująca w kamiennej komorze.

- Yyy... to wszystko jest trochę skomplikowane. Widzisz, poznałem ją dopiero miesiąc temu... i wydaje mi się, że jest czymś w rodzaju świeżego powiewu. Szczególnie fascynujące są jej uwagi na temat budowli prehistorycznych.

Nie odpowiedziałam.

Sherry zorientował się, że strzelił gafę.

- Yyy, to znaczy... w zeszłym tygodniu wpędziła się w pułapkę. Nakłamała naczelnemu, że kiedyś oglądała wschód słońca w komorze. Musiała więc jechać do centrum i błagać ich o zaproszenie. Nic z tego. Spotkaliśmy się w Droghedzie na lunchu, a ja lekkomyślnie obiecałem jej coś załatwić. Dlatego zwróciłem się do ciebie... - Przełknął ślinę, a jego jabłko Adama przewędrowało tam i z powrotem wewnątrz gardła. - Ale nie rozumiem, co cię tak rozzłościło.

No właśnie. Najwyraźniej przyczyną była Isabelle. Jednak pomijając jej poglądy - krzykliwe teorie rodem z New Age - dlaczego odbierałam ją wyłącznie w ciemnych barwach? To nie była zazdrość, choć na pewno miało związek z moją sympatią dla Malcolma. Wszystko przez moją opiekuńczość - głębokie poczucie, że ona nie była dla niego odpowiednia. Paradoksalnie, wynikało ono z mojej złości na niego. Zachowywałam się jak rodzic utyskujący na dziecko, które wbiega na ulicę bez uprzedniego rozglądania się na prawo i lewo.

Nie miałam teraz czasu na wyjaśnienia. Przypomniało mi się coś jeszcze.

- To poważne, Malcolmie. Pomyśl. Czy powiedziałeś jej o ranach Mony, gdy widzieliście się w ostatni piątek?

- Nie. Wiem, o czym myślisz, ale przysięgam ci. że nie powiedziałem. I tak...

- Kochanie? - Ten głos! Isabelle szła do nas wzdłuż przejścia.

- Niecierpliwi się - powiedział Sherry. - Wyjeżdżamy na święta do Monachium. Decyzja spontaniczna. - Uśmiechnął się z zażenowaniem. - Naprawdę pomogłaś mi wygrzebać się z trudnej sytuacji, Illaun, dziękuję. I byłbym również bardzo wdzięczny, jeśli zostałyby to tylko między nami - to znaczy to, w jaki sposób dostałem bilety.

Spojrzałam na niego złośliwie.

- Rzeczywiście masz tupet, Sherry.

Skrzywił się.

- Malcolm? - Znowu ten głos! Isabelle zbliżała się do nas.

Sherry złapał mnie za ramię, jego brązowe oczy były rozszerzone jak u przestraszonego chłopca.

- Dobrze, Illaun?

Isabelle weszła do komory.

- Co tu robicie we dwoje? Ktoś mógłby być zazdrosny...

Sherry zaśmiał się nerwowo.

- Właśnie omawiamy jedną sekcję, Isabelle. Możesz dać nam jeszcze kilka minut?

Isabelle zrobiła rozkapryszoną minkę.

- Niech będzie. - Ale miała jeszcze coś do mnie. - Przy okazji, uznałam, że te kamienie ustawione na zewnątrz formują punkty akupresury na powierzchni ziemi. Umieśćcie to w waszej następnej publikacji akademickiej.

Zakłopotany Sherry wznosił oczy do góry.

- Wierzysz, że przez kopiec prowadzi jeszcze jedno przejście?

- Nie myślałam o tym, Malcolmie. Pomówmy lepiej o dochodzeniu.

Masz coś od ekipy medycyny sądowej?

Sherry podniósł rękę i poruszał palcami.

- Odciski palców. Krwawe odciski w samochodzie Traynora.

- Co z nimi?

- Są ogromne. Przestrzenie pomiędzy krawędziami linii są niemal trzy razy większe niż zwykle. I...

- I co?

Sherry ruszył wzdłuż korytarza.

- Właściwie to... mam klaustrofobię...

- Powiedz mi, co to jest.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Trudno to określić. Gdy znajduje się odciski, często różnią się one między sobą, od pojedynczego palca do pełnego zestawu odcisków dłoni, włączając kciuki. W samochodzie Traynora te niezwykle odciski zostały znalezione głównie w zestawach „poczwórnych” - po cztery palce w rzędzie.

- Co w tym nadzwyczajnego?

- Spójrz. - Sherry pokazał mi swoją lewą dłoń. Przycisnął kciuk do palca wskazującego, a prawą ręką złączył trzy pozostałe palce i rozdzielił od tamtych. - To da ci przybliżone pojęcie, o czym mówię. Wygląda, jakby zabójca miał tylko cztery palce.

Sherry znów ruszył wzdłuż korytarza, pochylając głowę pod drewnianymi belkami zaklinowanymi pomiędzy parami ortostatów i utrzymującymi je w górze.

Poszłam za nim do ostatniej prostej korytarza.

- Co więc to znaczy?

- To tylko sugestia. Pamiętasz, jak w kostnicy w Droghedzie wskazałem ci wrodzoną deformację dłoni noworodka. Syndaktylia - dwa lub więcej palców zrosniętych lub połączonych w jeden. Zazwyczaj rozdziela się je operacyjnie we wczesnym dzieciństwie... możliwe, że ktoś dorósł... Mam na myśli, że gdyby pozostały nierozdzielone...

- Kochanie! - Isabelle czekała przy wejściu.

Gdy wyszliśmy na światło dzienne, wcisnęła swoje ramię pod ramię Sherry'ego.

- Kochanie, naprawdę musimy już jechać, jeśli nie chcemy się spóźnić na samolot.

- Hej, wy tam... Zaraz odmrozę sobie tyłek. - Sam Sakamoto przestępował z nogi na nogę, by zatrzymać trochę ciepła.

- Skończmy to wreszcie.

Isabelle pobiegła do pozostałych, dając mi szansę na dokończenie rozmowy z Sherrym.

- Malcolm, jesteś moim wielkim dłużnikiem. Nie znikaj w tych Niemczech. - Dałam mu moją wizytówkę. - I napisz

e-mail, gdy będziesz coś wiedział. A w tym czasie zasugeruj Isabelle, że może Newgrange to równocześnie macica i grobowiec. Seks i śmierć to zawsze niezły układ. - Mruknęłam do niego. - Jak sam zapewne wiesz.

Sherry i jego nowa przyjaciółka odjechali, jak tylko skończyły się zdjęcia, a gdy pozostali debatowali, gdzie lepiej wybrać się na gorącą whisky, oświadczyłam, że jestem umówiona, pożegnałam się i zaczęłam schodzić ścieżką na dół. Stado szpaków poderwało się z drzewiastej części wzniesienia i poleciało w poprzek doliny. Czy to te same, które widziałam w niedzielę?

Fotograf przykucnął w dole ścieżki kilka metrów za mną i rozkładał swój aparat na części. Wróciłam do niego.

Sam spojrzał na mnie.

- Hej, piękny wschód słońca, prawda?
- Zgadza się. Szkoda, że nie mogłeś go oglądać w środku.
- To działa także w święta?
- Chyba tak. Ale wtedy jest, niestety, zamknięte.
- Rzeczywiście, zapomniałem. - Zauważył, że przyglądam się aparatowi. - Mogę coś dla ciebie zrobić, Illaun?
- Czy mogę przez chwilę popatrzeć przez obiektyw?
- A co chcesz zobaczyć?
- Widzisz tamto stado ptaków? Trochę niżej.

Spojrzał, zezując, przez obiektyw i szybko dostosował ostrość.

- Powinno być w sam raz.

Skierowałam obiektyw w miejsce, gdzie dostrzegłam wlatujące szpaki. Większość lasu stanowiły nagie obecnie drzewa liściaste, lecz było tam również kilka iglastych, zasłaniających klasztor św. Małgorzaty prawie w całości przed wzrokiem ludzkim. Jeśli się jej nie szukało, wieża była prawie niewidoczna, a jej smukłe blanki łączyły się z ząbkowanymi konturami drzew. Z niezwykłą siłą dotarł do mnie fakt, że opactwo i Newgrange znajdowały się na jednej linii.

Rozdział 19

Południowe słońce, jakby dla zaznaczenia swego powrotu, wypuszczało błyszczące niczym folia złote i srebrne wstęgi światła. Zawieszona nisko, zmuszała robiących zakupy przechodniów na ulicach Droghedy do przystaniania oczu, poruszających się zaś w ulicznym korku kierowców, do szybkiego wyjęcia ze schowków lub bocznych kieszeni okularów przeciwsłonecznych.

Gdy po mszy za duszę Franka Traynora z kościoła św. Piotra wypłynęła fala żałobników, i tak zatłoczone ulice miasta zastygły w bezruchu. Przyjechałam tuż przed końcem nabożeństwa i zatrzymałam się na pustej strefie załadunku, przy sklepie, który znajdował się po drugiej stronie ulicy. Aby uniknąć mandatu, zostałam w samochodzie i obserwowałam stamtąd wychodzących z kościoła ludzi. Oczekiwałam, że pojawi się Muriel Blunden.

Gdy trumnę przeniesiono do karawanu, krewni oraz przyjaciele odprowadzili lamentującą wdowę i nastoletnie dzieci do oczekującej w pobliżu czarnej limuzyny, której umundurowany policjant umożliwił włączenie się do ruchu. Z pobliskiego parkingu jeden za drugim zaczęły wyjeżdżać samochody, dołączając do orszaku pogrzebowego. Drugi policjant dał im pierwszeństwo przejazdu, czym wywołał trąbienie jadących z tyłu kierowców, którzy nie rozumieli przyczyny zatoru i dawali upust niezadowoleniu. Jako jeden z ostatnich, na schodach kościoła pojawił się Derek Ward w towarzystwie żony. Znałam ją z różnych wydarzeń towarzyskich hrabstwa. Zdziwiło mnie, że Ward nie zajmował uprzywilejowanej pozycji wśród żałobników. Zauważyłam, jak z parkingu wyjeżdża czarny rządowy mercedes. Pani Ward zajęła miejsce na tylnym siedzeniu, minister powiedział do niej kilka słów i zamknął drzwi. Chodnikiem udał się w przeciwnym kierunku.

Tłum zmniejszył się i zostało tylko kilka osób. Muriel wciąż nie było. Widocznie była bardziej wrażliwa, niż sądziłam.

W bocznym lusterku zauważyłam, jak Ward się oddalał, osłaniając oczy od słońca i rozmawiając przez telefon komórkowy. Zatrzymał się przy piętrowym parkingu i widząc zbliżającego się mężczyznę, zakończył rozmowę. Zaczęli żartować, ścisnąć sobie ręce i klepać po ramionach - napotkany człowiek był najprawdopodobniej jego zwolennikiem politycznym. Z zachowania Warda wnioskowałam, że rad byłby wymigać się od tego spotkania. Jak tylko się uwolnił, rozejrzał się po ulicy i znikł za wejściem na parking.

Ryzykując mandatem lub nawet blokadą kół, postanowiłam pójść za nim. Idąc tak szybko, jak to tylko możliwe, lecz nie biegnąc, dotarłam na parter budynku i zauważyłam, że wyświetlacz windy wskazywał czwarty poziom. Drzwi sąsiedniego dźwigu rozsunęły się, weszłam do środka i wcisnęłam czwórkę. Nie zdawałam sobie sprawy, że czwarty poziom jest na dachu, dopóki nie znalazłam się w zalanej słońcem przestrzeni.

Ledwo mogłam dostrzec, że ktoś przede mną uruchamia samochód i wyjeżdża ze stanowiska. Gdy auto skierowało się w kierunku wyjazdu, stanęłam w cieniu zaparkowanej ciężarówki i zauważyłam, jak rampę opuszcza niebieski peugeot 307. Obie znajdujące się w nim osoby miały okulary przeciwsłoneczne, ale bezbłędnie rozpoznałam w fotelu pasażera Dereka Warda, przelotne zaś spojrzenie na fryzurę a la Jackie Kennedy, noszoną przez kobietę za kierownicą, potwierdziło, że to Muriel Blunden.

Szybko wróciłam na klatkę i zbiegłam po schodach na parter. Gdy peugeot pokonywał ostatni zakręt zjazdu, byłam już przy parkometrze. Nie osłepiało mnie już słońce i wyraźnie widziałam parę w samochodzie. Oni również mnie zobaczyli i zatrzymali samochód.

Stanęłam na wysepce i czekałam przy parkometrze, do którego musieli podjechać. Z rampy zjechał kolejny samochód i byli zmuszeni ruszyć. Gdy peugeot mnie mijał, Muriel otworzyła okno, aby włożyć kwit do parkometru.

- Muriel, muszę z tobą porozmawiać - powiedziałam stanowczo.

Próbowała mnie zignorować i chciała włożyć kwit do otworu. Ward siedział w milczeniu, patrząc przed siebie.

- Muriel, na litość boską! - zawołałam, przechwytyjąc kwitek.

- Jak śmiesz! - wrzasnęła i zwróciła się do swego pasażera. - Derek, zrób coś.

Kierowca auta z tyłu nacisnął klakson.

- Muriel, nie możemy się tu spierać - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Jedź do hotelu „Estuary”. Tam się z nią spotkamy.

- Słyszałaś? - spytała Muriel, wykrzywiając usta ze wściekłości.

- Będę tam za pięć minut. - Podałam jej kwit. - I oczekuję, że będziecie tam oboje.

Szlaban się uniósł i wyjechała z parkingu. Rura wydechowa peugeota zawarczała. Wydając polecenie wyższemu rangą urzędnikowi służby cywilnej oraz ministrowi, poczułam przyprawiający o zawrót głowy nagły przypływ siły.

Dotarcie do samochodu, za którego wycieraczką na szczęście nie było mandatu, pytanie o drogę do hotelu, o którym nigdy przedtem nie słyszałam, ale domyślałam się, że musi znajdować się gdzieś w okolicy, i jazda przez labirynt jednokierunkowych uliczek zajęło mi przynajmniej dwadzieścia minut. W dalekim kącie obszernego parkingu przed nijakim, nowoczesnym hotelem dostrzegłam niebieskiego peugeota i skierowałam auto w tamtym kierunku.

Oczekiwałam, że zobaczę Muriel, dlatego gdy ujrzałam, jak z samochodu wysiada Derek Ward i zbliża się w moim kierunku, zawahałam się. Miał na sobie granatowy płaszcz, spod którego wyglądała biała koszula i czerwony krawat. Najbardziej rzucającą się cechą jego twarzy były oczy, a właściwie obwisłe worki pod nimi, zawsze przerysowywane w gazetowych karykaturach. Równie charakterystyczne były jego przylizane i falujące włosy, których nieskazitelna czerń świadczyła o stosowaniu farby do włosów.

Opuściłam szybę, Ward pochylił się.

- Illaun, w czym tkwi problem? Czy możemy go rozwiązać tu i teraz? - Wyważony ton nie zdradzał żadnych emocji. Często się nim posługiwał w trudnych do rozwiązania sprawach.

- Panie Ward, nie ma żadnego problemu. Chcę tylko porozmawiać z Muriel o polu na Monashee. Słyszałam, że...

Ward uniósł rękę.

- Wiem, że wysłała jej pani esemesa z pogroźkami. Nie zgłosiła tego na policję, ale w obliczu uporczywego nękania, nie pozostawia jej pani wielkiego wyboru.

Byłam kompletnie zaskoczona. Miałam nadzieję na rozwikłanie intrygi, w którą zamieszani byli uczestnicy inwestycji na Monashee. Tymczasem to ja musiałam się bronić. Postanowiłam wysiąść z samochodu. Widziałam, jak za kierownicą peugeota Muriel nakłada jeszcze więcej szminki.

- Możliwe, że w weekend z mojego telefonu wysłano jakąś wiadomość tekstową. Ale nie pochodziła ode mnie. Telefon skradziono w piątek. Staram się tylko, aby pole na Monashee zostało poddane pracom wykopaliskowym. Muriel jest przeciwna, a ja chcę się dowiedzieć dlaczego. To wszystko.

Ward, wyraźnie zirytowany, uniósł ręce do góry.

- Idę się czegoś napić. Niech ją pani sama zapyta.

Gdy zbliżałam się do samochodu Muriel, zauważyłam, że opuszcza daszek przeciwsłoneczny, aby mnie lepiej widzieć w zamontowanym na nim lusterku. Chciałam otworzyć boczne drzwi, ale musiałam poczekać chwilę, aż je odblokuje.

Kiedy wsiadałam, Muriel z powrotem założyła okulary przeciwsłoneczne i zapaliła papierosa. Miała na sobie beżowy moherowy płaszcz z brązowym, futrzanym kołnierzem. Ułożony na ramionach wzorzysty, szyfonowy szal chronił tapirowane włosy przed wiatrem. W powietrzu unosił się zapach niedawno rozpylonych perfum. Muriel, jak oceniałam, niedawno przekroczyła czterdziestkę, mimo to jej poczucie stylu wydawało się pochodzić z pokolenia mojej matki.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - zadeklarowała, wydymając w lustrze błyszczące usta. Jej głos był szorstki.

- Niezależnie, jaką wiadomość otrzymałaś, nie pochodziła ode mnie. Mój telefon został ukradziony w piątek późno w nocy.

Muriel zachowała ciszę, zza ciemnych okularów i kłębow dymu nie mogłam odczytać wyrazu jej twarzy. Otworzyłam okno i dym znalazł ujście,

- Co było w tym esemesie? - spytałam.

Muriel otworzyła okno po swojej stronie i strzepnęła popiół. Czekałam. Ponownie wypuściła z ust dym papierosowy, którego kłęby tym razem krążyły nad jej głową, jakby przez chwilę nie

mogły się zdecydować, przez które okno się wydostać. Do wnętrza samochodu wdał się poryw wiatru, znosząc niewielkie pasma dymu na tył auta. Czułam, że marnuję swój czas i pociągnęłam za rączkę drzwi pasażera.

- Zastanawiałam się, skąd wiesz - powiedziała Muriel.

Cofnęłam palce z klamki.

- O czym?

Muriel zaciągnęła się ponownie, nic jednak nie powiedziała.

Musiałam zgadywać.

- Że miałas romans z Frankiem Traynorem?

Odwrociła głowę tak gwałtownie, że o mało nie oderwała jej od ramion.

- Co?! - Oddech o zapachu dymu uderzył mnie w twarz. - Nie bądź śmieszna. Romans z Frankiem Traynorem? Z człowiekiem, który mnie szantażował?

- Szantażował cię? I nie był twoim kochankiem? - Wyrzałam przez okno, a potem spojrzałam znów na Muriel. Mój mózg pracował jak szalony. - Wyjaśnijmy wszystko. To z Derekiem Wardem masz romans...

- O rany, jaka z ciebie bystra dziewczynka, Illaun - powiedziała uszczypliwie. - Jak mogłaś skojarzyć mnie z Traynorem?

- Słyszałam wywiad z tobą w radiu... a potem zobaczyłam was razem w Droghedzie i dodałam dwa do dwóch.

Prychnęła.

- Owszem, udzieliłam wywiadu. Ale to on pisał scenariusz.

- Tak więc nie robiliście wspólnie interesów?

- Nie.

- A minister?

- Nie takie, jakie masz na myśli.

- Ale zakładam, że znasz Brendana O'Hagana.

Kiwnęła głową.

- A może to z nim miałaś coś wspólnego?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś o siostrze Geraldine Champion?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- A o Ursuli Roche?

- Nie.

Gdy porządkowałam sobie w głowie zdobyte właśnie informacje, Muriel rozgniotła papierosa w popielniczce, położyła głowę na oparciu siedzenia i westchnęła.

- Derek i ja spotkaliśmy się zeszłego lata na otwieranej przez niego dwudniowej konferencji „Turystyka a Dziedzictwo”, czy coś takiego. Zrozumieliśmy się w lot - pstryknęła palcami - i poszliśmy tej nocy do łóżka w hotelu, w którym odbywała się konferencja. Fałszywy krok. Traynor też był na tej konferencji i wywęszył, co się stało. Wiedział również, że Derek, jako minister odpowiedzialny za Muzeum Narodowe, jest technicznie moim przełożonym.

- Traynor nie śpieszył się, obserwował nas. Zaatakował, gdy wyszła sprawa tego przeklętego ciała na bagnach. Natychmiast zjawił się u mnie w muzeum. Zagroził, że obsmaruje nas w gazetach jeszcze w ten weekend, jeśli nie zatańczę, jak on zagra... Lecz nie mogłam powiedzieć Derekowi o jego naciskach. To właśnie podpowiedziało mi, że Traynor już coś od niego wyciąga. - Wzięła z pudełka kolejnego papierosa i zapaliła go bez podnoszenia głowy z zagłówka. - Przepraszam za pety, ale jestem dzisiaj na krawędzi. Właśnie rzuciłam

- W porządku - współczułam. Mimo że sama rzuciłam palenie trzy lata temu, to ciągle miałam ochotę. - Tak więc kazał ci wystąpić w radiu publicznym i umniejszyć rolę znaleziska.

- I dokładnie to zrobiłam, ale później tego samego przedpołudnia przyjechałam pociągiem z Dublina, by przekonać go, żeby się od nas odcepił, skoro już wystąpiłam publicznie w sprawie Monashee. Gdy nas zobaczyłaś, Traynor odwoził mnie na stację.

- Co wydarzyło się na spotkaniu?

- Na początku udawał, że wcale nie jest szantażystą. Przecież nigdy nie żądał pieniędzy, tylko zwykłej przysługi i takie tam bzdury. Sugerował nawet, że w przypadku Dereka zdarzało mu się płacić za wyświadczone przysługi. Im więcej o tym myślę, tym bardziej zaczynam podejrzewać, że Traynor miał na Dereka coś jeszcze, poza naszym romanssem. Prawdę powiedziawszy, minister romansujący z urzędniczką państwową nie jest zbyt atrakcyjną pożywką dla brukowców. Tak więc powiedziałam mu, że skoro wyświadczyłam mu już tak zwaną przysługę, to nie muszę się już stosować do tego, co stwierdziłam w wywiadzie radiowym. - Zaciągnęła się.

- No i jaka była jego reakcja?
- Śmiał się. Powiedział, że coś innego przyciągnęło jego uwagę, więc Monashee już go nie interesuje i mogę tam robić, co chcę.
- Och? Czy powiedział, co to było?
- Nie. Próbował znowu przyprzeć mnie do ściany. Powiedział, że jeżeli nie chcę w radiu wysłuchiwać nieprzyjemnych rzeczy o Dereku, powinnam współpracować. Wszystko, co miałam robić, to nie reagować, gdy dotrą do mnie pogłoski o kupnie bądź sprzedaży obiektów historycznych.
- Oczywiście nielegalnej.
- Oczywiście. Powiedziałam, że nie zrobię tego, jeśli będzie niezgodne z prawem. Odpowiedział: „Zobaczymy, co się stanie”. Wiedziałam, że najprawdopodobniej znów zaczniesz naciskać Dereka. - Wyprostowała się na siedzeniu, poprawiła zabłąkany kosmyk włosów zauważony w lusterku i uporządkowała fryzurę. - Ale nigdy nie miał szansy, by to zrobić, prawda?
- Przez moment pomyślałam, że informuje mnie o swoim udziale w morderstwie Traynora.
- Lepiej uważaj i nie mów tego w taki sposób przed policją.
- Nie martw się. Inspektor Gallagher już złożył mi wizytę.
- Powiedziałaś mu o telefonie, który Traynor odebrał przy tobie?
- Pewnie.
- To teraz mi opowiedz.
- To nic wielkiego. Byłam w samochodzie z Traynorem, gdy zadzwonił jego telefon. Umówił się z rozmówcą na spotkanie. W rozmowie wspomniał Monashee. Zwrócił się do rozmówcy po imieniu, ale zapamiętałam jedynie, że było kobiece. Koniec pieśni. - Wyrzuciła papierosa przez okno.
- Powiedziałaś Gallagherowi, że Traynor szantażował ciebie i Warda?
- Oczywiście, że nie. Traynor nie żyje, prawda? Już nam nie zagrozi.
- A jakie miejsce w tym wszystkim zajmuje sierżant O’Hagan? Chyba nie stoi na straży reputacji ministra?
- Pewnie, że nie. O’Hagan stoi na straży swoich własnych interesów. No i Traynora, w pewien sposób.

- Nie rozumiem.
- Traynor jest - był - jego szwagrem.
- To znaczy, że żona Traynora...
- Jest siostrą O'Hagana, tak.

Wiele się dzisiaj dowiedziałam.

- Wygląda na to, że Traynor streścił mi, w jaki sposób mną manipulował. Musiał się z nim skontaktować w piątek, zaraz po tym jak mnie odwiózł. Już podczas śledztwa, O'Hagan przyszedł do mnie i powiedział, że dopilnuje, żeby mnie nie przesłuchiowano, jeżeli obiecuję, że nie wyjawię, co robił jego szwagier. Była w tym również ukryta groźba, że może mnie zrobić jako podejrzaną, ale założyłam, że chronił w ten sposób swoją siostrę i jej rodzinę, więc się zgodziłam. Teraz uważam, że ochraniał tylko i wyłącznie swój zadek. Nawet zadzwonił do mnie wczoraj, by upewnić się, że nie rozmawiałam ze śledczymi. Powiedział, że sprawa postępuje i nie chce, żeby wszystko zepsuł Gallagher - z którym właśnie rozmawiałam w tym momencie. - Kaszlnęła urywanie.

- Z jakiejś przyczyny O'Hagan go nie znosi - zauważyłam.
- Powiedziałabym, że nawzajem. Myślę, że Gallagher zatrzymał go na przesłuchaniu. Derek powiedział, że nie pojawił się dziś w kościele.
- Na pogrzebie własnego szwagra? To dziwne.
- Może nawet, kto wie? - Muriel sięgnęła po następnego papierosa, ale rozmyśliła się i zamknęła okno.
- Kiedy otrzymałaś wiadomość, którą rzekomo wysłałam?
- Wczesnie rano w sobotę.
- A co dokładnie było napisane?
- „Zaakceptuj wykopalka w Monashee albo z karierą Warda koniec”.

- Hmm. Nie w moim stylu. Zbyt enigmatycznie.

Muriel zignorowała moją próbę polepszenia atmosfery.

- Nie mam twojego nazwiska w skrzynce adresowej mojej komórki, więc nie mogłam zidentyfikować nadawcy inaczej, niż próbować do niego zadzwonić. Dopiero wczoraj rano mogłam poprosić moją sekretarkę, by sprawdziła numer w naszej bazie danych i dowiedziałam się, że to ty. Pomyślałam wtedy: „A to suka, użyję wszelkich wpływów, żeby już nigdy nie dostała żadnej pracy”.

- Co, pomijając kwestię moralności, byłoby dla mnie zawodowym samobójstwem, gdybym groziła ci w ten sposób.

- A skąd, do cholery, mogłam wiedzieć, co chodzi ci po głowie? Miała rację.

- Okej. Przeróbmy jeszcze raz sprawę tego telefonu. Ktoś kradnie czyjś telefon, by wysłać za jego pomocą pogróżki, których nie będzie można mu przypisać. To nawet sprytne - lepsze niż wiadomości sklejone z wycinków z gazet. Ale dlaczego akurat mój telefon?

- Bo masz w nim zapisany mój numer.

- No tak. Najprawdopodobniej zapisałam „Muz Nar” albo podobny skrót, nie związany z twoim imieniem czy inicjałami. Lecz to nadal nie ma żadnego sensu, ponieważ gdybym nie zostawiła włączonego telefonu w samochodzie, nie mogliby go użyć.

- To w takim razie był to czysty oportunizm. Oznaczający, że szukali w tym czasie czegoś innego.

Dostrzegłam wynurzającą się z mgły sylwetkę.

- Ale czego?

- Twoich notatek, fotografii, aparatu, czegokolwiek. Może myśleli, że schowałaś ciało z bagien w bucie. - Muriel zaczynała się powoli odprężyć.

- Albo przyszli po mnie, lecz pies ich wystraszył - opowiedziałam, co stało się we wczesnych godzinach sobotniego poranka i o kartce, którą dostałam.

- Przez ciebie dostałam gęziej skórki. I kim mieliby być ci oni, do cholery?

- Kimś, kto wiedział o twoim związku z ministrem i o tym, że ma on coś jeszcze do ukrycia. - *Tylko jak się o tym dowiedzieli?*

Muriel westchnęła.

- I właśnie dlatego zdecydowałam się dzisiaj na spotkanie z Derekiem. By ustalić, jaką władzę miał nad nim Frank Traynor i jakie przysługi uzyskał od niego przez te wszystkie lata. Chciałam także poradzić się, co mam zrobić z tobą, ale to chyba mogę wykreślić z planu. W związku z tym nie czuję się przymuszana do podjęcia decyzji, którą bym i tak prawdopodobnie podjęła.

- O Monashee?
- Zaproponuję wydanie licencji na badanie stanowiska z możliwością rozpoczęcia wykopalisk.

Staralam się zachować zawodowy dystans, lecz zdradził mnie wyraz twarzy.

- Twój uśmiech mówi, że to ci się podoba.
- Oczywiście.
- No, przynajmniej ktoś jeden jest zadowolony.

Nagle przyszła mi do głowy odpowiedź na pytanie, które przed chwilą zadałam sama sobie i wiedziałam już, że mój uśmiech zgasł.

- Wolałabym nie dochodzić teraz do pewnego wniosku. Ten, kto przesłał wiadomość z mojego telefonu, musiał wydobyć z Traynora informację o tobie i ministrze. Tak więc pomyśl, kiedy w ł a ś n i e to mogło się stać? Czy Traynor wyglądał na człowieka pod tego rodzaju presją, gdy spotkałaś się z nim w piątek?

Muriel zdjęła okulary słoneczne i spojrzała na mnie ze strachem malującym się w jej atrakcyjnych brązowych oczach.

- Nie. Wydawał się być w dobrym nastroju. Tak więc ktoś musiał wyciągnąć z niego informacje...

- Po waszym spotkaniu. Inaczej mówiąc, Muriel, ten ktoś to jego morderca.

Zamilkłyśmy na chwilę. Pierwsza przerwałam ciszę.

- Muriel, przypomnij sobie swoją pierwszą rozmowę z Traynorem o Monashee. Być może powiedział ci, że buduje tam hotel. Ale czy wyjaśnił, dlaczego tak się spieszył, chcąc przekopać pole przed św-

- Nie. Ale może coś tam było pogrzebane?

- Coś, czego natychmiast potrzebował. Może chciał kogoś szantażować? Ale co to mogło być?
- Dowód zbrodni?
- W takim razie, co w piątek odwiodło go od kopania?
- Znalazł obciążające dowody.
- Załóżmy, że masz rację. Jakie nasuwa ci się pytanie?

Muriel wysunęła przed siebie dłonie i zaczęła podziwiał swoje jasnoczerwone paznokcie.

- Zaczyna mnie to nudzić. Niech Gallagher się tym zajmie.

- Nie, nie podawaj się. Dochodzimy do czegoś. Jakie pytanie jest oczywiste?

- Czy Traynor został zamordowany przez osobę, którą chciał szantażować?

Dokładnie, Muriel. I jeśli tak się stało, czy morderca chce wykopalisk na Monashee?

- To nie ma żadnego sensu.

- Załóżmy coś innego. Być może, przed morderstwem, zabójca zmusił Traynora do pozbycia się dowodu.

- W takim razie przekopywanie pola byłoby jeszcze bardziej bezsensowne.

- Chyba że... chyba że morderca niepokoił się, że Traynor powiedział komuś, co było zakopane na polu. Dlatego umieścił tam fałszywy dowód, który nic nie będzie znaczył po odnalezieniu. I dlatego chce, byśmy kopali.

- Nieźle pomyślane, Illaun. Lecz nie wiemy o żadnej wcześniej popełnionej zbrodni.

- Nie zapominaj, że odnaleziono tam dwa ciała.

- Tak, ale...

Głośne pukanie w okno po stronie kierowcy sprawiło, że podskoczyliśmy.

- Jezu, Derek, - powiedziała Muriel, opuszczając szybę - przestraszyłeś nas na śmierć.

- Wchodzisz na drinka? - spytał niecierpliwie.

- Jak będę gotowa. Chciałabym posiedzieć tu jeszcze minutkę.

Ward zaklął pod nosem, otworzył tylne drzwi i usiadł na siedzeniu.

Muriel zdjęła okulary i złapała jego wzrok w lusterku.

- Wygląda na to, że wiadomość wysłał do mnie morderca Franka Traynora - powiedziała beznamiętnie.

- Daj spokój, Muriel. Wiesz, że jeśli nie zrobiła tego ta kobieta, to był to pewnie jakiś szalony ekolog, przecież już...

- Panie ministrze, uważam, że Muriel powinna powiedzieć wszystko, co wie, policji śledczej. Jak najszybciej - powiedziałam twardo.

- A co wie, dokładnie?

- O tym, w jaki sposób Frank Traynor szantażował ją i pana. - Odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

Ward pochylił się do przodu i chwycił moje oparcie.

- To oburzająca hipoteza. Nie muszę siedzieć tu i wysłuchiwać tych głupot.

Muriel odwróciła się do niego twarzą w twarz.

- Derek, Frank Traynor powiedział mi, że ma cię w kieszeni.

- To nieprawda.

- I że ma sposób na kontrolowanie ciebie.

- Do jasnej cholery, Muriel, zamknij się. - Ward stawał się rozdrażniony. Na pewno nie miał zamiaru wyjawić czegokolwiek, gdy ja słuchałam.

- Spokojnie, spokojnie. To sprawa pomiędzy wami. Staram się tylko zauważyć, że Frank Traynor był w stanie szantażować rządowego ministra i że prawdopodobnie robił to też z innymi. I właśnie dlatego powinno się temu przyjrzeć śledztwo policyjne. Wiadomość musi pochodzić z wiarygodnego źródła.

Otworzyłam drzwi i wyszłam z samochodu. Zamykając je, nachyliłam się do okna i powiedziałam do Muriel.

- Skontaktuję się z tobą po świętach. Zobaczę, co trzeba zrobić w Monashee. Aha - na pewno ci się to spodoba - poprosiłam laboratorium uniwersyteckie o analizę węglową ciał... w twoim imie-

Muriel zamachała niecierpliwie ręką. Nie miała do tego głowy. Ważniejsze sprawy wymagały jej uwagi.

Gdy szłam w stronę mojego samochodu, pomyślałam, że Derek Ward, uwolniony spod jarzma Traynora, nie miał zamiaru przekazać go komuś następnemu, kto mógłby obciążyć go nim znowu. Zdaje się, że znajdujący się już w kryzysie związek czeka szybki koniec.

Rozdział 20

Gdy opuszczałam parking, spojrzałam na zegarek. Miałam przed sobą godzinę. I musiałam pomyśleć też o innym związku, więc wszystko inne powinno na godzinę zniknąć.

Poprzedniego wieczoru poszliśmy z Finianem na przyjęcie, zachowując się jak para o długim małżeńskim stażu. I to mnie martwiło. Wydawało się, że emocje związane z zabieganiem o siebie, wzloty i upadki zalotów, przyjemne doświadczenie czasu spędzanego razem, dreszcz podniecenia przed spełnieniem seksualnym jest już za nami. Ale przecież nigdy czegoś takiego nie doświadczyliśmy.

Skupiona nad tymi myślami, nieświadomie wyjeżdżałam z Droghedy drogą na Dublin. Zobaczyłam drogowskaz do Bettystown i skręciłam w lewo, w drogę, która miała mnie zaprowadzić na wybrzeże. Spacer wzdłuż plaży oczyściłby mój umysł. Nad morzem wszystkie myśli stają się jaśniejsze, wszechświat bardziej

Zjechałam z drogi i zaparkowałam za wydmami, z których słynie ten fragment wybrzeża. Z bagażnika wyjęłam parkę i zapięłam ją, wspinając się na pierwsze wzniesienie. Z wierzchołka wciąż jeszcze nie było widać morza, zesłam więc w dół. Okrążając spore, otoczone piaskownicą* wgłębienie, zaczęłam wspinać się na kolejną wydmy.

Ostonięty dołek w wydmach przypomniał mi pewien deszczowy letni dzień, kiedy Tim Kennedy i ja, udając się na weekend do Carlingford Bay, wybraliśmy okrężną drogę i przyjechaliśmy tutaj. Słońce wyłoniło się na moment zza chmur, kiedy spacerowaliśmy za ręce. Jedynymi ludźmi w zasięgu wzroku byli golfiści na pobliskich polach golfowych.

* Piaskownica zwyczajna (*Ammophila arenaria*) - roślina należąca do rodziny wiechlinowatych, występuje na europejskich wydmach nadmorskich.

Zaczęliśmy się całować i poczuliśmy pożądanie. Zastanawiając się, w jaki sposób uciec od ciekawskich spojrzeń golfistów, znaleźliśmy podobne, również otoczone trawą zagłębienie w jednym z piaszczystych wierzchołków. Z pełną pożądania niecierpliwością, której pikanterii dodawało ryzyko, że ktoś nas może zobaczyć, zdarliśmy z siebie ubrania, które upchnęliśmy pod siebie i częściowo ukryci w trawie kochaliśmy się. Tim leżał na plecach, ciepło słońca pieściło moje ramiona; rozkosz targała mną niczym fale, które wtedy widziałam biegnące w kierunku brzegu. Nawet teraz, kiedy o tym pomyślę, czuję przyspieszone bicie serca.

Czy Finian byłby w stanie pozwolić sobie na taką swobodę? Wiedziałam, że był zdolny do głębokiej miłości. Większość ludzi, w tym moja przyjaciółka Fran, nie zdawała sobie sprawy, że jedną z przyczyn, dla których podjął decyzję o porzuceniu nauczania i poświęceniu całego swego czasu ogrodnictwu, było zakończenie burzliwego romansu. Podzielił się tym ze mną dopiero, gdy skończyłam szkołę, ale nawet wtedy jego ból był wciąż ogromny. Zełżał nieco z upływem czasu, kiedy ogród zaczął nabierać swego kształtu. W miarę jak ten proces trwał, stosunki między mną a Finianem przeradzały się w coś głębszego niż tylko przyjaźń.

Mieliśmy się wkrótce spotkać, prawdopodobnie przedostatni raz przed świętami. Czy termin, który dałam mu w myślach na podjęcie działania, był nierealny? Pewnie był. Ale jedno było pewne. Jeśli przez ten okres traktowałby mnie bardziej jak siostrę, niż jak kochankę, moim noworocznym postanowieniem byłoby zakończenie tego związku.

Dotarłam na szczyt drugiej wydmy. Po mojej lewej i prawej stronie rozciągało się wiele kilometrów płaskiego terenu. Nawet tuż przede mną fala była tak daleko od brzegu, że wzdłuż horyzontu widziałam jedynie cienką niebieską wstążkę morza. Nie był to szeroki przestwór oceanu, który, jak oczekiwałam, oczyściłby moje myśli, ale wciąż było to morze. Miałam na razie dość myślenia. Chciałam na moment się odciąć.

Zeszłam ku podstawie wydmy na wyższą część wybrzeża. Podniosłam wypłowiały patyk i przez chwilę szłam równoległe do wydmy. Od czasu do czasu obracałam przykuwające mój wzrok nietknięte muszle. W dali sznur kulików zawodził żałośnie.

Słońce zeszło już niżej i świeciło mi prosto w oczy, więc obróciłam się przodem do morza. Wkrótce wkroczyłam na pofałdowaną płaszczyznę, upstrzoną tysiącami spiral z piasku. Wiedziałam, że wydrążyły je robaki piaskowe. Kuliki wyszukiwały je za pomocą swych długich, zakręconych dziobów. Kiedy dotarłam do nacierającej fali, zawróciłam w stronę, z której przyszłam. W pewnym momencie zatrzymałam się i zaczęłam szturchać patykiem robaka piaskowego. Pulchne robaki, używane przez morskich wędkarzy na przynętę, zajmują pod piaskiem pionowe tunele w kształcie litery „U”. Jeden jej koniec jest oznaczony przez wybrzeże, drugi - wejście - przez zagłębienie w piasku, znajdujące się w odległości mniej więcej dłoni.

Coś zaczęło świtać w mej głowie, a właściwie próbowało nabrać trójwymiarowego wyrazu. Na piasku, przy krawędzi fali, narysowałam półokrągłą bruzdę, zawróciłam ją przy wybrzeżu i poprowadziłam z powrotem. Wypełniła się wodą, która obejmowała teraz kopczyk usypanego piasku niczym fosa. Tuż przy mojej stopie, przy krawędzi bruzdy, znajdowało się ledwo widoczne zagłębienie, wejście do legowiska robaka piaskowego. Wejście i wyjście były teraz po przeciwnych stronach fosy, pod którą znajdował się tunel.

Coś to oznaczało, tylko co?

Czułam się trochę, jak Richard Dreyfuss w *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia*. Klękałam na jedno kolano i przyglądałam się samotnemu kręgowi zupełnie tak, jak on patrzył na znajdującą się na jego talerzu górę ziemniaczanego puree. Dreyfuss w końcu zbudował model Diabelskiej Wieży z Wyoming. Dlatego moje dzieło powinno przypominać jakąś podziemną strukturę. *Świetnie. Ale trochę nazbyt oczywiste. Jesteś przecież archeologiem.*

To tyle odnośnie morza, które sprawia, że wszechświat staje się bardziej wytłumaczalny. Pora było wracać.

Zanim ponownie wspięłam się na wydmy, zakręciłam nad głową patykiem i rzuciłam daleko. Spłoszyłam kuliki, które podniosły się i poleciały na dalszy zakątek plaży. Patrzyłam, jak lecą, dopóki ich sylwetek nie pochłonął słoneczny blask.

Moje myśli wciąż znajdowały się pod ziemią, w Monashee. Na spotkaniu z Muriel Traynor poruszył temat handlu przedmiotami

kultury materialnej. Być może nie wykopał dowodu zbrodni, lecz coś niezwykle cennego w innym wymiarze - skarb? Na własnej ziemi. Jak wygodnie.

To bzdura, Illaun, i dobrze o tym wiesz. Tak, to prawda. W głębi serca wiedziałam, że Traynor zmienił zdanie po zobaczeniu czegoś tuż przed spotkaniem z Muriel Blunden: szczątków noworodka w kostnicy.

Gdy jechałam w kierunku wsi Donore, rzucone przez jasne słońce ostre cienie zaczęły się wydłużać. Włączyłam radio, by posłuchać popołudniowych wiadomości o trzeciej. Drugi komunikat był bardzo zwięzły, gdyż tak zazwyczaj wyglądają wstępne informacje o popełnionym morderstwie.

- Ciało mężczyzny, będącego najprawdopodobniej funkcjonariuszem policji, znaleziono na polu za prehistorycznym monumentem Newgrange w hrabstwie Meath. Służby policyjne w Donore już rozpoczęły śledztwo.

Wiedziałam, że znaleziono ciało O'Hagana.

Bar Micka Dorana był pusty, gdy w nim się zjawiłam. Na ścianie obok drzwi był telefon na monety, więc poszukałam drobnych w portmonetce i poprosiłam operatora o połączenie z posterunkiem policji w Droghedzie. Gallagher nie był obecny, więc zostawiłam mu wiadomość, żeby zadzwonił na numer telefonu w barze.

Później zadzwoniłam do Peggy, która była niezwykle czymś poruszona.

- Och, Illaun, odchodziłam od zmysłów, bo nie mogłam się z tobą skontaktować. Dzwonił inspektor Gallagher i zostawił dla ciebie dziwną wiadomość. Posłuchaj: „Proszę nie spotykać się z nikim obcym lub w jakiś sposób podejrzanym”. Powiedział, że będziesz wiedziała, o co chodzi. Czy coś ci grozi?

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Zorientowałam się, że jednak nie byłam sama: przy drugim końcu owalnego baru, po drugiej stronie, stał mężczyzna, którego wzięłam za właściciela lokalu. Odwrócony był do mnie tyłem i właśnie przewracał stronę gazety, którą czytał.

- Nie mogę teraz rozmawiać, Peggy, ale jeśli Gallagher zadzwoni jeszcze raz, powiedz mu, że jestem pod tym numerem. - Poprosiłam ją też o numer jego komórki i o zawiadomienie

Terence'a Iversa z IAWU, że Muriel Blunden dała nam pozwolenie na zajęcie się Monashee. Zastanawiałam się, dlaczego nie odezwał się od piątku, lecz na razie dałam sobie spokój. Skończyłam rozmowę prośbą, by Peggy odebrała mój nowy telefon - przyjechałam do sklepu w Castleboyne zbyt wcześnie i był jeszcze zamknięty. Powinnam jednak domyślić się, że Peggy już wszystko załatwiła.

Znalazłam jeszcze kilka monet i nagrałam się na sekretarkę Gallaghera. Zostawiłam mu numer komórki Finiana. Potem usiadłam na stołku przy barze. Ostrzeżenie Gallaghera było niepokojące, cieszyłam się więc, że poprzedniej nocy zaprosiłam Finiana do Donore. Zastanawiałam się nawet nad odwołaniem dzisiejszego spotkania z Jackiem Creanem, które, według kryteriów Gallaghera, nie powinno się odbyć. Stwierdziłam jednak, że byłby to zbytek ostrożności.

Postukałam w ladę, by zwrócić uwagę właściciela.

- Przecież jestem. Czego pani chce? - Doran nie podniósł nawet głowy. Jego głos był ostry, niemal agresywny.

- Co można tu przekąsić?

- Zupa, kanapki, tosty - odpowiedział szorstko, nie odwracając się. Finian nie będzie zachwycony naszym miejscem na lunch, ale nie obiecywałam żadnych frykasów.

- Dołączy do mnie ktoś jeszcze, poczekam.

Doran odburknął coś i usunął się z pola widzenia. Najprawdopodobniej znał sierżanta O'Hagana, a jego nastrój był reakcją na wieści o jego zamordowaniu, które przecież musiały roznieść się szybko.

Cisza była jak makiem zasiał. Obejrzałam staroświeckie girlandy papierowe zwisające w pętach z sufitu. Przypomniały mi te, które mieliśmy w domu, gdy byłam dzieckiem. Gdy je zdejmowaliśmy z ojcem, stawaliśmy na krześle, trzymałam jeden koniec ozdoby nad głową, a drugi puszczałam wolno na podłogę i kręciłam nim, dopóki nie wyprostował się w płaski kawałek papieru.

Minuty wlokły się jedna za drugą. Nareszcie usłyszałam odgłos silnika na jałowym biegu oraz dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Chwilę później Finian przeszedł wzdłuż baru i objął mnie na powitanie.

- Przepraszam za spóźnienie. Hugo mnie podrzucił. - Hugo dorywczo pracował w ogrodach Brookfields. - Hej... - Ciągle trzymał mnie za ramię. - Cała drżysz, Illaun. Co się stało?

- Jestem trochę przestraszona. Znowu było morderstwo i jestem pewna, że ofiarą jest sierżant O'Hagan. Czekam tylko...

- To jest O'Hagan, racja. - Nie zauważyliśmy stojącego za nami Dorana. - Znaleźli go po drugiej stronie rzeki, na polu za Newgrange. Zaszlachtowali go tak samo, jak jego szwagra.

Zaczęłam drżeć tak mocno, że musiałam oprzeć się ręką o bar. Dotarło do mnie, że nie zwróciłam uwagi na pełną treść komunikatu, wysłuchanego wcześniej w radiu. Wydawało mi się, że do morderstwa doszło na Monashee, podczas gdy O'Hagan znaleziony został nie tylko po drugiej stronie rzeki, lecz nawet piętnaście kilometrów dalej. Z jakiejś przyczyny było to niezwykle ważne, lecz mi umknęło.

Finian objął mnie.

- Chodźmy gdzieś usiąść - powiedział, delikatnie prowadząc mnie do wnęki. Nic nie mówiliśmy, trzymaliśmy się tylko za ręce, a ostatnie promienie słońca oświetlały okno za nami. W myślach modliłam się za żonę i rodzinę O'Hagana.

W końcu Finian rozejrzył się po pustym pubie.

- Nie musiałś tak od razu rezerwować całej knajpy tylko dla nas. - Najwyraźniej chciał mnie rozweselić. Podchwyciłam jego ton.

- Nie ma sprawy. Poczekaj, aż usłyszysz, co mają w menu.

- Niech zgodzę. Na początek - ostrygi, *foie gras* lub kawior.

- Blisko - powiedziałam. - Jak wolisz? Słabo czy mocno wypieczone?

Finian westchnął.

- Pewnie standardowa szynka z serem.

- Mamy też kurczaka - wtrącił oschle właściciel, wynurzając się zza baru.

- Właśnie na to liczyłem - odpowiedział Finian. Trudno było wyczuć, czy żartował. - Mocniej wypieczone. I do tego kufel guinnessa. Dla ciebie, Illaun?

Nie miałam ochoty na jedzenie.

- Weź coś, dobrze ci zrobi. - Finian chciał, bym doszła do siebie.

- No dobrze. Poproszę kanapkę z serem. I herbatę.

Doran zniknął.

Poprosiłam Finiana o jego telefon komórkowy, wyjaśniając, że Gallagher może zadzwonić do mnie w każdej chwili. Finian

podał mi swój telefon i zdjął płaszcz, wysuwając z wewnętrznej kieszeni wąską, opakowaną w kolorowy papier paczuszkę.

- To coś w rodzaju prezentu przedświątecznego - powiedział. -

Chyba ci się spodoba.

Zaczerwieniłam się.

- Dziękuję. Powinam ją teraz otworzyć?

- Tak. Właśnie dlatego mówię, że to prezent przedświąteczny.

Pozwalam.

W tym momencie, przy grudniowym słońcu świecącym przez szybę, w wiejskim bezruchu dookoła i Finianie obok mnie, poczułam, jakbym znalazła się bardzo daleko od przerażających miejsc, w których myślami przebywałam przez ostatnią godzinę.

- Bardzo dziękuję - powiedziałam, całując go w policzek.

- Ciągłe go nie otworzyłaś - odparł.

Prezent leżał na moich kolanach.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedziałam. Wiedziałam, że oczy mi błyszczały, lecz nie przejmowałam się. Byłam szczęśliwa.

Doran wynurzył się zza rogu wnęki z naszymi kanapkami i napojami na tacy. Chwila minęła, lecz na pewno pozostanie w mej pamięci.

Finian podziękował właścicielowi, gdy ten rozstawiał nasze zamówienia na stole.

- A przy okazji, jak się pan nazywa?

- Mick.

Finian przedstawił nas. Doran chrząknął i znowu się oddalił.

- Świetny facet. - Finian odprowadził go wzrokiem, odwrócił się do mnie i wskazał na paczkę ciągle leżącą na moich kolanach. - A teraz, na miłość boską, otwórz to!

Odwinęłam złote opakowanie i oczom moim ukazał się oprawiony w czarną ramkę artykuł z gazety „Meath Chronicle” z grudnia 1897 roku.

BOŻE NARODZENIE W PRZYFABRYCZNEJ SZKOLE DLA CHŁOPCÓW W
CASTLEBOYNE

„Po raz kolejny, gdy radość i wesołość są powszechne w całym kraju, mieszkańcy wyżej wymienionej instytucji nie zostali pozbawieni wspaniałych wrażeń od zawsze związanych z od-

świetnym okresem bożonarodzeniowym. Każdy, bogaty i biedny, spożył na obiad pieczoną wołowinę i pudding śliwkowy. Po posiłku dyrektor rozdał chłopcom jabłka i pomarańcze.

Następnie chłopcy zostali przyjemnie zaskoczeni koncertem na ich cześć, wykonanym przez członków Amatorskiego Stowarzyszenia Muzycznego z Castleboyne. Smyczkowa uwertura została znakomicie odegrana przez pp. M. Maguire, P. Hunta, W. Daltona, J. Olohana, J. Nugenta, T. Butlera i V. Kittsa".

Przebiegłam oczami kolumnę wyliczającą różne kompozycje zagrane i zaśpiewane w trakcie wieczoru, w tym *Kitty of Coleraine* i *The Banks of the Nile*. Przeplatane były one skocznymi tańcami, wykonywanymi przez pracowników fabryki, oraz „żartami i zagadkami” „głośno oklaskiwanymi” przez dzieci. Ostatnia pieśń zaśpiewana została przez wszystkich członków Stowarzyszenia. Była to *Let Erin Remember the Days of Old*, po której nastąpił:

„...bis, wykonany przez pana Hunta, przy akompaniamencie panny Maguire. Śpiewak prześcignął sam siebie w wykonaniu *Mony*, która uznana została za najpiękniejszą pieśń wieczoru. Godny zanotowania jest również fakt, że pod kierunkiem pana Hunta, panna Maguire osiągnęła doskonałość rzadko spotykaną na poziomie amatorskim.

Tak to bawiono się w sezonie bożonarodzeniowym w Przyfabrycznej Szkole w Castleboyne i jeżeli Gwiazdkę wszędzie spędzano tak przyjemnie, na pewno była najwspanialszym świętem na całym świecie".

Uśmiechnęłam się do Finiana.

- Pewnie zwróciłeś uwagę na tytuł piosenki, prawda?

Kiwnął głową.

- Znalazłem ten artykuł w piątek, a że imię ciągle tkwiło w mej pamięci od poprzedniego dnia, uznałem, że warto byłoby to oprawić.

- To taki dziwny zbieg okoliczności - powiedziałam. - Kiedyś będę musiała odnaleźć tę pieśń i nauczyć się jej słów.

- Ciekawe jest jeszcze to, że panna Maguire nie tylko pochodziła z Celbridge, lecz że twój pradziadek - jeśli to na

pewno on - chyba był jej nauczycielem. - Finian uczynił aluzję do naszej sytuacji.

- Muszę koniecznie spytać o nich moją matkę.

Skończyliśmy kanapki i siedzieliśmy w ciszy, obserwując zachodzące słońce odbite w cierniach tarniny rosnącej za oknem. Usłyszeliśmy skrzypnięcie drzwi wejściowych i do baru podszedł mężczyzna, który wyglądał na Jacka Creana.

Budową ciała przypominał swojego syna. Miał też taką samą rumianą cerę, o bardziej purpurowym odcieniu. Nosił płaską czapkę i sportową kurtkę o kilka rozmiarów za małą, więc wyglądał, jakby w niej ugrzązł.

Podeszłam do niego i przedstawiłam się.

- Witam proszpanią - powiedział, wyciągając w moją stronę olbrzymią dłoń.

- A to mój przyjaciel - dodałam, ścisnął moją rękę. - Finian Shaw. Finian zasalutował. Jack uwolnił moją dłoń, podciągając ją do góry, aż opadła z łopotem jak motyl. Doran pojawił się za ladą.

- Witaj, Jack. Czerwoną Jemmy?

Jack lekko skinął głową i Doran nalał mu szklankę Jamesona, dodając odrobinę czerwonej lemoniady z plastikowej litrowej butelki.

- Będzie mróz dziś w nocy - zauważył Jack, kładąc banknot na ladę. Wziął łyk drinka, zebrał resztę i poszedł za mną do naszej wnęki. - Chyba słyszeliście o zabójstwie sierżanta - powiedział, się- Tak. Doznałam szoku, słuchając o tym w radio.

- O'Hagan nie był specjalnie lubiany przez tutejszych, ale nikt nie życzyłby mu czegoś takiego.

- Czy Seamus o tym wie?

- Wie. Na szczęście, dla niego, dostał w niedzielę ataku astmy i leży w łóżku, więc policja nie będzie miała pretekstu do kolejnych przesłuchań.

- To przez złe powietrze, jak mówią. Proszę mu powiedzieć, że pytałam o niego.

- Dobrze, proszpani. Jutro idzie do szpitala na badania, więc może go podleczać na święta.

Spojrzałam na Finiana. *Teraz twoja kolej.*

Finian pogrzebał w jednej z kieszeni płaszcz i wydobył cyfrowy dyktafon nie większy od telefonu komórkowego.

- Pański syn powiedział Illaun, że Monashee jest nawiedzone.
- Zgadza się, nazywaliśmy je „Duchami Bagna”.
- Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli nagram naszą rozmowę?
- Nie ma problemu.

Finian włączył nagrywanie, a ja wyciszyłam jego telefon. Gallagher nie zadzwonił.

- To taki czas w roku, gdy duchy są aktywniejsze, prawda?
- zagaił Finian.

Jack pociągnął ze szklaneczki i rozkoszował się przez chwilę smakiem.

- Tak, w okolicach świąt. To dlatego, że duszom z otchłani wolno wtedy odwiedzać żywych, więc to czas zjaw. Szczególnie widm wodnych.

- Widm wodnych?

- Rodzaj duchów unoszących się nad bagnami i terenami bagnistymi. Pojawiających się zazwyczaj o świcie lub o zmierzchu. W mglisty poranek mogą wyglądać jak jaśniejące w oparach światła. Należy przy nich mieć zamknięte oczy, gdyż mogą zwabić na pola i utopić w rzekach. A Monashee to miejsce, gdzie je widywano?

Jack skinął głową.

- Albo słyszano. Mógłbym to opisać jako coś w rodzaju wysokiego, żałobnego śpiewu. Jak sopran chłopięcy.

- Słyszał je pan?

- Tak. Któregoś wieczoru bardzo długo grałem w pokera i dotarłem do Donore późno. Ale ojciec Micka... - kiwnął głową w stronę baru - ciągle dolewał, a że padało i przede mną była daleka droga, zostałem na noc w pubie, przespałem się w kącie i wyruszyłem następnego dnia rano. No i gdy przechodziłem obok Monashee, usłyszałem. Do dzisiaj jeszcze ciarki chodzą mi po plecach.

- Co pan wtedy zrobił?

- Przyspieszyłem i, patrząc prosto przed siebie, odmawiałem modlitwę, jakiej uczyli nas w szkole: „Niech nie słyszę i nie widzę złego, gdy przechodzę. Lecz jeśli ujrzę i usłyszę, nie pozwól mi, Panie, nigdy nikomu o tym opowiedzieć”.

Spojrzenie Finiana mówiło, że bardzo dobrze się bawi.

- A czego się pan obawiał?

Jack dokończył swoją whisky.

- Mawiano, że jeśli znajdziesz się blisko widma, to ujrysz twarz dziecka. Płaczącego.

Poczułam, jak ciarki przechodzą mi po plecach.

- Płaczącego? - upewnił się Finian.

- Tak. Płaczą, ponieważ święta przypominają im o prezencie, którego pożądamy, a którego nigdy nie dostaną - wieczne życie z Bogiem w niebie. Nie dostaną się tam, bo są w otchłani.

- Dlaczego?

- Ponieważ są duszami nieochrzczonych noworodków.

- Ale dlaczego zamieszkują Monashee?

- Tego nie wiem - odpowiedział Jack. - Wiem tylko, że miejsce jest nawiedzone.

Finian wyłączył dyktafon i przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. W końcu Jack zapytał, czy ktoś ma ochotę na drinka. Finian odparł, że stawia i poszedł do baru po zamówienia. Skorzystałam z okazji i spytałam Jacka, jakie stosunki łączyły ludzi z wioski ze społecznością opactwa Grange.

- Żadne - powiedział zdecydowanie. - Zakonnice zawsze były odseparowane. Ale pogorszyło się, od kiedy ta siostra Champion została opatką. Mimo że była pierwszą kobietą z lokalnej społeczności, która otrzymała tak wysokie stanowisko. Rzadko kiedy można dostać u nich pracę. O ile dobrze się orientuję, jedynymi pracownikami, jakich zatrudniły w ciągu ostatnich dwóch lat, byli jacyś budowlańcy. Wszyscy z zagranicy.

- Dlaczego akurat cudzoziemcy?

- Tania siła robocza, najprawdopodobniej. Już niedługo tylko oni będą dostawać robotę przy odkopywaniu jaskiń - powiedział ponuro.

- Jakich jaskiń? O czym pan mówi?

Jack wskazał palcem w kierunku Newgrange.

- Tak nazywają się tamte wzgórza. Dlatego, że starą nazwą Newgrange była „Jaskinia Słońca”.

Jednocześnie odwróciliśmy głowy na dźwięk głośnego śmiechu, dobiegającego o strony baru. Finian powiedział coś, co spodobało się właścicielowi pubu - byłam pewna, że to rzadki wyczyn. Gdy wrócił z drinkami, przeprosiłam i udałam się do toalety, gdzie

sprawiłam telefon. Nie było żadnych wiadomości ani nieodebranych połączeń. Telefon w pubie także nie zadzwonił ani razu.

Poprawiając w lustrze włosy, zorientowałam się, że nie minęła nawet doba, od kiedy *The Coventry Carol* zrobiła na mnie ogromne wrażenie. A teraz znów powrócił temat martwych dzieci. Czułam się, jakby ich dusze rzeczywiście próbowały nawiązać ze mną kontakt.

Gdy wróciłam na salę, w środku znajdowało się już kilka innych osób. Ciemnowłosa, młoda kobieta o bladej twarzy - prawdopodobnie córka Micka Dorana - pojawiła się, by ich obsłużyć. Finian wrócił do baru i pograżył się w ożywionej rozmowie z jej ojcem.

Jack powitał mnie szczerbatym uśmiechem. Jego czerwone policzki jaśniały. Na stole czekała na niego kolejna szklaneczka ulubionego trunku. Podejrzewałam, że Finian serwował mu podwójne po Wróciliśmy do naszej rozmowy.

- Co robili ludzie zatrudnieni do pracy w opactwie?
- Nic specjalnego. Machali łopata, o ile dobrze wiem.
- Musi więc być inna przyczyna, dla której zakonnice nie zatrudniły tutejszych.
- Może mają coś do ukrycia, może nie chcą, żeby sprawa się rozniosła. Pewnie dlatego, że wciąż pamiętają wydarzenia sprzed kilku lat.

Czy mógł wiedzieć o raporcie wspomnianym przez Jocelyna Carewa?

- Ma to związek z nielegalnym wysypiskiem?

Jack dokończył szklaneczkę i pociągnął łyk z następnej.

- Oczywiście, proszpani. Jakies dwa lata temu, niedaleko Duleek, czyli w pobliżu, znaleziono wysypisko odpadów medycznych. Odpowiedzialny został odnaleziony i postawiony przed sądem. Odpady pochodziły z różnych szpitali i były składowane nielegalnie - zużyte strzykawki, opakowania po krwi, brudne opatrunki... i takie tam. To jednak nie wszystko; znaleźli tam również stare słoje z organami i częściami ciała. Dziecięcymi. Był tam nawet cały... płód. Okropne. Gdy to wynikło w trakcie sprawy sądowej, nikt nie przyznał się do tych słoików, ani wykonawca odpowiedzialny za składowisko, ani żaden ze szpitali.

- Ale mój kumpel, który pracuje w departamencie sanitarnym Rady Hrabstwa powiedział, że w trakcie rozprawy wynikła sprawa jedynie instytucji medycznych, a facet zbierał odpady także ze szkół i klasztorów, w tym z opactwa Grange.

- Dlaczego uważa pan, że słoje mają coś wspólnego z opactwem?

- Przecież zakonnice prowadziły kiedyś szpital położniczy, nieprawdaż?

Od strony baru doleciał nas kolejny wybuch śmiechu - Finian i Mick opowiadali sobie kawały. Zachodziłam w głowę, jaki przycisk nacisnął Finian, że udało mu się wprowadzić właściciela pubu w tak dobry nastrój, chociaż powoli dochodziłam do wniosku, że Doran jednak posiadał jakieś poczucie humoru. Musiało być po prostu głęboko ukryte.

Jack przeprosił mnie na chwilę, gdyż chciał porozmawiać z kimś, kto właśnie pojawił się w pubie. Dzięki temu mogłam przetrwać uzyskane właśnie informacje. Zrozumiałam, co było przyczyną opowieści o zjawach dzieci - Monashee było cmentarzem dziecięcym.

Swego czasu martwe noworodki i dzieci, które zmarły przed chrztem, były grzebane na odseparowanych, niepoświęconych cmentarzach zwanych *cillin*. Czasami nawet grzebano tam kobiety zmarłe w położu. Od wczesnego średniowiecza po lata sześćdziesiąte XX wieku, nieochrzczonym dzieciom nie należał się chrześcijański pochówek. Na *cillin* wybierano najczęściej nieużytki, wybrzeża lub bagna.

Czy szpitalniczki używały bagnistego terenu w Monashee jako cmentarza dla dzieci zmarłych w ich domu położniczym? Czy Traynor groził, że to odkryje, a noworodek w kostnicy był potrzebnym mu dowodem? To miało sens, lecz grzebanie martwych dzieci w tego rodzaju miejscach było niegdyś szeroko praktykowane w całym kraju. Według dzisiejszych standardów, zakon religijny, który nadal to praktykował, mógł wydać się nieoświecony, ale fakt ten raczej nie stanowił materiału na skandal.

Nielegalne składowanie dziecięcych szczątków czy całych płodów to była już zupełnie inna sprawa. Ale zachowywanie organów przez szpitale było już tematem poruszonym przez

media, a nowa odsłona tego samego nie spowodowałyby większego zamieszania. Chyba że chodziłoby o jakąś powszechnie szanowaną instytucję. Mało znany zakon, który w przeszłości preparował lub zachowywał części ciała należące do anonimowych, martwo urodzonych dzieci, nie zainteresowałby nikogo. A poza tym trudno byłoby im cokolwiek udowodnić.

Niełatwo było znaleźć związek pomiędzy tymi sprawami a śmiercią Traynora i O'Hagana, ale skoro James Crean połączył wodne widma z cmentarzem dla noworodków, to może i na mnie spłynie olśnienie.

Rozdział 21

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, Finian rozvodził się o pogawędce, którą uciął sobie z Mickiem Doranem. Niewiele było w tym sensu, więc postanowiłam go ignorować. Zanim odjechaliśmy, jeszcze raz sprawdziłam jego komórkę, na wypadek gdybym nie zauważyła, że dzwonił Gallagher. Ale wyświetlacz nic nie pokazywał. Komisarz został pewnie kilka godzin wcześniej wezwany na miejsce zbrodni, więc trudno było oczekiwać, że się ze mną skontaktuje. Mimo wszystko czułam się w pewien sposób zagrożona i bezbronna. Żałowałam, że Finian tyle wypił - przed odjazdem koniecznie musiał wypić strzemiennego i kilkakrotnie życzyć Jackowi Creanowi, Mickowi Doranowi, jego córce i kilkorgu obcym ludziom wesołych świąt.

Kiedy zbliżałam się do wyjazdu z parkingu i czekałam, aż drogą przejedzie ciężarówka, dotarł do mnie fragment monologu Finiana.

- ...powiedział mi... o tym miejscowym farmerze, którego znano jako „Nietoperza”. Chciał, żebym zgadł, jak otrzymał to przezwisko. Powiedziałem, że może całe życie chodził w długim, czarnym płaszczu - łapiasz? Nietoperz?!

Ciężarówka przejechała i skręciłam na dalszy pas.

- Wiesz, jaka była odpowiedź? Facet w młodości grał w krykieta. Miałoby to sens, gdyby mieszkał w Surrey, ale nie w rolniczej Irla... - Finian dostał czkawki.

- To bardzo ciekawe, Finianie, ale może rozłóżysz fotel i trochę się zdrzemniesz? - Musiałam nad czymś pomyśleć.

- Nic dziwnego, że nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, rozumiesz? Zabił mi klina.

- Hm.

Odchylając krzesło, Finian coś mruzczał. Wyłapałam słowa: „...ojcem Gerampion...”

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że ten mężczyzna - Nietoperz - był ojcem Geraldine
Campion.

- Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś?

- Miałem do tego dojść.

Jack Crean wspomniał, że Geraldine Champion pochodziła z tej
okolicy.

- Jej ojciec był prawdziwym, twardym farmerem, ale jego interesy
nie szły dobrze. Wychował Geraldine bardzo surowo... matka zmarła
młodo. Mimo to dziewczyna miała w sobie ikrę... - Znowu urwał.

- Finian!

- Ups, przepraszam... na czym to ja skończyłem? Ward i Traynor...
obaj z Droghedy. Mick Doran... chodzili razem do szkoły... - Finiana
ogarnęła senność i zamilkł ponownie.

- Finian, proszę cię - powiedziałam, szturchając go pod żebra. -
Kto z kim chodził do szkoły?

Znowu się obudził.

- Mick Doran... chodził do szkoły w Droghedzie z Derekiem
Wardem i Frankiem Traynore. Powiedział, że Ward i Traynor zawsze
trzymali się razem i ze sobą rywalizowali. Doran zajął się rodzinnym
interesem, a tamci dwaj poszli na studia. W weekendy często wpadali
do pubu na drinka i rozmawiali, jak zamierzają dojść do wielkich
rzeczy w biznesie i polityce. Potem zaczęli ze sobą przyprowadzać
Geraldine Champion, która była wtedy studentką pielęgniarstwa w
szpitalu w Droghedzie. Obaj się w niej podkochiwali, co w końcu
doprowadziło między nimi do rozłamu. Potem stało się coś, co usunęło
Geraldine Champion na dobre z pola widzenia... - Umilkł.

- Mów dalej.

- Ludzie mówili wtedy, że kiedy zdała sobie sprawę, że popsuła
stosunki między dwoma mężczyznami, wybrała życie klasztorne. Nie
chciała rozbijać przyjaźni.

- Brzmi raczej mało prawdopodobnie, prawda?

- Tak, to jakaś bajka. Mick powiedział mi, co tak naprawdę zaszło...

- Tak?

- W szpitalu Geraldine związała się z ruchem odnowy w Duchu
Świętym, który właśnie dotarł do Irlandii ze Stanów

Zjednoczonych. Zanim skończyła studia, aż kipiała żarliwością religijną i postanowiła dołączyć do szpitalniczek, co dawało także ujście jej pielęgniarstwu umiejętnościom.

Nie doceniłam Finiana. Gdy oddawał się z pozoru leniwej rozmowie w pubie, uzyskał informacje o początkach związku Traynora z Wardem. Co ciekawe, Geraldine Champion również należała do towarzystwa.

- Co jeszcze powiedział Doran?

Odpowiedziało mi chrapnięcie. Finian mocno spał.

Dojeżdżając do Monashee, dostrzegłam nadjeżdżający z naprzeciwną stroną samochód, więc zmieniłam światła z długich na mijania. Gdy auto nas minęło, zauważyłam, jak jasna była noc. Zjechałam na pobocze i wyłączyłam reflektory. Wszystko dookoła było skąpane w srebrnym

Wysiadłam, cicho zamknęłam za sobą drzwi, oparłam się o samochód i spojrzałam w górę. Prawie tuż nade mną olśniewająco rozpromieniony księżyc świecił ze środka czystej, prawie szklanej kopuły nieba. Dookoła księżyc połykiwało mgliste halo. Pomiedzy przejrzystą strefą oddzielającą księżyc od błyszczącego kręgu cząstek lodu znajdował się tylko jeden obiekt - pojedyncza gwiazda. Przypomniałam sobie, jak podczas jednego z wykładów Mags Carney mówiła nam, że jeden z wzorów umieszczonych na głazach Brú na Bóinne mógł przedstawiać księżyc z halo z kryształków lodu - dokładnie to, co teraz obserwowałam.

Nastąpił jeden z tych przyprawiających o zawrót głowy momentów, w których zaczynamy rozumieć, ile czasu minęło od tamtych wydarzeń. Obserwatorzy, którzy dokonali kalkulacji astronomicznych dla Newgrange, patrzyli na niebo ponad trzy tysiące lat wcześniej, zanim Trzej Królowie wyprawili się z Persji do Betlejem. Odległość czasowa między nimi a rolnikami z doliny rzeki Boyne była większa, niż między Mędrkami a mną. A mimo to, tuż za rzeką, znajdowała się świątynia rolników, wciąż nienaruszona... Czułam, że zbliżam się do jakiegoś głębszego zrozumienia... ale ono umknęło, a w mojej głowie tukała się myśl o Trzech Królach.

To miało sens, pomyślałam, iż trzech astrologowie wyruszyli o tej porze roku, kiedy nie brakowało zjawisk gwiazdnych

i słonecznych do obserwacji. Latem zwracamy uwagę na krajobraz
- zimą. na niebo.

Mimo całego uroku, historia o narodzeniu Chrystusa ma też ciemną stronę. Uświadomienie Herodowi, że narodził się Król, którego gwiazdę zobaczyli, pośrednio doprowadziło do rzezi niewiniątek. Zaś podarunek z żywicznej mirry, podstawowego składnika używanego wtedy do balsamowania ciał, przypominał Dziecięciu Bożemu o przyszłym losie. Kacper, Melchior i Baltazar byli zwiastunami śmierci.

Tutaj zaś, za drogą, to balsamujące właściwości wód bagiennych przyczyniły się do zachowania ciała Mony i jej dziecka. A ja, niczym współczesny Herod, wolałam, aby nigdy nie zostali odnalezieni. W rezultacie zamordowano dwóch mężczyzn, a ja również znajdowałam się na celowniku.

Przeszłam przez zamarzną drogę, której powierzchnia błyszczała, jakby na ziemię spadła Mleczna Droga. Przypomniałam sobie, że Boann, bogini tego miejsca, miała pod postacią Białej Krowy stworzyć tę rzekę gwiazd, rozpryskując na niebie swoje mleko. Opierając się o ogrodzenie, patrzyłam na pole przede mną, gdzie tu i ówdzie światło księżycy uwydatniało pokryte szronem kępy traw. Większość pola była niewidoczna i ciemna jak smoła. Wydawało się, że pochłania światło niczym czarna dziura.

Czy patrzyłam teraz na *cillin*, a może moja bujna wyobraźnia znowu wzięła nade mną górę? Ale przecież na własne oczy widziałam dowód: szczątki dwojga „mieszkańców” takiego miejsca - Mony i jej zniekształconego dziecka. Można było nawet wytłumaczyć obecność „Nubijczyka”. Jeśli założymy, że pochodził z epoki chrześcijaństwa, mógłby być nieznanym, obcym, który zmarł w tej okolicy. Nie znano jego wyznania, więc pochowany został w najbliższym *cillin*.

Spojrzałam ponad czarną próżnią pola w kierunku, w którym płynęła Boyne, czarna jak rtęć. Potem skierowałam wzrok ponownie na spowity w świetle księżycy wierzchołek wzgórza, gdzie Newgrange wydawało się emitować własne, fosforyzujące światło. Zastanawiałam się, co kazało Brendanowi O’Haganowi szukać mordercy swego szwagra z a kopcem. Po raz kolejny sprawa odległości wysunęła się na plan pierwszy. Newgrange

znajdowało się niecały kilometr od miejsca, w którym stałam, lecz jeśli jechać drogą, odległość zwiększała się do piętnastu kilometrów. Kilkaset metrów w górę wzgórza, znajdującego się za mną, leżało opactwo Grange.

Jedynymi słyszalnymi dźwiękami był daleki szum pobliskiej tamy, sporadyczne trzaskanie nagich gałęzi czarnego bzu na lodowatym wietrze. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie byłam sama.

Obróciłam się z uniesionymi pięściami i prawie przyłożyłam w twarz Finianowi.

- A niech cię, Finian! - wrzasnęłam. - Nie podkradaj się do mnie w taki sposób. Jakbyś nie wiedział, to ktoś tutaj morduje ludzi dookoła.

Uśmiechnął się do mnie krzywo.

- Przepraszam, musiałem! - Spojrzał w niebo. - Wow, fantastyczne! - wykrzyknął i niepewnie poszedł drogą w kierunku niedalekiego drzewa.

- Dla facetów to takie proste, nie? Tylko wyjąć i do dzieła. - Prawdę powiedziawszy, sama nie miałam nic przeciwko załatwianiu się na zewnątrz, gdy było trzeba. Udogodnienia sanitarne na wykopaliskach nie zawsze były satysfakcjonujące.

- Myślałem, że też poszłaś w tym samym celu - zawołał.

- Zrobiłam to przed wyjazdem - odpowiedziałam.

- No to czym się w takim razie zajmowałaś? - zapytał, wracając do bramy.

- Starłam się uporządkować wszystko, co usłyszeliśmy dziś wieczorem. I ustalić, co zdarzyło się na tym polu. - Wbiłam wzrok w ciemność.

Finian posłał mi zagadkowe spojrzenie.

- Najprawdopodobniej wypasano na nim krowy.

Zaśmiałam się.

- Przepraszam, powinnam była ci powiedzieć. Jesteśmy przy Monashee.

Finian odwrócił się od bramy.

- Monashee? Gdzie?

Wskazałam głową.

Spojrzał na niebo i jeszcze raz na pole.

- Jezu, strasznie tam ciemno - powiedział.

- To anomalia, jak już mówiłeś wczes...

Oboje usłyszeliśmy to w tym samym czasie. Daleki jęk. Spojrzeliśmy na siebie i obróciliśmy głowy w kierunku, skąd dźwięk się wydobywał - znad rzeki.

Czekaliśmy.

- To mógł być lis - wyszeptał Finian.

Dźwięk powtórzył się.

- To krowa - powiedział.

- Co ty dzisiaj z tymi krowami? - Finian miał zamiar coś odpowiedzieć, lecz podniosłam rękę. - Cii, posłuchaj... - Tym razem było to głośniejsze, zawodzące beczenie, przypominające dźwięki wydawane przez Chewbaccę z *Gwiezdnych Wojen*.

- To człowiek - powiedziałam.

- Nie, już wiem. To jelen. Hodują je gdzieś tutaj.

- Na miłość boską, Finian, masz zamiar wymienić cały katalog dzikiej zwierzyny?

- Skoro to człowiek, to skąd dobiega ten głos? - Pytanie było dziwne, ale wymagało odpowiedzi.

- Z Newgrange.

Sprawdziłam, czy nic nie rusza się na polu wznoszącym się znad brzegu rzeki do kurhanu. Nie było nic. Zaczęłam przyglądać się czemuś, co wyglądało jak wyłom w kwarcytowej fasadzie. Wtedy zauważyłam cień, którego nie było tam wcześniej.

- Spójrz - wskazałam - czy widzisz ten cień na lewo od wejścia?

Finian wpatrzył się w dal.

- Myślę, że rzuca go jeden ze stojących tam kamieni - odpowiedział tonem astronoma poprawiającego nadmiernie entuzjastycznego obserwatora-amatora. Wyglądało na to, że nagle wytrzeźwiał.

Przyjrzałam się. Może miał rację.

Znowu dobiegło nas beczenie, tym razem głośniejsze. Wtedy przez sekundę dostrzegłam odbłysek światła w zagłębieniu wejścia. Gdy popatrzyłam na fasadę, cienia już tam nie było. I wtedy, przez krótką chwilę, oboje dostrzegliśmy białą postać stojącą przed ciemnym wejściem.

- Ale widziałaś tę postać? - spytałam Finiana, gdy usiedliśmy w samochodzie i uruchomiłam silnik.

- Już przecież kilka razy powiedziałem, że tak, Illaun.

- I uważasz, że to policjant w kombinezonie śledczego.
- To całkiem sensowne, nie uważasz? Przetrzęsają teren dookoła Newgrange po morderstwie.
- To był rzeczywiście rozsądny wniosek.
- A co powiesz na te dziwne dźwięki?
- Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej nadpłynęły z jakiegoś miejsca niedaleko rzeki.
- Nic nie odpowiedziałam.
- Myślisz, że pochodziły od tego, kto stał przy wejściu?
- Tak. I również myślę, że patrzyliśmy na tę samą postać, którą widziałam wtedy we mgle.
- Skąd możesz wiedzieć, że to ta sama osoba? Kogokolwiek tam widzieliśmy, był bardzo daleko.
- Poznałam po nakryciu głowy. Coś w rodzaju welonu, nie widziałeś?
- Było za daleko na takie szczegóły. Ale czy te kombinezony śledczych nie mają również kapturów? - To była prawda. - Ale na pewno nie było to wodne widmo - dodał.
- O wilku mowa - powiedziałam, włączając silnik. - Pamiętasz, jak Jack Crean opowiadał nam o widmach, dziecięcych duszach i tak dalej?
- Pewnie.
- Myślę, że świadczy to o roli Monashee: było cmentarzem dla niemowląt, *cillin*.
- Słyszałem o tym.
- Uważam, że zakonnice z opactwa Grange używały pola do sekretnych pochówków martwych dzieci z ich domu położniczego.
- Co oznacza, że mogły to robić od wieków.
- To możliwe.
- W takim razie, dlaczego Seamus Crean odkrył szczątki tylko jednego noworodka? Powinny być tam setki podobnych.
- Chyba wiem dlaczego. - Opowiedziałam mu o obiektach znalezionych na nielegalnym wysypisku.
- Sugerujesz, że preparowały ciała, a ich części przechowywały w słojach?
- Tak. Najprawdopodobniej dla celów medycznych. Wydaje mi się, że Traynor to odkrył. To, i coś jeszcze.
- Ale skoro nie grzebały dzieci, to nie mamy do czynienia z *cillin*.

- Niektóre dzieci były tam grzebane. Ale pole miało jeszcze jedną funkcję - służyło jako miejsce egzekucji ludzi takich, jak Mona.

- To może być prawda: rytualna egzekucja żyjących w przeciwieństwie do przypadkowego pochówku zmarłych. I dwóch mężczyzn, zabitych w podobny sposób.

- Teoretycznie, tak. Ale Traynor nie interesował się Moną, lecz noworodkiem. Mamy myśleć, że wszystko to wiąże się z nią, a tak naprawdę chodzi o to, by odciągnąć nas od dziecka. Dlatego rany kobiety zostały skopiowane.

Finian przejechał ręką po włosach.

- Illaun, wszystko jest tak zagmatwane, że na samą myśl już boli mnie głowa.

- Nie, Finianie, to tylko kac daje znać o sobie.

- Jedźmy do domu - jęknął.

- Nie, pojedźmy do opactwa Grange - powiedziałam, wyjeżdżając na drogę.

Finian wybuchnął śmiechem. Potem zdał sobie sprawę, że mówiłam poważnie.

- Illaun, ten pomysł jest absurdalny.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Spojrzał na zegar na desce rozdzielczej. - Jest już po dwunastej, wszyscy na pewno śpią.

Wtedy ja z kolei zareagowałam śmiechem.

- To nawet lepiej - odpowiedziałam, biorąc ostry zakręt i wjeżdżając pod górę.

- Ale po co mamy tam jechać? Poprosić je, żeby przyznały się do peklowania noworodków w słoikach?

- W tym miejscu jest coś fałszywego. Tak naprawdę zaczynam wątpić, że w ogóle tam byłam. To przypomina sen.

- Brama będzie zamknięta, zobaczysz.

Była jednak otwarta - aleja wiała się w dół, w kierunku ciemnego lasu, niczym wysadzana cekinami biała wstęga. Na mrozie nie widniały żadne ślady opon, co z jakiegoś powodu wydało mi się

- I co? - Finian miał jeszcze nadzieję, że może porzucę mój plan. I pewnie tak bym postąpiła, gdybym była sama.

Wjechałam w bramę.

- Cholera - wymamrotał.

- Popatrz - powiedziałam i wyłączyłam światła. Finian usiadł głębiej w fotelu i zamknął oczy. Światło księżyca wystarczająco oświetlało drogę.

Opactwo stało na miejscu, ale nie paliły się w nim żadne światła. Ani na zewnątrz, ani wewnątrz. Nigdzie nie było widać land rovera. Zwolniłam i zaparkowałam samochód na trawie pod nagimi lipami, w odległości mniej więcej trzydziestu metrów od wyżwirowanego podjazdu.

- Zadowolona? - spytał Finian, który z chęcią by zawrócił.

- Nie widać tu żadnych śladów życia - powiedziałam.

Westchnął ciężko.

- Illaun, jest w pół do pierwszej, mamy zimową noc. Czego się spodziewałaś? Przyjęcia w ogrodzie?

- Ciii - szepnęłam - coś słyszę.

Opuściłam szybę z mojej strony. Słyszałam rozmowę. Dwa, może trzy głosy rozmawiały na dworze. Ze sposobu, w jaki w tę kryształową noc roznosił się głos, wiedziałam, że nie znajdowały się tak blisko, jak mogłoby się wydawać.

- Myślę, że to gdzieś przy kościele - wyszeptalam.

- To pewnie zakonnice, które wracają z jutrzni, czy co tam śpiewają o północy. Możemy już wracać?

- Idę zobaczyć.

- Illaun, zwariowałaś.

- Idziesz?

Ostrożny charakter Finiana często był dla mnie bodźcem do działania na przekór - im bardziej był przeciwny moim działaniom, tym śmielej sobie poczynałam. Było tak już w czasach naszej relacji nauczyciel-uczeń, a i dzisiaj dziewczęca przekora dała znać o sobie - być może dlatego, że marzył o powrocie do domu.

Finian zaklął i niechętnie wysiadł z samochodu. Cicho zamknęliśmy za sobą drzwi i przez sklepione przejście poprowadziłam go w kierunku klasztornej dziedzińca.

Ostry zarys księżyca przyćmiło powstałe wokół niego halo. Znajdująca się w środku kula przypominała jądro bezkresnej galaktyki. Dotarłszy do przejścia, przyłgnęliśmy do ściany i zaczęliśmy nasłuchiwać. W ciągu minuty, którą zajęło nam dotarcie na miejsce, raz czy dwa dobiegły nas głosy. Teraz jednak przy kościele panowała cisza.

Wyjrzałam na zewnątrz. Księżyc znajdował się tuż nad parapetami muru wieży. Dzielił kwadratowe odcinki na kanciaste połacie światła i cienia. Sądziłam, że plac był pusty, lecz w blasku księżyca dostrzegłam coś, co okazało się być land roverem opactwa. Samochód stał zaparkowany między kościołem a jedną ze ścian otoczonego murem ogrodu.

- Nikogo tu nie ma - szepnęłam, próbując nadać swemu głosowi pewność. - Musiały zaparkować na noc samochód. Prawdopodobnie weszły do klasztoru tylnymi drzwiami.

- Jeszcze raz pytam, co tu, do cholery, robimy? - Gdy już wytrzeźwiał, stawał się swarliwy.

Tym razem wzięłam ze sobą ze schowka latarkę.

- Chcę ci pokazać zachodnie drzwi oraz kilka innych rzeźbień. Muszę wiedzieć, co o nich sądzisz.

- Zorganizuję sobie zwiedzanie w towarzystwie siostry przełożonej, najchętniej w ciągu dnia.

Światło latarki zwróciłam na swoją twarz tak, aby mógł odczytać jej wyraz.

- Finian, mówię poważnie. Nie wydaje mi się, żeby ludzie przyjeżdżali zwiedzać to miejsce, chyba że przypadkiem. Sądzę, że kiedy tu byłam, odegrano przede mną przedstawienie. - Ponownie wyłączyłam latarkę.

Kilka razy głęboko zaczerpnął powietrza i wypuścił je nosem. Był to jego sposób na pozbycie się stresu.

- Dobra, zróbmy to.

Trzymając się cienia, przeszliśmy pod arkadami. Znaleźliśmy się przy zachodniej ścianie kościoła. Cała fasada była czarna jak smoła, więc zapaliłam latarkę.

Szok sprawił, że złapałam Finiana za ramię.

Zachodnie drzwi były szeroko otwarte. Oba skrzydła rzadko używanego wejścia stały otworem i mogłam zobaczyć, jak okrągły promień mojej latarki przesuwiał się po drewnianym suficie świątyni.

- Cholera - rzucił pod nosem Finian - zabierajmy się stąd.

Zdażyłam już wyłączyć latarkę i wracałam, kiedy, niczym żonę Lota, coś zmusiło mnie, żebym się odwróciła.

- Spójrz! - krzyknęłam, ciągnąc Finiana za ramię.

W głębi kościoła widać było blask.

- Chodźże. - Finian złapał mnie za rękę.
- Poczekaj... - Nie chciało mi się wierzyć, że światło wewnątrz dopiero co się zapaliło. Dlaczego nie widzieliśmy go, kiedy szliśmy w stronę drzwi? Przypomniałam sobie ciągnący się od zachodu stok.
- Już wiem, dlaczego nie dostrzeżliśmy go wcześniej - szepnęłam.
- O czym ty mówisz?
- Podłoga biegnie w dół. Musieli podczas budowy uwzględnić nachylenie podłoża skalnego. Dlatego wschodnia strona pozostaje niewidoczna, chyba że podejdzie się do drzwi.
- To pasjonujące. A teraz bierz tyłek w troki.
- Dobra, idziemy.

Usłyszeliśmy wtedy dźwięk, który nas zmroził. Odgłos oklasków. Jakby niewielka widownia witała kogoś, kto wchodzi na scenę.

Brawa ucichły i samotny głos zaczął śpiewać w głębi kościoła.

Jagody ostrokrzewu

Czerwone, niczym wino

Czcijmy Pana-Słońce

Naszego boskiego zbawcę...

- Co tam, u diabła, się dzieje? - Finian był równie zaskoczony, jak ja. I to nie tylko tym, że repertuar nie należał do godzin kanonicznych, jakie powinny być wtedy odprawiane.

Kilka głosów śpiewało nosowym tonem w stylu angielskich śpiewaków ludowych.

Czcijmy Pana-Słońce

Naszego boskiego zbawcę...

A pierwszy w zielonym lesie

Był ostrokrzew...

Finian złapał mnie za ramię i odciągnął od kościoła.

- Nic nie rozumiem - oznajmił.

Podobnie jak ja. Głosy, które słyszeliśmy, były głosami mężczyzn.

Rozdział 22

Jechaliśmy aleją z dużą prędkością, nie odzywając się do siebie, dopóki nie minęliśmy bramy i nie wyjechaliśmy na drogę. Finian odezwał się pierwszy.

- To bardzo dziwne. Ale może to tylko szok spowodowany zetknięciem się z nieoczekiwanym - mężczyźni śpiewający późną nocą w kaplicy żeńskiego zakonu. Co o tym sądzisz?

Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to doroczny rytuał seksualny. Zakon podtrzymywał swe istnienie poprzez płodzenie własnych członków. Zakonnicom udało się przetrwać tylko dlatego, że nigdy nie musiały przyjmować nikogo nowego do nowicjatu i przez to nie zwracać na siebie uwagi. Lecz co robiły z męskim potomstwem? Zapewne oddawały do adopcji poprzez te same kanały, co dzieci urodzone w zakonnych szpitalach położniczych. Ale nie wszystkie oddawano. Niektóre zatrzymywano dla celów rozrodczych, co w dłuższej perspektywie owocowało endogamią, czyli urodzinami noworodków z wadami wrodzonymi. Dlatego od czasu do czasu potrzebowały kogoś z

- Illaun, to milczenie mówi mi, że twój umysł pracuje na wysokich obrotach. Podziel się myślami, zanim twoja wyobraźnia wyniesie cię na bezdroża.

Dobrze mnie znał. Nakręciłam się. Przypomniało mi się coś mniej drastycznego.

- Gdy opatka opowiadała o ślubach składanych przez zakon, wspomniała, że przez jeden dzień w roku zakonnice były od nich wolne...

- I dlatego uważasz, że zajmowały się w to wychodne czymś bardzo nagannym. Jakaś orgia o północy?

Nie chciałam jeszcze wyjawiać moich dzikich domysłów.

- Świątowanie. Opatka powiedziała, że Henryk II nadał przywilej w Boże Narodzenie. Może to coś znaczy?

Finian zachichotał.

- A jeśli poczciwe siostrzyczki po prostu urządziły dla zaproszonych gości koncert kolęd. Zbierając, być może, fundusze na remont dachu. Chyba w pubie widziałem dzisiaj plakaty.

- Finian, jak sam wcześniej powiedziałeś, było pół godziny przed północą w zimową noc. Noc przesilenia zimowego, nie muszą chyba dodawać. Zbieranie funduszy? Nie wydaje mi się. Cokolwiek to było, miało związek z przesileniem. I na pewno nic wspólnego z Bożym Narodzeniem.

- Chyba masz rację. Chciałem tylko popatrzeć na to z innej perspektywy, to wszystko. - Zamilkł, by po chwili odezwać się ponuro.

- Muszę przyznać, że ta kolęda ma w sobie coś więcej niż tylko ślad pogaństwa.

- Dokładnie to można powiedzieć, opisując całe to miejsce. No i myśl, że ostrokrzew może odgrywać ważną rolę w ich rytuałach, jest naprawdę przerażająca, biorąc pod uwagę to, co widziałam w martwych ustach Traynora.

- Dobrze, ale nie zapędźmy się za daleko. To był długi wieczór, pozwól, żeby twój mózg odpoczął.

- To był długi d z i e ń, ale jeszcze się nie skończył. Zabieram cię do siebie. - Na wypadek gdyby opacznie zrozumiał moje intencje, dodałam: - Pomożesz mi w rozwiązywaniu zagadki opactwa Grange.

Finian jęknął po raz kolejny.

Gdy Finian robił herbatę, wydrukowałam w biurze kilka wgranych uprzednio do laptopa zdjęć. W opactwie ustawiłam wysoką rozdzielczość, więc mogłam powiększać poszczególne fragmenty bez uszczerbku na ich jakości. Do kuchni zaniosiłam wydruki i szkło powiększające, które wyciągnęłam z szuflady mojego biurka.

Finian nalał dwie filiżanki herbaty i siedział przy stole nad niedzielną gazetą, bezwiednie głaszcząc leżącego na niej Boo.

- Popatrzmy na to przy świetle - powiedziałam, siadając przy stole i rozkładając wydruki pod żółtą lampą w stylu Tiffany'ego, przyozdobioną zielonoskrzydłymi ważkami o błyszczących rubinowych oczach. Zepchnęłam kota z legowiska.

- Ty jesteś tutaj ekspertem - powiedział, przeglądając zdjęcia. - Mogę jedynie stwierdzić, że rzeźbienia są w dobrym stanie, lecz nie wymagaj ode mnie ich interpretacji.

- Lepiej mi się myśli, gdy mam kogoś, do kogo mogę mówić. Tak więc wytrzymaj ze mną chwilkę.

- Jestem do dyspozycji.

Ciągnąc palcem wzdłuż zakrzywienia łuku zewnętrznego, zaczęłam wskazywać poszczególne reliefy.

- Ten fryz to swoisty średniowieczny bestiariusz - powiedziałam. - Ten tutaj to gryf - pół lew, pół orzeł. Tamten dwunogi smok to wiewerna, tu mamy kaptownika, znanego bardziej jako bazyli szek, a tam jest mantikora z ogonem skorpiona.

Finian przyjrzał się im przez szkło powiększające.

- Co one robią na drzwiach kościoła?

- Najprawdopodobniej mają funkcję apotropaiczną - mają bronić przed demonami na zasadzie „podobne do podobnego”. Pilnują, żeby zło nie dostało się do kościoła.

- A tu mamy coś, co wygląda jak prawdziwy skorpion.

Zabrałam od niego szkło i potwierdziłam:

- To moralistyczne groźenie palcem. O ile sobie przypominam, skorpion uosabiał żądź. Spójrz - skorpion ma twarz kobiety, co oznacza, że uwodzi cię swą urodą, by potem zatruć żądź.

- Rzeźbienia tego typu były pewnie malowane, prawda?

- Prawda. I to na jasne kolory. Pewnie coś w stylu klosza mojej lampy.

Finian przyjrzał się uważniej ważkom i głośno ziewnął z aprobatą.

- Teraz popatrzmy na dwa środkowe łuki - powiedziałam. - Są najlepiej zachowane, a rzeźbienia ciągle świeże i wyraźne.

- Co my tu mamy?

- Znowu produkty średniowiecznej wyobraźni, baśniowi mieszkańcy dalekich krajów. Nie miałam czasu, by obejrzeć to dokładnie, ale rozpoznaję kilka, których nie dostrzegłam za pierwszym razem. Tutaj mamy przedstawiciela potwornej rasy zwanej blemmyae - ludzi bez głowy, a dokładniej, z ustami i oczami umiejscowionymi na ich klatkach piersiowych. Obok niego widzimy cyklopa i kilku innych, których nazw nie znam - coś przypominającego ośmiornicę z dużą głową i ośmioma nogami, człowieka z dwiema głowami, człowieka z głową lwa. A widzisz tego, przypominającego człowieka potwora z szeroką przerwą między oczami i długim pyskiem - to *cynocephalus* - człowiek z głową psa. No i jest także syrena...

- Wszyscy oni reprezentują odmienne rasy?
- Tak. A tutaj mamy coś, co widzę wyraźnie po raz pierwszy
- wzory na głowicach wspierających te łuki...
 - To nie są reliefy, jak te na zewnętrznych głowicach.
 - Właśnie. Tu jest coś wyryte. Przez to trudniejsze do zobaczenia... jakiś motyw roślinny... i skrzydlate owady. Na każdej parze głowic ten sam zestaw.
- Pokazałam zdjęcie Finianowi i przyjrzelśmy mu się wspólnie.
 - Przyjrzyj się uważniej owadom. Są w paski - zauważyłam.
 - No tak, bo to są pszczoły.
 - Hej, masz rację... - Natychmiast przypomniała mi się postać z mojego patio. Zadrżałam.
 - W porządku?
 - Tak, to ze zmęczenia. Na czym skończyliśmy?
 - Na pszczołach.
 - Ty jesteś pszczelim ekspertem, Finianie. Masz jakiś pomysł, co mogły wtedy symbolizować? W sensie religijnym.
 - Cóż... mamy tu oczywiste odniesienie do życia monastycznego, ze względu na organizację społeczną zakonu... żeńskie wspólnoty zakonne były często przyrównywane do społeczności pszczelich...
 - No tak, to interesujące. A co jeszcze?
 - Pszczoła jest symbolem śmierci i odrodzenia, ponieważ wierzono, że umiera w zimie, by odrodzić się na wiosnę...
 - Potarł oczy, próbując przypomnieć sobie ukryte w zakamarkach pamięci legendy. - Także miód reprezentuje Chrystusa Miłościwego, żądło Chrystusa Sędziego, a... coś było jeszcze o Dziewicy, ale nie mogę sobie przypomnieć...
 - Spróbuj.
 - Finian pstryknął palcami.
 - Jej czystość, właśnie. Wierzono, że larwy pszczół pochodziły z kwiatów, a nie wylegały się z jaj.
 - Hmm. Więc nie musiały angażować się w niechlujny proces prokreacji.
 - A wiesz, jak to z nimi jest w rzeczywistości?
 - Przypomnij mi.
 - Wszystkie pszczoły w ulu to osobniki żeńskie, a jedynym zadaniem samców - trutni - jest połączenie się z królową. Jednak

najciekawsze jest, co dzieje się z zapłodnionymi przez trutnie jajami królowej.

- Nie mam pojęcia.
- Ze wszystkich jaj wylęgają się jedynie samice.

Finian nie zdawał sobie sprawy, jak niesamowicie jego odpowiedzi pokrywały się z moimi wcześniejszymi hipotezami dotyczącymi wspólnoty opactwa Grange. Wzięłam do ręki szkło powiększające.

- Okej, przyjrzyjmy się roślinności na drugiej parze głowic. - Spojrzałam przez soczewkę. - Nie wierzę - powiedziałam, przekazując szkło Finianowi.

- Liście... jagody też... - Popatrzył na mnie zdziwiony. - To ostrokrzew, prawda?

- I to jeszcze jaki! - rzuciłam ponuro.

- Pszczoły i ostrokrzew w jednym miejscu. Co oznaczają? Ładny motyw dekoracyjny, czy coś więcej? Czy umieszczono je razem specjalnie?

Wyglądało na to, że Finian zapomniał o ostrokrzewie i jego związku z martwymi mężczyznami, lecz uznałam, że lepiej pozostać w tematyce, która została zainicjowana pytaniami Finiana.

- Chyba straciliśmy umiejętność rozumienia średniowiecznego pojmowania świata, tak jak ludzie z tamtej epoki nie poradziliby sobie z naszymi znakami kultury. Weźmy na przykład coś łatwego... koło - nie, okrąg. Gdybym spytała ciebie i człowieka średniowiecznego, co symbolizuje okrąg, najprawdopodobniej od obu usłyszałabym, że „wieczność”. Ten symbol przetrwał przez stulecia. Lecz gdybym pokazała białą flagę z pięcioma połączonymi okręgami w kolorach niebieskim, żółtym, czarnym, zielonym i czerwonym, nic by to mu nie powiedziało, natomiast tobie bardzo wiele.

- Olimpiada.

- Oczywiście. I to nie tylko idea samych zawodów, ale też wiele wspomnień. A także tematy z olimpiadą związane: środki dopingujące, definicja sportu zawodowego, komercjalizacja i tak dalej. No i największy symbol: pięć reprezentowanych przez okręgi kontynentów połączonych przez sport. Wszystko to przyjdzie ci na myśl, gdy je zobaczysz

- Tak więc, gdy ludzie epoki średniowiecza patrzyli na kamienne rzeźbienia lub szklane witraże, to nie tylko odczytywali z nich znaczenia oczywiste, lecz najprawdopodobniej widzieli kilka warstw znaczeniowych z nimi związanych. A gdy zostawały one na siebie nałożone, oddziaływały na różny sposób, zwiększając liczbę złożonych przekazów. Na przykład ostrokrzew -jak mi wcześniej mówiłeś - obronił Świętą Rodzinę przed żołnierzami Heroda, jego jagody reprezentowały również krew Chrystusa i odpędzały zmory od łóżek młodych kobiet, i tak dalej. Zmieszaj te wszystkie znaczenia z symbolizmem pszczół i co otrzymasz?

- To przekracza moje możliwości - odpowiedział.

- Na początku, w stylu romańskim, drzwi kościelne były zarezerwowane dla scen sądu i ostrzeżeń przed konsekwencjami różnych występków. Tak więc na pewno jesteśmy w tej tematyce. Te szczególne kazania w kamieniu bardzo często dotyczyły rozwiązłości i były przeładowane przestrogami przed owocami grzechu pierworodnego.

- Na rzeźbionych głowicach, które właśnie oglądaliśmy, mamy całą lekcję na temat walki pogaństwa i chrześcijaństwa: krew Chrystusa zastąpiła krew Bogini, która sama została zastąpiona Marią Dziewicą. Bez ustanku umierający i odradzający się Król Lasu został wyparty przez łagodnego Boga, który umarł i powstał z martwych za nas wszystkich, lecz którego sąd będzie surowy dla tych, którzy tego nie docenią. Pytanie brzmi: Dlaczego ta właśnie lekcja znalazła się na tych właśnie drzwiach? I jak możemy lepiej zinterpretować figuratywne rzeźbienia na łukach?

Usłyszałam chrapanie i spojrzałam na Finiana. Myślałam, że wpatrywał się z uwagą w zdjęcie, lecz on zasnął z głową na stole. W rękę nadal trzymał szkło powiększające.

Usiadłam i kontynuowałam rozmowę sama ze sobą.

Powód istnienia opactwa Grange ukryty jest w tych kamieniach. Wiedziałam już, że zakonnice odbierały porody nieślubnych dzieci pomimo ostrzeżeń o zgubnych konsekwencjach żądzy. Lecz w tych kamieniach było coś jeszcze - coś, czego nie mogłam uchwycić.

Jeszcze jedna kwestia nie dawała mi spokoju. Gdy byłam w opactwie Grange, nie widziałam ani jednego posągu albo

obrazu religijnego. Wszędzie natomiast było pełno ostrokrzewu, bluszczu, nawet jemioly, ale ani śladu szopki bożonarodzeniowej. Usłyszany przeze mnie łaciński hymn mógł równie dobrze witać powracające słońce, jak czcić narodzenie Pana. Dzisiejsza pieśń także była jednoznaczna: „Czcijmy Pana-Słońce, naszego boskiego zbawcę”. To miejsce nie tylko nieznacznie czuć pogaństwem. Ono jest nim po prostu przesycone.

Do głosu doszły moje najczarniejsze przypuszczenia. Uważam, że siostry z opactwa Grange nie tylko porzuciły katolicką wiarę i praktyki. Myślę, że odwróciły również równowagę sił w walce przedstawionej na portalu drzwi. „Krew Bogini na powrót czerwieni jagody, a ona i Zielony Człowiek zaczynają właśnie swe panowanie. Zło, które było powstrzymywane, teraz weszło do środka”.

Była jeszcze jedna sprawa, lecz nawet nie chciałam o niej wspominać.

Być może Frank Traynor i Brendan O’Hagan dowiedzieli się o zakonnicach z opactwa Grange więcej, niż powinni. Ja sama już wiedziałam zbyt wiele.

22 grudnia

Rozdział 23

Wczesnym środowym porankiem, wiejące od zachodu wiatry przynosiły znad Atlantyku opady rześstego deszczu, który falował po ulicy niczym porzucona rybacka sieć. W taką pogodę brnęłam w kierunku Hotelu i Centrum Rekreacji im. Deana Swifta. Chciałam znaleźć tam Fran.

Grudzień w Irlandii okazywał się miesiącem o typowo kapryśnej pogodzie, prognoza niezmiennie zaś rozczarowywała marzenia Binga Crosby'ego o białych świątach*. Piosenka, oklepana od ciągłego powtarzania, sączyła się posepnie z głośników. Miała ożywiać bożonarodzeniowe drzewko, które stało w holu od połowy listopada.

Finian zdążył zupełnie wytrzeźwieć, gdy go obudziłam. Chciał zostać na noc dla mojego bezpieczeństwa. Nie byłam w nastroju do dyskusji, więc po zamknięciu domu, Finian położył się w pokoju gościnnym, a ja nareszcie padłam na swoje łóżko. Było wpół do czwartej rano.

Spał jeszcze, gdy wychodziłam. Przy śniadaniu zdążyłam oczyścić umysł i po wydarzeniach wczorajszego dnia sprowadzić wszystko do właściwych proporcji. Musiałam dojść do siebie przed telefonem do Gallaghery. Na początek będę musiała powściągnąć swoje wyobrażenia o opactwie Grange. Wymyślałam sceny warte umieszczenia w sequele filmu *The Wicker Man* **. Musiałam tylko znaleźć seksowną aktorkę w typie Britt Ekland ***, aby odegrała rolę siostry Champion i miałabym gotowy

* Bing Crosby - autor popularnej świątecznej pieśni *White Christmas* (Białe święta).

** *The Wicker Man* - film grozy, opowieść o śledztwie prowadzonym na wyspie Summerisle, w sprawie zaginionej dziewczyny. Główny bohater, policjant, podejrzewa, że została złożona w ofierze dawnym, pogańskim bóstwom przez kultuwujących celtyckie obrzędy mieszkańców.

*** Britt Ekland - szwedzka aktorka, która wcieliła się w postać ponętnej, emanującej nieskrępowanym erotyzmem barmanki w filmie *The Wicker Man*.

klasyczny film o pradawnych kultach. W rozmowie dotyczącej śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa raczej nie powinnam wspominać o jękach na bagnach i kamiennych rzeźbieniach w kościele. Potrzebowałam dokładniejszych informacji o opactwie Grange i dlatego wybrałam się do centrum rekreacji.

Gdy wyszłam z szatni, zobaczyłam, jak w części specjalnie wydzielonej dwóch mężczyzn i kobieta przepływają kolejne długości basenu. Nie było nikogo więcej. Potem ujrzałam Fran, jak wychodzi ze znajdującej się naprzeciwko łaźni parowej, ubrana w niebieski jednoczęściowy kostium kąpielowy, o jeden ton jaśniejszy od mojego, i płytko nurkuje. Weszłam do wody i zaczęłam płynąć jej na spotkanie. Fran wypłynęła na powierzchnię obok rzeźby gigantycznej ryby, z której pyska wypływała fontanna wody. Przyciągając podbródek do tułowia i zamykając oczy, pozwoliła, by woda masującym strumieniem spływała po jej karku. Podpłynęłam do niej ciężko, zatrzymałam się blisko i poczekałam, aż otworzy oczy.

- Aaa! - krzyknęła i straciwszy równowagę, gwałtownie upadła do tyłu, taplając się w wodzie. Gdy wróciła do poprzedniej pozycji, wybełkotała pod moim adresem nieprzyzwoitą uwagę. Dłońmi przecierała mokrą twarz. - A co ty tu robisz?

- To samo, co ty. - Zaczęłam płynąć z powrotem. Czułam się wspaniale.

- Illaun, o co chodzi? - spytała, doganiając mnie. - Nie przyszedłś przecież tutaj dla zdrowia.

Miała oczywiście rację.

- Dzwoniłam, ale nie było cię w domu. Daisy powiedziała, że poszłaś popływać.

Dopłynęłyśmy do końca basenu i, niczym członkinie zsynchronizowanej ekipy pływackiej, obróciłyśmy się na plecy. Oparłyśmy się karkami o brzeg i zaczęłyśmy pedałować pod wodą.

- W Newgrange dokonano kolejnego morderstwa - oznajmiłam.

- Słyszałam w wiadomościach.

- Tak więc wiesz, że to nie O'Hagana powinnam się bać.

- No tak. Pudło.

- Myślę, że twoje słowa o Duchu opactwa Grange są bardziej wiarygodne. Byłam tam wczoraj w nocy.

Fran zachichotała.

- Wiesz co, Illaun, myślę, że za późno odkryłaś swoje powołanie.
- Rzeczywiście było już późno - rzekłam. - Tak naprawdę, to było po północy.

Wzrok miałam utkwiony w podwieszonym wysoko suficie, ale czułam, jak spojrzenie Fran penetruje bok mojej twarzy.

- Przestań się ze mną drażnić i opowiedz mi całą historię.

Zanim nie skończyłam, stałyśmy niczym gawędzące na ulicy przyjaciółki, nieświadome, że znajdowałyśmy się w wodzie. Na koniec postawiłam Fran pytanie, którego nigdy nie powinnam była jej zadać, jeśli chciałam otrzymać poważną odpowiedź.

- Jak myślisz, co twoim zdaniem robili tam mężczyźni?

Wydawało się, że nie zastanawiała się długo, a mimo to udzieliła intrygującej odpowiedzi.

- Zabawiali papieża.

- Słucham?

- Tak mówi siostra Gabriel. O tej porze roku bez końca paple o jakimś święcie w opactwie na cześć papieża. Myli się jej z uroczystością organizowaną przed wiekami w Rzymie. Problem w tym, że opowiada o tym w bardzo realistyczny sposób, więc trudno odróżnić prawdę od fikcji...

- Fran... - Złapałam ją mocno za ramiona.

Spojrzała na mnie zaskoczona, a nawet zaniepokojona.

- Tak? - wykrztusiła urywanym głosem.

- Muszę się zobaczyć z tą zakonnice. Teraz!

- O mój Boże - powiedziała - w porządku. - Przesadnie otarła brew. - Myślałam, że chcesz mnie pocałować.

- Raczej nie. Nie jesteś w moim typie.

- Jakbym nie wiedziała. Przy swoim punkcie G chciałabyś mieć tylko zielony palec! - Chlusnęła wodą w moją twarz i odpłynęła.

Zanurkowałam i zanim dopłynęła do schodków, wyszłam na brzeg, wzięłam jej klapki i wrzuciłam je do basenu.

Oprócz nas w szatni dla kobiet nikogo nie było. Fran ściągnęła czepek i potrząsnęła włosami.

- Dam ci znać o siostrze Gabriel tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

- Dzięki. To dla mnie bardzo ważne.

- Jak poszło przyjęcie? - Wiedziałam, że pytała, jak poszło z Finianem.

- Świetnie. Jedyne minus był taki, że wpadłam na Tima Kennedyego. - Opowiedziałam jej, co zaszło.

- Zawsze uważałam go za męde. Tak samo, jak uważam, że Finian tłumaczy uczucia. - Fran wiedziała, że choć Finian wyrażał na wiele sposobów swoje uczucia do mnie, nigdy do niczego między nami nie doszło.

- Ja tak nie uważam. Jest niepewny siebie ze względu na dzielącą nas różnicę wieku. Nie chce wprawić w zakłopotanie ani mnie, ani siebie, wykonując niewłaściwy ruch.

- Mawiają, że świat należy do odważnych. Ale przecież Finian jest tylko owcą w skórze wilka.

- Nie jest nieśmiały - odrzekłam. - Po prostu robi wszystko po swojemu. Wczoraj wręczył mi prezent, który był niezwykle subtelny. - Wyjaśniłam stosunki nauczyciel-uczennica, łączące Petera Hunta i Marie Maguire. - Wydaje mi się, że chciał powiedzieć, że oto dowód, iż takie uczucie może przerodzić się w romans, a także w małżeństwo.

Fran spojrzała na mnie ze współczującym wyrazem twarzy.

- Romans i małżeństwo, tak? Czy nie możecie zwyczajnie się ze sobą przespać i mieć to z głowy?

- Na tym etapie w zupełności wystarczyłby pocałunek.

- Chcesz powiedzieć, że nawet się nie... - Potrząsnęła głową w geście dezaprobaty i zasunęła zamek sportowej torby. - Wydaje mi się, że jeśli nie weźmiesz sprawy w swoje ręce, nigdzie z tym facetem nie zajdziesz. Ale czy naprawdę chcesz być z kimś, kogo trzeba nakłaniać, żeby sięgnął ci majtki?

- Fran, to nie jest tak. Dałam mu w myślach czas do Bożego Narodzenia.

Opuściłyśmy szatnię i skierowałyśmy się w kierunku holu. Pomyślałam, że analizowanie mojego życia uczuciowego, zamiast roztrząsania wiszących nade mną niebezpieczeństw, jest cokolwiek dziwne, choć na pewno wnosi miłą odmianę.

- Posłuchaj - Fran powiedziała stanowczo. - Wyjaśnienie stosunków z Finianem od teraz do świąt może być zadaniem ponad siły. Zwłaszcza, jeśli on nie wie, że poddajesz go próbie. Jezu, nie wierzę, że to mówię. Dlatego lepiej daj mu czas do

końca roku. Ale na litość boską, p o w i e d z mu to. Jeśli się nie spisz - zapomnij o nim i idź dalej. Życie jest zbyt krótkie. Nie miałam serca wytykać jej, jak bardzo nie na miejscu było jej ostatnie zd - Jasne - powiedziałam.

Dotarliśmy do parkingu.

- I jeszcze jedno - wtrąciła Fran, otwierając swój samochód. - W zeszłym tygodniu widziałam w telewizji dokument o historii Abelarda i Heloizy. Wiesz, ona nigdy nie miała zamiaru zostać jego żoną. Wolą być kochanką.

- Naprawdę? Ale, o ile mnie pamięć nie zawodzi, nie została ani żoną, ani kochanką, tylko zamknęła się w klasztorze. Jak już wcześniej powiedziałaś, mogło to być późne powołanie!

Centrum rekreacji znajdowało się obok kompleksu handlowego, więc skorzystałam z okazji, aby zafundować sobie małą terapię i kupić wreszcie prezenty gwiazdkowe. Dwie godziny później niosłam dwie duże torby, wypchane zapakowanymi na prezenty rzeczami. Usłyszałam, jak po raz pierwszy dzwoni mój nowy telefon. Rzuciłam torby na ziemię i odebrałam. To była Fran.

- Cześć, Fran. No i jak?

- Siostra Gabriel spotka się z tobą dzisiaj po południu. Chyba spodobało się jej, że ktoś ją odwiedzi przed świętami.

- Super. Dzięki.

- Będę musiała pójść tam z tobą. Siostra Gabriel obawia się wszelkich nowości. Będzie lepiej, jeśli będę w pobliżu.

- Ależ nie ma takiej potrzeby. Jestem pewna, że będą pod ręką inne pielęgniarki.

- I będą z wami, kiedy będziecie ucinać sobie pogawędkę? Tak, dokładnie w ten sposób działa nasza służba zdrowia. Jedna pielęgniarka na jedną rozmowę.

- Dobrze. Doceniam, że chcesz ze mną pójść. Będę samochodem. O której mam po ciebie podjechać?

- O trzeciej. Na miejscu będziemy około wpół do czwartej. Obiecałam dzieciakom, że w domu będę przed szóstą.

Peggy odczytała listę osób, które próbowały się ze mną wczoraj skontaktować: Matt Gallagher, Keelan O'Rourke, kilku klientów, w tym Zarząd Dróg Państwowych oraz, ku mojemu

zdziwieniu, Muriel Blunden - późnym popołudniem, jak stwierdziła Peggy.

- Powiedziała, dlaczego dzwoni?
- Chciała tylko potwierdzić twój adres e-mailowy.

Czy dowiedziała się czegoś więcej o Franku Traynorze i Dereku Wardzie? Odłożyłam telefon do Gallaghera i przejrzałam swoją pocztę elektroniczną. Muriel wysłała mi wiadomość o 5.35 z Muzeum Narodowego, więc zdążyła już wrócić ze spotkania z Wardem.

„Oto wstępny raport (pełne dane datowania radiowęglowego oraz rachunek) z laboratorium. Wysłałam to samo doktorowi Sherry'emu na jego prośbę. Wygląda na to, że powiedział laboratorium, że muzeum pokryje koszty i powołał się na Ciebie jako na odpowiednie władze. Mimo że potępiam twoje metody, jestem równocześnie pełna podziwu dla twojej zuchwałości. Niech to, co przesyłam - oraz przyszły szczegółowy raport - będzie moim prezentem świątecznym dla Ciebie”.

Ani słowa o Wardzie. Jednak czytając między wierszami, wyczułam, że raczej nie zaprzętała sobie nim głowy. Czyżby wszystko skończone? Ze względu na nią, miałam nadzieję, że tak.

Otworzyłam załącznik. „C 14 /AMS Wstęp. Wyniki nieskalibrowane - nie do publikacji...” Moje oczy zignorowały krótki tekst następujący po tytule i przeszły od razu do dwóch linijek liczb, które tak naprawdę miały tu znaczenie.

Próbka nr 4678/Kobieta

(wiek: 1950 + 50 lat)

750 lat

Liczba „1950” oznaczała umowną datę wyznaczoną przez naukowców dla celów datowania metodą węglową. Margines błędu wynosił pięćdziesiąt lat przed i po określonym wieku materiału organicznego poddanego analizie. Liczba „750” oznaczała, ile lat temu (przed 1950 rokiem) zmarła Mona, czyli, ile lat ciało Mony potrzebowałoby na rozłożenie radioaktywnego izotopu węgla-14.

Kobieta, nazwana przeze mnie Moną, zmarła pomiędzy 1200 a 1300 rokiem naszej ery - cztery tysiące lat po tym, jak budowniczo wie Newgrange przeszli do prehistorii. Nie pochodziła ani z epoki neolitu, ani z epoki żelaza. Bardziej prawdopodobne było to, że została pogrzebana, gdy anglonormańscy najeźdźcy ogłosili się panami Meath.

Byłam rozczarowana wiekiem Mony, lecz przecież spodziewałam się tego. Noworodek stanowił osobną kwestię.

Próbka nr 4679/Noworodek

Wiek: 1950+ 11 lat

Wiek noworodka, który miał być dzieckiem Mony, określono za pomocą tak zwanego wyliczenia „przyszłościowego”. Dziewczynka przyszła na świat i zmarła w 1961 roku. Nie tylko nie była związana z Moną - jedna pochodziła ze średniowiecza druga z czasów współczesnych - ale także ich wspólny pochówek był całkowicie przypadkowy.

W jakiś sposób Traynor też o tym wiedział.

Peggy pracowała w biurze nad rocznymi rozliczeniami firmy, więc aby jej nie rozpraszać, poszłam do domu i stamtąd zadzwoniłam do Gallaghera.

- Matt Gallagher. Kto mówi? - Wyglądało na to, że był zdenerwowany i zniecierpliwiony.

- Illaun Bove. Muszę z panem porozmawiać.

- Cóż, też bym to pani doradzał.

- Co ma pan na myśli?

- Nie jestem w stanie zapewnić pani całodobowej ochrony.

- Nie po to do pana dzwonię, Gallagher. Mam informację, ale chcę czegoś w zamian.

- To proszę zajrzeć do książki telefonicznej - powiedział cierpko.

- A teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko...

- Ależ oczywiście, że mam.

- Jestem bardzo zajęty, panno Bove. A jeśli chodzi o informację, to w moim przypadku ruch odbywa się raczej jednostronnie - do mnie, a nie ode mnie.

- Gdyby słuchał mnie pan uważnie, zarejestrowałby pan, że mam informację.

Westchnął głośno.

- Och, skończmy z tym. Co chce pani wiedzieć?
- Gdy dostałam od pana ostrzeżenie, doszłam do wniosku, że potwierdził pan, że kartkę wysłał do mnie morderca.
- Chce pani długą czy krótką odpowiedź?
- Może być krótka.
- Odpowiedź brzmi: nie.
- Ale myślałam...

Gallagher znowu westchnął.

- Mówię tylko, że nie wiemy tego na pewno. Dziesięć tysięcy kart o takim wzorze i numerze seryjnym zostało włączonych do sprzedaży w całej Irlandii, ale tylko jedna seria sprzedawana jest w tej okolicy - w kiosku w Droghedzie. Dlatego też łatwo się domyślić, że zabójca kupił je tam. Ale rachunki kiosku wskazują, że wszystkie kartki kupiono za gotówkę. Przejrzeliśmy również materiał z kamery, ale jego jakość jest tak fatalna, że nie wiadomo, po co w ogóle zainstalowano tam kamerę. W tym czasie posłaliśmy karty i koperty do analizy DNA, co może je

połączyć, jeżeli morderca był tak uprzejmy zostawić na nich ślady.

Tak wygląda policyjna robota, panno Bowe. Drobiazgowa i nużąca przez większą część czasu, co uprzykrza ją jeszcze bardziej, gdy

Protekcjonalny ton Gallaghera rozwścieczył mnie. Nadszedł czas, by przy trzeć mu nosa.

- Co się tyczy policyjnej roboty, aż do swojej śmierci Frank Traynor szantażował Dereka Warda, ministra turystyki i dziedzictwa.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Potem dobiegło mnie chrząknięcie.

- Traynor? Szantażystą?
- Który nie tylko zmusił Muriel Blunden z Muzeum Narodowego do radiowego wystąpienia w piątek, ale nawet rozkazał jej, co ma powiedzieć.

Gallagher zabelkotał.

- I szantażował ministra?
- Tak. A sierżant O'Hagan dokładnie wiedział, co robił jego szwagier. Dlatego dopilnował, żeby żaden raport o kobiecie w samochodzie Traynora nie dotarł do pańskich uszu - na wypadek gdyby natknął się pan na ich mały, podły sekret.

A teraz, czy to wystarczy, żeby przekonać pana do potraktowania mnie poważnie? Przestanie pan zachowywać się tak okropnie?

- Przepraszam, przykro mi. Chodzi o to, że w przypadku zabójstwa O'Hagana nasze grube ryby bardzo mnie naciskają. Mimo wszystko O'Hagan był gliniarzem, a nie lubimy patrzeć na zaszlachtowane zwłoki jednego z nas. No to jak, *pax*?

- Dobrze. A skoro jesteśmy przy łacinie, czy ktoś sprawdził napis na kartce?

- Tak. Wykładowca z Maynooth College. Uważa, że *Concupiscenti* to słowo w typie „paparazzi” lub „literati”, czyli odnoszące się do grupy coś praktykującej lub do jakiegoś stowarzyszenia.

Ja też tak myślałam.

- A co Traynor miał na Dereka Warda?

- Właśnie tego ma się pan dowiedzieć. Chyba bezpośrednio od ministra.

- Ale nie sugeruje pani, że minister miał coś wspólnego z zabójstwami? - Można by przypuszczać, że Gallagher już przeczuwał miażdżącą wagę nieba spadającego mu na głowę po oskarżeniu członka rządu o zabójstwo.

- Tego nie wiem. Ale moje przecucie co do Traynora nie zawiodło.

- A które przecucie? - W jego głosie nie było śladu sarkazmu.

- Interesował się zwłokami niemowlęcia, znalezionymi na Monashee. Może nawet poszukiwał tych szczątków, ponieważ po sekretnych odwiedzinach w kostnicy powiedział Muriel Blunden, że nic na polu już go nie interesuje.

- Co mogło go interesować w ciele dziecka sprzed setek lat?

- Niekoniecznie sprzed setek, i on to wiedział. Mam naukowy dowód, potwierdzający, że dziecko urodziło się i zmarło w 1961 roku.

- Co? Kurwa, dlaczego mi tego nie powiedziano?

Nigdy wcześniej przy mnie nie przeklinał.

- Zamówiłam szybką ekspertyzę szczątków kobiety i noworodka metodą węglową. I zanim pan spyta, kobieta pochodzi z czasów średniowiecza. *Ergo*, nie ma żadnego związku z dzieckiem.

- Latynistka, co? Powiniennem się panią zająć, wie pani? - Gallagher wyraźnie się rozluźnił.

- Czyżbym kilka minut temu nie słyszała słowa „pax”?
- *Touche.*
- Co to? Konkurs lingwistyczny? A skoro tak, to dodajmy słowo *cillin* do naszego słowniczka. Mówi to coś panu?
- Hm... i tu mnie pani ma.
- To miejsce pochówku nieochrzczonych noworodków.
- Proszę powtórzyć. To są specjalne cmentarze dla dzieci, które umierają nieochrzczone? Dlaczego, na miłość boską?
- To w tej chwili nieważne. Uważam, że Monashee było wykorzystywane przez opactwo Grange do tych właśnie celów. Ponadto zakonnice mogły również preparować ciała martwo urodzonych noworodków dla celów naukowych. Frank Traynor i Derek Ward byli swego czasu zakochani w Geraldine Champion, obecnej opatce zgromadzenia Grange. Czy mam kontynuować?
- Jezu, przekopała się pani przez stertę brudów. Nic dziwnego, że dostała pani jedną z tych kartek.
- Musiałam więc kopać we właściwym miejscu. A co u was? Macie coś nowego?
- Uważamy, że morderca miał coś wspólnego z archeologią. Teraz to ja byłam zdziwiona.
- To niekoniecznie musi być wykwalifikowany archeolog. Możliwe, że to jakiś wyznawca New Age specjalizujący się w tajemnicach ziemi
- to dla mnie nowość, ale najwyraźniej oni też mają do czynienia z wszystkimi tymi starożytnymi budowlami, których znaczenia nie potrafimy wyjaśnić. Mniejsza z tym, zauważyliśmy coś, gdy na mapie zaznaczaliśmy miejsca znalezienia obu ciał. O’Hagan był na polu położonym na północ od Newgrange, a Traynor na południe. Jeżeli narysować linię od jednego do drugiego, przechodzi przez Newgrange.
- No i?
- To nie stało się przypadkiem. Ciało O’Hagana zostało przeniesione z miejsca, w którym został zamordowany, i porzucone na miejscu, które dopełniało linię przecięcia.
- To może coś znaczyć. - Nie byłam pod wrażeniem tej analizy, lecz nie chciałam się spierać. Musiałam powiedzieć mu o esemesie wysłanym do Muriel Blunden. - Pamięta pan, że skradziono mi telefon?

- Hmm... to po prostu nie ma sensu - powiedział, gdy skończyłam.
- Wszystko inne wskazuje, że morderca n i e chciał wykopalisk na Monashee.

To prawda. Miałam właśnie zamiar powiedzieć Gallagherowi o moich i Muriel domysłach na temat mordercy podrzucającego fałszywe dowody, gdy poruszyło mnie coś zupełnie innego. Skoro Gallagher nie wiedział o istnieniu *cillin*, dlaczego założyłam, że Traynor był lepiej poinformowany?

Jeżeli wiedział, że Monashee służyło jako cmentarz, powinien domyślić się, że mało prawdopodobne było odsłonięcie przez koparkę tylko jednego ciała - na dodatek dowodu przestępstwa, - o które mu chodziło. Jeśli jednak wiedział o przeznaczeniu pola, to lepiej można wytłumaczyć jego reakcję na odsłonięcie ciała noworodka, w tym także zdeformowanego ciała.

Zaczęłam wyjaśniać to Gallagherowi, gdy usłyszałam, jak mamrocze coś do kogoś w odpowiedzi.

- Przepraszam - powiedział, znowu włączając się do rozmowy. - Proszę posłuchać. Właśnie jadę do biura Rady Hrabstwa w Navan - powiedział. - Staramy się ustalić, w jaki sposób Traynor uzyskał pozwolenie na budowę tego hotelu. To potrwa kilka godzin. Zadzwoń do pani, gdy skończymy.

- W porządku. Przy okazji, mam już nowy telefon komórkowy. Ten sam numer.

- Będę bardzo wdzięczny, jeśli nie będzie pani rozmawiała z żadnymi dziennikarzami o tym, że minister był szantażowany przez Traynora. Albo że O'Hagan ukrywał dowody.

- Dopóki będę wiedziała, że pan sam dąży do rozwiązania tej zagadki.

- Ma pani moje słowo - powiedział i rozłączył się.

Rozdział 24

Włączyłam czajnik i poszłam do przedpokoju. Usłyszałam, że u matki gra radio, więc przeszłam przedpokój, dotarłam do werandy ze świetlikiem w suficie i zapukałam do drzwi - było to moje oficjalne wejście do niej, lecz używane znacznie rzadziej od tego przez składzik, znajdujący się w tylnej części domu. Mogłam sobie otworzyć, lecz wolałam, żeby sama uznała, czy chce mieć gościa czy nie.

Horacy zaszczeakał pógłosem i zaczął węszyć pod drzwiami. Usłyszałam, jak mama delikatnie usiłuje przekonać go, by się odsunął. Gdy otworzyła drzwi, wyglądała jak hobbit stojący przy olbrzymim ps - Filiżanka herbaty u mnie?

- Dziękuję, kochanie, z chęcią. Będę za kilka minut, tylko dosłucham do końca powieści.

Wiedziała, że „filiżanka herbaty” była zaproszeniem do kolejnej rundy negocjacji, mogącej zabrać nam większość czasu przeznaczzonego na herbatę.

- Nie ma sprawy. Wielkim psom zakaz wstępu – powiedziałam żartobliwie, choć wiedziałam, że Horacemu nie pozwalano wchodzić za dnia do reszty domu, gdyż mogli być u mnie klienci. I nie chodziło tylko o to, że jego rozmiar mógł kogoś przestraszyć. Horacy miał zwyczaj pozostawiać wszędzie pasma śliny, na których można było się pośliznąć. Taka była cecha tej rasy i choć ja za tym nie przepadałam, moja matka nie miała z tym żadnego problemu. Richard również nie był zachwycony widokiem swojego syna, wtykającego paluszki w jeziora zwierzęcej śliny i dlatego Horacy stanowił część negocjacji. Ich powodzenie na pewno usprawni nasze święta.

Dla podkreślenia tego, Boo rozłożył się na dywanie w salonie w pozycji sfinksa: przednie łapy równolegle wyprostowane, tylne schowane pod ciało, siedzenie uniesione. Jego głowa skierowana

była do przodu, a przymknięte oczy wpatrywały się w coś spoza tego świata, potwierdzając staroegipskie przekonanie o boskości kotów.

Po kilku minutach przyszła mama. Nie chciałam, żeby nasza rozmowa przerodziła się w wielki spór.

- Chciałam tylko ustalić plany odwiedzin u taty w święta. Jakie masz pomysły?

Spuściła głowę.

- Daj spokój, mamó. Nie utrudniaj. Musimy zdecydować.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie oczami pełnymi łez.

- To był jego ulubiony czas w roku... ale przecież to wiesz. Tak cieszył się, widząc w świąteczny poranek wasze twarze, gdy pokazywaliście nam, co wam przyniósł Święty Mikołaj... - Odwróciłam twarz, nie chcąc okazywać uczuć.

- A potem, gdy byliście starsi i dawaliśmy sobie prezenty po pastercie... zawsze wkładał tyle serca w prezent dla mnie... - Powstrzymała łkanie. Walczyłam z chęcią dołączenia do niej.

- Wiem, mamó. To były i zawsze będą dla nas cudowne wspomnienia. Lecz wszystko się zmienia. Już raz musiałaś przystosować się do zmian, gdy dorośliśmy. Teraz mamy następny etap. Taty nie ma już z nami w domu. Lecz możemy go odwiedzać, usiąść przy nim przez chwilę i może nawet porozmawiać o naszych wspomnieniach, żeby mógł nas posłuchać.

Wytarła oczy i wyprostowała się na krześle.

- Bóg dał ci siłę, abyś pomogła nam przez to przejść. To wielki dar, Illaun. I wielki ciężar. Obiecuję, że zajmę się tym dzisiaj. Ułożę nawet harmonogram wizyt, żebyśmy go nie wyczerpali. I będę cię wspierać w przekonywaniu Richarda.

Wstała z krzesła, jakby ozdrowiała z paraliżu. Rozpostarła ramiona i podeszła do mnie.

- Och, mamó - westchnęłam, obejmując ją. - Richard tak bardzo chce postawić na swoim. I traktuje mnie jak wroga. To jak czekanie na ostateczną rozgrywkę.

- Nie chcę, żeby ojciec stał się dla was powodem do kłótni w święta. On by tego nie zniósł. Zajmę się tym. Masz moje słowo.

Po herbacie, ciasteczkach, pogaduszkach i telefonie do ciotki Betty, wreszcie ustaliłyśmy wszystko, co trzeba zrobić przed

przyjazdem Richarda i Grety. Dzisiaj po południu Betty przyjedzie do Castleboyne i zabierze mamę z Horacym do siebie. Pies zostanie z nią na święta. Mama przenocuje u ciotki, by Horacy nie poczuł się opuszczony. Następnego wieczoru Richard i Greta mieli wylądować na lotnisku w Dublinie, wsiąść do wynajętego samochodu i pojechać do ciotki Betty i razem z mamą wrócić do Castleboyne. W domu byłiby około dwudziestej. Wtedy będzie trzeba podjąć próbę rozwiązania kwestii związanej z ojcem. Nie chciałam, żeby wisiła nad nami przez

Gdy mama udała się do swojej części domu, skierowałam się do biura. Peggy wyszła, żeby kupić coś do zjedzenia, więc skorzystałam z okazji i sprawdziłam internetową skrzynkę pocztową. Jedną wiadomość otrzymałam od Malcolma Sherry'ego, drugą od Keelana O'Rourke. Na ekranie Peggy przykleiła też karteczkę z informacją, że Finian prosi o telefon. Nagrał się na sekretarkę, gdy rozmawiałam z Gallagherem. Gdy wróciłam do domu, Finiana już nie było. Pewnie myślał, że nadal nie mam ko Pierwszy e-mail był Sherry'ego.

„Illaun,

poinformowano mnie o zamordowaniu O'Hagana i streszczono wyniki sekcji zwłok. Akcja się komplikuje.

Właśnie przeczytałem wyniki datowania. Pewnie jesteś rozczarowana, ale, kto wie - Twoja Mona może jeszcze ujawnić jakieś fascynujące tajemnice. Co się tyczy dziecka, jego wiek zgadza się z tym, o czym wczoraj wieczorem rozmawiałem z moją koleżanką, dr Gudrun Walder. Przypomniała mi, że fokomelia była częstym zjawiskiem wśród noworodków w całej Europie we wczesnych latach sześćdziesiątych (szczególnie w Niemczech Zachodnich)".

Termin „fokomelia" musiał mi umknąć - musiałam dopiero zobaczyć to słowo na piśmie, żeby sobie przypomnieć. Przed oczami stanęła mi kostnica w Droghedzie i Sherry wskazujący na zdeformowane kończyny noworodka.

„Defekty kończyn spowodowane były przez środek o nazwie talidomid, często wtedy przepisywany kobietom w ciąży cierpiącym na poranne nudności. W związku z tym, że fokomelia nie

jest typową cechą syndromów zaobserwowanych u badanego przez nas noworodka, można przypuszczać, że dodatkowo cierpiał on na skutki zatrucia talidomidem - jakby biedna istota miała za mało różnych innych wad".

Rzeczywiście, biedna istota. Wyglądało na to, że jedyną pozytywną rzeczą, jaka jej się przytrafiła, było towarzystwo Mony w ciemnym, wilgotnym grobie.

Czy Traynor interesował się talidomidem? Przecież sam musiał być dzieckiem w 1961 roku.

Zadzwoiłam do Finiana, który od razu przeszedł do konkretów.

- Kto dzisiaj zostaje z tobą na noc?
- Ee... chyba nikt.
- Tak więc albo ty przyjeżdżasz do mnie, albo ja do ciebie. Decyduj.
- Dziękuję. Dam ci znać później.
- Nie puszczę. Przy okazji, poszedłem za twoją radą i zadzwoniłem do Maeve. Udało się. Tata i ja jedziemy do niej na Wigilię jak zwykle, dlatego bardzo chciałbym, żebyś przyjechała do nas przed naszym wyjazdem. Wyruszamy około szóstej.

- Dobra. W takim razie do zobaczenia.

Cieszyłam się z powodu Finiana, ale jeszcze bardziej z powodu Arthura. To mi jeszcze raz przypomniało, że wciąż czeka mnie konfrontacja z Richardem. Gdybym tylko mogła rozwiązywać swoje problemy rodzinne tak łatwo, jak rozwiązałam problemy Finiana.

- Zastanawiałem się także, dlaczego Mona skończyła na tym polu. Muszę tylko jeszcze coś sprawdzić.

- W takim razie powinnam powiedzieć ci, że właśnie otrzymałam wyniki z laboratorium radiowęglowego. Mona żyła w średniowieczu, około 1200 roku.

- Muzyka dla mych uszu. Pasuje do tego, co już mam. A ty pamiętaj - nie zostajesz sama tej nocy.

- Zrozumiałam. Do zobaczenia wkrótce.

Odłożyłam słuchawkę i w tej samej chwili zadzwonił telefon. To był Gallagher.

- Wracam właśnie z Rady Hrabstwa. Musiałem przerwać naszą wcześniejszą rozmowę. Mówiła pani wtedy coś o Traynorze i Monashee. Może to pani powtórzyć jeszcze raz?

- Najprawdopodobniej nie wiedział, że był tam cmentarz dla noworodków. Mógł więc szukać czegoś określonego i stwierdzić, że odkryte szczątki były tym, o co mu chodziło.

- Hm... To interesujące. Ponieważ z całą pewnością nie miał zamiaru budować na Monashee hotelu.

- Nic... z tego nie rozumiem.

- Wyjaśnienie całej sprawy zajmie chwilę. Jestem teraz w odległości piętnastu minut od Castleboyne. Są też inne aspekty sprawy, które chciałbym z panią przedyskutować. Może mógłbym do pani wpaść?

Spojrzałam na zegar.

- No to musi się pan pospieszyć.

- Mam jakieś szanse na filiżankę dobrej kawy, jak już do pani dojadę?

Roześmiałam się.

- Jasne. Dam panu plastikowy kubek, a pan należy sobie kawy z automatu.

Wróciłam do kuchni i wstawiłam kawę. Zobaczyłam, jak Peggy parkuje na zewnątrz samochód i poszłam do biura, by się z nią spotkać.

- Za kilka minut przyjedzie tu inspektor Gallagher z wydziału dochodzeniowo-śledczego - oznajmiłam. - Ale porozmawiam z nim w domu, więc możesz dalej zajmować się księgowością.

- Okej, czytałaś e-mail od Keelana?

- Nie miałam chwili czasu.

Wiedziałam, że Peggy marszczy brwi z dezaprobatą, choć nie było tego widać spod jej czarnej grzywki.

- Bardzo chciał, żebyś coś zobaczyła.

- Dobrze, zrobię to teraz.

Usiadłam przy biurku i otworzyłam e-maila.

„Złapałem dobry kontakt do IAWU. Wstępne rezultaty badań z Monashee wykazują wysoki poziom pyłków traw, więc znajdujemy się w okresie po wycince drzew. Na działalność człowieka wskazuje obecność babki lancetowatej (*Plantago lanceolata*) - chwastu związanego z uprawą roli (cystersi?). Zostało jeszcze sporo próbek do zbadania, ale pomyślałem, że chcesz wiedzieć, jak to wygląda.

Jeśli chodzi o większe próbki materiału botanicznego, z pewnością zgodzisz się, że najważniejsze były te wysuszone jagody, które okazały się być owocem *Ilex aquifolium* - trochę świątecznie, prawda?".

Analiza pyłków kwiatowych potwierdziła radiowęglowe datowanie wieku Mony. Zrozumiałam, dlaczego Keelan chciał, żebym dowiedziała się o *Ilex aquifolium* - wiadomość była porażająca. Siedem kulek wielkości ziaren pieprzu okazało się z mumifikowanymi jagodami ostrokrzewu. Mogłam założyć się, że pierwotnie musiały znajdować się w jej ustach.

Ktokolwiek zabił Traynora i O'Hagana, odtworzył detal, o którym nie miało pojęcia żadne z nas. I który dopiero potwierdziła skomplikowana technologia. Wyglądało na to, że Mona wysłała nam z wieków średnich kolejne przypomnienie, że jej śmierć i zgony obu mężczyzn były ze sobą nierozdzielnie połączone. Dodawała także, że ona i niemowlę reprezentują dwie różne tajemnice - oddzielne, lecz ze sobą związane.

Rozdział 25

- Zgodnie ze słowami urzędników Rady Hrabstwa, nigdy nie ubiegano się o pozwolenie na budowę na Monashee.

Siedzieliśmy z Gallagherem w kuchni i piliśmy kawę. Jego pomarańczowe włosy były jeszcze jaśniejsze od światła padającego bezpośrednio na jego głowę. Na szczęście opalenizna trochę przyblakła, a z nosa nie łuszczyła mu się już skóra. Miał na sobie brązowy garnitur, białą koszulę i jabłkowitzelony krawat.

- W takim razie, gdzie miał zamiar wybudować swój hotel? A miał taki zamiar, prawda?

- Nie do końca. Ubiegał się o zmianę przeznaczenia istniejącego już budynku.

- Tak?

- Budyńku opactwa Grange.

- Co? - Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem. Do głowy przyszły mi słowa wypowiedziane przez siostrę Campion. „Nigdy nie zgodziliśmy się na hotel w Monashee... gdzie indziej w tej okolicy, owszem...” No i nie wspomniała nic o budowie hotelu. Powinnam była słuchać uważniej.

- Mówi pan, że Traynor kupił opactwo Grange, by przeznaczyć je na hotel? Czy dostał zgodę Rady Hrabstwa?

- Tak. Sam minister był w to bardzo zaangażowany. Czytając między wierszami, urzędnicy są zdania, że Ward stał za tym z chęci zysku.

- Albo został do tego zmuszony.

- Hmm, ta pani teoria z szantażem w roli głównej, panno Bowe - albo Elaine, jeśli mogę cię tak nazywać? - Gallagher wyciągnął notes z kieszeni marynarki.

- Tylko nie Elaine. Nazywam się Illaun, okej, Matt?

- Rozumiem. A teraz, miałem zapytać cię o ten szantaż...

- Posłuchaj, Matt, to nie jest żadna teoria. Frank Traynor osiągnął mistrzostwo w wykorzystywaniu informacji przeciwko

ludziom. - Opowiedziałam mu wszystko, co stało się na spotkaniu z Muriel Blunden, łącznie z defensywnym zachowaniem Dereka Warda.

- Nie miałem pojęcia o romansie Warda. To niezbyt mądre, jak na mężczyznę z jego pozycją - powiedział Gallagher, gdy skończyłam. Zapłacił kilka kartek swojego notesu.

- Tak, ale sama Muriel uważa, że Traynor musiał mieć coś więcej na Warda. Tak samo myśli Jocelyn Carew.

- Powiedziałaś, że Traynor i Ward równocześnie kochali się w Geraldine Champion.

- Byli „rywalami o jej uczucie”, jak gdzieś to usłyszałam.

- Myślisz, że w przeszłości wydarzyło się coś, czego konsekwencje mamy dzisiaj?

- Tutaj wszystko dotyczy przeszłości, Matt. Związek trojga ludzi w latach siedemdziesiątych, dziecko zatrute talidomidem dekadę wcześniej... Rozciąga się to nawet aż do średniowiecza. Może mieć coś wspólnego z samym Newgrange. Nie wiadomo.

- Hej, poczekaj chwilkę. Strasznie dużo danych przeleciało właśnie przez mą głowę, musisz mi pomóc. Newgrange rozumiem. Znalezione tam O’Hagana - albo całkiem niedaleko, to bez znaczenia.

- Czy został tam zamordowany?

- Nie. Równie dobrze mógł być wyrzucony z helikoptera.

- Co to znaczy?

- Ciało znalazł farmer na swoim polu, w rowie. W najbliższej okolicy nie było żadnych śladów walki. O’Hagan był całkowicie ubrany, ale materiał jego munduru był powycierany i rozdarty, jakby przez jakiś czas ciągnięto ciało. Lecz nie przez pole - na ubraniu nie było śladów trawy czy błota. Nie znaleziono również żadnych odcisków stóp na polu, lecz to prawdopodobnie dlatego, że gleba tam jest dobrze osuszona, nawet jak na tę porę roku.

- Jego obrażenia były takie same, jak Traynora?

- W każdym szczególe. Nawet miał w ustach ostrokrzew. Uważamy, że został uduszony własnym paskiem, ale nie udało nam się go znaleźć. No i nie ma też jego butów. Nie żył już od 24 godzin, ale patolog szacuje, że w rowie znajdował się krócej, około 12 godzin, gdyż na ciele nie znaleziono żadnych śladów

aktywności zwierzęcej. Przy ciele nie zostawiono też żadnej kartki, a może zwiął ją wiatr.

- Co wiesz o ostatnich czynnościach O'Hagana?

- Jego żona powiedziała, że w poniedziałek wieczorem wybrała się na spotkanie do Slane, już po przeniesieniu ciała Traynora do kościoła. Została u szwagierki - żony Traynora - na noc, więc kiedy do nich nie przyjechał, stwierdziła, że zdecydował się wyspać we własnym łóżku i zobaczą się następnego dnia na pogrzebie. Tak się nie stało, więc podniosła alarm. Znaleźliśmy jego vectrę na parkingu przy pubie w Slane. Nie ma żadnych informacji, czy ktoś widział go w pubie lub w wiosce. Założyliśmy, że po przyjeździe do Slane poszedł dobrowolnie z kimś, kto potem go zabił.

- Następne pytanie: skoro jego ciało zostało przeniesione z innego miejsca, dlaczego po prostu nie zostało porzucone przed wejściem do Newgrange? Po co ciągnąć je na daleki skraj wzgórza?

- Nie jesteśmy w stanie ustalić, z której strony przyciągnięto ciało na pole. Wiemy tylko, że zostało tam umieszczone specjalnie.

- Hmm... mówiłeś o jakimś szczególnym umieszczeniu ciała. To czyni wszystko jeszcze bardziej rytualnym, prawda?

- Dlatego też wychodzimy z założenia, że morderca dysponuje wiedzą archeologiczną.

- Z największą niechęcią, ale muszę zburzyć to przekonanie. O ile wiem, umieszczenie ciała nie ma żadnego znaczenia rytualnego. Najprawdopodobniej jest przypadkowe.

Gallagher podrapał się w głowę.

- Ale czy te tak zwane obiekty sakralne nie są ułożone w jakieś linie?

- Są. Niektórzy wierzą, że Newgrange i Wielka Piramida leżą wzdłuż jednej osi. Lecz linię można narysować między dwoma dowolnymi punktami na mapie. To niczego nie dowodzi. Nawet fakt, że linie przebiegają przez trzecią, czwartą czy większą liczbę starożytnych budowli, nie ma żadnego znaczenia, jeżeli kultury, które je wzniosły, były znacznie rozdzielone w czasie.

- Cholera. - Gallagher nie mógł ukryć rozczarowania.

- Chyba że ktoś chciał, żebyś myślał, że to ma znaczenie - dodałam.

- Dokładnie - odpowiedział, kurczowo trzymając się idei. - Morderca pogrywa sobie z nami. Udało mu się zbić nas z tropu poprzez naśladowanie rytualnych ran, a to zachęciło go do stworzenia jeszcze misterniejszej zagadki archeologicznej z ciałem O'Hagana w roli głównej.

- Czyż nie wygląda to na kogoś, kto zwyczajnie chowa jakąś urazę? Tak mówiłeś w niedzielę.

- I oczywiście musiałś o tym wspomnieć - powiedział beztrąsko.

- Teraz uważamy, że morderca to typ obrońcy przyrody, który prawdopodobnie od jakiegoś czasu karmi się nienawiścią do deweloperów nieruchomości i im podobnym. Najprawdopodobniej jest samotnikiem, który nie ujawnia swoich uczuć przed nikim - nie chodzi na marsze protestacyjne, nie pisze listów do gazet. Lecz jego emocje ostatecznie wybuchają w morderczej wściekłości skoncentrowanej na Traynorze. A powód takiego samego okaleczenia O'Hagana tkwi w tym, że zaczęły mu się te wszystkie rytuały po prostu podobać. Stał się ps - Czy do takich wniosków doszedł ten twój psychoanalityk?

- Psychoanalityk?

- O'Hagan mówił, że zatrudniłeś kogoś do sporządzenia profilu psychologicznego, lecz nie wniosło to niczego ważnego do sprawy.

Gallagher zazgrzytał zębami.

- To ja jestem tym psychoanalitykiem. Ale nie specjalistą. W końcu skończyłem tylko półroczne studia uzupełniające w Wyższej Szkole Policyjnej w Stanach. Może O'Haganowi wydawało się, że mam z nimi codzienną gorącą linię. A może nie lubił porzucania starych i wypróbowanych metod.

- Tych, które go w końcu zabiły.

- Właśnie. Jak na przykład użycie kalendarza spotkań, znalezionego przez nas w samochodzie dziś rano. Kalendarza spotkań Traynora. Przesiąkniętego krwią, ze sklejonymi kartkami. O'Hagan musiał go zabrać z mercedesa w dniu, w którym Traynor został zamordowany. Znaleźliśmy tam laptop, lecz przyszło nam do głowy, że mógł posiadać jeszcze jeden. Z tego, co udało się nam odczytać, a są to głównie rysunki, wynika, że interesowały go jakieś antyki lub coś w tym stylu. Może na

wyposażenie hotelu. Pewnie kupione na czarnym rynku. Na tych kilku stronach, które mieliśmy możliwość obejrzeć, nie było żadnych nazwisk kontaktowych lub numerów, tylko tytuł lub zakodowana nazwa każdego obiektu. Przeszukamy jeszcze raz zawartość jego notesu elektronicznego, gdy uda nam się rozdzielić wszystkie kartki.

- Założę się, że to nie antyki. A przynajmniej nie te legalne. Muriel Blunden twierdzi, że Traynor handlował skradzionymi dziełami sztuki.

- Aha... no to może pokłócił się z dostawcą albo z kimś, z kim robił interesy. O'Hagan z notatnika wywnioskował, kto to, i niefrasobliwie umówił się z nim na spotkanie. Ale nie wydaje mi się, by była to osoba, której szczególnie zależy na popełnieniu skomplikowanej zbrodni. Wygląda mi to na coś bardziej... osobistego.

Spojrzałam na swój zegarek. Już prawie nadszedł czas, by zabrać Fran. Będę musiała pozostawić Gallaghera z jego niedopracowanymi teoriami. Aby utrudnić mu życie zdecydowałam, że opowiem mu o e-mailu od Keelana.

- Jest coś jeszcze. Kobieta znaleziona na polu także miała w ustach jagody ostrokrzewu, a pochodziła sprzed siedmiuset lat. Właśnie dostałam analizy. Nikt z nas o tym nie wiedział, oczywiście oprócz mordercy. Jak to możliwe?

- Gdybym nie miał pewności, że zaraz przedstawiś mi jakieś racjonalne wytłumaczenie, pomyślałbym, że zabójca zmartwychwstał.

- No i tu mamy problem, Matt. Nie mam żadnego racjonalnego wytłumaczenia. - Wstałam. - Niestety, muszę wyjść. Mam spotkanie z kimś, kto może dostarczyć mi cennych informacji na temat opactwa Grange. Gdy tylko będę miała chwilę, przekażę ci, czego się dowiedziałam.

Gallagher zmarszczył brwi.

- Moje ostrzeżenie dotyczące spotkania się z nieznajomymi nadal jest aktualne. - Odłożył swój notes i dopił resztki kawy. Podczas naszej rozmowy nie zapalił ani jednego papierosa.

Odprowadziłam go do drzwi.

- To pewna starsza pani. Chyba nie stanowi zagrożenia.

Gdy Gallagher odjechał, pozbierałam swoje rzeczy: torebkę, klucze, telefon komórkowy. Wsadziłam głowę do biura, by

powiedzieć Peggy, że nie wracam. Podczas wsiadania do samochodu zorientowałam się, że coś zaczęło mącić moje poczucie porządku. Należę do tych sprzecznych wewnętrznie jednostek, które są niezwykle skrupulatne w pewnych sprawach, równocześnie zaniehbując pozostałe - moje biurko wygląda beznadziejnie, a szuflada z bielizną jest wzorem porządku. Jednak, niezależnie od bałaganu, zawsze potrafię wszystko znaleźć. W ciągu ostatnich kilku minut zobaczyłam bądź usłyszałam coś, co nie było w porządku, stanowiło pewien dysonans lub nie było na swoim miejscu. Uspokoiałam się, by dać chwilę swojemu umysłowi na zlokalizowanie problemu, lecz nic się nie pojawiło. Bez wątpienia wyskoczy w najmniej odpowiednim

Zaraz po trzeciej przyjechałam po Fran. Ciemności zapadły wcześniej i elektryczne dekoracje domów w jej dzielnicy nabierały blasku - z okapów zwisały sopte, sznury pulsujących kolorów okalały okna i drzwi, bałwanki i mikołaje lśniły w ogródkach. Światło walczyło z

Dom opieki w dwóch punktach nie różnił się od tego, w którym przebywał mój ojciec: centralne ogrzewanie ustawione było na maksimum, podobnie jak telewizor w pokoju dziennym. Mimo że Fran mówiła mi wcześniej, że niektórzy pacjenci są niedosłyszający lub narażeni na hipotermię, nadal uważałam, że musi to być strasznie

Minęłyśmy pokój z ryczącym telewizorem i garstką otępiały z gorąca pacjentów, siedzących na kanapach, przeszłyśmy wzdłuż korytarza z sypialniami po lewej stronie i stanowiskiem pielęgniariskim, łazienką, toaletami i schowkami po drugiej. Fran zapukała do drzwi sypialni na końcu korytarza i weszła do końca, gestem nakazując, bym poczekała. Słyszałam jej głos w środku, a potem ujrzałam jej głowę. Wezwała mnie.

- Właśnie pomagałam jej usiąść i zapewniałam, że jesteś moją przyjaciółką - wyszeptala.

Twarz siostry Gabriel miała kolor surowego ciasta, a włosy przypominały pasma wełny, które przypadkiem znalazły się na jej głowie. Miała na sobie jasnoblękitną koszulę nocną; siedziała oparta o poduszki. Jej kościste dłonie ścisakały brzeg kołdry, która całkowicie skrywała jej drobne ciało.

- To moja przyjaciółka, Illaun... - Fran obróciła się i pokazała mi krzesło przy łóżku.

Jedynym meblem w pokoju, oprócz łóżka i krzesła, była stojąca przy łóżku szafka z małym, owalnym zegarem na blacie. Fran powiedziała, że siostra Gabriel nie ma ani telewizora, ani radia, gdyż stawała się pobudliwa i miała skłonności do krzyczenia na wszystko, co widziała i słyszała. W prezencie przyniosłam jej małego purpurowego hiacynta w doniczce, którego postawiłam na szafce.

- Illaun, to jest siostra Gabriel. Zostawię was same. – Fran podeszła do drzwi i wyszeptwała w moim kierunku. - Jakby co, to jestem przy stanowisku pielęgniarskim na korytarzu.

Usiadłam na prostym krześle i popatrzyłam w oczy bledsze niż sprany błękit koszuli nocnej, w którą ubrana była staruszka.

- Dziękuję, że siostra zgodziła się na rozmowę. – Poczułam zapach hiacyncu, który przypomniał mi dom.

Siostra Gabriel podniosła palec na potwierdzenie moich słów i zaczęła mówić. Zauważyłam, że od jej bladych ust promieniście odchodziły zmarszczki, które poruszały się jak plisowany miech akordeonu, gdy starała się wydobyć z siebie jakieś słowa. Nic nie słyszałam, więc nachyliłam się bliżej.

Nagle jej głos nabrał skądś mocy i dobiegło mnie skrzeczenie do wtóru odgłosu wydawanego przez poruszający się w jej ustach język. Efekt był zaskakujący, lecz nasilił się jeszcze bardziej, gdy powiedziała:

- Chodzi o pszczelarki, prawda? Przyszłaś zapytać mnie o pszczelarki.

Wydawało się, że jakaś istota objęła kontrolę nad ciałem siostry Gabriel i mówiła przez nią. Ale Fran nie uprzedzała mnie, że stara zakonnica posiada właściwości medium, więc mój umysł gorączkowo próbował pojąć, o czym mówiła. Kiedy już zrozumiałam, siostra Gabriel potwierdziła moje domysły.

- Pszczelarki. Tak nazywano nas przed Soborem Watykańskim Drugim.

- Ze względu na rodzaj habitu, jakie siostry nosiły?

- Właściwie ze względu na welon. Sięgał do podbródka. Nakrycie głowy od męczennicy z trzeciego wieku. Widnieje na rysunkach w katakumbach. Zalecił je papież Hadrian... ee... o czym to mówiłyśmy?

- Welon szpitalniczek.
- Tak, tak, wiem. Welon. Reszta habitu była zupełnie prosta, jak u cystersów, z czerwonym paskiem wokół talii - symbolizował pepowinę. Ponieważ byłyśmy akuszerkami, rzecz jasna... - Lamówka, którą dostrzegłam u przeoryszy, prawdopodobnie była szczątkowym śladem owego pasa. - Od dawien dawna mówiono o nas zakonnice pszczelarki, więc pszczoła została symbolem naszego zakonu. Oczywiście welon miał swoją funkcję. Nie pamiętam teraz jaką... - Przyglądała się mojej twarzy, szukając w niej natchnienia. - Może miał chronić przed słońcem? Kiedy wyjeżdżałyśmy za granicę, na misje?
 - Wątpiłam, ale postanowiłam przytaknąć.
 - Ależ tak, oczywiście.
 - Siostra Gabriel wyduła usta w zdenerwowaniu, fałdy pomarszczonej twarzy utworzyły gęste żłobkowania.
 - Co próbujesz mi wmówić, głupia dziewucho?
 - Pomyliłam się. Nie powinnam była traktować jej protekcyjnie.
 - Doskonale zdajesz sobie sprawę, że powinniśmy być niewidoczne. Żeby nie wprowadzać w zakłopotanie żadnej ze stron, kiedy doszłoby do spotkań na płaszczyźnie towarzyskiej... na bożonarodzeniowych przyjęciach i innych. Albo na papieskich kolacjach. Wiedziałaś, że w przeszłości wydawano w Wigilię wielkie kolacje dla papieży? Między niesporami a mszą o północy? Wspaniałe były, wspaniałe. Sama na nich bywałam. Corelli, Scarlatti, wszyscy oni komponowali z tej okazji wspaniałą muzykę... Coś z pasterzami, przypominam sobie... - Drżącym głosem zaczęła fałszywie nucić jakiś hymn, który wreszcie przybrał postać słów. - *Quem pastores laudavere, quibus angeli dixere, absit vobis... absit vobis...* ojejku, zapomniałam, co było dalej.
 - Czy kiedykolwiek na takich uroczystościach śpiewali w kościele mężczyźni?
 - Mężczyźni? Nie bądź niemądra, moje dziecko. Jedyнным mężczyzną w opactwie był ksiądz z parafii, który przyjeżdżał odprawiać mszę i spowiadać. No i jeszcze pracownicy.
 - Ale, oprócz zakonnic, nikt więcej w opactwie nie mieszkał.
 - Nie. Chyba, żeby liczyć świecką siostrę, która pełniła obowiązki zakrystiana. Głucha i niema. Pochodziła chyba z prawieków. Nosiła jeszcze stary habit. Tylko ona jedna.

- I jest siostra pewna, że tylko ona nosiła habit pszczelarek?
- Wątpisz w moje słowa, dziewczyno?
- Przepraszam, upewniałam się tylko, czy dobrze siostrę zrozumiałam. Proszę mi powiedzieć, czy opactwo Grange zawsze było ustroniem zakonu?
- O, nie tylko. Było także ośrodkiem kształcenia postulantek. I w swoim czasie pełniło także inne... funkcje.
- Na przykład?
- Skrzywiła się.
- Mawiano, że można o nich przeczytać w dwóch miejscach - na drzwiach zachodnich i w krypcie. W kamieniu i w szkle...
- W szkle? Mogło chodzić o witraż. Ale w krypcie?
- Widziała siostra na własne oczy, co znajdowało się w krypcie?
- Od czasu mojego postulatu krypta była zamknięta. Powiedziały, że zapadło się sklepienie. Ale Champion i Roche sprowadziły tam robotników. Coś znalazły... Trzy siostry, które wraz ze mną przybyły ze Świętej Małgorzaty, już od tego zmarły. Zostały przez nie otrute. To dlatego stamtąd uciekłam.
- Rozumiałam teraz, co miała na myśli Fran. Fakty rzeczywiste i konfabulacje były wygłaszane z równym przekonaniem, więc trudno je było od siebie oddzielić.
- Jak dawno temu to się stało?
- Jestem tu już drugie lub trzecie Boże Narodzenie. A może czwarte. Frances będzie wiedziała. Jestem już zmęczona. Muszę zmówić modlitwy za dobroczyńców zakonu... - Położyła głowę na poduszce i zaczęła szeptać. - *Oremus pro benefactoribus nostris...*
- Rozumiem, siostrze - powiedziałam i wstałam do wyjścia. Ale siostra Gabriel ponownie się podniosła.
- Dokąd tym razem się wybierasz, niemądra? Czas już do łóżek.
- Wiem. Tam właśnie się udaję. Czy przeorysza i siostra Roche są ze sobą w dobrych stosunkach?
- Teraz muszą. Już nie ma się o co kłócić.
- Co siostra ma na myśli?
- Kiedyś współzawodniczyły o stanowisko siostry przełożonej. Obie były dosyć młode. Przełożoną została Champion, Roche zaś otrzymała stanowisko szefowej postulatu, które w przeszłości, kiedy miałyśmy tuziny postulantek, było ważne. Ale to było dwadzieścia lat temu.

- Ile zatem sióstr liczyła wspólnota, kiedy siostra odeszła?
- A skąd ja mam to wiedzieć? Trzymałam się na uboczu. No i doszedł jeszcze reumatyzm w biodrze, więc nie mogłam uczestniczyć w mszy świętej, za daleko.
- To znaczy do kościoła.
- Jego też nie lubiłam. Został zbudowany na bezbożnej ziemi.
- Dlaczego bezbożnej?
- Przede wszystkim z powodu, dla którego zbudowano tam kościół.

Wszystko jest w edykcje.

- Ostatnie pytanie. Co siostra wie o Monashee?
Ponownie się położyła, nerwowo skubiąc kołdrę.
- Są tam zagrzebane pewne rzeczy. - Jej głos zaczął się urywać, moc zaczęła z niego uchodzić.
- Jakie rzeczy? - spytałam, gotowa do wyjścia.
Zebrała w rękę poszewkę i naciągnęła ją pod brodę. Poruszała oczami niespokojnie.
- Potwory. Wybryki natury, które urodziły się w domach położniczych i zostały wysłane do opactwa Grange, by zniknąć bez śladu. To tam je grzebano - wyszeptęła. - Proszę, nie pozwól im, by mnie pochowano w tym przeklętym miejscu.
- Wszystko w porządku, siostrze. Nie pozwolę, by siostrę skrzywdzono.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam na nich cień zamachującej się ręki. Schyliłam głowę, by uniknąć trafienia budzikiem, który uderzył w drzwi dokładnie na wysokości mojej głowy. Zegarek z łoskotem upadł na ziemię, wypadła z niego bateria i stoczyła się pod łóżko.

- Ty głupia, głupia dziewczyno! - wrzasnęła siostra Gabriel.
- Nie potrafiłaś się nawet oprzeć mężczyźnie, a teraz patrz, co otrzymałaś za kilka chwil przyjemności - bolesny poród, dziecko, którego już nigdy więcej nie zobaczysz i żal do końca życia...

Uciekłam, zanim rzuciłaby cymś jeszcze. Fran, zaniepokojona, już spieszyła korytarzem.

- Co się stało?
- Nic - uśmiechnęłam się. - Po prostu skończył nam się czas... -
Wsunęłam budzik w rękę przyjaciółki. Spojrzała na niego zaskoczona. Zauważyłam, że zatrzymał się dokładnie na godzinie 4.05. Ostatnie promienie zachodzącego słońca opuszczały południową komorę grobowca Dowth.

Rozdział 26

W drodze powrotnej do Castleboyne nie opowiedziałam Fran zbyt wiele z tego, o czym mówiła siostra Gabriel. Wymówiłam się koniecznością poukładania różnych faktów w głowie i rozdzielenia prawdy od fikcji.

Fran rozumiała to aż za dobrze.

- Wiem. Ona strasznie mąci. Można sobie mózg zlasować, jak się jej dłużej posłucha.

Podrzuciłam Fran do domu, lecz wcześniej wręczyłam jej prezent świąteczny - DVD z teledyskami i koncertami *The Cure* oraz zabawną szczotkę do toalety, której pojemnik miał kształt otwartych ust, pozwalając użytkownikowi szczotki na wepchnięcie jej w każde wymaginowane gardło.

- Przed świętami? - spytała Fran. - Jestem pod wrażeniem. Mam je teraz otworzyć?

- Nie. To, że je teraz dostałaś wcale nie oznacza, że masz łamać tradycję.

Fran zaśmiała się.

- A tu jest coś dla Daisy i Oisina. - Kupiłam dla Daisy olejek do kąpieli o ulubionym przez nią zapachu patchouli, a dla Oisina płytę hiphopową, która raczej nie wzbudzi zachwyty jego matki.

Fran pocałowała mnie w policzek.

- Dzięki. Muszę lecieć. Idziemy z dziećmi do kina, a potem do McDonalda w nagrodę za to, że beze mnie powiesiły dekoracje świąteczne.

Gdy dotarłam do domu, zastała mnie pustka - Peggy i mama wyszły. Włączyłam światła w kuchni i od razu zobaczyłam wiadomość przyklejoną na lodówce: „DZWONIŁA GILLIAN. PRÓBA CHÓRU O 19.00”.

Tego nie było w planie. Podejrzewałam, że skoro Gillian nie była na poprzedniej próbie, chciała przekonać się, czy byliśmy w formie przed pasterką. Spojrzałam na zegarek - dochodziła

18.30. Obiecałam Finianowi, że powiadomię go, gdzie chcę spędzić tę noc. Odwlekałam to, mając dom tylko dla siebie i nie chcąc rezygnować z uczucia wolności. Pięknie, tylko co będzie, gdy obudzę się w nocy przerażona, że ktoś się włamuje. Mimo to zadzwoniłam do Finiana i powiedziałam, że zdecyduję po próbie chóru.

Weszłam do kościoła bocznymi drzwiami, prowadzącymi bezpośrednio na strych, gdzie znajdowało się miejsce dla chóru. Światła na klatce schodowej były włączone, lecz strych oświetlony był tylko lampami z poniższej nawy. Świeciły zawsze, na wypadek gdyby ktoś chciał przyjść pomodlić się lub zapalić świecę przed szopką. Na strychu panował półmrok. Było pusto.

Uznałam, że nieobecność innych chórzystów to nic niezwykłego - przecież zawsze przyjeżdżałam za wcześnie. Dziwne było jedynie to, że nie widziałam Gillian Delahunty.

- Halo? - powiedziałam cicho, próbując znaleźć włącznik światła. Może mama pomyliła się i zapisała inną godzinę? Dźwięk czyichś kroków w kościele zatrzymał mą dłoń. *Nie ujawniaj swojej obecności.*

Prześlizgnęłam się wzdłuż rzędów ławek do balkonu, z którego można było obejrzeć wnętrze kościoła. Poniżej dostrzec można było jedynie cienie, rzucane na kolumny przez świece migoczące na świecznikach. Byłam pewna, że słyszałam kogoś człapiącego głównym przejściem. *Człapiącego? Czyżby jakieś zwierzę?*

Ktokolwiek lub cokolwiek to było, mogło już pędzić schodami, by mnie zaatakować, lub czekać na mnie na półpiętrze. Nie mogłam tu pozostać.

Podbiegłam z powrotem do schodów, moje serce przyspieszało z każdym krokiem. Gdy dotarłam do drzwi prowadzących do kruchty, wzięłam głęboki wdech, otworzyłam je, przebiegłam kruchtę i chwyciłam za kolistą, mosiężną gałkę drzwi zewnętrznych. Były

Nie mogłam dać się zapędzić w pułapkę. Popchnęłam obrotowe drzwi prowadzące do wnętrza kościoła. Przez moment stałam ze wzniesionymi pięściami, gotowa do obrony. Nic ani nikt się nie zjawił.

Przypuszczalnie posługująca w kościele pani Dowling zamykała kaplice, wyłączała światła i wygaszała świece. Ale to nie był

dźwięk kroków sześćdziesięcioletniej kobiety, już bardziej któregoś z jej wnuków.

Przeszłam pod balkonem. Miałam wybór: dotrzeć do drzwi drugiej kruchty, które też będą zamknięte, lub poszukać zakrystii, gdzie najprawdopodobniej znajdę panią Dowling.

Przejsiemiem bocznym udałam się do zakrystii. Dozownik adrenaliny zwolnił, ale nadal marzyłam o wydostaniu się z budynku. Nie zatrzymałam się po drodze, by podziwiać stajenkę z naturalnej wielkości figurami Marii, Józefa, Dzieciątka Jezus, stojących pasterzy i klęczących królów. Przechodziłam obok, gdy coś zmusiło mnie do spojrzenia w bok. Byłam pewna, że jeden z pasterzy poruszył się. Pomyślałam, że pewnie zmyliły mnie tańczące cienie.

Pasterz odwrócony był do mnie tyłem, lecz nagle się odwrócił. Usłyszałam, jak dyszy i rzezi. Jego twarz ukryta była w cieniu, lecz gdy wyłonił się z mroku, zobaczyłam ją w całej okazałości.

W panicznym strachu odwróciłam się, by uciec i uderzyłam bokiem głowy w ostry róg cokołu kolumny. Opadłam z sił i zatoczyłam się na ławkę, łapiąc jej krawędź.

Rzęzenie było coraz bliżej. Jakimś cudem odzyskałam głos i zaczęłam wzywać pomocy.

- Illaun! - ktoś krzyknął w odpowiedzi.

Rozkazując nogom, by mnie niosły, pobiegłam wzdłuż korytarza. Z zakrystii wyłonili się jacyś ludzie prowadzeni przez Finiana. Osunęłam się w jego ramiona i zemdlałam.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam Fran siedzącą na łóżku. Nie moim łóżku. I nawet nie w moim pokoju.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałam.

- To o wiele lepsze, niż „Gdzie ja jestem?”, ale i tak niezbyt oryginalnie - odpowiedziała, podnosząc moją dłoń i mierząc mi puls.

- Dobrze - powiedziała po chwili. - A jesteś u mnie. Pomyśleliśmy, że lepiej będzie przywieźć cię tutaj, po tym jak obejrzał cię lekarz. W końcu jestem pielęgniarką. Inspektor Gallagher też się z nami zgodził.

Starłam się usiąść, ale zakręciło mi się w głowie. Czułam także pulsujący ból czaszki, więc postanowiłam już się nie podnosić.

- To Gallagher był tutaj? I o jakim doktorze mówisz?
- O doktorze Walshu, tym samym, który badał cię przez ostatnie czterdzieści lat. - Fran tłumaczyła cierpliwie. - A Gallaghera tu nie było, rozmawiałam z nim przez telefon. - Spojrzała na drzwi. - Hej, kogo my tu mamy. Ktoś do ciebie.

Finian wszedł do pokoju i przyciągnął krzesło do mojego łóżka.

- Cieszę się, że wróciłaś do świata żywych.
- Dlaczego przyjechałaś do kościoła? - Spojrzałam na niego.
- A ty dlaczego nie jesteś w kinie? - spytałam Fran ostro.
- Finian zadzwonił do mnie, gdy byłam pod drzwiami. Pytał, czy wiem coś o próbie chóru.
- Gillian Delahunty przejechała dziś obok mnie, wracając z miasta kwadrans przed siódmą - wyjaśnił Finian. - Pomyślałem, że to dziwne, więc postanowiłem upewnić się, dzwoniąc do Fran.

Fran położyła na moim czole zimną, mokrą ściereczkę.

- Ale ja nic nie wiedziałam o próbie, więc migiem pognaliśmy do kościoła. Rozmawialiśmy z panią Dowling w zakrystii, gdy usłyszeliśmy twój krzyk.

- A czy znaleźliście... jego?

Finian spojrzał na Fran.

- Staralaś się przed kimś uciec, prawda?..
- Ale nikogo tam nie było - odpowiedziała Fran.
- Ależ był. Pasterz z szopki - zwierzę... Rzęził... Spojrzeli po sobie.

- Chyba siostra Gabriel zrobiła ci pranie mózgu.

- Nie, nie! Nie słuchacie mnie. Pszczelarz... pszczelarka zdjęła swój welon... Czekala, bym przeszła obok niej, by mnie zaatakować... Miał twarz... twarz wilka... psa...

Finian wziął mnie za rękę.

- No cóż, nie przedstawił nam się. Pani Dowling zamknęła drzwi do kuchy, ale drugie zostawiła otwarte. Pewnie tamtędy uciekł. - Pomimo że wydawał mi się wierzyć, był przekonany, że bredziłam.

- Mama zostawiła mi kartkę o próbie chóru - powiedziałam.
- Nie wymyśliłam tego. Zadzwoncie i spytajcie.

Znowu na siebie popatrzyli.

- Chyba lepiej nie zrywać jej o tej godzinie - powiedziała Fran.

Zorientowałam się, że straciłam poczucie czasu.

- Fran ma rację - dodał Finian. - Jest po jedenastej.
- I musisz odpocząć.
- Odpocząć? Byłam nieprzytomna przez cztery godziny. Kto, do cholery, potrzebuje odpoczywać? - Byłam zła, że traktują mnie, jakbym nie miała kilku klepek

Usiłowałam wstać z łóżka, lecz nagle dostrzegłam, że miałam na sobie cytrynowożółtą koszulę, która nie należała do mnie. Najwyraźniej Fran rozebrała mnie i położyła. Opiekuńczość Fran i Finiana zalała mnie jak fala oceanu.

Położyłam się i zamknęłam oczy, lecz czułam uciekające łzy, które spływały po policzkach.

- Przepraszam - wyszeptałam.
- Za co tu przepraszać? - zapytała Fran. - Chcemy tylko, żebyś wyzdrowiała.

Ostatnie, co pamiętam, to ręka Finiana delikatnie ściskająca moją.

23 grudnia

Rozdział 27

Gallagher przyjechał przed dziesiątą rano. Żeby nam nie przeszkadzać, Fran zabrała Daisy i Oisina do centrum handlowego Blanchardstown, by zjeść tam śniadanie i obejrzeć film, z którego musieli wczoraj zrezygnować.

- Masz niezłego guza - powiedział Gallagher, wchodząc do środka. - Co wczoraj robiłaś?

Zaprowadziłam go do salonu Fran, gdzie usiedliśmy w fotelach.

- Wpadłam na chwilę do mamy. Kobieta podająca się za Gillian Delahunty zadzwoniła krótko po piątej, by przypomnieć mi o próbie chóru. Ktokolwiek to był, musiał wiedzieć, że mnie wtedy nie było. Plan był taki, żeby zwabić mnie samą na strych kościoła, ale nie przewidzieli, że przyjadę wcześniej. Potem pani Dowling zamknęła najbliższe drzwi, co również skomplikowało sprawę. Tak więc zabójca schował się w szopce. Mógł stamtąd widzieć, którędy wychodzę, by mnie potem zaatakować z tyłu.

- Ale właściwie nie zostałam zaatakowana.

- Nie. Krzyk Finiana wystraszył go... albo ją.

- Dlaczego uważasz, że to mogła być kobieta?

- Było ciemno, więc nie widziałam wyraźnie. Ale to był ten sam habit, który widziałam wtedy na patio. Uważam, że to stary habit sióstr z opactwa Grange.

- Znowu te zakonnice.

- Tak. Pomyśl, Muriel Blunden mówi, że Traynor miał się spotkać z kobietą. Potem ten łaciński tekst na kartce znalezionej przy jego ciele: przywilej zakonu został spisany po łacinie, one nawet śpiewają łacińskie hymny. A co ze związkiem pomiędzy Geraldine Campion, Traynorem a Wardem? Dochodzi jeszcze prawdopodobne wykorzystywanie Monashee jako *cillin*; nielegalne składowisko niemowlęcych części ciała niedaleko stąd oraz to, że Traynor najwyraźniej spodziewał się znaleźć zdeformowane dziecko. Wiemy nawet, że w przeszłości zakonnice były od-

powiedziane za zniknięcie wydobytego z Monashee okaleczonego ciała - co łączy je z Moną i rodzajem ran zadanych Traynorowi i O'Haganowi. No i na zakończenie, ostrokrzew występuje jako gość na kościele opactwa Grange. Czy to mało?

- Wow, ten guz wcale cię nie spowolnił. Ale teraz moja kolej na popsucie ci nastroju. Wszystko, co mówisz, to spekulacje, tak czy inaczej. Połączenie półprawd z nie mającymi związku faktami. Niestety. No i ta sprawa postaci, którą wczoraj zobaczyłaś...

Wiedziałam, co zaraz nastąpi.

Gallagher spojrzął do swojego notesu.

- Według twoich przyjaciół, gdy pasterz z szopki ożył... - Specjalnie zrobił w tym miejscu pauzę. - Miał lub miała (nie byłaś pewna) twarz zwierzęcia... i rzeźił, gdy cię gonił?

- Posłuchaj, było ciemno, bałam się. Być może wyobraźnia nieco mnie poniosła, ale na pewno ktoś tam był. I na pewno z jego twarzą było coś nie tak.

- Wierzę ci. I przed chwilą byłem chamem. Ale chcę, żebyś zdała sobie sprawę, jak ciężkie czeka mnie zadanie przekonania moich zwierzchników, nie mówiąc nic o współpracownikach, by poważnie traktowali wszystko, co powiedziałaś.

- No to daj sobie z tym spokój, na miłość boską!

- Nie. Robię coś o wiele lepszego. Krok po kroczku. Zbadałem to, co nam powiedziałaś. Patrz...

Podniósł do góry gazetę, abym mogła przeczytać nagłówek: „ZAMORDOWANY HOTELARZ - POLICJA ZAMIERZA PRZESŁUCHAĆ MINISTRA”

- Widzisz, o czym mówię? Ale to potrwa. Zaczniemy od przeszukania domu Traynora dzisiaj rano. Potem porozmawiamy z ministrem. I w zależności od tego, jak nam się uda, zadzwonimy do siebie - Jeżeli nadal tam będą. Przecież wszystko sprzedały.

- Najprawdopodobniej uzgodniły jakąś datę wyprowadzki z Traynorem. Raczej na pewno nie przed Nowym Rokiem. Ale na wszelki wypadek ktoś do nich zadzwoni.

Gdy Gallagher wyszedł, zadzwoniłam do Peggy i przekazałam jej, że spotkam się z Keelanem i Gayle na lunchu świątecznym w „Starym Młynie”. Nie tłumaczyłam, co się stało i dlaczego nie

przyjechałam do biura. Mamie także nie powiedziałam o całym incydencie.

Poszłam na górę do sypialni. Rozciągnęłam się w ubraniu na łóżku, głowę podparłam miękką poduszką i zaczęłam myśleć. Nic mnie nie rozpraszało, nie dopuszczałam do umysłu żadnych nieważnych drobiazgów. Liczyły się tylko fakty i słowa Gallaghery jako motto: *Połączenie półprawd z nie mającymi związku faktami*. No pewnie.

Siostra Gabriel...

Gdy zasypiałam, w uszach pobrzmiwał mi jeszcze głos Gallaghery. Gdy się obudziłam, też chrypiał mi do ucha. Zanim dzwonek telefonu dotarł do mej świadomości, udało mi się odebrać.

- Co...? - W ogóle nie docierało do mnie, co mówił. - Możesz powtórzyć?

- Powiedziałem, że jesteśmy w domu Traynora. Powinnaś zobaczyć, co zgromadził, i to nie tylko w garażu, ale też tutaj, w budynkach gospodarczych. Antyki wszelkiego rodzaju. I jakieś naprawdę stare... rupiecie.

- Rupiecie? - Wreszcie zauważyłam, która była godzina. 11:34. Spałam ponad godzinę.

- Pełno tu elementów kościelnego wyposażenia i innych rzeczy. Jego żona twierdzi, że kupił to razem z opactwem. Wygląda na to, że opactwo zostało do cna ogołocone i wszystko zwieziono tutaj - ławki kościelne i różnego rodzaju meble, rzeźby, lichtarze, kielichy mszalne, monstrancje, trybularze, co tylko chcesz. Sądzę jednak, że najbardziej zainteresują cię rzeczy zgromadzone w garażu...

Opuściłam nogi z łóżka i usiadłam na jego krawędzi.

- Jesteś tam?

- Jestem. Nie przerywaj.

- Zacznijmy od kilku przedmiotów, które znaleźliśmy na podłodze w tekturowym pudle. Można by powiedzieć - okazjna wyprzedaż. Żadnych przywieszek czy czegokolwiek, tylko stos rdzewiejącego metalu. Ostrza mieczy, kule armatnie, jedna z tych włóczni z hakiem z tyłu umieszczanym na długim kiju... pika, no właśnie. I... - Wyciągał coś spod sterty dźwięczącego żelastwa. - Coś, co wygląda jak zapalnik do długiego muszkietu lub rewolweru. Ma to jakąś wartość?

- Trudno powiedzieć. Z archeologicznego punktu widzenia są bezwartościowe, jeśli brak informacji, gdzie zostały znalezione. Dlatego właśnie prawo zakazuje używania nielicencjonowanych wykrywaczy metali i karze za niezgłaszanie znalezienia obiektu historycznego.

- Okej. Przejdźmy dalej. Przed nami półki, na których porządnie poukładano przedmioty z przywieszkami... na przykład mamy tu nóż ze złamanym ostrzem - ma plakietkę z napisem „Skarby wikingów z Bettystown”. Jeśli bliżej mu się przyjrzeć, to widać, że rękojeść jest wysadzana klejnotami. Są tu też bransolety, brosze i coś, co wygląda jak sztaby srebra.

- I jest tym, na co wygląda. Pamiętasz tę sprawę?

- Słabo.

- Skarb został odnaleziony przez nielicencjonowanych poszukiwaczy skarbów niedaleko Bettystown, ale zanim sprawców udało się znaleźć i ukarać, zdążyli sprzedać wiele ze znalezionych artefaktów, w tym te, które właśnie opisujesz.

Nic dziwnego, że Traynor chciał, by Muriel Blunden przymknęła oko na jego interesy. Nawet jeśli był tylko kolekcjonerem artefaktów, a nie paserem, posiadanie ich było karalne.

- Co jeszcze widzisz, Matt?

- Kamienną głowę podpisaną: „Krzyżowiec”. Wygląda na to, że została odcięta od ściany. O półki oparta jest kamienna płyta, długa prawie na dwa metry, z rzeźbą przedstawiającą chyba biskupa. A tam w rogu stoi cały celtycki krzyż...

To było odrażające. Traynor nie tylko odkupywał i sprzedawał artefakty archeologiczne, ale także sponsorował dewastację i kradzież zabytków historycznych.

- Poczekaj sekundkę... - Usłyszałam, jak rozmawiał z kimś innym i szeleścił papierami. Po chwili odezwał się znowu:

- Pamiętasz ten terminarz z rysunkami, o którym ci mówiłem?

Skopiowaliśmy kilka stron, zanim został zabezpieczony. Już udało nam się rozpoznać niektóre z przedmiotów. Właśnie czekam na Kena, który poszedł do samochodu po fotokopie, więc będziemy mogli je porównać z tym, co tu mamy... Sekundka...

- Znowu zaszeleściły papiery. - No właśnie. Przykładowo, mamy tu malutki szkic czegoś, co wygląda jak tarcza. Pod nią umieszczona jest wstęga. A przed sobą widzę wielki kawał skały,

który wygląda dokładnie tak samo. To herb. Nadal widać na nim resztki farby. W tle jest coś, co wygląda mi na smoka, który w brzuch ma wsadzony miecz-krzyż. Z wstęgi można odczytać motto: *La croix du dragon est...* Druga część trochę niewyraźna...

- *La dolor de deduit?*

- Hej, dokładnie tak! Co to znaczy?

- Krzyż smoka jest cierpieniem przyjemności.

- Jeszcze raz?

- To motto Zakonu Szpitalnego św. Małgorzaty - chodzi o konsekwencje ulegania żądzy. To, na co patrzysz, najprawdopodobniej pochodzi z wnętrza opactwa, może z głowicy kolumny lub z sufitu. Czy w notesie jeszcze jest coś interesującego?

- Tak. Tym bardziej, że nie możemy tego znaleźć. Zależy nam, bo to ostatni zapis, narysowany zaraz pod herbem. To ogólny szkic wykonany niebieskim długopisem, nie tak dobry, jak pozostałe. To może być moneta, albo tarcza. Trudno osądzić, jakich jest rozmiarów w rzeczywistości. Jest na nim postać ludzka. Bez żadnych kształtów, po prostu chuda, tak jakby narysowało ją dziecko. Obok niej Traynor napisał: „Złotowłosa”. Mówi ci to coś?

- Nie. Ale można bezpiecznie założyć, że przedstawiono na nim kobietę i że prawdopodobnie jest wykonany ze złota.

- To ciekawe. Ponieważ obok znajduje się jeszcze jeden zapisek, zrobiony ręką Brendana O’Hagana, jak ustaliliśmy. Biegnie wzdłuż linii narysowanej przez niego od medalionu do herbu zakonu i brzmi: „Mam cię”.

Rozdział 28

W związku z tym, że wczoraj wieczorem Finian przywiózł Fran do kościoła swoim samochodem, Fran mogła zabrać mój do siebie. Tak więc po telefonicznej wycieczce po garażu Traynora pojechałam do domu, wzięłam prysznic i przebrałam się na lunch z współpracownikami. Zdecydowałam się na poważny, czarny żakiet, takie same spodnie i prostą, białą bluzkę. Żadnego makijażu, żadnej biżuterii. Nie chciałam nikomu psuć zabawy, po prostu tak się czułam - poważnie. No, może też trochę posepnie.

Sprawdzając swój wygląd w lustrze, dostrzegłam, że nad siniakiem na czaszce pękła skóra, ale nie było żadnego krwawienia. Dokładnie zakryłam miejsce włosami - nie chciałam żadnych pytań.

Keelan powitał mnie przy barze w „Starym Młynie”. Skądś wytrzasnął górę od smokingu, do której dodał koszulę z żabotem i żółty krawat w drobny wzorek.

- Wyglądasz bardzo szykownie - powiedział, a potem dodał konspiracyjnym tonem. - Jak widzisz, Peggy przybrała się w lukier do ciastka świątecznego, a Gayle pozostała wierna ciuchom z

Gayle trzymała w ręku kufel i rozmawiała z Peggy. Miała na sobie ciężki, prążkowany sweter, dzinsy i buty robocze, a Peggy ubrana była w matową, różową sukienkę z mnóstwem przyszytych do niej sztucznych perełek. Kontrast pomiędzy dwiema kobietami był niesamowity, ale uznałam uwagę Keelana za wredną - pewnie był już po kilku głębszych, a i ja nie byłam w nastroju.

Kilka drinków później usiedliśmy, by coś zjeść, a rozmowa nieuchronnie zбочyła na temat wydarzeń związanych z Monashee. Trzymałam się danych naukowych, które udało nam się ustalić - wyników datowania węglem, analizy pyłków, zidentyfikowania jagód ostrokrzewu. Pochwaliłam przy okazji Keelana za ponadprogramowe wydobywanie z IAWU danych botanicznych.

Przy daniu głównym przeszłam do tematu mojego spotkania w Newgrange w dzień przesilenia i wypowiedzi różnych ludzi. Gayle wspomniała wtedy o pewnym fakcie dotyczącym miasta Inków, Machu Picchu. W znajdującej się tam Świątyni Słońca, dokładnie o tej porze roku, celebrowano jego odejście, podobnie jak w Newgrange świętowano jego powrót. Zaczęliśmy rozmawiać o jej wędrownej wyprawie do Peru. Dookoła robiło się coraz głośniejsze, w miarę jak goście przedstawiali się z jedzenia na picie. Keelan wydawał się znudzony; zauważyłam, że bawi się gałązką ostrokrzewu, umieszczoną w

Rozejrzałam się i z powrotem włączyłam się do rozmowy. Wtedy naszło mnie dziwne uczucie, dokładnie takie, jak dzień wcześniej. Zrozumiałam. Już dokładnie wiedziałam, co i dlaczego nie znajdowało się na swoim miejscu. Przeczytałam o tym wczoraj na monitorze komputera w wiadomości od Keelana.

„Jeśli chodzi o większe próbki materiału botanicznego, z pewnością zgodzisz się, że najważniejsze były te wysuszone jagody, które okazały się być owocem *Ilex aquifolium*...

Wszystko zaczęło przebiegać w zwolnionym tempie. Udając, że przysłuchuję się Gayle, skupiałam się na tym, co robił Keelan. Gwar rozmów pobrzmiwał w oddali, ja zaś obserwowałam, jak powolnym ruchem, między palcem wskazującym a kciukiem, obraca gałązkę rośliny.

Bez ostrzeżenia wtrącałam się, przykuwając uwagę chłopaka.

- Keelan, zmieńmy na chwilę temat - powiedziałam nieco nerwowo.
- We wczorajszym e-mailu napisałeś do mnie, że pewnie się zgodzę, iż jagody ostrokrzewu były niezwykle ważne. Dlaczego miałabym tak pomyśleć?

Wzruszył ramionami.

- Chyba dlatego, że chciałaś, żeby ciało pochodziło z możliwie najstarszego okresu. Jagody ostrokrzewu nie mają nic wspólnego ze wzbogacaniem gleby, ale mogły być używane w rytuałach druidycznych. A to by oznaczało, że kobieta pochodzi z okresu przedchrześcijańskiego. Jeśli nie z neolitu, to może z epoki żelaza.

Odpowiedź brzmiała wiarygodnie. Nie ulega wątpliwości, że wyraziłam przed nimi nadzieję, że znalezisko może być prehis-

toryczne. A mimo to odpowiedź Keelana była trochę za bardzo przekonująca. Nie opuszczały mnie przecucia związane z e-mailem. Miałam wrażenie, że powiedział o jagodach ostrokrzewu więcej, niż miał zamiar wyjawić. Ważne były dlatego, że znajdowały się w ustach ofiar, ale o tym wiedziałam tylko ja. Sherry, ekipa Gallaghery, prowadząca śledztwo, oraz sam morderca.

- Słuchajcie, muszę iść - powiedział nagle, wstając od stołu.
- Muszę kupić siostrze prezent.

Reszta towarzystwa zaczęła narzekać, że nas opuszcza, ale poweselała, kiedy obiecał dołączyć do reszty wieczorem na drinka. Nakładając wojskowy szynel, wypchnął z rękawa rękawiczki. Już wcześniej widziałam rękawice bez palców, ale teraz wyglądały inaczej. Palce Keelana były zakryte.

Co powiedział Sherry? *Jakby obie ręce mordercy miały po cztery palce... Syndaktylie...*

Kiedy wyszedł, przerwałam rozmowę, jaką prowadziły Peggy i Gayle.

- Gayle, chodzi mi o rękawiczki Keelana. Chciałabym mieć takie.
 - Mitenki? Rzeczywiście, są idealne do naszej pracy. Ogrzewają ręce, kiedy pracujesz gołymi palcami. A kiedy skończysz, naciągasz przyczepione do nich kapturki i proszę bardzo - już jesteś zabezpieczona przed zimnem.
 - Fantastyczne. Gayle, chodzi mi o zeszły piątek, kiedy pracowaliście nad glebą pod wiatą rowerową. Czy pamiętasz może, o której godzinie skończyliście? - Przypomniałam sobie, że tuż po szóstej zostawiłam Keelanowi wiadomość na komórce.
 - Jakież dwadzieścia po szóstej. Pamiętam, że przemarzłam wtedy do szpiku kości.
 - Tak późno? Myślałam, że poszliście do domu dużo wcześniej.
 - Poszlibyśmy, ale Keelan musiał po coś wyskoczyć do miasta i nie było go całe wieki.
 - O której cię zostawił?
 - Hm... koło piątej. Tak, mówiliśmy, że do piątej z tym skończymy.
- Odprężyłam się. Koroner zadzwonił do Sherry'ego około 16.45, kiedy Traynor nie żył już od jakiejś godziny.

Wtedy zauważyłam, że Gayle zaczerwieniła się. Łatwo jej to przychodziło, ale tym razem odcień był ciemniejszy.

- Czy czegoś mi nie powiedziałaś, Gayle? - zapytałam miękko.
- Ja nie chcę przysparzać nikomu kłopotów - odpowiedziała.
- Rozumiem, ale to niezwykle ważne. Muszę wiedzieć.
- Wcześniej też wychodził - powiedziała Gayle.
- Tak? W porze lunchu?
- Nie. Lunch zjedliśmy razem w szpitalnej kawiarni. Pojechał dokądś około trzeciej. Wrócił tuż przed tym, jak do nas przyszłaś.

Poczułam suchość w ustach. To było po czwartej. Keelan był nieobecny co najmniej godzinę. Ten czas zbiegał się z morderstwem Traynora.

- Dokąd Keelan powiedział, że się teraz wybiera?
- Musi zrobić jakieś zakupy. Prezent dla siostry - odpowiedziała Peggy.
- Ale wróci do nas - dodała Gayle.
- Peggy, mogłabym z tobą chwilę porozmawiać?

Wstałyśmy od stołu i podeszłyśmy do kąta.

- Chodzi o dzień, w którym zostałam wezwana do znaleziska koło Newgrange. Prosiłam, żebyś zadzwoniła w moim imieniu do kilku ludzi...

- Tak. Niech pomyślę. Do Cona Purcella powiedzieć, że już wyjechałaś... i do Keelana, żeby odwołać wasze spotkanie przy autostradzie i przełożyć je na piątek... a potem znowu do Keelana, żeby pojawił się rano w szpitalu w Droghedzie.

- Powiedziałaś Keelanowi, dlaczego odwołuję pierwsze spotkanie?
- No cóż...
- Peggy, wszystko w porządku. Po prostu muszę wiedzieć, czy to zrobiłaś, a jeśli tak, to co dokładnie mu powiedziałaś.
- Powiedziałam tylko, że niedaleko Newgrange znaleziono ciało i że pojechałaś je obejrzeć. Illaun, wyglądasz na zmartwioną. Czy coś się stało?

- Nic. Muszę tylko wrócić do biura, żeby wykonać kilka telefonów.
- Skierowałam się do wyjścia.
- Możesz przecież zadzwonić stąd.
- Muszę zerknąć do paru notatek. Nie zajmie mi to wiele czasu.

Zadzwoiłam na komórkę do Seamusa Creana. Leżał akurat w szpitalnym łóżku i oczekiwał na wyniki prześwietlenia i różne testy, ale oddychał o wiele lżej.

- Seamusie, chcę cię zapytać o tego faceta w samochodzie, z którym rozmawiałeś w dniu, kiedy odkryłeś ciało... Mówiłeś, że był wygadany i miał małą bródkę. Czy prowadził niebieską micrę?

- Tak, proszpani, to ten.

- Mógłbyś go opisać? O czym rozmawialiście, oprócz tego, że pytał o parking?

- Rozmowa jakoś zesłała na temat znalezionej osoby. Mogłem coś o nim powiedzieć, nie pamiętam. Ale on tylko pytał, czy znaleziono jakąś biżuterię albo ozdoby, a ja powiedziałem, że nie.

Podziękowałam Seamusowi i dzwoniłam dalej.

- Muriel, to ważne. Powiedziałaś, że kiedy tego dnia Frank Traynor odebrał telefon w samochodzie, zwrócił się do kobiety po imieniu. Nie mogłaś sobie go przypomnieć, ale byłaś pewna, że to kobiece imię. Dlaczego byłaś o tym przekonana?

- Bo brzmiało kobieco.

- Jak... „Keelan”?

- Zgadza się.

Po tym jak gwałtownie nabrałam powietrza, poznała, że coś jest nie tak.

- Czy została odnaleziona?

- Wygląda na to, że to mężczyzna. Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej. Jeszcze jedno. Odzywał się może do ciebie ostatnio Terence Ivers? - Brak kontaktu z Iversem z jakiegoś powodu mnie martwił. W porównaniu z tym, co się teraz dzieje, była to nieważna sprawa, ale mimo to musiałam wiedzieć.

- Nie bezpośrednio. Chciałam porozmawiać z nim o waszym ciele z bagna, ale wygląda na to, że wyjechał na święta.

To powinno było mnie uspokoić. Ale mój żołądek był tak ściśnięty, że żadne sygnały do niego nie docierały. No i ostatni telefon, który należy wykonać.

- Matt, zgodnie ze słowami O'Hagana, Frank Traynor na krótko przed śmiercią odebrał na komórkę dwa telefony, prawda?

- Prawda.

- Za chwilę podam ci numer i chcę, żebyś mi powiedział, czy to jeden z nich.

Odczytałam numer telefonu komórkowego Keelana. Gallagher przerzucał papiery.

- Skąd go masz?

- Nie byliście w stanie zidentyfikować rozmówcy, prawda?

- Nie. To telefon w systemie *prepaid*. Stary. Nie zarejestrowany.

- To również telefon, przez który przeprowadzono rozmowę z Traynorem, kiedy była z nim w samochodzie Muriel Blunden. Ale to nie kobieta dzwoniła. Telefon wykonał jeden z moich pracowników. Keelan O'Rourke.

- Jeden z twojej ekipy?

- Zgadza się. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zginął Traynor, Keelan bez wytłumaczenia opuścił stanowisko pracy. Nosi też te rękawiczki bez palców, ale można je przerobić na mitenki, a wiem, że odciski palców zabójcy były ułożone właśnie w ten sposób... i myślę, że wie, iż coś podejrzewam. Boże, nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

- Słuchaj, poczekaj chwilę. Wyjaśnij mi, jak to wszystko odkryłaś.

Opowiedziałam Gallagherowi o spotkaniu w restauracji „Stary Młyn”.

- Gdzie on teraz jest?

- Robi zakupy w Castleboyne. Tak przynajmniej powiedział.

- Już jedziemy. Najlepsze, co możesz teraz zrobić, to zachowywać się normalnie. Wracaj do pubu, jeśli tak się umówiłaś. Gdzie on się mieści?

- Tam, gdzie market „street” styka się z Old Bridge. Nie można nie zauważyć.

Rozłączyłam się, serce mocno mi biło. Przeszłam przez dom i usiadłam na chwilę w salonie przy włączonych światłach i zaciągniętych zasłonach. Starłam się uspokoić. Nagle poczułam, że za chwilę zwrócę swój lunch, więc potykając się, ruszyłam w kierunku łazienki.

Rozdział 29

Mój dom położony jest na zakręcie rzeki Boyne, dwa kilometry od Castleboyne. Z okna salonu mam widok na drogę. Gdy wróciłam z łazienki, zasunięte zasłony oświetlone były przez przejeżdżający samochód. A może to ktoś przyjechał? Było za wcześnie na Richarda i resztę. Podeszłam do okna i odsunęłam jedną zasłonę.

Na podjeździe, przed częścią należącą do mojej matki stała zaparkowana niebieska micra. Zasunęłam gwałtownie zasłony i pobiegłam po telefon. Zadzwoił dzwonek do drzwi. Zatrzymałam się na środku pokoju.

Usłyszysz mnie w holu. Moja komórka jest w kurtce, w biurze. Muszę przejść przez hol... Głęboki oddech. *Zrób to.*

Dzwonek zadzwonił kolejny raz.

On wie, że tu jestem. Weszłam do holu. *Zdobądź trochę czasu, zachowuj się normalnie.*

- Proszę poczekać. Zaraz będę. - *Cholera, te też nie ma Horacego.*

Weszłam do biura, włożyłam kurtkę i wyciągnęłam telefon.

Stłumiony głos za drzwiami.

- Illaun. To ja, Keelan.

Napisałam: „K W MOIM DOMU. POMOCY!”, znalazłam „MattG”, nacisnęłam „OK” i ujrzałam komunikat: „Wiadomość wysłana”. Pozostała już tylko nadzieja.

Wróciłam do przedpokoju, zastanawiając się, czy nie zostać w środku i nie wpuścić go. *Musiła znać napastnika.* Nie znosiłam takich tekstów w wiadomościach. Mężczyźni-mordercy korzystają z ufności kobiet.

Keelan walił w drzwi. Potem krzyknął przez otwór pocztowy.

- Mam tu prezencik dla ciebie. Chyba nie chcesz, żebym tu zamarzył?

Mam to gdzieś. Zamarzył? Zbyt piękne, aby było prawdziwe.

Podjęłam decyzję i podeszłam do drzwi. *Wykorzystaj to, czego nauczył cię ojciec. Głęboki oddech. Pewny głos.*

- Już idę, idę. Zakładaj czapkę Świętego Mikołaja.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam Keelana. Wyglądał na zdenerwowanego, do piersi przyciskał małą paczuszkę. Pomyślałam, że tylko mi ją wręczy i sobie pójdzie. *Powiedz coś.*

- Właśnie miałam zamiar wracać do pubu. Przyjechałam trochę się odświeżyć. Myślałam, że spotkamy się tam.

- Tak, dzwoniłem, lecz cię nie było. Powiedziałem dziewczynom, że najpierw muszę się z tobą zobaczyć, a potem wrócę. Yyy... muszę pokazać ci prezent, jaki dla ciebie mam. Mogę wejść?

Zadecydowałam, że zgodzę się na wszystko, żeby tylko go nie denerwować.

- Pewnie. Chcesz drinka? - Weszłam do salonu i włączyłam światło.

- Chyba już przekroczyłem dozwoloną dawkę, więc lepiej nie. Muszę jechać do Navan.

- Dlatego też postanowiłam wezwać taksówkę, by zawiozła mnie z powrotem do pubu - skłamałam. - Powinna zaraz tu być.

Keelan nie okazał zainteresowania, lecz osunął się na kanapę i westchnął ciężko.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - powiedział.

Usiadłam naprzeciwko niego, ledwo dotykając kanapy, gotowa do walki.

- Najlepiej będzie, jak najpierw to otworzysz - powiedział, wstając i podając mi paczkę.

Moje ręce drżały, gdy starałam się usunąć taśmę oklejającą prezent. Zauważyłam, że na papierze ozdobnym nadrukowane były gałązki ostrokrzewu. Staralam się powstrzymać od zgadywania, co też mogło kryć się wewnątrz, lecz nie udawało mi się. Do głowy przyszedł mi nóż, którym zabijał ofiary... części ich ubrania... albo jeszcze gorzej...

Keelan usiadł na swoim miejscu, a mnie udało się nareszcie otworzyć paczkę, w której znajdowała się koperta zawinięta w folię pęcherzykową. Zaklejona była tylko jednym, małym kawałkiem taśmy, więc otworzyłam ją z łatwością i zajrzałam do środka. Moje gardło zacisnęło się.

- No, dalej - powiedział Keelan. - Wyjmij. - Podniósł papier i zaczął się nim bawić.

Z najwyższą niechęcią włożyłam do środka dwa palce i wyciągnęłam kawałek kości rozmiarami przypominający solniczkę.

- Chyba wiesz, skąd to mam - powiedział.

Słyszałam swój gwałtowny oddech przez nos, moje serce gwałtownie podskoczyło. Musiałam się stąd wydostać.

- Popatrz na to.

Spojrzałam w dół na trzymany przeze mnie przedmiot i zorientowałam się, że była to rzeźba - statuetka kobiety. Ale byłam zbyt poruszona, by zwracać uwagę na szczegóły.

- Zgadnij. - Keelan zgniótł papier w kulę.

- To było w torfowisku... w ziemi... ze znalezionym ciałem?

- Wiedziałem, że od razu się domyślisz - odpowiedział.

- Ale... dlaczego dajesz mi to teraz... w taki sposób?

Keelan kaszlnął nerwowo.

- Widzisz, znalazłem to. I nic nie powiedziałem Gayle. Coś mnie naszło i włożyłem to do kieszeni, a potem zabrałem do domu.

Dlaczego? Pytam samego siebie o to od tamtej chwili. Pewnie, żeby choć przez moment to mieć. To znaczy, wszyscy harujemy przy tych wykopaliskach, zazwyczaj w beznadziejnej pogodzie, czasami w stosach starych śmieci lub wychodkach - i po co? Żeby oddać wszystko, co znaleźliśmy do skatalogowania i odłożenia gdzieś na półkę, by nigdy później tego nie zobaczyć. Jesteśmy tylko od brudnej roboty - nigdy nie możemy p o z n a ć obiektów, które wydobyliśmy... spędzić z nimi trochę czasu, bez pośpiechu, bez nadzoru.

- Tak więc zabrałeś to do domu i wyczyściłeś.

- Tak. Ale miałem zamiar powiedzieć ci o tym następnego dnia. Ale potem stało się to wszystko - morderstwo i inne - i stchórzyłem. Dlatego właśnie robię to dopiero teraz.

Światła samochodu przesunęły się po oknach, na których nie zaciągnęłam zasłon.

- Kto to? - zapytał, z oczami utkwionymi w drzwiach salonu.

- Najprawdopodobniej taksówka.

- Cholera, a miałem nadzieję wyjaśnić wszystko tu i teraz.

- Wiesz co? Poproszę go, żeby wrócił za pół godziny.

- Zrób to.

Położyłam rzeźbę na kanapie i właśnie miałam zamiar wyjść z pokoju, gdy dobiegł nas dźwięk klucza przekręcanego w zamku drzwi wejściowych.

- Illaun? - To była Peggy. - Halo? - zawołała z korytarza. A co, u diabła, robiła tu Peggy?

Keelan wstał.

- Chciałem porozmawiać na osobności - powiedział, podchodząc do mnie.

Pomachałam ręką w stronę kanapy.

- Najprawdopodobniej chce wziąć coś z biura - odpowiedziałam. - Zajmę się tym.

Weszłam do korytarza i zwróciłam się w stronę drzwi, by ujrzeć Gallaghera i innego detektywa przyciśniętych do ściany. Gallagher położył dłoń na moim ramieniu i popchnął mnie w kierunku drzwi, wymieniając ze mną bezgłośnie sygnały, gdy przeszłam obok niego. *Czy jest w środku ?*

Pokiwałam głową, a rękoma pokazałam, że był w miarę spokojny. Peggy stała na schodach z rozszerzonymi z przejęcia oczami i wyglądała na bardziej potrzebującą pomocy niż ja. Objęłam ją, a dwaj mężczyźni wślizgnęli się do pokoju. Potem dobiegły nas szorstkie głosy przemieszane z protestującym, podwyższonym głosem Keelana.

- Przyjechali do pubu - powiedziała Peggy. - I spytali, czy jest tam ktoś z naszych pracowników. Potem poprosili mnie o klucz do twojego domu, który z radością chciałam im wręczyć. Ale powiedzieli, że będzie lepiej, jeśli pojedę z nimi i sama otworzę drzwi. Co się dzieje, Illaun? Czy Keelan się upił?

- Ma dużo na sumieniu - odpowiedziałam.

Gallagher wystawił głowę zza drzwi.

- Czy mogłaby pani tu przyjść, panno Bove? A pani, pani Montague, jest już wolna. Bardzo dziękujemy za pomoc.

Odprowadziłam Peggy do jej samochodu.

- Bardzo bym chciała zaprosić was jeszcze na jakąś godzinę, albo dwie. Nawet miałam czasu życzyć Gayle wszystkiego dobrego.

- Na pewno zrozumie.

- Mimo wszystko, Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku. Zobaczymy się w przyszły poniedziałek.

- Nawzajem... - Peggy uruchomiła samochód. - Mam nadzieję, że nie stanie się Keelanowi.

- Jestem tego pewna.

Gdy odjechała, zdałam sobie sprawę, że nie dałam jej prezentu świątecznego, który jej kupiłam - krzykliwie kolorowego szala z jedwabiu. Lecz teraz wydało mi się to niewiele znaczące.

Gdy wróciłam do pokoju, Keelan siedział na swoim miejscu i patrzył na mnie wilkiem. Detektyw, który przyjechał z Gallagherem, stał za nim i rzucał na niego cień.

- Na pewno chciałaby pani usiąść - powiedział Gallagher. - To mój kolega, detektyw sierżant Ken Fitzgibbon.

Kiwnęłam głową do Fitzgibbona, którego lewa ręka spoczywała na oparciu kanapy, a druga trzymała coś, czego nie mogłam dostrzec z tej perspektywy. Jeżeli Gallagher był potężnym mężczyzną, to Fitzgibbon wyglądał jak zapaśnik sumo. Ciemna, ogolona głowa i groźne spojrzenie dopełniały obrazu osoby, z którą nie chciałabym zadrzeć w żaden sposób.

- Usiądę na tym - powiedziałam, wyciągając krzesło spod stołu i pchając je bliżej. Wolałam siedzieć nieco na ukos od Keelana, niż patrzeć wprost na niego.

- Czy skrzywdził panią w jakiś sposób? - zapytał Gallagher.

- Jezus, Illaun! - wykrzyknął Keelan. - Wyjaśnijmy to. Przecież to tylko pieprzony naszyjnik z kości. Po co to wszystko?

- Pan O'Rourke właśnie powiedział, że się pani wypowiadał. Zdaje się, że nie dociera do niego to, że to nam powinien się spowiadać.

- Pan O'Rourke przyznał się tylko do zatrzymania artefaktu z wykopalisk w Monashee. Właśnie mi go zwrócił. - Wskazałam na rzeźbę nadal leżącą na siedzeniu. - Nie rozmawialiśmy o innych aspektach sprawy.

- Sprawy? Jakiej, kurwa, sprawy? - Keelan nagle stał się agresywny.

Gallagher podniósł rzeźbę i przeszedł obok Keelana, przekładając ją w milczeniu kilka razy z ręki do ręki. Potem nagle pochylił się do ucha Keelana.

- Czy dzwoniłeś do Franka Traynora ze swojej komórki w poprzedni piątek dokładnie o 14.48? - Gallagher usiadł i zaczął obserwować reakcję Keelana.

Chłopak wyglądał, jakby został uderzony młotkiem.

- Czy dzwoniłem do Franka Traynora...? - Przełknął z wysiłkiem. - Czy dzwoniłem...?
- Odpowiadaj na pieprzone pytanie - Fitzgibbon warknął zza kanapy.
- Hej, może dacie mi trochę czasu na zastanowienie?

Fitzgibbon zaśmiał się głośno.

- Posłuchaj tego, Matt. On chce czasu na zastanowienie. A co to, do cholery, egzamin?

Gallagher uśmiechnął się ironicznie.

- Ty, myśliciel! Wiemy, że dzwoniłeś do Franka Traynora w zeszły piątek. Ale jeśli nadal chcesz ciągnąć to głupie przedstawienie, to proszę bardzo. Zamkniemy cię tylko na noc, damy ci mnóstwo czasu na zastanowienie i zaczniemy pytać od rana. Chyba, że powiesz nam prawdę teraz, sam. Całą prawdę, od początku do końca. Zrzuć to sobie.

Keelan podniósł ręce do twarzy i opadł z powrotem na kanapę.

- Dobrze, powiem - zaszlochał.

Gallagher dał znak Fitzgibbonowi, który wyciągnął spod stołu kolejne krzesło, z wewnętrznej kieszeni wyjął notes i długopis, po czym usiadł, kładąc ukrywany wcześniej pistolet na stole w zasięgu rąk. Gallagher usiadł obok mnie naprzeciwko Keelana.

- Czy muszę tu być? - wyszeptałam.

Gallagher pokiwał głową i pochylił twarz w moim kierunku. Pochyliłam głowę, by posłuchać.

- Na wypadek, gdybyśmy musieli coś uściślić - wymamrotał. - Proszę bardzo - zwrócił się do Keelana.
- Zadzwoniłem do Franka Traynora, bo myślałem, że kupi to ode mnie. - Keelan wskazał na przedmiot, który Gallagher ciągle przekładał z ręki do ręki. To tak wyglądało owe „choć przez chwilę to mieć”.
- A dlaczego akurat do niego?
- Hm... już wcześniej kilka razy robiłem z nim interesy.
- Sprzedając mu artefakty z wykopalisk archeologicznych?
- Tak.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nagle przypomniała mi się zaginiona pika ze stanowiska przy autostradzie.

- Czy sprzedałeś mu pikę z terenu pod autostradę?

Milczał.

- Odpowiedz na pytanie - nakazał Gallagher. - W garażu Traynora znaleźliśmy obiekt odpowiadający opisowi. Czy sprzedałeś go jemu?

Keelan popatrzył na mnie i wzruszył ramionami, jakby mówił: „A czego się spodziewałaś?”.

Strasznie się co do niego pomyliłam. Od pierwszego roku po skończeniu studiów systematycznie naruszał jedną z podstawowych zasad naszego zawodu. I to na moich oczach.

- To nielegalne, prawda? Handel obiektami historycznymi. -

Gallagher spojrział na mnie, ale nie miałam niczego do dodania. Moje ślinianki znów zaczęły pracować - nadchodziła kolejna fala mdłości. - Zgodnie z tym, co wiem, międzynarodowy czarny rynek handlarzy sztuką zajmuje trzecie miejsce, zaraz po handlu narkotykami i bronią.

Keelan zaczął pociągać nosem.

- W życiu bym nie pomyślał, że to jest dużo warte - powiedział Gallagher, spoglądając na rzeźbę.

- Traynor mówił, że zaczniemy od rzeczy niewielkich. Powiedział, że traktuje to jak swoistą praktykę. Budowanie zaufania po obu stronach.

- Ach, tak. Honor wśród złodziei. Zawsze chce mi się śmiać, gdy słyszę tę nobliwą sentencję. Mów dalej. O ostatnim piątku.

- Powiedział, że może będzie zainteresowany rzeźbą. Potem zapytał, co robiliśmy w szpitalu. Opowiedziałem mu trochę, wspominając o szczątkach kobiety i dziecka, które leżały w pobliskiej kostnicy. Gdy usłyszał, że znaleziono dziecko, poprosił mnie o wprowadzenie do kostnicy. Powiedziałem, że mam klucz i podjechałem pod kostnicę, gdzie musiałem trochę poczekać. Spóźnił się, ale nie przeszkadzało mi to, bo musiałem oczyścić figurkę, zanim ją zobaczył. Wtedy pojawił się, dałem mu klucz, a on wszedł do środka.

- Nie poszedłeś z nim?

- A po co? Grzałem się w samochodzie. Gdy wrócił, zajrzał do mnie przez okno, a ja pokazałem mu rzeźbę. Wyglądał na zdziwionego i wymamrotał coś w rodzaju: „Ja pierdziele, to

brzydka siostra Złotowłosej..." Zapamiętałem to ze względu na to, jak pomieszał bajki o Złotowłosej i Kopciuszku...

- Tak, tak. Dalej - wtrącił Gallagher, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie.

- Wtedy zapytał: „Dlaczego uważasz, że kupię coś, co już do mnie należy?” Odpowiedziałem mu, że oficjalnie jest to własność państwa, lecz w rzeczywistości ten, kto ją posiada, może dyktować warunki. Wiedziałem, że w końcu mi za nią zapłaci, lecz wtedy zadzwonił jego telefon komórkowy, więc go odebrał. Trwało to bardzo krótko, nie powiedział prawie ani słowa, ale wydawał się bardzo zadowolony z tego, co usłyszał. A potem rzucił w moją stronę: „Możesz dać to swojemu psu”, i odjechał, zostawiając mnie samego.

Gallagher czekał na więcej.

- To nie koniec, prawda, chłopcze?

Keelan spojrzał na mnie oczami pełnymi łez. - W pewnym sensie tak. Bo to był dla mnie punkt zwrotny. Reszta historii dotyczy Illaun. Pozostali dwaj mężczyźni wpatrzyli się we mnie. Poczułam ból żołądka, choć nic już w nim nie było.

- Przepraszam - powiedziałam, przykładając dłoń do ust. - Muszę do łazienki.

Jedną z mniej znanych zalet bujnej wyobraźni jest to, że często można przewidzieć, co ma zamiar spłatać nam los. Można z o b a c z y ć pociąg, zanim wyłoni się zza zakrętu. Wiadomo, że za progiem rwącej rzeki znajduje się gigantyczny wodospad. A ponieważ już to sobie wyobraziliśmy, jesteśmy na to przygotowani. Lecz ja niczego nie przewidziałam.

Już po raz trzeci, odkąd pobiegłam do łazienki, miałam odruch wymiotny. Wyglądało na to, że kłamstwo i oszustwo bardziej działały na mój żołądek, niż podejrzenie, iż mordercą mógł być Keelan. Obawiałam się tego, co miało mnie spotkać. Dlaczego z jakiegoś powodu skupił się na mnie? Chciałam tylko, żeby zniknął z mojego

Przeplukałam gardło wodą, wyplułam ją, umyłam twarz i wytarłam zdjętym z drążka ciepłym ręcznikiem. Potem spojrzałam w lustro, żeby wyszczotkować włosy i zauważyłam, że moją skórę pokrywały zielone plamy, a oczy otaczały czerwone obwódki.

- Niech cię szlag, Keelan - wyrzuciłam z siebie.

Po drodze do salonu zwolniłam kroku. Dlaczego przyszedł dzisiaj do mnie ze statuetką? Czy to było zachowanie brutalnego, seryjnego mordercy?

- Wszystko w porządku? Wyglądasz okropnie - stwierdził Gallagher.

- Czuję się dobrze, nie przeszkadzajcie sobie - odpowiedziałam, machając mu ręką.

- Podczas twojej nieobecności Keelan podawał nam dane osobiste, więc zaczniemy od miejsca, w którym skończyliśmy. Proszę.

Keelan przestał pociągać nosem i próbował złapać mój wzrok, ale starałam się na niego nie patrzeć.

- Najpierw byłem zwyczajnie zły na Traynora, że potraktował mnie w ten sposób. Ale w drodze powrotnej do szpitala zacząłem jeszcze raz rozważać, co zrobiłem. Czułem, że postępuję niesprawiedliwie, zwłaszcza w stosunku do Illaun, więc postanowiłem przekazać jej artefakt i opowiedzieć o biznesie, jaki kręcił na boku Frank Traynor.

- Ale ledwo zdążyłem wrócić, kiedy przyszła, żeby zobaczyć, jak sobie radzimy. Wtedy zdałem sobie sprawę, że statuetka wciąż znajdowała się w moim samochodzie i trudno byłoby to wytłumaczyć w obecności Gayle. Zanim skończyliśmy tego wieczoru, poszedłem do kostnicy, ale była zamknięta, więc napisałem kartkę, włożyłem do torebki razem z rzeźbą i miałem zamiar zostawić ją za wycieraczką samochodu Illaun. Wtedy zauważyłem, że drzwi nie były zamknięte. Położyłem więc woreczek na siedzeniu pasażera.

- Gdy tego wieczoru usłyszałem o zamordowaniu Traynora, zdałem sobie sprawę, że wiadomość zostawiona w samochodzie Illaun łączy mnie z denatem, więc spanikowałem. Pojechałem do Castleboyne błagać Illaun, żeby nie mówiła nikomu o zawartości mojej notatki, ale nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy zauważyłem, że paczka wciąż leży na siedzeniu jej samochodu. Wybiłem szybę za pomocą blokady na koła i wyjąłem woreczek. Miałem na rękach mitenki, więc dopiero kiedy wróciłem do samochodu, zorientowałem się, że zabrałem także jej telefon komórkowy. Potem usłyszałem szczekanie psa i zobaczyłem, jak zapala się światło, więc odjechałem.

- Jak byłeś ubrany? - spytałam.
- Tak samo, jak dzisiaj? Dlaczego pytasz?

Gallagher oczekiwał na moją reakcję. Pokręciłam głową. To nie Keelana wtedy widziałam.

- Czy widziałeś, żeby koło domu kręcił się jeszcze ktoś?
- Nie. Ale była gęsta mgła.
- Dobra, idźmy dalej. Mamy już dwa telefony - twój własny i drugi, zabrany z samochodu szefowej. Co z nimi zrobiłeś?
- Musiałem pozbyć się swojego, gdyż wiedziałem, że mój numer znajduje się w rejestrze wykonanych rozmów Traynora i że będziecie na niego wciąż dzwonić. Gdybym chciał zwrócić telefon Illaun, wzbudziłoby to zbyt wiele krępujących pytań, więc go także musiałem wyrzucić. Ale w sobotę rano trochę się nim bawiłem i znalazłem numer Muriel Blunden. Traynor kiedyś przechwalał się przede mną, że nie muszę obawiać się robienia z nim interesów, ponieważ ma znajomości w policji, minister turystyki je mu z ręki, podobnie jak jego kochanka, Muriel Blunden z Muzeum Narodowego. W tym momencie miałem już takie wyrzuty sumienia, że pomyślałem o jakiejś rekompensacie dla Illaun. Najlepiej byłoby zdobyć licencję na wykopaliska na Monashee, więc posłałem Blunden tego esemesa.

- A więc tak to wygląda, co? Chcesz, żebyśmy uwierzyli, że w ciągu dnia zmieniasz zdanie częściej, niż dziwka z Bangkoku obskakuje klientów? I chcesz, żebyśmy zapomnieli, że jesteś kłamcą, złodziejem i w dodatku szantażystą? Masz nad czym rozmyślać, chłopczyku. Aresztuję cię pod zarzutem zamordowania Franka Traynora na podstawie ustępu czwartego Ustawy o odpowiedzialności karnej. Sierżant Fitzgibbon i ja zabieramy cię na komendę policji w Droghedzie, gdzie postawione ci będą formalne zarzuty i gdzie zostaniesz zatrzymany do dalszych przesłuchań. Możemy oskarżyć cię również dodatkowo o spowodowanie śmierci sierżanta Brendana O'Hagana.

Keelan osunął się na kanapę i ponownie zakrył twarz rękami.

- To nieprawda. Nikogo nie zabijałem. To jakieś wariactwo.

Gallagher spojrział na mnie i skinął w kierunku drzwi. Wstaliśmy i wyszliśmy do przedpokoju. Założył ręce i oparł się o ścianę, głową uderzając w wiszący za nim obraz.

- Przepraszam, że tak wyszło. Na pewno jesteś zaszokowana.

- Zaszokowana i rozczarowana. Ale nie do końca jestem pewna...
 - Pewna czego?
 - Że to on jest mordercą.
 - Przecież wszystko pasuje. Wiedzieliśmy, że to ktoś z jego przygotowaniem zawodowym.
 - To nie on był wczoraj w kościele.
 - Przed nim długie przesłuchanie. Na pewno i to sobie przypomi.
- Najważniejsze, by powiedział nam, co robił w czasie, gdy rzekomo przebywał w kostnicy.
- Dlaczego w takim razie przyszedł tu dziś i przyniósł mi statuetkę?
 - Chciał się dowiedzieć, jak dużo wiesz lub ile się domyślasz.
- Odzyskać twoje zaufanie, przyznając się do kradzieży. W końcu wciągnąłby cię do rozmowy o morderstwach. Gdyby zorientował się, że możesz stanowić zagrożenie, stałabyś się ofiarą numer trzy.
- Potrząsnęłam głową.
- Wiem, że byłam przerażona, kiedy tu przyjechał. Ale nie sądzę, żeby nadawał się na mordercę, to tylko zwykły złodziejaszek. Pozostaje także pytanie, dlaczego? Dlaczego najpierw zginął Traynor?
 - Chodziło o pieniądze. Traynor był paserem. Moim zdaniem O'Rourke należał do szajki szabrowników, którzy robili interesy z Traynorem. Nie byli zadowoleni z tego, co im odpałał, więc uknuli intrygę, żeby się go pozbyć. Wyeliminować pośrednika i dogadać się bezpośrednio z kimś na następnym szczeblu drabiny. Znalezienie ciała z bagna zapewniało idealną szansę zagmatwania śledztwa, wprowadzenia elementu wudu.
 - A O'Hagan?
 - O'Hagan był wtajemniczony w stosunki łączące Traynora z szabrownikami. Zabrał jego terminarz, abyśmy nie mogli odkryć, czym się zajmował. Wreszcie, być może dlatego, że coś tam zobaczył, skojarzył fakty i dotarł do osoby, która zabiła Traynora. Dlatego jego też należało się pozbyć.
 - Jednak mówiłeś, że w notesie napisał: „Mam cię”. Wzdłuż linii biegnącej do herbu opactwa Grange.
 - Może źle to odczytaliśmy. Moim zdaniem, było tak: gdy Traynor obejrzał rzeźbę, pokazaną mu przez Keelana, naszkicował

ją szybko w notesie i nazwał „Złotowłosą”. O’Rourke przecież przyznał, że Traynor użył wobec niej takiego określenia.

- A dokładniej: „Brzydka siostra Złotowłosej” - dodałam.

Gallagher wzruszył ramionami.

- Nieważne. Linia łączy Złotowłosą z herbem opactwa Grange, ale niekoniecznie z samym opactwem. Możliwe, że O’Hagan odkrył związek pomiędzy osobą, która dostarczyła Traynorowi artefakt - czyli Keelanem - a tym, od kogo pochodzi herb. Pamiętaj, że nie mamy dowodów na jego pochodzenie bezpośrednio od zakonnic, mógł przechodzić z rąk do rąk. Dlatego uważam, że O’Rourke nie działał sam, a z całą grupą szabrowników. O’Hagan mógł po prostu na nich

- Ale skoro Keelan chciał zabić Traynora, raczej nie próbowałby sprzedać mu czegoś na godzinę przed.

- Dlaczego nie? Może na tym etapie O’Rourke nie był jeszcze gotowy do morderstwa. Ale kiedy Traynor upokorzył go, odrzucając statuetkę, zmienił zdanie.

- Posłuchaj, Matt. Nie mam żadnych powodów, by wierzyć jakemukolwiek słowu Keelana. I ty też. Ale sam przyznał, że powiedział Traynorowi o ciele niemowlęcia w kostnicy. Według słów Muriel Blunden, zobaczenie dziecka zmieniło jego decyzję o przekopywaniu po- No i co?

- Powinniśmy przyjąć, że Keelan zadzwonił do Traynora, by sprzedać mu artefakt - i dlatego właśnie umówili się przy kostnicy.

- No i?

- Tak więc to Keelan jest świadkiem ostatniego telefonu, który odebrał Traynor. Telefonu z budki w Slane, który najprawdopodobniej zwałił go na Monashee.

- To mogli być kumple Keelana.

- Ale, jak sam powiedział, Traynor wydawał się bardzo zadowolony z tego, co usłyszał. Moim zdaniem ta rozmowa była odpowiedzią, na którą czekał.

- Odpowiedzią na co?

- Na żądanie. Zażądał czegoś po potwierdzeniu faktu istnienia zdeformowanego dziecka.

- Ale w tym czasie nigdzie nie dzwonił.

- Nie musiał. Mógł wysłać esemesa.

Zanim Gallagher zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon.

- Tak?... Co? To znaczy, minister? - Rzucił mi spojrzenie, mówiące: *To nie jest dobra wiadomość*, i wyszedł na zewnątrz, aby tam dokończyć rozmowę.

Zacząłam zastanawiać się, dlaczego przestałam uważać Keelana za mordercę. Podpowiadał mi to instynkt, ale również sprzeczności w dowodach, które przedstawił mi Gallagher. Na przykład, sam wcześniej opisał rysunek Złotowłosej jako wykonany inną ręką - nie Traynora. Co więcej, wyglądało na to, że Złotowłosa jest częścią jakiegoś okrągłego obiektu. Traynor odrzucił kościaną rzeźbę, sugerując, że w porównaniu z nią Złotowłosa była prawdziwą pięknoscią. Mogłabym się założyć, że piękno było dla Traynora wartością mierzoną pieniędzmi. Tak więc Złotowłosa musiała być artefaktem wykonanym ze złota.

Rozdział 30

Fitzgibbon najwyraźniej musiał zadzwonić po lokalną policję, ponieważ gdy wyszedł z przykutym do swojej ręki Keelanem, radiowóz już na nich czekał. Gdy Keelan wyczuł moją obecność, popatrzył na mnie błagalnie.

- Może i jestem złodziejem, Illaun, ale na pewno nie mordercą. Proszę, powiedz im, że nie jestem mordercą.

Fitzgibbon popchnął go w kierunku dwóch umundurowanych policjantów, którzy zbliżali się w jego kierunku, podczas gdy Gallagher ciągle rozmawiał przez telefon, chodząc tam i z powrotem.

Bardzo cieszyłam się z faktu, że moja matka nie musiała być świadkiem tego wszystkiego, gdyż... cholera! Richard i Greta wylądowali na dublińskim lotnisku przynajmniej dwie godziny temu. Mieli wynająć samochód i zabrać mamę od ciotki Betty. Mogli pojawić się tu w każdej chwili.

Radiowóz zabrał Keelana, który siedział blady między Fitzgibbonem a jednym z policjantów i wpatrywał się prosto przed siebie. Był przerażony.

Gallagher wszedł do domu. Dopiero teraz zauważyłam, że w środku było tak samo zimno, jak na zewnątrz. Zaczęłam się trząść i już miałam zamknąć za nim drzwi, gdy dał mi znak, że zaraz będzie wychodził.

- ...dobrze, informuj mnie. - Rozłączył się, lecz pozostał w holu. - Derek Ward został poważnie ranny.

- W jaki sposób?

- Ktoś zrzucił cegłę na przednią szybę jego samochodu. Wygląda to na przypadkowy akt przemocy. Musiał znaleźć się w złym miejscu i w złym czasie.

- A gdzie dokładnie?

- Pomiędzy Drogheda a Donore.

- I przekonani są, że to nie było zamierzone?

Gallagher poruszył wąsami.

- Na razie tak to wygląda.
- Myślałam, że ministrowie mają kierowców.
- Bo mają. Ale każdy z nas chce się czasami urwać.
- Oznacza to, że nie będziesz mógł go teraz przesłuchać. Dziwne,

prawda?

- Jeśli będzie mógł mówić, na pewno go przesłucham. W tym czasie muszę dopilnować papierkowej roboty, żeby posłać O'Briana jutro do sądu. To chyba będzie długa noc. Dam ci znać, jak czegoś się dowiem.

- Nie bądź dla niego zbyt surowy - powiedziałam, odprowadzając Gallaghera do drzwi. - Myślę, że jest po prostu... słaby.

Zamknęłam drzwi i poszłam w kierunku salonu. Przechodząc obok obrazka, o który Gallagher opierał się głową, zauważyłam, że był lekko przekrzywiony. Rysunek węglem drzewnym przedstawiał wiejski cmentarz pokryty śniegiem, był datowany na rok 1896 i podpisany przez Petera Hunta, utalentowanego człowieka, którego zaczęłam uważać już za mojego pradziadka.

Odosobniony i osamotniony kościół w zimowym pejzażu, zasypane śniegiem kamienie nagrobne robiły na mnie w dzieciństwie ogromne wrażenie. Lecz gdy poprawiałam obrazek na ścianie, zdałam sobie sprawę, że nie przyglądałam mu się właściwie od lat. I gdy spojrzałam, powróciło do mnie jego wspomnienie z dzieciństwa - w jednym z tych momentów, w których emocjonalna reakcja formuje się raz na zawsze. Zawsze miałam w związku z nim mieszane uczucia: jednym z nich było przekonanie, że zmarli, znajdujący się w czymś w rodzaju przedłużonego snu w podziemnej jaskini, mają teraz o wiele przytulniej pod śnieżną kołdrą. Lecz to przyjemne wrażenie było zmaćone przez lęk, że wiosną roztopiona woda spłynie prosto na nich. Ale teraz wspomnienie z dzieciństwa przeobraziło się w przecucie podobne do tego, jakie nawiedziło mnie w Bettystown: że to, co przedstawia obraz - woda, kościół, podziemne królestwo zmarłych - stanowią swoiste karty tarota, które przy właściwej interpretacji dają nam wePoderwał mnie dzwonek telefonu.

- Wszystko w porządku? - zapytał Finian.

- Tak.

- Dzwoniła do mnie Peggy. Co się stało?

Krótko streściłam mu niedawne wydarzenia. Finian nie poświęcił wiele czasu Keelanowi, bardziej był zainteresowany moim zdrowiem.

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Nie, zaraz przyjedzie Richard. - Ujrzałam światła na podjeździe.

- Już tu są, Finianie. Aha, nie powiem Richardowi o tym, co stało się w kościele, okej? Muszę lecieć.

Greta pierwsza wydostała się z siedzenia pasażera. Miała na sobie brzoskwinowy strój do joggingu i śnieżnobiałe tenisówki.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała i uśmiechnęła się szeroko. Greta była wysoka i miała złote włosy.

- Cześć, siostrzyczko - zawołał ze środka Richard, ciągle walcząc z pasem bezpieczeństwa.

- Eoin zasnął - powiedziała Greta, otwierając tylne drzwi. - Umościł się tu na swojej babci.

Moja matka siedziała z tyłu i głaskała Eoina po kędzierzawej głowie.

Richard uwolnił się i okrążył samochód, ściskając mnie po drodze. Pochylił się i wziął syna na ręce.

- Nie budźmy go - zaproponowałam. - Chodź za mną. Pokażę ci, gdzie mały śpi. I gdzie wy śpicie.

Richard przewiesił Eoina przez ramię i wniósł do domu. Gdy szłam razem z nimi, widziałam, jak bardzo nasza trójka była do siebie podobna - czarne kręcone włosy, blada cera, kruczoczarne brwi.

W ciągu kilku minut Eoin został ubrany w piżamę, zaprowadzony do łazienki, napojony połową szklanki wody i ułożony w łóżku, prawie bez otwierania powiek. Żałowałam, że nie mogę do niego dołączyć, gdy wszyscy zebraliśmy się w salonie. Wydarzenia całego dnia i wieczoru sprawiły, że czułam się jak worek treningowy.

Jednak musiałam się jeszcze przez chwilę postarać.

- Dobrze wszystkich was widzieć, witajcie na pierwszych świętach w Irlandii. Czy może ktoś ma ochotę na drinka?

Richard stał tyłem do kominka, przeglądając wyciągnięte skądś czasopismo. Spojrzał na Gretę.

- Prawdę powiedziawszy, Illaun, jesteśmy skonani - powiedział, podejmując decyzję za ich oboje. - Czy możemy przełożyć drinki na jutro wieczór?

- Oczywiście. Co ty na to, mamó?

- Ja też jestem zmęczona, Illaun. Zagadana na śmierć. Znasz swoją ciotkę Betty.

I ciebie też, mamó. Trafił swój na swego.

- Oglądałyśmy stare fotografie. Ma zamiar stworzyć album rodzinny, zeskanować i podarować go wszystkim siostrzeńcom i siostrzenicom.

- Na Gwiazdkę? Trochę późnawo, nieprawdaż? - zauważył Richard, ciągle przekładając strony.

- Nie, nie na Gwiazdkę. Na później. Ma zamiar również włączyć do zbiorów rodzinę waszego ojca.

Richard przerwał i złapał mnie spojrzeniem. Przypomnienie o ojcu przyciągnęło jego uwagę.

- No i jak daleko zaszła z tymi zdjęciami? - spytałam, ignorując go.

- Cóż, ma już waszego pradziadka i prababcię. Na zdjęciu są już od kilku lat małżeństwem. Pobrali się na początku wieku. - Miała na myśli oczywiście wiek dwudziesty. Moja matka nigdy w pełni nie przystosowała się do zmian, które nastąpiły za jej życia.

- Jak się nazywali? Peter i Marie?

- Nie, nie. Twój pradziadek miał na imię Willie, a prababcia nazywała się Julia Russell.

Zmieszałam się.

- W takim razie kim był Peter Hunt? Człowiek, który grał na skrzypcach i namalował obrazek z holu?

Moja matka uśmiechnęła się tęsknie.

Ach, to był brat twojego pradziadka. Podobno cudowny człowiek. I sportsmen. Ale to smutna historia. Zmarł w wieku dwudziestu sześciu lat.

Byłam zdumiona.

- Dwudziestu sześciu? A co się stało z jego żoną? Nazywała się Marie, Marie Maguire... z Celbridge...?

- Nie wiem, o kim mówisz, kochanie. - Matka patrzyła na mnie zdziwiona. - Peter Hunt nigdy się nie ożenił.

- Nigdy się nie ożenił?

- Nigdy. Podobno miał ukochaną, lecz nie poznałam jej imienia. - Wstała, uściśnęła Richarda i pocałowała Gretę na dobranoc.

- My też się zbieramy - powiedziała Greta, obejmując ramieniem Richarda.

- No, tak - odpowiedział, odkładając czasopismo. Przechodząc obok, pocałował mnie w policzek i wyszeptał: - Musimy pogadać, ty i ja.

- Dobrze. Rano.

Gdy wyszli, zapadłam w fotel i siedziałam, wpatrując się bezmyślnie w ścianę. Czy ludzkie oczekiwania zawsze są skazane na rozczarowanie?

Ktoś zastukał do drzwi. Podniosłam się, myśląc, że Richard zmienił zdanie. Zamiast tego ujrzałam moją matkę.

- Wyglądasz, jakby przejechał cię walec. Co się dzisiaj wydarzyło?

Przywołałam ją dłonią.

- Uderzyłam głową w drzwi samochodu - powiedziałam. - Na parkingu przed kościołem. Po próbie chóru.

- Tak więc odebrałaś wiadomość od Gillian.

- Jesteś pewna, że to ona dzwoniła?

- No cóż, nie przedstawiła się; ale była dość szorstka, jak to Gillian potrafi.

- No tak, rzeczywiście.

- Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie, skarbie.

Powinna wiedzieć o Keelanie.

- Mogłaś zginąć w swoim własnym domu - powiedziała, gdy skończyłam.

- Raczej nie, choć muszę przyznać, że na początku się bałam. Lecz teraz jestem po prostu... pozbawiona złudzeń.

Pogłaskała moje włosy tak, jak robiła to z Eoinem w samochodzie.

- Jesteśmy pełni skaz, Illaun. Zmienni i słabi. Dlatego właśnie potrzebujemy Boga. I dlatego właśnie musimy się od czasu do czasu do Niego zwracać. On słucha nas nie wtedy, gdy stawiamy Mu wielkie świątynie, czy odprawiamy skomplikowane rytuały. Słucha nas, gdy uczciwie przyznajemy się do porażek, gdy przyznajemy, że potrzebujemy pomocy, gdy uznajemy, że nie damy rady sami.

- A co z tatą? Jakoś nie widzę, by Bóg mu pomagał.
- Bóg pomaga mnie, Illaun. Właśnie tak to wygląda. Dzięki temu daję sobie radę.

Właśnie wyłączyłam światło, gdy zadzwonił mój telefon komórkowy. To był Gallagher.

- Ciągle załatwiam to aresztowanie - powiedział. - Nie zdziwisz się, gdy ci powiem, że zamach na Dereka Warda był zaplanowany.

- Masz rację. Nie dziwię się.

- Ktoś do niego zadzwonił. Wyjechał bezzwłocznie, zostawiając swojego kierowcę całego w nerwach. Przejeżdżał pod wiaduktem nieopodal swojego domu, gdy ktoś zrzucił na niego cegłę z góry. Uderzyła w maskę, potem rozbiła przednią szybę i prawie zmiażdżyłaby mu głowę, gdyby poduszka powietrzna nie przejęła siły uderzenia. Samochód zjechał na trawiaste pobocze i zatrzymał się. Facet miał szczęście. Złamany kark, nieładne siniaki, ale wyliże się.

- Kto do niego dzwonił?

- Dowiemy się dopiero jutro.

- Masz zamiar z nim porozmawiać?

- No pewnie. A gdybyś myślała, że to wszystko pomoże Keelanowi O'Rourke, to się mylisz. Atak miał miejsce około trzeciej dzisiejszego popołudnia. Dokładnie w tym czasie, gdy go nie było z wami w pubie.

Wigilia

Rozdział 31

Była 10.24. Przez szpary w zasłonach nie docierała do mnie ani odrobina światła, co częściowo tłumaczyło, dlaczego spałam tak długo. Rozsunęłam je i spojrzałam na ogród, który wciąż jeszcze znajdował się w półmroku, jakby słońce jeszcze nie wzeszło nad horyzontem. Szare, bezkształtne chmury, które odcinały dostęp światła, były upstrzone różem, purpurą i kolorem kości słoniowej, zachodzącymi na siebie niczym akwarele na mokrej kartce. Wyglądało, jakby miał padać śnieg, ale w prognozie pogody, której wysłuchałam kilka minut później, kiedy się ubierałam, powiedziano, że opadów śniegu nie będzie, przynajmniej nie we wschodniej części kraju.

Po drodze do kuchni minęłam Boo, który wypadł z salonu ze zjeżoną sierścią, jakby go ktoś podłączył do prądu. Spojrzał na mnie ogromnymi oczami, które wyrażały przerażenie zmieszane z uczuciem upokorzenia i usiadł pod drzwiami składziku. Miauknął płaczliwie. Wtedy ukazała się przyczyna jego cierpienia - Hun Atylla w niebieskich ogrodniczkach, czyli mój trzypółletni bratanek. Eoin ponownie dostrzegł swoją zdobycz i ruszył w pogoń. Boo spanikował i wyrwał pod moimi nogami w kierunku korytarza, smyrgnął obok dziecka i zniknął za rogiem. Biegł w kierunku pokojów mojej matki, gdzie znalazłby się w ślepym zaułku, położeniu jeszcze bardziej rozpaczliwym.

- Hola, nie tak prędko! - zawołałam i objęłam Eoina ramieniem, gdy przebiegał koło mnie z tupotem. Wolną ręką otworzyłam drzwi składziku, żeby kot mógł w końcu uciec do ogrodu.

- Chcę kotka - powiedział, wrywając się na ziemię. Objęłam go obiema rękami i zapytałam, czy nie wolałby zamiast kota gorącego tosta, posmarowanego kremem czekoladowym.

- Nie... tak! - odpowiedział.

Richard, ubrany w koszulę w czerwono-niebieską kratę i džinsy, ustawiał na tacy w kuchni kilka rzeczy dla Greta.

- Poprosiła mnie dziś rano o sprawienie jej dwóch przyjemności - powiedział. - O poleżenie sobie dłużej bez wiadomo kogo, kto się zwykle gramoli na pościel i wspina po mamie, oraz o śniadanie z owsianką do łóżka.

Zupełnie jak Złotowłosa, pomyślałam.

- Szczęściara - odpowiedziałam. - Nie podoba nam się to, co mama będzie jadła, prawda Eoin? Przyszliśmy tutaj, żeby zjeść tosta z kremem czekoladowym, dobrze mówię?

- Tak. Koladowy tost.

Richard wziął tacę i wyszedł z kuchni.

- Bawcie się dobrze - powiedział.

Dziesięć minut później, wymazany czekoladą Eoin przypominał klauna. Oderwałam kawałek kuchennego ręcznika i właśnie wycierałam mu buzię, kiedy do kuchni wrócił jego ojciec.

- Eoin, już cię tu nie ma. Babcia chce cię zobaczyć.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Eoin wybiegł przez drzwi. Zostaliśmy z Richardem sami. Temat, którego udało nam się uniknąć poprzedniego wieczoru, gnał wprost na nas niczym pociąg ekspresowy, my zaś nie mieliśmy dokąd przed nim uciec.

- Chcesz kawy? - spytałam, próbując wygrać kilka sekund, zanim nastąpi zderzenie.

- Nie, dzięki. - Usiadł na taborecie i przeglądał zdjęcia, które położyłam na stole tej nocy, kiedy przywiozłam do siebie Finiana. - Skąd pochodzą?

Usiadłam po przeciwnej stronie stołu.

- Zrobiłam je w miejscu zwanym opactwem Grange. Znajduje się tam kościół romański.

Przeglądał się dokładnie rzeźbom postaci.

- A to znajduje się nad wejściem?

- Tak. Są to, jak widzisz, w większości wyimaginowane postacie i bestie.

- Nie to widzę w większości. - Wziął do ręki lupę. - W każdym razie nie na dwóch najbardziej wewnętrznych łukach.

- A co widzisz? Naprawdę chciałabym wiedzieć.

- Hola, siostrzyczko. Jako żywo, czy mi się zdaje, azali w rzeczy samej tematu unikasz? - Zwracanie się do siebie w języku naśladowującym szekspirowski było zwyczajem, sięgają-

cym naszego dzieciństwa. Ojciec niby tego nie pochwalał, ale w skrytości ducha lubił słuchać, jak tak mówiliśmy.

Być może humor byłby w stanie wykoleić lokomotywę. Wydełam klatkę piersiową, założyłam ręce i głośniej rzekłam:

- Na jakie wyszukane udreki mnie skazujesz? Jakimże kołem będziesz mnie łamał? Jakimże ogniem będziesz smała? Odzierał ze skóry będziesz?

Richard w teatralnym geście umieścił obie dłonie na piersi i wpadł w egzaltację:

- Niechaj cię to dręczy, kiedy gnść będziesz!

Roześmialiśmy się. Cytowaliśmy wolne fragmenty *Zimowej opowieści*. Przynajmniej pochodziły z tej samej sztuki, czym nie zawsze się przejmowaliśmy.

- Mówiąc poważnie, Illaun. Chodzi o przywiezienie Paddy'ego do domu na święta... Dzisiaj z samego rana rozmawiałem o tym z mamą. - Richard zawsze mówił do ojca po imieniu. Ja nigdy nie mogłam. Czy chciał mnie podejść, przeciągając mamę na swoją stronę? - Nie uważam, żeby była gotowa na jutrzejszą wizytę ojca.

Co to miało znaczyć?

- Spytałem ją, czy to dlatego, że jesteś temu przeciwna, ale powiedziała, że to nie ma nic wspólnego z tobą. I że tak naprawdę to chciałaby mieć ojca w domu, ale wolałaby całą swoją uwagę poświęcić wnukowi, ponieważ to pierwsze Boże Narodzenie Eoina tutaj. Wiesz przecież, jak lubi rozpieszczać swego jedyne wnuka.

W tym momencie mogłabym uściskać mamę. Ale nie na oczach Richarda, rzecz jasna.

- Nigdy nie sprzeciwiaj się babci małego chłopca - odrzekłam.

- Martwiła się też o ciebie; powiedziała, że miałaś ciężki tydzień i że potrzebujesz odpoczynku.

- To prawda. Ale mimo wszystko chciałabym jutro odwiedzić ojca.

- Tak, myślę, że wszyscy chcielibyśmy. Może powinniśmy rozłożyć to w czasie, żebyśmy nie zwalili się tam wszyscy naraz.

- Dobry pomysł. I o wiele przyjemniejszy dla ojca. - Oczywiście nie mówiłam prawdy. Mój ojciec nie był już w stanie odczuwać przyjemności. Ale Richard nie musiał usłyszeć tego ode mnie. - Wróćmy teraz do tych rzeźbień - powiedziałam.

- Co takiego o nich mówisz?

Richard wziął do ręki wydruk, któremu wcześniej się przyglądał i postukał w niego wyciągniętym z kieszeni marynarki długopisem.

- W mojej pracy z wcześniakami nie raz miałem do czynienia z takimi przypadkami. Często widziałem je na własne oczy. Wewnętrzne łuki tych drzwi są wizytówką pełnego asortymentu wad wrodzonych.

Zabrałam mu wydruk i przyjrzałam mu się dokładniej.

- Ale cyklop, blemmyae czy *cynocephalus* to istoty, które, jak dawniej powszechnie wierzą, zamieszkują ziemie poza Europą.

- Okej, ale mogą też być kamiennym rejestrem narodzin potworów i występowania wad wrodzonych. - Podniósł wydruk przedstawiający framugę i głowice drzwi. - Spójrz na te twarze z wyrastającymi z nich liśćmi. Oczy są zamknięte, powieki raczej ciężkie, usta skierowane w dół - klasyczny wygląd noworodka urodzonego bez mózgu. - Wrócił do łuków i za pomocą długopisu pokazał, o czym mówi. - A weźmy na przykład tych na fryzie - cyklopa występuje...

- Widziałam jeden taki, Richardzie. Biedaczka miała tego więcej... jedno za drugim.

- Spójrz na tego tutaj. - Wskazał długopisem postać, którą wzięłam za blemmyae. - Oto przykład anencefalii u dziecka z wodogłowiem. Znaczne powiększenie czaszki, brak karku, podbródek przygięty do klatki piersiowej... w taki sposób, że oczy i usta wydają się w ciebie, a nie w głowie... No i ta syrena. Ma zrośnięte nogi; ten przypadek nazywa się syrenomelią. Jej dłonie też są zrośnięte...

- To syndaktylia, prawda? Ta dziewczynka też to miała.

- Syndaktylia dotyczy wielu deformacji dłoni, a jedną z najcięższych jej form jest to, na co cierpi ta istota... - Wskazał na mężczyznę z kleszczami zamiast dłoni. - Różnie to nazywamy: rozszczep ręki, rozdwojenie ręki, a nawet ręka kraba. Bardzo dużo tu terminologii odzwierzęcej. Prawdopodobnie rzeźbiarze też starali się znaleźć zwierzęce cechy w tym, co przetwarzali. Usiłowali zrozumieć, z czym mają do czynienia. Tutaj mamy niezły przykład - człowiek z głową lwa. Powiedziałbym, że cierpi na chorobę Piageta: kości czaszki rosną bez przerwy i są niezwykle grube i masywne... bardzo bolesne dla chorego. To coś tutaj, co wygląda jak ośmiornica, to połączone ze sobą

bliźnięta, ich twarze zlały się ze sobą, tworząc ponadwymiarową pojedynczą czaszkę, z której na zewnątrz uformowała się trzecia twarz. A to nie jest osiem macek, tylko nogi i ramiona.

Jeżeli Richard miał rację, to wiele z wyimaginowanych ras przedstawianych w książkach, mapach i średniowiecznych rzeźbach musiało być projekcjami tego, co widziano przy porodach, znajdowano w kątach ciemnych nor lub oglądano w klatkach pokazywanych po wsRichard popatrzył znad fotografii.

- Hej, siostrzyczko, muszę powiedzieć, że jestem tym wszystkim zafascynowany. To pewne, że moi koledzy lekarze też chcieliby to zobaczyć. Może mogłabyś mi wysłać fotografie e-mailem razem z informacją na temat tych drzwi?

- Pewnie, nie ma sprawy.

To, do czego doszliśmy z Finianem, pokrywało się z twierdzeniami Richarda. Jasne było, że drzwi kościoła opactwa przesiąknięte były umoralniającymi kazaniami i drastycznymi ostrzeżeniami przez seksem i prokreacją. Nasuwało się pytanie, nie biorąc pod uwagę sił nadnaturalnych: Na kogo nakierowana była cała ta potężna symbolika? Kto był celem?

Nie wygląda na to, żeby ich adresatkami były ciężarne dziewczęta, którymi od wieków opiekowały się zakonnice. One już zdążyły oddać się przyjemnościom ciała, więc to nie im należało się kazanie. Opactwo było miejscem odosobnienia, w którym posługujące w szpitalach siostry odpoczywały i odnawiały się duchowo... Czy to możliwe, że to same zakonnice były celem? Ale dlaczego? Czy ktoś uznał, że ciągłe odbieranie porodów, a następnie oddawanie dzieci do adopcji może wywołać u zakonnice instynkt macierzyński? No i były jeszcze postulanki: może to dla nich stworzono ilustrowany przewodnik po niebezpieczeństwach grzesznego prowadzenia się, a dopiero po przestudiowaniu go pozwalano na bliższy kontakt z aktywnymi seksualnie dziewczętami?

Richard wstał z krzesła i oddał mi zdjęcia.

- To interesujące, jak można leczyć takie choroby. Nawet dzisiaj. Na pewno jesteś w stanie zrobić coś z syndaktylią, jeśli oczywiście zajmujemy się nią odpowiednio wcześniej. Tak samo z hiperteloryzmem.

- A co to jest?

Wskazał *cynocephalus*.

- Na to cierpi ten nieszczęśnik. Przednia kość czaszki rozrasta się w taki sposób, że w efekcie mamy szeroko rozstawione oczy, a nozdrza skierowane są do góry. Zanim wynaleziono korekcyjne techniki operacyjne, ci biedacy - ludzie-psy - musieli znosić wyzwiska. Na dodatek, wady budowy ust i podniebienia sprawiały, że ich głos był dziwnie dychawiczny.

Byłam w szoku, ale nic nie dałam po sobie poznać, chociaż Richard musiał uznać moją reakcję za nieco dziwną.

- Tak, wiem - powiedziałam.

Z biura zadzwoniłam do Gallaghera.

- Mój brat właśnie potwierdził, że nie wymyśliłam postaci, którą widziałam w środę wieczorem w kościele. Jestem prawie pewna, że ktoś w opactwie ma wadę wrodzoną, która zniekształca twarz i uniemożliwia normalne oddychanie. On lub ona była na moim patio tamtej mglistej nocy, przy kostnicy w Droghedzie i - jestem przekonana - obok Newgrange w nocy, po której znaleziono ciało O'Hagana. A przecież sam O'Hagan opowiedział mi o białej postaci widzianej w pobliżu Monashee, w czasie gdy zamordowano Traynora.

- A skąd twój brat wie, że ten ktoś pochodzi z opactwa?

- Nie wie. Ale ja wiem, choć nie na pewno. To staje się coraz bardziej prawdopodobne. Siostra Gabriel, była członkini wspólnoty, powiedziała mi, że tamtejsza kościelna nosiła stary habit i welon, od którego pochodzi nazwa „Pszczelarki”. Opisała mi ją jako głuchą i głupią staruszkę, ale może się pomyliła. Albo ktoś inny z opactwa - jak postać, którą spotkałam w kościele - używa habitu jako przebrania.

- Okej, sprawdzę to.

- Powiedziała mi coś jeszcze: robotnicy odkopali coś w krypcie opactwa. Może to mieć związek z miejscem, na którym je zbudowano. Siostra Gabriel chyba się tego bała. Może warto dokładnie popytać, poszerzyć wiedzę o historii tego miejsca.

- W porządku, zajmę się tym. Ale p o rozmowie z ministrem.

Nie bardzo mi się to spodobało.

- Ale przecież nie wydobrzeje do Nowego Roku.

- Też tak myślałem, ale bliskie spotkanie z latającą cegłą zainspirowało go do zwierzeń. Zgodził się porozmawiać ze mną w szpitalu, dzisiaj po południu.

- Bardzo się cieszę. Będziesz mógł potem zadzwonić do opactwa Grange?

- Tak, Illaun, będę mógł. Nawet jeśli mamy Wigilię i wolałbym siedzieć ze swoimi dziećmi - powiedział ostro. - Ale skoro mamy mordercę, nikt mnie nie pogania do wypytywania gromadki średniowiecznych zakonnicy o jedną z ich sióstr, która może lubić przechadzkę po okolicy. Nikt, oprócz ciebie oczywiście.

- Przepraszam za natręctwo, Matt. To dlatego, że widzę, jak tracisz zainteresowanie po znalezieniu domniemanego zabójcy. A co słysząc u Keelana, tak przy okazji? - spytałam, zanim zdążył zaprotestować.

- Nadal jęczy. Nadal twierdzi, że jest niewinny.

- Miałam jeszcze o coś spytać - w dzień śmierci Traynora opuścił stanowisko pracy przy kostnicy pomiędzy piątą a szóstą po południu. Mówił, dokąd pojechał?

- O, tak. Najwyraźniej pojechał do domu Traynora i rozmawiał z jego żoną. Historia się składa w całość - chyba tylko ona.

- Zadzwonił do domu Traynora? Po co?

- Twierdzi, że starał się sprzedać mu kościaną rzeźbę.

- Co ma sens, jeśli nie popełnił tych morderstw.

- Nieprawda, Illaun. Ma sens, jeśli ktoś stara się stworzyć dla siebie alibi. Liczył, że ciało przez jakiś czas nie zostanie odkryte. Trudno będzie ustalić dokładny czas śmierci, który najprawdopodobniej obejmuje godzinę, kiedy to pukał do drzwi domu swojej ofiary. Tak więc z kilku powodów jest prawdopodobnym podejrzanym.

- Co jeszcze okazało się prawdą?

- O co chodzi?

- Nie ma co, uczucie się starannego dobierania słów. Powiedziałaś „chyba” tylko jedna historia, która składa się w całość. A jakie są inne?

- Yyy... prezent, który kupił siostrze wczoraj w Castleboyne. Ma dowód płatności kartą kredytową z wyszczególnioną datą i godziną.

- Tak więc nie mógł próbować zabić Dereka Warda.

- Ale mógł to być jego współnik.

Gallagher ciągle bronił swojej teorii. Ciekawe, co musiałyby się stać, żeby zmienił zdanie?

Rozdział 32

Szybko przebiegłam z mroźnego podwórka do holu w Brook-field, gdzie, zgodnie z wiejską tradycją na środku stała ogromna choinka. Finian przytulił mnie na powitanie i wprowadził do salonu.

Widok zaparł mi dech. W każdym możliwym miejscu, na stołach, ławach, za obrazami, wzdłuż karniszy i lambrekinów, w wazach, na gzysie kominka - wszędzie była zieleń. W girlandach i pojedynczych gałązkach, w wieńcach i bukietach. Paprocie, liście, bluszcz i inne pnącza, pęki sosny, nawet gałązki jemioly - lecz żadnego ostrokrzewu. Z zielenią kontrastowały złote wstążki i czerwone świece, z których dwie, znajdujące się po dwóch stronach złoczonego zegara stojącego na gzysie, były zapalone.

- Po przeczytaniu tego artykułu w „Meath Chronicie” pomyślałem, że mógłbym odtworzyć dekoracje, jakie nasi przodkowie przygotowywali na święta. Wykorzystałem wszystko zielone, co tylko znalazłem w ogrodzie.

- Jest przepięknie. A przy okazji, wesołych świąt. - Wręczyłam mu prezent, który kupiłam w październiku w Toskanii - butelkę Brunello di Montalcino 1997 oraz najlepsze *vin santo*, jakie mogłam znaleźć w mieście.

- Jak cudownie. Wesołych świąt. - Pocałował mnie w policzek.

Właśnie miałam usiąść, gdy Finian, stawiając swoje wino na stole, poprosił, bym pozostała przez chwilę w tej samej pozycji.

- Chcę, żebyś coś zrobiła - powiedział. - Widzisz, jak niektóre z dekoracji powiązane są złotą wstążką w bukiety? Jedna z tych wstążek nie jest tym, na co wygląda. Chcę, żebyś ją odnalazła.

Przeszłam powoli dookoła pokoju i dotarłam do kominka.

- Ciepło, ciepło. I nie chodzi tylko o kominek.

Spod gzysmu zwisał zielony feston przewleczony złotą wstążką. I wtedy dostrzegłam to. Pod samym zegarem opasywał girlandę złoty naszyjnik - ten, który oglądaliśmy w Dublinie w noc przyjęcia. Sięgnęłam, by go dotknąć i sprawdzić, czy jest tam naprawdę.

- Weź go - powiedział Finian. - Jest twój.

- Ale kiedy? Jak...? - To była zupełna niespodzianka.

- Przymierz - odpowiedział.

- Taki naszyjnik był ozdobą Bogini, nie wiem, czy jestem godna - powiedziałam ze sztuczną skromnością. Był cięższy, niż mi się wydawało, lecz gdy go założyłam, dopasował się idealnie i jakby stracił swój ciężar.

- Wesołych świąt, Bogini - powiedział, podchodząc do mnie z wyciągniętymi ramionami.

- Jest piękny - powiedziałam. - Dziękuję. I dziękuję za to wszystko. - Rozejrzałam się jeszcze raz dookoła.

Objął mnie.

- Kocham cię, Illaun - powiedział, całując mnie delikatnie w usta. Przez kilka chwil patrzyliśmy sobie w oczy. Potem pocałowaliśmy się znowu, na początku czule, potem namiętnie, z pragnieniem, którego długo sobie odmawialiśmy.

Gdy nareszcie oderwaliśmy się od siebie, pragnęłam go i wiedziałam, że on podzielał moje uczucia.

- Będziemy musieli poczekać jeszcze troszeczkę - wyszeptał. - Podejdz tu, mam tu coś jeszcze. - Z gzysmu wziął kopertę i wręczył ją mnie. - Otwórz.

W środku było połączone zaproszenie, na którym napisano:

Finian Shaw zaprasza

Illauun Bowe

na

BAL NOWOROCZNY

w Bunraskin House Hotel w Celbridge

Powitanie z szampanem - Kolacja - Pokaz ogni sztucznych

Nocleg w apartamencie

- Apartament ma także pojedyncze łóżko - powiedział, uśmiechając się. - Możesz do tego czasu nie podejmować decyzji.

- I wszystko to w Celbridge. - Łzy napłynęły mi do oczu. W innym wypadku powiedziałabym mu, że między Peterem Huntem a Marie Maguire do niczego nie doszło. Lecz teraz nie zamierzałam psuć tej wyjątkowej chwili złymi wróżbami.

- Och, Finianie, włożyłeś w to tyle troski. Kocham cię.

- Łzy popłynęły mi po policzkach.

Znowu mnie przytulił.

- Tak bardzo czekałem na tę chwilę... Ale nie byłem pewien, czy czujesz to samo.

- Och, Finianie, jak mogłeś w to wątpić?

- Ponieważ... no cóż, wiedziałem, że łączy nas coś szczególnego, ale myślałem, że nie chcesz tego zmieniać, nie komplikować.

- Ostrożny, jak zwykle.

- Tak, ale teraz precz z ostrożnością. - Podeszedł do mnie i zakręcił mną dookoła. - To będzie moje postanowienie noworoczne: „Do diabła z ostrożnością!”

Roześmiałam się.

- Bardzo dobrze. Wypiję za to w sylwestra. Może rozpakujesz teraz swój prezent?

Usiadł, odwinął papier i wyciągnął wino ze specjalnego pudełka.

- Hej, wygląda bardzo obiecująco - uśmiechnął się szeroko.

- Zachowam je na specjalną okazję. - Postawił butelki na stole, gdzie błyszcząły w świetle świec. - Zobacz, jak pasują do dekoracji.

Rzeczywiście, czerwone i złote wstążki idealnie dopasowane były do zawartości butelek.

Zegar na gzymsie kominka wybił szóstą.

- Zrobiłem wcześniej grzane wino. Chcesz trochę? – Finian wydawał się nie zauważać upływającego czasu.

Bardzo chciałam zostać, ale obiecałam mamie pomoc przy przygotowywaniu świąt przez pójściem do kościoła. Wiedziałam również, że ten moment był wyjątkowy.

- Bardzo chętnie - odpowiedziałam, próbując zdjąć naszyjnik.

- Pozwól mi.

- Mmm... poproszę o jeszcze.

Finian rozpiął kołnierzyk, całując mnie przy okazji w kark. Na całym ciele poczułam rozkoszne dreszcze.

Jednak nie doczekałam się. Oboje usłyszeliśmy miarowe stukanie laski po schodach i wołanie Arthura, by Finian do niego dołączył. Finian odpowiedział, że już idzie i zaczął gasić światła w pokoju.

- Cieszę się, że wyjaśniliście sobie wszystko z Maeve.
- A ty?
- U mnie też pokój na Ziemi.

Finian podszedł i objął mnie ramieniem.

- Za tydzień będziemy razem.
- Tak - odpowiedziałam. - Na pewno.

Rozdział 33

Skręcałam właśnie na podjazd przed moim domem, gdy zadzwonił Gallagher.

- Nareszcie wiemy, co Traynor miał na Warda. Ward powiedział nam wszystko.

- Poczekaj chwilę. - Zaparkowałam samochód. - Już możesz.

- Nie powinienem ci tego mówić, ale będziesz mi suszyć głowę, a ja chcę mieć spokojne święta. Tak więc wygląda to tak: dwadzieścia pięć lat temu Ward i Champion zostali kochankami. Traynor znosił to bardzo źle. Urządzał mnóstwo ohydnych scen po pijanemu. Champion nie mogła tego znieść i zdecydowała skończyć romans z Wardem. Później doznała przyływu religijności i wstąpiła do zakonu szpitalniczek. Wygląda na to, że zawsze miała skłonności do zachowań nieprzewidywalnych. Została umieszczona w zakonie w północnym hrabstwie Dublin, ale podtrzymywała kontakty z Wardem. Czas płynął. Powołanie religijne Champion trochę osłabło. Ward zaaranżował pożegnalne spotkanie. Ona wymknęła się nocą, upijając się, idąc do łóżka, a ona zachodzi w ciążę. Lecz udaje jej się zachować wszystko w tajemnicy. Dziecko rodzi się przy pomocy Ursuli Roche... słu - Oczywiście.

- Okej. Dalej jest coś, co cię zainteresuje. Dziecko rodzi się martwe. I zgadnij, co? Chowają je na Monashee.

- Najwyraźniej Traynor musiał się dowiedzieć. Ale jak?

- Zaraz po wszystkim Champion napisała do Warda i opowiedziała, co się wydarzyło. Lecz, niestety, Ward pokazał list Traynorowi w trakcie pijackiej libacji kilka lat później. Właśnie po raz pierwszy wygrał wybory, Traynor dofinansował jego kampanię, więc uznał, że najwyższy czas zapomnieć o przeszłości. Traynor jednak tak nie uważał. W tym samym czasie Champion została przełożoną opactwa Grange, a Ward miał się wkrótce

żenić. Traynor oświadczył, że ujawni wszystko, jeśli Ward nie będzie tańczył, jak on zagra.

- I przez wszystkie te lata używał tej groźby dla korzyści majątkowych?

- I wciągał w pułapkę innych, na przykład Muriel Blunden. Stawał się również coraz bardziej chciwy. Ward uważa, że wywierał również presję na samą Champion, by wyprzedawała dla niego własność klasztoru poniżej jej rynkowej ceny. Twierdzi, że powodem, dla którego wspierał plan Traynora w sprawie hotelu, była świadomość, że Champion wyjedzie po sprzedaży wszystkiego, więc osłabi się również władza Traynora nad nimi obojgiem. To może wyjaśniać, dlaczego Traynor działał tak szybko.

- Chciał zmusić ją do pozostania.

- Właśnie. Mimo że wycisnął wszystko z niej i z zakonu, potrzebował jej, by trzymać w szachu Warda.

- Hmm... tak więc zaczyna przekopywać pole, tylko po to, by traktowała go poważnie. Raczej nie po to, by znaleźć szczątki. Wtedy, gdy koparka rzeczywiście wydobywa ciało niemowlęcia, zakłada, że to jej dziecko, ponieważ nie ma pojęcia o wcześniejszym przeznaczeniu miejsca i o tym, że może tam się znajdować więcej ciał.

- Czy możliwe jest, że znalezione przez was dziecko urodziła Champion? - spytał Gallagher.

- Nie. Nawet jeśli dopuścimy błąd pięciu czy dziesięciu lat po obu stronach w datowaniu radiowęglowym, to noworodek zmarł czterdzieści do pięćdziesięciu lat temu, a w przypadku Champion mówimy o mniej niż trzydziestu latach.

- Ale Traynor tego nie wiedział, prawda?

- Prawda. Założmy więc, że kontaktuje się z siostrą Champion i mówi, że znaleziono szczątki jej dziecka i jeśli to będzie konieczne, zrobi badania DNA.

- To ją na pewno bardzo porusza, więc może nie reaguje odpowiednio i nie mówi, że to wcale nie musi być jej dziecko. Zgadza się na wszystko.

- Ale dlaczego tak się tym przejmuje? Poczęcie dziecka może jest grzechem, ale na pewno nie przestępstwem.

Gallagher zamilkł na kilka sekund. Oboje zastanawialiśmy się nad tym samym.

- Chyba że... dziecko siostry Campion nie było wcale martwe. Może zostało zamordowane. - Cieszyłam się, że to wyszło z j e g o ust. Zapędził się w kozi róg.

- To by mnóstwo wyjaśniło - powiedziałam.

- Umówiłem się na przesłuchanie siostry Campion o siódmej.

- To za mniej niż godzinę.

- Och! Gdzie?

- O ósmej w opactwie jest jakieś nabożeństwo.

- Tak, mówiła o tym siostra Gabriel. W Wigilię odprawiają coś między nieszporama a pasterką. Podobno nigdy nie uczestniczyli w tym mężczyźni, ale wydaje mi się, że zwyczaj zmieniono.

- Może wezmę udział?

- Mówisz poważnie?

- No co ty? Chciałbym zobaczyć się z dziećmi, zanim nie pójda spać.

- Czy Fitzgibbon jedzie z tobą?

- Nie. Są święta. Ma wolne.

Zaniepokoiłam się.

- Chyba nie powinieneś jechać tam sam.

- Hej, o co chodzi? To żeński klasztor, a nie obóz terrorystów.

- Wiem, ale coś z tym miejscem jest nie tak. Po prostu... bądź ostrożny, dobrze?

- Nie martw się. To tylko wstępna wizyta, rekonesans. Za kilka dni znowu tam pojedę.

- Ale obiecaj, że zadzwonisz albo wyślesz esemesa, jak tylko stamtąd wyjedziesz.

- Dobrze. Tak więc nie będę ci jeszcze życzył wesołych świąt. Jeśli się nie odezwę, to przyjedź i sama wydobądź ode mnie życzenia.

- Ostatni wers jeszcze raz, soprany głośniej, nie tak nieśmiało.

Gillian powtarzała z nami kilka kolęd, które wymagały jeszcze dopracowania przed rozpoczęciem wieczornej mszy wigilijnej.

Rozpoczęliśmy trzecią linijkę kolędy *Pewnego razu w królewskim mieście Dawida*, ale Gillian nie była z niej zadowolona i organy zamilkły.

- Tenory i basy, znosicie się wzajemnie. Zacznijmy do góry raz jeszcze... soprany, alty, gotowi?

Ludzie powoli zaczęli napływać do kościoła, mimo że do nabożeństwa pozostała jeszcze prawie godzina. Kiedyś msza odprawiana była o północy, lecz z upływem lat została przesunięta na godzinę, która wydawała się bardziej odpowiednia dla uczestnictwa rodzin. Zmniejszyło to liczbę pijaków, którzy akurat wytaczali się z pubów i wstępowali do kościoła, aby zakłócać ceremonię chrapaniem i

Nie potrafiłam się skupić wyłącznie na nabożeństwie. W myślach wciąż przypominałam sobie scenę w salonie Finiana, zupełnie jakbym ponownie w samotności otwierała zapakowany prezent. Zieleń, złote dodatki, ogień na kominku, celtycki naszyjnik, pocałunek... Byłam tym tak upojona, że od tamtego czasu nie nakładałam na usta szminki, chciałam, żeby pocałunek wciąż na nich trwał. Jak nigdy, wciąż muskałam wargi palcami. Jeszcze tam był. Czułam pożądanie, które odbijało się tępy, acz przyjemnym bólem. Na swój cichy sposób Finian przez cały ten tydzień zalecał się do mnie; wszystko to stanowiło preludium do olśniewającej sceny, która odbyła się dzisiejszego wieczoru. W pewnym sensie mną manipulował, ale przecież wszystkie romantyczne gesty do tego się sprowadzają. Jeśli kobieta chce, by jej zalotnik zachowywał się szczerze, nie wolno jej go zawieść, kiedy podejmie tak wspaiały wysiłek. Teraz rozkoszowałam się ciepłym blaskiem świadomości, że Finian wreszcie

Właśnie skończyliśmy kłaść ostatnie szlify na kolejnej kołodzie, gdy ojciec Burke, nasz siwowłosy proboszcz, wszedł na chór, by zamienić słowo z Gillian. Kiedy omawiali drobne szczegóły nocnej liturgii, uderzyło mnie, że skoro kościół został odarty z naczyń liturgicznych oraz elementów wyposażenia, to pewnie cofnięto mu konsekrację. Jeśli tak, to jakiego rodzaju nabożeństwa zakonnice odprawiały w tej chwili? Powinnam była powiedzieć Gallagherowi o mężczyznach śpiewających w klasztorze o jagodach ostrokrzewu, ale bałam się ośmieszenia. Znowu przypomniał mi się *The Wicher Man*: pogaństwo mieszkańców wyspy manifestowane w śpiewanych przez nich balladach i zawstydzających tańcach płodności. Czy na pewno odwiedzający opactwo funkcjonariusz policji, nawet jeśli j e s t chrześcijaninem, przejdzie

obok tego obojętnie? Zależy od tego, czy poważnie traktuje swe przekonania. Jak okazało się, zakonnice traktują swoje śmiertelnie poważnie.

Ojciec Burke złożył wszystkim życzenia wesołych oraz spokojnych świąt i wyszedł. Gillian usiadła znów do organów i zaczęliśmy śpiewać nasze kołędy. Kościół po brzegi napełniał się wiernymi. Tuż przed tym, jak ojciec Burke i uczestnicy nabożeństwa weszli w procesji z przedsionka przez zachodnie drzwi, wysunęłam z torebki telefon komórkowy i sprawdziłam wyświetlacz. Nie otrzymałam żadnych wiadomości.

Próbowałam rozwiać rosnący niepokój i skupić się na odprawianym właśnie nabożeństwie - dla mnie najradośniejszej i najbardziej nieskrępowanej spośród wszystkich chrześcijańskich ceremonii. Teoretycznie najważniejszym świętem jest Zmartwychwstanie, obchodzone podczas Wielkanocy - wielkie zwycięstwo nad śmiercią, zapowiadające los, jaki oczekuje nas wszystkich. Ale jest ono nazbyt bezpośrednią kontynuacją wydarzeń, które odkrywają przed wszystkimi ciemną stronę ludzkiej natury. Boże Narodzenie nie wymaga od nas zadumy nad mrocznymi popędami człowieka. Zmusza nas do udziału w cudzie i nadziei narodzin, w momencie życia, który, bez względu na okoliczności, głęboko wzrusza wszystkich, którzy go doświadczają.

Jesteś naiwna, Illaun. Nie każde narodziny są powodem do radości. Pomyśl o tym, co widziałaś w kostnicy, pomyśl o rzeźbieniach nad wejściem.

Nie, nie chcę o tym myśleć. Śpiewajmy!

Cicha noc, święta noc Pokój
niesie ludziom wszem

Pomyśl o Herodzie.

A u źłóbka Matka Święta
Czuwa sama uśmiechnięta,

Pomyśl o tym, co widziałaś w kostnicy.

Nad Dzieciątka snem.

Pomyśl o Traynorze i O'Haganie, o ich pozbawionych warg ustach, z których wysypywały się jagody ostrokrzewu.

Nad Dzieciątka snem.

Wyszłam z kościoła tuż po zakończeniu mszy, nie zamieniając ani jednego słowa z żadnym z moich znajomych. Gdy tylko znalazłam się na zewnątrz, ponownie sprawdziłam wyświetlacz. Gallagher nie dał znaku życia. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbierał. Zadzwoiłam do komisariatu policji w Droghedzie, wyjaśniłam, kim jestem i poprosiłam o domowy numer komisarza. Oficer, z którym rozmawiałam, nie mógł go znaleźć, więc poprosiłam o numer telefonu komórkowego sierżanta Fitzgibbona. Otrzymałam go, wystukałam na klawiaturze i usłyszałam jego głos. W tle dobiegały mnie chichoty i głośna muzyka, sierżant nie mógł więc zrozumieć, co do niego mówiłam. Był w pubie. Zaproponowałam, żeby wyszedł na zewnątrz, co uczynił z ociąganiem.

- Ale o co chodzi? Tu jest cholernie zimno.

Wyjaśniłam mu, że Gallagher miał zamiar pozostać w opactwie Grange nie dłużej niż godzinę i obiecał, że do mnie zadzwoni, kiedy stamtąd wyjedzie.

- Prawdopodobnie pojechał odwiedzić dzieciaki.

- Odwiedzić?

- Taa, niedawno rozstał się z żoną. Dzieciaki zostały z nią.

- Ma pan do niej numer?

- Nie. Nie są w dobrych stosunkach. A Matt przeprowadził się niedawno do nowego mieszkania i jeszcze nie ma telefonu. Najlepiej pani zrobi, jeśli będzie pani próbować na komórkę.

To było bezcelowe.

- Cholera, sierżancie, nie martwi się pan o niego?

- Ale dlaczego miałbym się martwić? Zamknęliśmy gościa, który dokonywał tych morderstw. Moim zdaniem, jak tylko Matt wsadzi dzieciaki do łóżek, strzeli sobie zasłużone piwko. Co mi przypomina, że moje czeka na mnie w środku. Wesołych świąt.

Fitzgibbon nie chciał wiedzieć. Ale była przecież Wigilia, więc nie mogłam go o nic winić.

Gdy wróciłam do domu, Richard i Greta oglądali w telewizji baletową wersję *Królowny Śnieżki*. Wyglądało na to, że Eoin zasnął ledwie pół godziny temu. Choinka stała rozświetlona w salonie przy oknie. Mama zaciągnęła zasłony i na parapecie postawiła zapaloną czerwoną świecę. Była teraz w kuchni, dodawała goździki i wkładała plastry ananasa na znajdujący się z wierzchu szynki tłuszcz. Mięso najpierw przez trzy godziny dusiło się na wolnym ogniu w piwie, potem musiało wystygnąć. Proces miała wieńczyć warstwa brązowego cukru i godzina pieczenia w piekarniku.

Przez chwilę pooglądałam balet, a potem poszłam do kuchni. Za plecami mamy wzięłam kawałek szynki i włożyłam do ust. Soczysta i pikantna jak zawsze.

- Idę spać - powiedziała mama, wkładając naczynia do zmywarki.
- Nie siedź długo, jesteś wykończona.
- Dobrze - odpowiedziałam i pocałowałam ją w policzek.

Wyjęłam z lodówki karton mleka i właśnie sięgałam po szklanekę, kiedy moją uwagę przykuły zabawki, którymi bawił się Eoin. Coś z nimi było nie tak. Znajdowały się w koszyku na różności, obok szynki. Odstawiłam szklanekę i odsunęłam Spidermana. Moim oczom ukazała się statuetka, którą Keelan próbował sprzedać Traynorowi.

Rzeźba zupełnie wypadła mi z głowy; kiedy ją ostatnio widziałam, Gallagher przekładał ją z rąk do rąk. Założyłam, że zabrał ją ze sobą jako dowód, ale musiała wpaść za kanapę. Teraz okazało się, że cały dzień bawił się nią Eoin.

Napełniłam szklanekę, usiadłam na taborecie i wyłowiałam statuetkę z koszyka. Richard i Greta przyszli powiedzieć dobranoc. Sprawdziłam czas: dochodziła północ. Finian już na pewno wrócił i nalewał sobie właśnie lampkę wina. Wysłałam mu esemesa z prośbą o telefon i wyciszyłam komórkę.

Kobiety, jako symbole płodności, były przedstawiane na tyle sposobów, na ile pozwalała natura, a nawet więcej: od diw o biodrach rozmiarów balonu i nogach- oponach, z ogromnymi brzuchami i obwisłymi piersiami, po symboliczne, przedstawiane za pomocą pojedynczych kresek, ze stylizowanymi, abstrakcyjnymi cechami. Figurka, którą trzymałam w ręku, miała proporcje niskiej, przysadzistej kobiety. Jej twarz była pogodna, włosy leżały płasko po obu stronach głowy, nos i brwi tworzyły ciągłą

literę T, otaczającą oczy w kształcie migdałów. Usta miały postać enigmatycznej szpary. Była naga, nie licząc opaski na głowie i naszyjnika. Dłonie trzymała złączone pod jabłkowatymi piersiami, poniżej łagodnie rysował się brzuch, tworząc trójkąt, zaznaczony skromnie złączonymi nogami.

Z tyłu jej nagość była w pewnym sensie zmysłowa, pewnie dlatego, że biodra i pośladki były niezwykle gładkie i zaokrąglone, naszyjnik zaś dodawał jej kokieteryjności. Jeśli to miała być brzydka siostra, to Złotowłosa musi wyglądać fantastycznie. Mogłam też zauważyć, że wryta w kości ozdoba szyi w rzeczywistości stanowiła próbę odtworzenia celtyckiego naszyjnika symbolizującego boginię

Odróciłam figurkę do góry nogami i zdałam sobie sprawę, że była pusta w środku, wykonano ją z kości zwierzęcej, w sposób umożliwiający pozostawienie w podszwach stóp okrągłego otworu. W otworze było jednak coś, co sprawiało, że nie wyglądał naturalnie. Wzięłam do ręki szkło powiększające i dokładnie obejrzałam podstawę. Wejście otworu zostało celowo powiększone i zaokrąglone, tworząc schodek, okalający wnętrze krawędzi.

Co to mogło oznaczać? Czy figurka była pierwotnie na czymś osadzona? Czy stanowiła, jak pierwotnie założyłam, drugi wisior, który Mona nosiła na szyi? Jeśli to była prawda, to dlaczego nie miał on żadnej pętli lub dziurki, przez którą można byłoby go zawiesić na skórzanym rzemyku?

Nagle zrozumiałam. Figurka była zawieszona na drugim wisiorze.

Komórka zawibrowała. Dzwonił Finian.

- Jak się masz? Miło i przytulnie? - Zniżyłam głos.
- Tak, moja kochana. Słyszę, że coś cię trapi. Co się stało?
- Martwię się o inspektora Gallaghera. - Opowiedziałam mu o naszej rozmowie.

Finian starał się myśleć pozytywnie.

- Jeżeli miał pojawić się u rodziny, a tego nie zrobił, to na pewno szuka go już cała policja.

O tym nie pomyślałam. Pewnie byłam pod wpływem słów Fitzgibbona o Gallagherze i jego byłej żonie. Poczułam ulgę.

- Chciałam ci jeszcze coś powiedzieć. - Opisałam figurkę i sposób, w jaki mogła być użyta jako wisior.
- No to dlaczego tego nie sprawdzisz? Przecież masz ten drugi.

- Tak. Masz rację. Poczekaj chwilę.

Z telefonem i figurką w jednej ręce otworzyłam biuro, włączyłam światła i otworzyłam szuflady biurka. W jednej z dolnych znalazłam plastikowy woreczek zawierający falliczny przedmiot. Włożyłam telefon pod brodę, opowiadając Finianowi, jak wyjmuję wisior z torebki i podstawę wsuwam w otwór figurki.

- Muszę tylko... - Dodałam trochę siły i wcisnęłam go tak daleko, że podstawa zrównała się ze stopami. - Hej, pomyśl sobie. Nie tylko pasuje idealnie, ale nie można nawet poznać, że tam jest. Bardzo precyzyjnie wykonane.

- Z tego, co mówisz, wnioskuję, że noszono go do góry nogami.

- Tak.

- Wygląda mi na coś w rodzaju przenośnej świątyni, świętego obiektu. Najprawdopodobniej noszony był pod ubraniem, lecz nawet jeśli przypadkowo się odstaniał, nie od razu było wiadomo, co to. Podobnie, jak bardziej dosłowny przedmiot w nim ukryty.

- Tak więc jest to symbol płodności, reprezentujący zarówno siły męskie, jak i żeńskie. Nie dotyczy wyłącznie Boga lub Bogini, lecz ich obojga.

- I oczywiście czci seks, co łączy ją z zagadnieniem, nad którym zastanawiam się od kilku dni. Anglonormanie dostali papieskie przyzwolenie na inwazję, na długo przed postawieniem stopy na irlandzkiej ziemi. Otrzymali je po oskarżeniu nas o wszelkie możliwe niegodziwości, które chcieli wyplenić - ze szczególnym zwróceniem uwagi na praktyki seksualne. Aby usprawiedliwić swoje działania, mówili, że toczą moralną krucjatę. Oznaczało to, że musieli znaleźć jakieś biedne ofiary na potwierdzenie. Wydaje mi się, że naszynnik Mony został odkryty, co wzbudziło podejrzenia, że przykłada nadmierną wagę do spraw cielesnych. Mogła być nawet uznana za pogańską kapłankę. Najprawdopodobniej dlatego zginęła.

- To już chyba za dużo, nawet jak na tamte czasy.

- Na nieszczęście Mony i jej podobnych, Sobór Laterański coraz obsesyjniej ścigał herezję i dążył do podporządkowania sobie nawet świeckich zasad. Dodajmy do tego chęć powrotu Henryka II na łono kościoła po zamordowaniu Thomasa Becketa i mamy powód rozpoczęcia polowania na czarownice.

A, jak przypomniła mi siostra Campion, Henryk II przybył do Irlandii w 1171 roku.

Rozdział 34

Dawno, dawno temu, w środku zimy, gdy puszysty śnieg sypał się z nieba... piękna królowa siedziała przy kądzieli. Przypadkiem ukuła się w palec Uściem ostrokrzewu i trzy kropie krwi spłynęły na śnieg. Wtedy powiedziała: „ Gdybym mogła mieć córkę o cerze tak białej, policzkach tak różowych...

Policzkach tak czerwonych, jak ta jagoda, skórę tak czarną, jak węgiel...

Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie ? Greta Złotowłosa? Siostra Champion? Pan Słońce?

Wstrętna siostra Ursula zbiegła po schodach opactwa najszybciej, jak potrafiła... zegar wskazywał wschód słońca... „Zabierzcie Złotowłosą na Monashee”, powiedziała Ursula... „Zabijcie ją ostrym nożem i przynieście mi jej usta, uszy i oczy—”-

Kopciuszek zgubił lusterko, uciekając z krypty...

W szkle jest śmierć, krew na śniegu, zło w opactwie...

Luli, luli, małe dzieciątko...

Gdybym mogła mieć syna... Nie! Herod i Henryk przeleją jego krew... a wtedy jego skóra stanie się biała jak śnieg, czarna jak węgiel...

Czy kiedykolwiek będziesz miała dziecko?

- Nie, nigdy!

Obudziłam się z bijącym sercem, przestraszona własnym krzykiem. Jego siła była tak duża, że w gardle czułam ból.

Chaotyczny nocny koszmar opuścił mnie na skraju jakiegoś niejasnego objawienia, które zniknęło, gdy próbowałam przywołać je do rzeczywistości. Mój zegar wskazywał 4.05. Wkrótce w naszym domostwie nastanie świąteczny poranek. Zgodnie z moim i Richarda doświadczeniem, Eoin obudzi się za jakieś trzy godziny. Znowu sprawdziłam mój telefon - żadnej wiadomości od Gallaghera. *Jeśli się nie odezwę, to przyjedź i sama wydobądź ode mnie życzenia.*

To śmieszne. Gallagher najprawdopodobniej spał mocno we własnym łóżku. Ale musiałam się upewnić. A to oznaczało samotną wycieczkę. Finian był w Galway. Seamus Crean najprawdopodobniej leżał w szpitalu. Nie chciałam też niszczyć magii nocy świątecznej, budząc mojego brata czy Fran.

Zawarłam ze sobą układ. Jeśli zajadę do opactwa i nie zobaczę tam jego samochodu, zawrócę i odjadę uspokojona.

Po drodze nie spotkałam ani jednego samochodu. Ale wzdłuż drogi majaczyły różne cienie, a z krzaków połyskiwały czerwono oczy. W ciągu roku jest kilka momentów, gdy ludzie znikają. To był właśnie jeden z nich i zwierzęta korzystały z okazji, jak mogły.

Tak jak zakonnice z opactwa Grange. Zdałam sobie sprawę, że pierwszy dzień świąt był tym jedynym dniem w roku, gdy ich śluby nie obowiązywały. Gdy siostra Campion o tym mówiła, chciała przejść do szczegółów i wyjawić datę, ale szybko zmieniła zdanie. Ale w następnym zdaniu opowiadała o Bożym Narodzeniu i królu Henryku, więc to była jedyna możliwość. Nie chodzi o to, że zakonnice potrzebowały przyzwolenia na swoje postęпки; wyczułam, że Geraldine Campion po prostu musiała robić wszystko dokładnie.

Zaczęłam właśnie wjeżdżać w dolinę niedaleko Newgrange, gdy natknęłam się na mgłę. Nie zniknęła, nawet gdy wjechałam wyżej, w stronę opactwa Grange. Musiałam jechać powoli, wzdłuż wąskiej drogi, i wpatrywać się w każdy wjazd, dopóki nie spostrzegłam *La croix du dragon*...

Mgła zgęstniała jeszcze bardziej, gdy przejeżdżałam aleją i gdy dotarłam do budynku, nie można było już nic dojrzeć. Musiałam otworzyć drzwi i wsłuchać się w chrzęst żwiru, żeby upewnić się, czy na pewno byłam na podjeździe. Po wyłączeniu świateł znalazłam się w kompletnych ciemnościach, więc sięgnęłam do schowka po latarkę. Wysiadłam z samochodu i przekonałam się, że światło rzucane przez latarkę było bezużyteczne, gdy skierowało się ją przed siebie, więc oświetliłam sobie stopy, które zaraz miały wejść na żwir.

Z zerową widzialnością nie miałam szans zauważyć, czy znajdował się tu samochód Gallaghery, chyba że bym na niego weszła. Po kilku krokach zdałam sobie sprawę, że nie byłam w stanie określić, w którym kierunku idę. Poświeciłam latarką

dookoła, ale nic nie mogłam namierzyć - nawet powrót do samochodu mógł być problemem. Wtedy uderzyłam w coś palcem u nogi i ujrzałam krawędź pierwszego stopnia schodów wejściowych.

Gdy po nich wchodziłam, włączyło się światło zewnętrzne i otoczyło drzwi mgielnym nimbem. Wyłączyło się, gdy dotarłam do ostatniego stopnia. Dostrzegłam przytłumione światło, widoczne przez okienko nad drzwiami wejściowymi. Wtedy zauważyłam, że drzwi nie były całkowicie zamknięte, więc je pchnęłam. Zasuwa była odciągnięta. Ktoś niedawno wyszedł z domu i miał zamiar niedługo wrócić.

Hol tuż przy drzwiach był oświetlony, lecz schody i reszta wnętrza ukryte były w ciemnościach. Przejechałam światłem latarki po schodach i zobaczyłam, że nie było na nich dywanu. Miejsce wyglądało na opuszczone. Miałam wybór. Odnaleźć drogę do mojej hondy i poczekać na zewnątrz, dopóki mgła się nie rozwieje, lub zostać tutaj, gdzie przynajmniej mogłam widzieć wszystko dookoła.

Podjęłam decyzję i ruszyłam w kierunku schodów. Po dwóch zakrętach dotarłam do długiego korytarza i ruszyłam przed siebie. Po obu stronach znajdowały się pokoje, których drzwi były otwarte. Przechodząc, świeciłam latarką do każdego z nich, by stwierdzić, że wszystkie były puste. Zbliżając się do końca dormitorium, zdecydowałam się włączyć światło w jednym z pokoi i przyjrzeć się dokładniej. Lecz udało mi się to za trzecim razem, ponieważ nie wszędzie były sprawne żarówki.

W drewnianej podłodze brakowało klepek, tynk ze ścian odchodził płatami, ramy okienne pokryte były kurzem, a żarówka zwisała smętnie z sufitu. Nikt nie mieszkał w tym pokoju, i w innych, od

Wyłączyłam światło, dotarłam do końca korytarza i skręciłam w lewo do wysokiego krużganka z długimi oknami po lewej stronie, które, jak mi się wydawało, wychodziły na klasztor. Zbliżałam się do kościoła. Pojawiła się jeszcze jedna pomocna wskazówka - usłyszałam śpiew zakonnic. Jakie to mogło być nabożeństwo? Spojrzałam na zegarek - 5.50. Jutrznię odprawia się około północy lub godzinę później i najczęściej po niej następuje... lauda, o poranku. Ale świt miał nastąpić dopiero za jakieś dwie godziny.

Przeszłam przez drzwi na końcu krużganka i znalazłam się na półpiętrze, z którego odchodziło dwoje drzwi. Te na lewo prowadziły do klasztoru, drzwi naprzeciwko mnie musiały być wejściem do kościoła.

Otworzyłam drzwi prowadzące do kościoła i zajrzałam do środka. Kamienne schody schodziły w dół do pogrążonego w półmroku południowego transeptu. Lecz w nawie dostrzegłam światło i gdy zesłam po schodach w stronę skrzyżowania naw, ujrzałam, że światło rozmieszczone było wzdłuż ścian po obu stronach, odsłaniając zupełnie puste wnętrze kościoła. Po prawej stronie, w prezbiterium, stał na swoim miejscu marmurowy ołtarz, ale poza nim nie było nic. Na lewo naga posadzka prowadziła do zachodnich drzwi, które wyglądały na zamknięte.

Głosy dochodziły zza ołtarza - zakonnice najwyraźniej zebrały się na drugim końcu prezbiterium. Dopiero teraz mogłam zrozumieć, co śpiewały.

In hoc anni circulo

(Podczas rocznego przesilenia...)

Vita datur saeculo

(Życie dawane jest na nowo...)

Wspięłam się po schodach do ołtarza i zajrzałam za niego. Dokładnie za ołtarzem znajdował się kuty w żelazie płot z bramą po jednej stronie, otaczający schody do krypty. Dookoła porozrzucone lub oparte o płot były kilofy, młoty, młot pneumatyczny, wiadra, deski i taczki.

Zakonnice skończyły śpiewać kolędę. Pochyliłam głowę i obezszłam ołtarz, by mieć lepszy widok na wschodnią część kościoła. Wnęka była pusta, lecz pomiędzy nią a wejściem do krypty ustawiony był stojak, na którym znajdował się odtwarzacz płyt kompaktowych i zestaw głośników.

Coraz bardziej zdezorientowana, porzuciłam schronienie przy ołtarzu, przeszłam obok krypty do stojaka i wzięłam do ręki kilka pudełek płyt ułożonych w stosik obok odtwarzacza. Na pierwszej znajdował się napis: *Kolędy religijne i świeckie*

Nie musiałam oglądać następnych pudełek. Podczas moich poprzednich wizyt ani zakonnice opactwa Grange, ani żadni gościnni śpiewacy nie wykonywali tutaj kolęd. Muzyka pochodziła z płyt. Poczułam się ośmieszona. Zorientowałam się, że poprzedniej niedzieli siostra Campion upewniła się, że będę w pobliżu kościoła o określonej godzinie, abym nabrała przekonania o żywotnym charakterze tutejszej społeczności. Wyglądało jednak na to, że opactwo Grange zamieszkane było jedynie przez kilka zakonnice. Ale po co tyle zachodu? Musiały mieć coś do ukrycia. Ale niczego nie ukrywały, gdy podsłuchaliśmy je tamtej nocy z Finianem - po prostu odtwarzały muzykę, zajmując się swoimi sprawami. Oto co zostało z zimowej ceremonii płodności.

Brama do krypty była otwarta. Zdobiły ją motywy ostrokrzewu i pszczoły.

Podeszłam Blżej. *Wybudowana na piekielnej ziemi.*

Stopnie przyzywały mnie do siebie.

Podniosłam masywny młotek leżący wśród narzędzi na podłodze, włożyłam go do kieszeni mojej kurtki i zesłam w dół.

Na pierwszy rzut oka krypta wyglądała niczym typowa konstrukcja romańska. Składała się z kilku arkad, utworzonych przez okrągłe filary, oraz z niskich, okrągłych łuków, dzielących znajdujące się pod nimi nawy na głębokie wnęki o kolebkowych sklepieniach. Dwa przejścia były oświetlone, jedno prowadziło na prawo, drugie zaś prosto, w kierunku zachodniego końca. Zauważyłam, że znajdujące się tam filary zdawały się coraz wyższe - podłoga obniżała się.

Jeśli położona nad nami nawa została wybudowana na półce skalnej, która opuszczała się w przeciwnym kierunku, to aby skonstruować pierwszą, wschodnią część kościoła, z jakiegoś powodu wybudowano ją przy końcu drugiego obniżenia. Osiągnięto efekt podobny do znajdujących się w centrach handlowych dwóch ciągów ruchomych schodów, które, mimo że poruszają się w przeciwnych kierunkach, prowadzą w dół.

W krypcie czuć było wilgocia, w której dało się wyróżnić jeszcze jeden, równie nieprzyjemny zapach. Wybrałam korytarz prowadzący prosto i poruszając się wzdłuż kamiennych płyt, dotarłam do ostatniej wnęki, położonej z lewej strony. Zamykały ją żelazne pręty, przypominające klatkę w zoo. Brama był otwarta.

Wnętrze było słabo oświetlone, ale to, co zobaczyłam na przeciwległej ścianie, sprawiło, że weszłam do środka. Poruszając się w tamtym kierunku, oświetlałam ścianę latarką. Zmniejszyłam intensywność światła, aby móc patrzeć przez szkło wypełniające cały tył wnęki.

Na całej długości ściany znajdowała się gablota z ciemnego drewna, długa na jakieś cztery metry i mająca około dwóch metrów wysokości. Za szybkami, na półkach, znajdowały się ustawione rzędami różnej wielkości słoiki na okazy. Między słojami, na drewnianych plintach były umieszczone inne obiekty, które, kiedy przyjrzałam im się bliżej, okazały się małutkimi ludzkimi szkieletami. Niektóre nie były większe niż u ptaka; wszystkie miały widoczne zniekształcenia: brak żuchw, ogromne głowy, otwarte czaszki - w jednym przypadku cranium było fragmentaryczne, zupełnie jakby czaszka wybuchła. Przypominało to, co widziałam w gabinecie siostry Champion. Kilka szkieletów było ze sobą zrośniętych w okolicach klatki piersiowej lub głowy, większość z nich znajdowała się w pozycji kucznej bądź stojącej, delikatne kości trzymały się razem za pomocą szpilek i drucików.

W wypełnionych środkiem konserwującym słojach i butlach jaśniały szczątki równie mocno zdeformowanych noworodków; niektóre przypominały trudną do zdefiniowania bryłę ciała, inne miały rysy zniekształcone podczas umieszczania ich w szklanych pojemnikach. Ukształtowane były w dziwaczne formy. W niektórych słoikach znajdowały się same organy - mózg bez żadnych fałd, trzewia, które wydawały się wywrócone na lewą stronę. Zobaczyłam też pojemnik, w którym pływała sama głowa, jej twarz dzieliła szeroka szczelina prowadząca od ust do brwi. Obok umieszczony był cały płód z dodatkową głową wyrastającą z otwartych ust.

To było owe „szkło”, które zawierało sekret opactwa, nie zaś witraż - autentyczne okazy, których podobizny wyrzeźbiono na zachodnich drzwiach.

W podstawie gabloty znajdowały się dwie szuflady. Wysunęłam jedną z nich i zobaczyłam kilka spleśniałych, niewypełnionych etykietek, przeznaczonych, jak się domyślałam, do opisanie słoików, które nie były oznaczone. W drugiej szufladzie leżały

jakieś przywieszki wypełnione odręcznym charakterem pisma, ale tusz albo był wyblakły, albo pokryty pleśnią w stopniu uniemożliwiającym odczytanie. Szybko przejrzałam wszystkie i znalazłam jedną, którą dało się odcyfrować.

*Dtto Gi vann Pergo esi
stituto An tomia
Uni Bologn*

Były tam też jakieś cyfry, które złożyłam w datę: 1634. Na innej etykietce odczytałam:

*ndrew Mac Pherson
ekarz z Edynurga*

Wyglądały na karteczki z adresami. Nic dziwnego, że Monashee nie pękało w szwach od ludzkich szczątków. Wygląda na to, że przez pewien okres pszczelarki nie zbierały miodu, ale ludzkie noworodki, handlując zakonserwowanymi zwłokami i ponownie złożonymi szkieletami zdeformowanych niemowląt. Można założyć, że znajdowały chętnych odbiorców wśród szkół medycznych w Europie oraz wśród prywatnych kolekcjonerów. Preparatów z krypty używano prawdopodobnie do nauczania, niektóre zaś, jak było w przypadku dwóch, które miały znaleźć się w Bolonii i Edynburgu, z jakichś powodów zostawały u zakonnic. Najprawdopodobniej kiedyś było tu więcej takich gablot, ale zostały rozmontowane, a ich zawartość zniszczona. Paradoksalnie, przypadki patologicznych noworodków oraz wad wrodzonych byłyby niesamowicie interesujące dla

Na pierwszy rzut oka podstawa gablotki wydawała się nie mieć innych skrytek - zwykła drewniana deska bez rączek ani dziurek na klucze. Poświeciłam latarką i wokół boków szafki odkryłam przy każdym końcu mosiężne haczyki, które wydawały się przytrzymywać deskę. Rozpięłam wszystkie i płyta się zapadła, ale tylko na kilka centymetrów. Wciąż coś ją jeszcze przytrzymywało.

W połowie jej długości znajdował się krótki, mosiężny łańcuch, zaczepiony za inne oczko, przymocowane z tyłu deski. Klękając,

odpięłam łańcuch i uwolniłam płytę. Za nią znajdowała się jeszcze jedna, wykonana ze szkła, u góry zaś otaczającej go ramy przyczepiona była mosiężna tabliczka, na której wryto czerwone i czarne litery. Wyglądała na pełną wersję tabliczek z inskrypcjami „Módlmy się za spokój duszy...”, które były przymocowane do ławek w irlandzkich kościołach. Już miałam ją przeczytać, kiedy usłyszałam jakiś hałas.

Wyłączyłam latarkę i schowałam się za filarem. Znowu to usłyszałam. Kaszłała jakaś kobieta. Ktoś schodził schodami w dół i był już w krypcie. Obawiając się, że zamknie bramę, wymknęłam się stamtąd i przebiegłam przez przejście, chowając się w pogrążonej w kompletnych ciemnościach niszy. Dało się w niej wyczuć mocną woń wilgotnej ziemi i jeszcze czegoś.

Gdy kobieta przemieszczała się po przejściu równoległym do alejki, którą tu przyszedłam, po filarach mignął jej cień. W odległości kilku metrów ode mnie przeszła siostra Roche. Miała na sobie grubą wełnianą marynarkę, czarne dżinsy i niosła coś, co wyglądało na bodhran. To prawdopodobnie ona kręciła się na zewnątrz, kiedy tu

Jakby wyczuwając, że coś jest nie w porządku, zatrzymała się, cofnęła o kilka kroków i spojrzała w moim kierunku.

- Wstawaj! - warknęła.

Serce mi zamarło.

Roche podeszła bliżej. Powoli przesunęłam się wokół zewnętrznego filara, prawie wychodząc się na przejście.

Znajdowała się pod łukiem po przeciwnej stronie niszy, jej postać rysowała się na znajdującym się za nią świetle. Dzieliło nas tylko kilka metrów ciemności.

- Henry, ty leniwa świni - zaczęła utyskiwać - jest robota do zrobienia. Nie czas spać. - Przez moment wydawało mi się, że znalazłam się z powrotem w pokoju siostry Gabriel. Czy oni wszyscy

Coś żywego stanęło między mną a siostrą Roche, zasłaniając ją zupełnie. Gdy istota burczała z rozdrażnieniem, że zakłócono jej spokój, schowałam się głębiej za filar.

Zakonnica mówiła dalej.

- Sprowadź go, zanim przyjdą pozostali.

Henry wydał z siebie odgłos ssania, zupełnie jakby łykał ślinę.

Gdy tylko ciskający gromy głos siostry Roche zaczął się oddalać, biegiem wróciłam na schody krypty. W rękę ścisnęłam gotowy do użycia młotek.

Zatrzymałam się, by przyłożyć ucho do drzwi prowadzących z powrotem do domostwa, gdyż usłyszałam jakieś głosy. Rzeczywiście - zbliżały się: w moim kierunku. Spróbowałam otworzyć drzwi do klasztoru, lecz były zamknięte. Z bijącym sercem wbiegłam na schody prowadzące do wieży. Otwarte. Zamknęłam drzwi za sobą, gdy siostra Champion weszła na półpiętro, rozmawiając z kimś,, kto szedł za nią.

Domknęłam drzwi i oparłam się na nich po drugiej stronie, na wypadek gdyby próbowali przez nie przejść. Lecz jej głos ucichł, gdy weszła do kościoła.

Znowu znalazłam się w ciemnościach. Gdy moje oczy się przystosowały, ujrzałam nad sobą punkt światła. Patrzyłam na gwiazdę przez wysoko umieszczone w ścianie okno. Wyglądało na to, że mgła zniknęła. Włączyłam latarkę i zobaczyłam, że znajduję się w wąskim przejściu prowadzącym przez ścianę transeptu w kierunku wieży. Idąc wzdłuż niego, dotarłam do spiralnej kamiennej klatki schodowej, która najprawdopodobniej wiała się do góry aż: po dach wieży. Zaczęłam wspinać się po schodach, martwiąc się, czy drzwi na dach będą otwarte i czy sam dach będzie w dobrym stanie... Zatrzymałam się, by złapać oddech i by przypomnieć samej sobie, że są ważniejsze powody do zmartwienia.

Drzwi na dach zwisały na zawiasach. Ostrożnie pojawiłam się na wykładanym płytkami dachu pod niebem, na którego ciemnym tle jaśniała jedna gwiazda - Wenus. Lecz pod wieżą, daleko jak okiem sięgnąć, rozciągała się chmura. Przeszłam uważnie dookoła wciętego gzymsu, lecz mgły nie było tylko na blankach.

Wtedy dwie rzeczy zaczęły dziać się równocześnie. Niebo na swojej południowo-wschodniej krawędzi, pod Wenus, pojaśniało i delikatny wietrzyk; zaczął zgarniać wierzchnią warstwę mgły.

Wydawało mi się, że usłyszałam hałas, więc rozejrzałam się. Lecz był to tylko szmer suchych liści wirujących w rogu, w którym zostały uwięzione od jesieni. Potem dostrzegłam coś przy drzwiach prowadzących do klatki schodowej. Nie spadły one z przegnitych zawiasów. Zostały odłamane w wyniku niedawnej walki.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że Gallagher był martwy.

Osunęłam się na płytki i oparłam o jeden z blanków gzymsu. Na horyzoncie niebo stało się bledsze i przybrało kolor płaszcza Madonny, spod którego widać było kremową suknię zabarwioną różem. Było po ósmej rano.

Wstałam znowu i zauważyłam, że dookoła opactwa warstwa mgły stała się dużo cieńsza. Niebieskoszara chmura nadal wisiała nad brzegami rzeki wzdłuż jej biegu. Lecz teraz mogłam dostrzec Newgrange, które z daleka wyglądało jak latający nad chmurami talerz.

Niebo nade mną zaczęło błyszczeć. Zbłąkane chmury, jak wyciągnięte kłębki wełny, rozbłysły na różowo. Słońce szykowało się, by wzejść i oświetlić całą dolinę. Po drugiej stronie Newgrange nabierało cieplejszego odcienia wraz ze zmieniającym się światłem. Nagie drzewa, rosące wzdłuż horyzontu, stały się wyraźniejsze, gdy kula słońca ukazała się za nimi.

Słońce pojawiło się na grzbiecie wzniesienia. Odwróciłam głowę w stronę Newgrange i oczom moim ukazał się niezwykły widok - odbity z komory snop światła dzielił mgłę jak biblijny palec Boży, ozłacając ją i rozświetlając od kopca po Boyne. W tym czasie drzewa i porwane brzdami pasmo wzniesienia rozproszyły światło słoneczne na promienie wszelkich rozmiarów. Rozciągnęły się one wachlarzowato nad moją głową, prześwitując przez słabnącą mgłę pomiędzy opactwem a rzeką.

Z daleka dobiegał mnie dźwięk podobny do teatralnych grzmotów - metaliczne dudnienie i brzęczenie. Wtem światło w wejściu Newgrange zaczęło migotać, wystrzeliwując złociste wiązki światła, jak deszcz strzał przechwytyjących nadchodzące promienie ponad powierzchnią wody. Odblaski z rzeki dołączyły teraz do sieci światła zbudowanej ponad Boyne. Przez nią, w wykrzywionych spiralach przepływała do góry mgiełka, przypominająca dusze idące do nieba.

Wtedy z grobowca zaczęły wylaniać się jakieś cienie. Najpierw wyglądały jak załamania światła w powietrzu, stworzone przez światło w wejściu. Później zaczęły przypominać zakapturzonych mnichów, by następnie przeobrazić się na otwartym terenie, naprzeciwko kopca, w spowite welonami członkinie zakonu szpitalniczek. Uczestniczki ceremonii zgromadziły się w kole.

Poczułam, jakbym została wysłana w wehikule czasu. Czy tak się to wszystko odbywało tysiąc lat temu? Czy zakon w jakiś sposób odziedziczył rytuały budowniczych grobowców i powtarzał je, jak oni to robili przez wieki - nie w dzień przesilenia, lecz nawet jeszcze dokładniej, bardziej bluźnierczo. „To ciągle działa w Boże Narodzenie, prawda?“, zapytał mnie Sam Sakamoto, a jego słowa nabrały teraz złowrogiego znaczenia.

Niemniej jednak, był to imponujący pokaz teatralny. Przyszło mi do głowy pytanie: Jeżeli „zakonnice“ wkraczały na scenę jak aktorzy, w jaki sposób udało im się dostać do teatru? Raczej nie przez główne wejście.

Teraz stały nieruchomo i zwrócone ku słońcu podniosły ramiona w formie powitania. Otaczał je blask, więc trudno było określić ich liczbę. Metaliczne dudnienie najwyraźniej osiągało punkt kulminacyjny. Brzmiało jak rezonujące cymbały lub gong. Potem zaczęło zanikać, lecz moje uszy wychwyciły kolejny dźwięk - regularny, jak pracujący daleko pod wodą silnik łodzi. Bębnienie. Zakonnice zaczęły poruszać się do rytmu. Pojawił się kolejny dźwięk. Też regularny. Sapanie. Dochodzące zza mnie. Odwróciłam się.

W cieniu drzwi stał mężczyzna ubrany w biały habit. Miał odkrytą głowę, a długie, splątane włosy spływały mu na ramiona. Gdy wszedł w światło, ujrzałam, jak jego masywnie sklezione czoło spychało twarz w dół. Wyglądał, jakby miał na głowie hełm z wydłużonym ochroniaczem nosa, po którego bokach znajdowały się oczy. Jego usta rozwidlały się, a obśliniona rana obszarpanych warg i dziąseł ukazywała cztery obnażone rzędy zębów.

Człowiek-pies zaryczał i skoczył w moim kierunku z wzniesionymi rękoma przypominającymi kleszcze. Odskokczyłam do tyłu i głową uderzyłam w jeden z blanków. Zanim ogarnęła mnie ciemność, zdążyłam jeszcze ujrzeć nachylającego się nade mną napastnika. Z jego wysuniętego języka kapała ślina.

Lecz moja ostatnia myśl dotyczyła zupełnie czegoś innego. *Już wiem, w jaki sposób przekraczali rzekę w zimie.*

Rozdział 35

Leżałam, opierając się głową o coś ciepłego. O ludzkie ciało. Przeżazona, szybko się rozbudziłam i zobaczyłam obok siebie Gallaghera. Opierałam się o jego ramię.

Znajdowaliśmy się na podłodze, plecami do ściany krypty, w tej samej wnęce, w której znajdowała się gablota, stojąca teraz na prawo od nas. Oboje byliśmy unieruchomieni w ten sam sposób, z rękami skrępowanymi z tyłu, nogami wyprostowanymi i związanymi w kostkach niebieskim, nylonowym sznurkiem. Brama prowadząca do wnęki była zamknięta.

- Dzięki, że wpadłaś. - Gallagher uśmiechnął się do mnie ciepło. - Wszystko w porządku?

- Oprócz drugiego guza na głowie, mam się świetnie. A co ci się przydarzyło?

- Dałem się złapać na najstarszą, podręcznikową sztuczkę. Siostra Campion powiedziała mi, że wykopały jakiś przedmiot, który Traynor chciał odkupić za bezcen. Miała mi go pokazać siostra Roche. Prowadziła mnie przez to przejście... - Skinął w kierunku, gdzie widziałam wcześniej zakonnice. - Nazywała to suter- coś tam...

- Suteroną.

- Taa. Prowadziła do jaskini, która zewężała się do znajdującego się w skale naturalnego tunelu; był na tyle duży, że dało się tamtędy przejść z pochyloną głową. Tunel prowadzi aż do Newgrange, pod rzeką...

- Wiedziałam. Dotarło to do mnie, kiedy byłam na wieży, że musiało być przejście pod rzeką. Ten kościół został wybudowany na miejscu pradawnego kultu. Przy wejściu do świętej jaskini, którą właśnie opisałeś. Kapłani ludu, którzy wybudowali Newgrange, musieli się tu zbierać przed ceremonią przesilenia, a potem pojawiali się po drugiej stronie rzeki, niby za sprawą czarów. Przeszedłeś przez cały tunel?

- Nie. Zrobili ze mną prawdopodobnie to samo, co z O'Haganem. Siostra Roche poprosiła, żebym szedł przed nią, na co, jak idiota, oczywiście się zgodziłem. Schyliłem się, żeby wejść do tunelu, i wtedy przyłożono mi do szyi nóż rzeźniczy.

Henry Owłosione Usta zablokował mi drogę. Gdy chciałem się cofnąć, siostra Roche uderzyła mnie w głowę kamieniem, albo czymś takim. Związali mnie, kiedy byłem nieprzytomny i zostawili w zewnętrznym przejściu. Zostałem przeniesiony tutaj kilka godzin temu, tuż przed przybyciem jakichś ludzi. Roche i Owłosione Usta przez całą noc byli zajęci przygotowaniami do przybycia gości. Chyba to mnie uratowało. Kilka godzin temu wszystko ucichło, po tym jak weszli do jaskini. Potem przyszedł tu Henry, niosąc cię przewieszoną przez ramię. Niezadługo pojawiła się Roche i cię obejrzała. Wygląda na to, że sprawiłaś

siostrze przyjemność, sądząc po wyrazie jej twarzy. Jak wygląda twoja

Krótko opowiedziałam mu, co zaszło i co widziałam nad Newgrange z wieży.

- To miało coś wspólnego z tym znalezionym przedmiotem - powiedział. - Z tego, co mi powiedziała Champion, wynika, że jego istnienie było tylko legendą stworzoną jeszcze przed wybudowaniem opactwa. Gdy odbudowywano Newgrange, dostęp do niego został częściowo odsłonięty, ale wciąż znajdował się w zawałonym przejściu kurhanu, do którego archeolodzy nie mieli dojścia. Dlatego leżało tam całe lata, dopóki nie zostało „odkryte przez członka społeczności”, cytując Champion. Pewnie dokonał tego ten biedny Henry w trakcie jednej ze swych podziemnych wędrówek. Raczej rzadko wypuszczały go na zewnątrz.

- Dlatego do odkopywania została wynajęta brygada robotników z zagranicy.

- Natrafili jednak na przeszkodę. Przedmiot był za duży, żeby dało się go przenieść przez podziemny tunel. Roche powiedziała, że prowadzi mnie do miejsca, w którym, zgodnie z jej słowami, znajdował się cały czas. Wydaje się oczywiste, że postanowiły wyjąć go z drugiej strony wczesnym rankiem w Boże Narodzenie, kiedy raczej nie będzie tam gości.

- I przy okazji urządziły pokaz. To nie ma sensu.

- Nie roztrząsajmy tego teraz. Lepiej się stąd wynośmy.
- Tylko mnie rozwiąż i już idę - odpowiedziałam, siląc się na dowcip.

- Gdybym miał coś ostrego, to bym cię rozwiązał.
- Może mogłabym ci jakoś pomóc - powiedziałam, przesuając się tyłem w kierunku gabloty. Płyta pod półkami wciąż była otwarta.
- A tak w ogóle, to co to jest? - spytał Gallagher, patrząc na słoje.
- Gabinet osobliwości. Kiedyś zakonnice sprzedawały te okazy za granicę.

- Jezu Chryste!
Przeniosłam nogi nad płytę i obcasami zbiłam szkło. Było tak cienkie jak w żarówce i potłukło się z cichym brzękiem.

Gallagher przesunął się chybottliwie po kamiennych płytach, aby do mnie dołączyć.

- Jasna cholera! A to co?
Niczym szczątki świętego w szklanej trumnie, w podstawie gabloty leżało pomarszczone ciało. Ale w przeciwieństwie do świętych, których widziałam, to ciało było nagie. W wielu miejscach skóra popękała, tu i ówdzie wystawały spod niej fragmenty szkieletu. Ciało przedstawiało sobą zbiór kości w worku z wysuszonej skóry. Czaszka, w przeciwieństwie do głowy Mony, nie zapadła się, więc nie było mowy o pomyłce - od razu rozpoznałam wzorzec. Podcięte gardło, usunięte wargi, oczy oraz uszy. Z wykrzywionych ust wystawał brązowy kłębek kruchych liści ostrokrzewu, a także wysuszone jagody, które, byłam tego pewna, znajdowały się tam najwyżej od kilkunastu miesięcy. Ktokolwiek włożył je mumii w usta, w tym roku był zbyt zajęty dokonywaniem niedawnych morderstw, by pamiętać o wymianie bukietu.

- To jeszcze jedno ciało z Monashee. Pojawiło się ponad sto lat temu i potem znikło w tajemniczych okolicznościach. Można by powiedzieć, że właśnie spoglądamy na szablon, według którego Traynor i...

Oboje w tym samym czasie usłyszeliśmy głosy. Ludzie wracali do krypty.

- Według którego i my zostaniemy zamordowani, jeśli zaraz się stąd nie wyniesiemy - dokończył Gallagher.

- Szybko, sięgnij do tyłu. Powiem ci, kiedy już będziesz obok.
Naprowadziłam Gallaghera na odpowiedni odłamek szkła. Udało mu się go podnieść za pierwszym razem. Przysunął się do mnie i teraz stykaliśmy się plecami.

- Widziałem to tylko na filmach - powiedział.
- To niezbyt krzepiące.
- Podobnie, jak niezbyt prawdziwe. Przerabialiśmy to raz na szkoleniu.
- Raz, tak? To brzmi dużo lepiej. Uważaj tylko, żeby mnie przy okazji nie pociąć.

Gdy zaczął przesuwać odłamkiem szkła po sznurku, usłyszeliśmy kasznięcie. Z przeciwnego kierunku do krypty zbliżała się siostra Roche.

- Schowaj się - rzuciła ostro - nie chcemy, żebyś wystraszył gości.

Henry wydał z siebie żalony, zwierzęcy dźwięk. Potem usłyszeliśmy świszczący oddech i odgłos ssania, gdy grzebał się w swojej komórce. Gallagher na chwilę przerwał, czekając, aż się Serce biło mi tak głośno, iż byłam przekonana, że da się je usłyszeć. Aby odwrócić uwagę, zaczęłam czytać inskrypcję na mosiężnej tabliczce, umieszczonej na ramie gąbłoty.

„Mocą Dekretu Soboru Laterańskiego III, w Roku Pańskim 1179, popierając króla Henryka II, niedawno w imię Chrystusa z Jego Świątobliwością, papieżem Aleksandrem III pogodzonego, wzywamy książąt świeckich do wyplenienia zarazy. Zabramy także, pod karą klątwy, tolerowania bałwochwalców tak w domach, jako też na ziemiach swoich. Gdyby zaś władca się nie zastosował i ziemi swęj z *Concupiscenti* nie oczyścił, zostanie ekskomunikowany, jego zaś zachowanie doniesione Papieżowi, który zwolni wasalów od składania mu hołdu...”

Concupiscenti. Tak jak podejrzewałam, określenie dotyczyło nie tylko pojedynczych ludzi, ale całej sekty heretyckiej - „Bałwochwalców Pożądania”.

„Powierzamy także wymienionemu tu zakonowi Świętej Małgorzaty z Antiochii zadanie informowania o heretykach w tej części kraju, w której bałwochwalcza działalność najbardziej szkodliwą była i w której siostry z nadania króla otrzymały ziemie blisko świątyni niewolników pożądania i lubieżności położone. Skazani przez sąd kościelny zostaną dla odpokutowania należytej kary swym świeckim zwierzchnikom przekazani”.

I znowu miałam rację. Tamtego dnia w kościele w Droghedzie pomyślałam, że Mona musiała być męczennicą za swoją wiarę. Czy to możliwe, że *Concupiscenti* istnieli od czasów powstania Newgrange? I czy udało im się przetrwać aż do średniowiecza, pozornie godząc się na dominujące wyznanie, niezależnie od tego, czy było ono celtyckie czy też chrześcijańskie?

„Król ustanowił *Concupiscenti* karę następującą: oddech będzie ich ciałom odebrany, krew z nich upuszczona, symbol zaś bezcennej krwi Pańskiej nad nim umieszczony. Nie będą mogli od tej pory używać ust, oczu ani uszu, przeciwko Bogu bluźniąc, nawet w piekle. I złożeni zostaną w ziemi niepoświęconej”.

A więc o to chodziło. Taki los spotkał Monę i zapewne wielu innych. Tak jak powiedział Finian - los częściowo ukuty polityczno-religijnymi wrzniętymi, jakie w tamtym okresie ogarnęły Europę. Król Anglii Henryk, który z powodu zamordowania Tomasza Becketa znajdował się w niełasce u papieża Aleksandra, próbował naprawić swoje czyny, prześladowając „heretycką” sektę w Irlandii. Sektę, która najwyraźniej przetrwała aż cztery tysiące lat.

- Hej, odetchnijmy przez chwilę. Muszę przyznać, że wszystko poszło wspaniale. Widzieliście ten snop światła? Wow!
- Ale będziecie musieli poprzerabiać habity na wszystkich fotografiach.
- Dzięki technologii cyfrowej moglibyśmy przekształcić wszystkich w Indian wykonujących taniec wojenny.
- To dobrze. Nie chciałybyśmy pozwać was do sądu za złamanie umowy.

Udało nam się uwolnić i teraz staliśmy za filarem nieopodal kraty, więc wyraźnie słyszeliśmy rozmowę. Campion, Roche i dwa głosy z amerykańskim akcentem, męski i żeński.

Wszyscy roześmieli się po słowach Roche, a Campion dodała.

- Proszę pamiętać, że najbardziej chodzi nam o naszą wspólnotę. Nie chcemy, by zakłócano nam spokój. Dlatego właśnie nalegałyśmy na sporządzenie umowy.

- Oczywiście. To rozumiałe. A co z ludźmi wynajętymi do wykopania znaleziska?

- Obcokrajowcy. Prawie nie mówiący po angielsku.

- Zatrudniłyście tych samych, którzy załadowali artefakt na przyczepę dziś rano?

- Nie. Pomyślałyśmy, że lepiej będzie zatrudnić innych.

- I kiedy przekazujecie to Muzeum Narodowemu?

Nastąpiła ciężka chwila milczenia. Potem odezwała się Roche.

- Zaraz po Nowym Roku. Aż do tego czasu nie pracują.

- Cóż, to będzie prawdziwa sensacja. I jako pierwsi mamy zdjęcia. Są warte swojej ceny.

- Pewnie. Najprawdopodobniej szeroko to rozreklamujemy jako odkrycie XXI wieku - odpowiednik grobowca Tutanchamona. Może nawet „National Geographic” zainteresuje się znaleziskiem?

- Na pewno. Potrzebujemy ich pieniędzy, by odzyskać te wydane dzisiaj.

Wymieniliśmy z Gallagherem spojrzenia.

- Wiem, kim są ci dziennikarze - wyszeptalam. - Na pewno pomogą nam się stąd wydostać.

Gallagher przyłożył dłoń do ust i krzyknął.

- Hej! Jestem oficerem policji. Chciałbym z wami porozmawiać.

Niezbyt dobre wejście, Matt. Tym razem ja postanowiłam się odezwać.

- Hebe! Sam! Tu Illaun Bowe. Jesteśmy tutaj. Pomocy!

Nie było odpowiedzi. Ich głosy słabo odbijały się od kolumn. Byli za daleko.

Wzdłuż krat przesunął się cień.

Podjęłam jeszcze jedną próbę.

- Na...

Henry zacisnął dłonie na moim gardle, zanim zdążyłam dokończyć zdanie. Jego siła była zadziwiająca. Nie mogłam oddychać.

Gallagher natychmiast rzucił się na niego, lecz nie udało mu się go odepchnąć. Przed oczami zaczęły wirować mi czarne plamki, ale jakimś cudem udało mi się sięgnąć do kieszeni i chwycić trzonek młotka. Wyciągnęłam go i dałam oczami znak Gallagherowi. Złapał go natychmiast i bez wahania uderzył w czaszkę napastnika. Henry chrząknął i zachwiał się, lecz nie zwolnił uścisku. Gallagher znowu podniósł młotek i z niesamowitą siłą opuścił go na czubek głowy mężczyzny. Henry zatoczył się na kratę i upadł, pociągając nas oboje na podłogę.

Zanim Gallagher zdążył uwolnić mnie spod ciała Henry'ego, krypta zdążyła opustoszeć.

- Nie wiem, co tu się, do cholery, dzieje - powiedział Gallagher - ale jestem pewien, że pogonię ich wszystkich, jak tylko dorwę jakiś telefon.

- A co z Henrym?

- Będzie nieprzytomny wystarczająco długo, żebyśmy zdążyli uciec.

A tak w ogóle, to co jest z jego twarzą?

- Jest *cynocephalusem*... a przynajmniej kiedyś tak to nazywali.

- Przepraszam, kim?

- *Cynocephalusem*. Cierpi na chorobę wrodzoną, która atakuje kości czaszki i twarzy. Obecnie można to korygować operacyjnie. To bardzo okrutne, że pozostawiono go bez leczenia.

- Jest też chyba głupkiem, takie mam wrażenie.

- No cóż, Roche najwyraźniej za takiego go uważa.

A on wykonuje jej rozkazy- Najwyraźniej był na każde jej skinienie. To on był na moim patio tamtej mglistej nocy. Pewnie zamierzali zniszczyć wszelkie dowody tego, co znaleźliśmy na Monashee. Ale przyjechał Keelan, więc musieli się wycofać. A potem to spotkanie w kościele wywołane telefonem Roche do mojej matki. Chciała zwabić mnie w pułapkę, w której Henry mógł mnie zaatakować. Najprawdopodobniej doniósł też jej, że udało mi się zrobić zdjęcia zachodnich drzwi. Ale nie miałam do niego o to pretensji.

Spojrzałam na stłamszonego człowieka, leżącego na kamiennej podłodze. Z boku twarzy spływała mu krew i wsiąkała w kołnierz

niezwykle brudnego habitu. Poczułam litość. I wtedy zauważyłam jego dłoń.

- Wiesz, że to on jest mordercą, prawda? - spytałam.

- Na to wygląda.

Przykłęknęłam obok Henry'ego i podniosłam jego rękę w nadgarstku.

- Oto dowód.

Dłoń Henry'ego miała kciuk, lecz pozbawiona była palców. A dokładniej, jego palce uwięzione były w rękawiczce. Jego dłoń wyglądała jak poszarpany kawał mięsa.

- Jasna cholera.

- Ale on tylko wykonywał polecenia.

- I to wszystko dla pieniędzy. Jakie to, kurwa, przewidywalne. - Gallagher wydawał się pozbawiony złudzeń po zetknięciu się z ludzką słabością.

Drzwi do domostwa były zamknięte.

- Spróbujmy przez te. Tędy musiał przyjść za mną Henry.

Drzwi były otwarte, a stopnie prowadziły do klasztoru, jak wcześniej podejrzewałam. Znaleźliśmy się przy oświetlonym słońcem kwadracie trawnika.

Poprowadziłam Gallaghera do zachodniego końca kościoła poprzez wybrukowany dziedziniec. Usłyszeliśmy głosy, więc zaczęliśmy szukać schronienia i weszliśmy do otoczonego murem ogrodu. Stojąc tuż przy nagrzanym słońcem ścianie z czerwonej cegły, spojrzałam na ogród i ujrzałam rząd uli rozciągający się wzdłuż ścieżki. Kiedyś były pomalowane na białą, lecz farba zaczęła się łuszczyć i pękać, a na krawędziach i złączeniach desek zadomowiły się zielone porosty.

Rozmowa ucichła i usłyszeliśmy odjeżdżający samochód.

- Chodźmy - powiedziałam. - Mam nadzieję, że się nie spóźniliśmy.

Gdy wyłoniliśmy się spod sklepienia prowadzącego przed opactwo, dostrześliśmy znikający za zakrętem alei samochód dziennikarzy.

Stary land rover z dołączoną do niego przyczepą stał zaparkowany przy schodach. Silnik był uruchomiony, a spaliny wydobywały się z rury wydechowej na świeże powietrze.

W przyczepie znajdowała się niebieska brezentowa plandeka, przykrywająca coś stojącego pionowo i przewyższającego kabinę samochodu. Za nim, pod dziwnym kątem, stał mój samochód, zaparkowany w mglistą noc. Po krótkim przeszukaniu kurtki zorientowałam się, że po raz kolejny zostawiłam mój telefon

Białe mondeo Gallaghery ustawione było pomiędzy nami a pojazdem zakonnic. Podbiegliśmy do niego i schowaliśmy się za m:Gallagher spojrział przez okno.

- W land roverze nie ma nikogo. Wsiądźmy do niego i odjedźmy. Nie, poczekaj...

Na schodach pojawiła się niosąca walizkę Roche. Schowaliśmy głowy, gdy zaczęła się ostrożnie rozglądać.

- Dlaczego nie zadzwonisz po wsparcie? - zapytałam Gallaghery.
- Zabrali mi telefon. I moją trzydziestkę ósemkę.
- Masz na myśli pistolet? No to świetnie. To może odjedziemy choć twoim samochodem?
- Kluczyki też mi zabrali.

Gdy po raz drugi wyjrzelśmy przez okno, Roche próbowała umieścić walizkę na przyczepie. Lecz zaczepiła ją o krawędź plandeki i szarpnęła, próbując się uwolnić, a brezent zaczął się odwijać. Ujrzałam część drewnianej belki poprzecznej, podpieranej na jednym końcu pionowymi deskami połączonymi razem. Wszystko to miało kwadratowy kształt i najwyraźniej służyło przytrzymywaniu czegoś w miejscu, jak rama do transportu tafli szkła. Brezent zwisał obiecująco, odsłaniając jedynie róg ramy. Roche, nieświadoma osunięcia się plandeki, nareszcie uwolniła walizkę, a plandeka ostatecznie opadła w dół. W tej samej chwili zostaliśmy oślepieni ostrym światłem słonecznym odbitym od tego, co znajdowało się na przyczepie.

Osloniłam oczy ręką i ujrzałam coś przypominającego połączony talerz anteny satelitarnej o średnicy przynajmniej jednego metra, pionowo osadzony w drewnianej ramie. Nieznaczna zmiana w natężeniu światła słonecznego zredukowała blask odbicia i pozwoliła odkryć wzór na powierzchni dysku.

Od środka ku brzegowi rozciągała się spirala. Wyglądało to jak odzwierciedlenie dźwięku wydawanego przez gong - nie-

skończenie odbijany ton, promieniujący z centrum instrumentu. Ten właśnie przedmiot - w połowie dysk słoneczny, w połowie gong - musiał być odpowiedzialny za efekty świetlne widziane przeze mnie od kopca po samą rzekę. Dysk był maszyną do produkcji równocześnie światła i dźwięku. Poza tym był również bezcennym dziełem sztuki. Dzisiejszego poranka byłam świadkiem słonecznego spektaklu „światło i dźwięk”, który pokazano po raz pierwszy od pięciu tysięcy lat.

Rozdział 36

Roche wreszcie zrozumiała, że brezent się obsunął i wołała znajdującą się wewnątrz Campion, by pomogła jej powtórnie zapakować dysk. Złowrogo mamrotała pod nosem uwagi pod adresem leniwych robotników, którzy owinęli dysk brezentem, nie troszcząc się, by materiał jeszcze czymś zabezpieczyć.

- Chodźmy tam, zanim przybędzie kawaleria - zaproponował Gallagher. - Nie będzie w stanie mierzyć do nas obojga.

Wysunęliśmy się zza samochodu, ale Roche usłyszała, jak skradaliśmy się po żwirze. Odwróciła się, lecz słońce świeciło jej w oczy i zanim udało jej się osłonić je od blasku, Gallagher już trzymał ją w uścisku.

- Zabierz ode mnie swoje łapy, łajdaku! - krzyknęła, wijąc się i kopiąc.

Gallagher trzymał ją jednak mocno. Skinął głową w kierunku przyczepy.

- Zobacz, czy nie ma tam czegoś, czym moglibyśmy ją związać.

Zajrzałam do środka. Większość brezentu osunęła się przy drugim końcu ramy. Obiegrałam przyczepę, żeby wziąć jeden ze sznurów, który próbowałam wyszarpnąć spod skręconego kawałka ostrego metalu, leżącego przy boku przyczepy. Nie mogłam nie spojrzeć na słoneczny dysk.

Dopiero wtedy zauważyłam, że jego druga powierzchnia była inna. W wyklepanym złocie znajdowała się wryta podobizna bogini. Stała z rozstawionymi nogami na ognistej kuli wschodzącego słońca, pozwalając, by wniknął w nią jeden ze słonecznych promieni.

- Wiesz co, Złotowłosa - szepnęłam, puszczając do niej oko - jesteś najpiękniejsza w świecie.

Odcięłam kawałek sznura i wróciłam do Gallaghera, który tymczasem oparł Roche o boczne drzwi land rovera, nie mogąc inaczej powstrzymać jej od szamotania się.

- Złap ją najpierw za wolną rękę i obwiąż nadgarstek.

- Na pani miejscu bym tego nie robiła. - Usłyszałam, jak w moim kierunku zwraca się niski głos. Na dole schodów, w odległości dwóch metrów od nas, stała siostra Champion. Jej walizka znajdowała się na ziemi, muszka rewolweru Gallaghera była wycelowana wprost we mnie.

- Proszę ją puścić, inspektorze.

Gallagher uwolnił swego jeńca. Roche gwałtownie się odwróciła i plunęła mu w twarz.

Siostra Champion stanęła na żwirze.

- Odsuńcie się od land rovera. Ursulo, zanieś proszę moją walizkę do samochodu.

Roche złapała bagaż siostry przełożonej i wrzuciła go na przyczepę. Potem wbiegła na schody.

- Jeśli się poruszą, zastrzel ich - powiedziała i znikła za drzwiami.

- I wszystko to dla tego? - spytał Gallagher, wskazując dysk - Zabijecie już dwóch ludzi. Czy nie wystarczy?

Campion nie odpowiedziała. Zauważyłam, że w odróżnieniu od Roche, nadal ubrana była w szare i białe stroje zakonu.

- Lecz nie dla tego zabijecie Franka Traynora, nie tylko - oznajmiłam.

- Zabiliśmy? Co ma pani na myśli? - Wyglądała na prawdziwie zdziwioną moim stwierdzeniem.

- To przez twoje dziecko pogrzebane na Monashee.

- Dziecko? O czym pani mówi?

- Derek Ward był ojcem chłopca. To był chłopiec, prawda? - Nie odpowiedziała. - Traynor szantażował Warda, gdy się dowiedział - kontynuowałam. - A później robił to samo z siostrą, zmuszając siostrę do wyprzedazy majątku poniżej jego wartości rynkowej. Potem usłyszał o artefakcie od zagranicznych pracowników, których zatrudniłyście, by go wykopali. Najprawdopodobniej od tych samych, którzy ogołocili dla niego kościół. Dysk ze złota, mówili. Nawet zmusił jednego z nich, by mu go narysował w dzienniku. Traynor wiedział, że był bezcenny, więc zapragnął go za wszelką cenę. Zawsze pracował „nad pokładem”, jak wyraził się sierżant O’Hagan, co oznaczało, że nie ma zamiaru sam dokonać kradzieży. Tak więc powrócił do swoich metod

- szantażu. Przypomnił sobie, że dziecko siostry pochowane jest na Monashee. I zaczął przekopywać pole. - Oczy Campion powoli napęłniały się łzami. - Następnie oświadczył siostrze, że znaleziono ciało noworodka. Tego już było za wiele. Posyła siostra Ursulę, by spotkała się z nim na Monashee w sprawie sprzedaży dysku. I wtedy Henry dusi go w jego samochodzie.

- Henry nie mógłby... ktoś zabił Franka, zanim Ursula tam dotarła.
- Henry robi, co mu każe Ursula, dobrze to siostra wie. Powiedziała mu, żeby odtworzył rany, które widział u mumii w krypcie. Zabił Traynora na Monashee, a sierżanta O'Hagana tu w
- To prawda - powiedział Gallagher. - Potem przeciągnęli jego ciało przez przejście podziemne i pozostawili na polu za Newgrange.
- Oboje kłamiecie.
- Proszę nie być naiwną - odpowiedziałam. - Chyba działa siostra jak Henryk II: prosi o pozbycie się problemu, a potem zaprzecza, gdy ktoś odwalił już brudną robotę.
- Nie obchodzą mnie pani insynuacje, panno Bowe.
- Tak siostra uważa? - zapytał Gallagher. - Tak więc, co się z nami stanie? Czy siostra myśli, że Roche puści nas wolno?
- Ostatecznie, tak. Potrzebujemy czasu na dostarczenie artefaktu kupcowi i opuszczamy kraj. - Spojrzała w moim kierunku, jakby szukała wsparcia.
- Ursula nigdy nie puści nas wolno - odparłam. - Czy wiedziała siostra, że Ursula próbowała również zabić Dereka Warda?
- To kolejne kłamstwo. Stajecie się uciążliwi.

W trakcie rozmowy Gallagher podszedł bliżej do opatki, która nagle podniosła pistolet i wycelowała w jego głowę.

- Odsuń się. - Gestem zmusiła go do cofnięcia się pod schody. - A ty tutaj. - Skinęła na mnie.

Podeszłam do przodu.

- Dlaczego mi to robisz? Wydobywasz to całe... błoto?
- Interesuję się przeszłością. Mówi nam o teraźniejszości. - Spojrzałam znowu na Gallaghera i oboje przysunęliśmy się odrobinę w jej kierunku. Chyba nie chciała pociągać za spust.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Roche wyszła z domostwa, wpychając plik biletów lotniczych do swojej torby.

- Co tu się dzieje? - Zamknęła za sobą drzwi i zaczęła schodzić po schodach. - Oddaj mi broń.

- Nie, zaczekaj - powiedziała Champion.

Roche zawałała się.

- Ona mówi, że chciałaś zabić Dereka. Czy to prawda?

- To śmieszne.

- Tak samo śmieszne, jak posłużenie się Henrym do zabicia Traynora i O'Hagana - wtrąciłam, podnosząc głos.

- O czym ty mówisz? - Roche zamarła w połowie schodów.

Odezwał się Gallagher.

- Ponieważ Monashee skrywało dowody, które nie miały ujrzeć światła dziennego. Gdyby ekshumowano dziecko siostry Champion, odkryto by, że zostało zamordowane. Przez ciebie.

Campion krzyknęła:

- To nieprawda! Nieprawda! On... on... on nie mógł żyć.

- Znaczy to - powiedziała Roche pogardliwie - że okazał się monstrum, tak jak te wszystkie preparaty w krypcie, jak rzeźbienia na zachodnich drzwiach. Teraz jesteś zadowolona?

Campion zaczęła gorzko płakać.

- Tak często patrzyłam na te potworności... że jeden z nich wyrósł we mnie. Tylko mściwy Bóg mógł pozwolić, by stało się coś takiego... - Doszła do siebie, twarz jej pociemniała. - Dlatego odwróciłam się od Niego. A teraz dokonałam mojej zemsty. Przywróciłam to miejsce prawowitym właścicielom. Co noc w tym hotelu będą cudzołożyć ludzie. To chyba sprawiedliwe, prawda?

W tej chwili dobiegło nas wycie Henry'ego.

Gallagher podszedł bliżej Roche.

Kaszłąc ze świstem, Henry przeszedł przez futrynę. Krew lała się z jego twarzy, w rękę trzymał złowroźnie wyglądający nóż.

Roche spojrzała na niego przeciągle, gdy ociężale zbliżał się w naszym kierunku i w tym momencie prawda uderzyła we mnie jak snop światła, który wcześniej wyleciał z Newgrange.

- Myliłam się co do ciebie, Ursulo - twoim motywem zamordowania Traynora i O'Hagana nie była chęć zatuszowania złego postępku. Zrobiłaś to dla pieniędzy. - Roche gwałtownie

zwróciła się w moim kierunku, jak drapieżne zwierzę. - Faktycznie, ty i Traynor mieliście jedną wspólną cechę - poządlliwość wzroku, chyba tak można to nazwać. Na pewno nie zamierzałaś pozwolić mu na przejście dysku. Ale stawał się natrętny - nie tylko próbował zniszczyć twoje szanse na zabicie fortuny, ale też groził, że użyje swoich kontaktów, byście nie mogły opuścić kraju. Potem wyciągnął temat dziecka Geraldine. Oczywiście mylił się, a ty o tym wiedziałaś. Nie tylko dlatego, że odnalezione zwłoki noworodka pochodzą z 1961 roku. Nieważne, co by wyciągnął, ty i tak wiedziałaś, że dziecka Geraldine nie ma na Monashee. Nigdy go nie było. - Obróciłam się do opatki. - Ponieważ, siostró Champion, siostry syn nie umarł.

- Co? - Zamrugła oczami, by pozbyć się łez. - Co mówisz?

- Twoim dzieckiem jest Henry - spojrzałam na Roche - prawda, Ursulo?

Oczy Roche wbiły się we mnie.

- Jak śmiesz mówić takie rzeczy?

Wytrzymałam jej spojrzenie.

- Musiałaś mieć kontrolę nad jakąś częścią jej, prawda? - spytałam. - Nad częścią kobiety, która miała władzę nad tobą, lecz której słabością ty gardziłaś.

Spojrzenie Roche straciło na sile. Henry zatrzymał się kilka metrów od naszego ciasnego kręgu i czekał na rozkazy.

Campion zaczęła drżeć z emocji. Musiała użyć obojga rąk, by utrzymać broń.

- Powiedziała mi, że znalazła go na schodach... porzuconego. Matką była niezamężna dziewczyna ze wsi... Często zdarzały się nam takie sytuacje. Zazwyczaj dzieci umierały lub oddawałyśmy je do szpitali, ale Ursula powiedziała, że to dziecko... mogłoby zostać z nami... miałoby lepsze życie niż gdziekolwiek indziej. Nigdy o tym nie myślałam... przecież często tak bywało!

- Ile czasu upłynęło od siostry porodu? Proszę pomyśleć.

- Około... nie wiem dokładnie... kilka tygodni, może miesiąc... - Na jej twarzy malowała się konsternacja pomieszana z narastającą świadomością.

- A kto wybrał mu imię po królu, który oskarżył heretyków z Newgrange o bycie niewolnikami przyjemności cielesnej?

- To... - Champion obróciła się powoli w kierunku Roche, ciągle stojącej na schodach.

- Henry! - Głos Roche był jak bicz.

Henry podniósł nóż. Byłam najbliżej niego.

Roche skinęła głową. Ruszył w moim kierunku.

Champion wystrzeliła.

Henry szarpnął się, nóż wypadł z jego rąk. Potem upadł na żwir i znieruchomiał, czerwona plama rozlała mu się na plecach.

Roche zerwała się i zbiegła po schodach w kierunku Champion, która opuściła broń wzdłuż siebie. Policzki miała zalane łzami. Lecz Gallagher był szybszy. Wyrzucił swe ciało w powietrze i podciął Roche blokiem rugbyisty. Jej głowa głośno uderzyła o najniższy

Sięgnęłam, by wyjąć rewolwer z ręki Champion, wiedząc, że nie napotkam żadnego oporu.

Gallagher sprawdzał puls Roche.

- Nieprzytomna, ale żywa. - Wstał i zdjął marynarkę, by przykryć leżącą.

Champion odwróciła się i strzeliła jeszcze raz. Krew Roche trysnęła na stopnie.

Zamarłam, zastanawiając się, czy opatka nie ma zamiaru zastrzelić także nas. Jej twarz wyrażała bezkresny smutek.

- *Sic Concupiscenti puniuntur* — powiedziała i podała mi broń.

Rzeźbienia na drzwiach zachodnich nie były w stanie odegnać zła, które weszło w te progi. Nie temu zresztą służyły. Opactwo Grange opanowała pożądliwość wzroku, nie ciała. Siostra Champion również jej uległa, a gorycz nie pozwalała dostrzec zniszczeń, jakie poczyniła. Za jedną chwilę słabości zapłaciła straszliwą cenę.

- *La croix du dragon* - powiedziałam delikatnie, dotykając jej dłoni, podobnie jak dotknęłam ręki Mony - *est la dolor de deduit*.

Sylwester

Epilog

Finian uniósł kieliszek szampana.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedział.
- Jeszcze nie. Poczekaj, aż zaczną odliczanie.

Święta w domostwie rodziny Bowe przebiegły spokojnie, choć Richard był bardzo przygnębiony złym stanem taty.

- Nie doczeka następnych - orzekł, a ja modliłam się, by to była prawda.

Siedzieliśmy przy stoliku przy oknie w hotelowej restauracji. Większość gości stała na zewnątrz na patio, czekając na rozpoczęcie pokazu sztucznych ogni. Zbili się w grupkę, aby nie zmarznąć. Noc była tak zimna, że płynąca z fontanny woda zamarzała na ziemi i wyglądała jak olbrzymia rzeźba lodowa.

- Właśnie pomyślałem, że podziemne przejście do opactwa Grange musiało zostać uformowane przez wodę, wypływającą z topiącego się lodowca.

- A wiesz, że istnienie tunelu podpowiedział mi Jack Crean? Mówił, że dawniej Newgrange nazywano „Jaskinią Słońca”.

- Widzisz? Zawsze powinno się zwracać uwagę na folklor. Ta nazwa również wskazuje na to, że ludzie w jakiejś części zachowali pamięć o odbijającym promienie dysku. Nie mogę zrozumieć, jak ludzie z epoki kamienia mogli wykonać coś takiego?

- Dysk raczej nie pochodzi z neolitu, choć wiemy, że w pewnych kulturach z okresu przed znajomością metali wykonywano złote przedmioty. - Dotknęłam naszyjnika od Finiana, który założyłam na dzisiejszą okazję. - Ktokolwiek zbudował Newgrange, prawdopodobnie używał na początku mocno wypolerowanego kamienia. Dopiero później wyznawcy tej wiary stworzyli złoty dysk. W taki sam sposób chrześcijański ołtarz ewoluował od prostego stołu do konstrukcji pokrytej złotem i klejnotami.

- Myślisz, że ich religia przetrwała aż do średniowiecza?
 - Z tego, co wiemy, wciąż może istnieć. Ekstacyjny seks jako rodzaj doświadczenia religijnego zawsze miał swoich wyznawców.
 - Naprawdę? - spytał Finian, uśmiechając się chytrze.
- Zgromadzeni na zewnątrz ludzie zaczęli pomrukiwać.
- To prawie już - powiedziałam, uśmiechając się.
 - Dziesięć... - Tłum rozpoczął odliczanie.
 - Dziewięć, osiem, siedem, sześć...
- Wznieśliśmy kieliszki.
- Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...
- Tłum zaczął wiwatować. W niebo wystrzelił pierwszy sztuczny ogień.